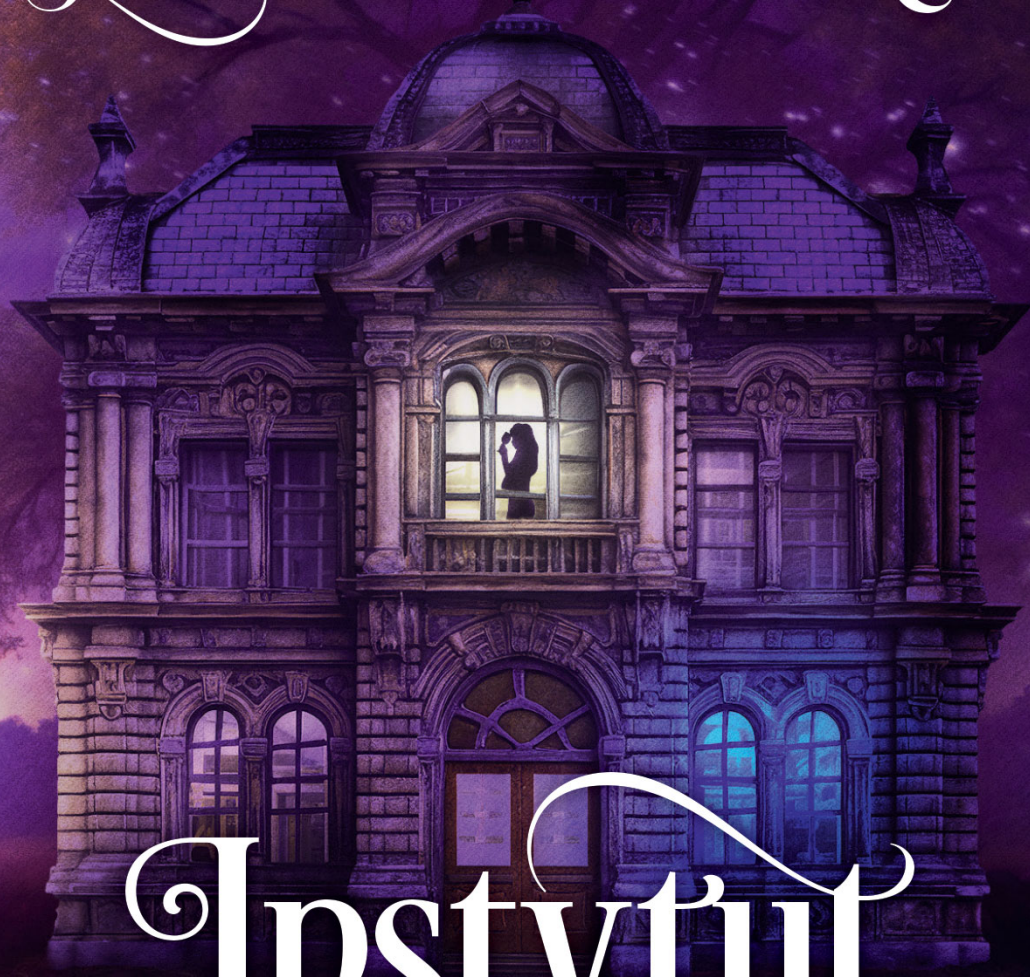


Zapraszamy do magicznego instytutu – tak samo przepelnionego
absurdami, jak i magicznymi istotami!

JUSTYNA SOSNOWSKA



Instytut Absurdu

JUSTYNA SOSNOWSKA

Instytut

Absurdu



KRAKÓW 2024

Instytut
Absurdu

Instytut Absurdu

Copyright © Justyna Sosnowska 2024

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Redakcja – Ewa Cat Mędrzecka

Korekta – Aneta Wieczorek, Kornelia Dąbrowska

Projekt typograficzny i skład – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafiki na okładce – Freepik

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024

ISBN mobi: 9788383302379

ISBN epub: 9788383302386



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Barbara Chęcińska,

Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska, Kamila Piotrowska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strony tytułowe

Sprawa nr I Namolna sytuacja

Sprawa nr II Piaskiem po oczach

Sprawa nr III Zawily zwój i audyt

Sprawa nr IV W objeciach natury

Sprawa nr V Smog wawelski

Strona redakcyjna

Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce.
W trakcie pracy nad książką nie ucierpiał żaden gargulec.



*A co to za
chochliki
namieszają?!*



Sprawa nr I

Namolna sytuacja

Wielu filozofów formułowało w przeszłości paradoksy.

Choć Eliza Żaczek nie uważała się za jednego z nich, ośmieliła się wymyślić swój własny – paradoks oczekiwania na nieuchronną przykrość. Być może i ten został już przez kogoś opisany, ale jeśli nie, to brzmiał na tyle mądrze, że zanotuje go przy pierwszej możliwej okazji. A może kiedyś przedstawi szerszej publice? Bo czy nie było tak, że czekając na nieprzyjemne, ale nieuniknione wydarzenie, jednocześnie chciało się je mieć jak najszybciej za sobą, a jednak wciąż marzyło się o tym, żeby go nie doświadczać w ogóle? Na przykład podczas siedzenia w poczekalni gabinetu stomatologicznego, do którego trafiło się z powodu chorego zęba (rzecz jasna), nie można się doczekać pomocy, a liczba pacjentów dzieląca od wybawienia od bólu z minuty na minutę coraz bardziej irytuje. Ale z drugiej strony – wizja borowania sprawia, że wcale nie ma się ochoty trafić na fotel dentystyczny.

Eliza również czekała, a raczej sterczała, przez ponad trzy godziny przed dziekanatem, w ogromnej kolejce przyszłych studentów składających dokumenty. Do sformułowania własnego paradoksu skłoniły ją dwie refleksje, które walczyły w jej głowie: zdenerwowanie na ślamazarnie przesuwającą się kolejkę i radość, że odsuwa się w czasie przykra perspektywa stanięcia twarzą w twarz z przerażającą panią z dziekanatu, o której już zdążyła usłyszeć tyle niestworzonych historii. Niestety fakt, że nie tylko ona stawia czoła mitycznej chimerze, stanowił marne pocieszenie.

Wszystko wskazywało na to, że studentem miał zostać każdy – oprócz Elizy. Nie miała pojęcia, jakim cudem nie znalazła się na liście zakwalifikowanych do przyjęcia, skoro uzyskała niezbędną liczbę punktów z matury i skoro dostały się osoby z gorszymi wynikami. Wymarzone studia dziennikarskie, które miały być na wyciągnięcie ręki, oddalały się w nieznanym kierunku, a przecież po miesiącach przygotowań powinna się na nie dostać bez trudu. Nie dopuszczała innej myśli, więc nigdzie indziej nie złożyła podania. Kiedy kolejni przyszli studenci zostawiali w dziekanacie swoje teczki z dokumentami i różnymi oświadczeniami, zadowoleni na myśl o rozpoczęciu kolejnego etapu w życiu, Eliza boleśnie uświadamiała sobie, że popełniła błąd i jeśli sprawa nie wyjaśni się na jej korzyść, to zostanie na lodzie.

Zadrzała na samą myśl. Nie może pozwolić sobie na rok w plecy, rodzice ją zamordują! A potem jeszcze poprawią, za kłamstwo – bo powiedziała im, że została przyjęta i jedzie do Wrocławia, by załatwić wszelkie formalności. Łudziła się, że brak jej nazwiska na liście to zwykła pomyłka, a niewinna bajeczka nigdy nie wyjdzie na jaw. Tak, to na pewno błąd systemu! Takie rzeczy się zdarzały. Poprosi o wyjaśnienie i jeszcze będą ją przeproszać!

– Rany! Ile jeszcze tego stania? – jęknęła stojąca za nią dziewczyna. – Gdyby przyjmowali według kolejności przyjęć, to już dawno bym załatwiła sprawę. Po coś chyba są te punkty, co? – zagadnęła Elizę.

– Uhm... Nie wiem... – odpowiedziała, wzruszając ramionami.

– Jestem na szczycie listy, a ty?

„Na szczycie listy? Och, jak cudownie! Wprost fantastycznie!”, pomyślała Eliza i od razu zganiła się w myślach za niepotrzebny sarkazm. Gdyby się dostała, szczebiotałaby razem z nową koleżanką.

– Nie jestem na szczycie, ale zdobyłam całkiem sporo punktów – przyznała, przecież zupełnie zgodnie z prawdą.

Dziewczyna wyraźnie straciła nią zainteresowanie, a Eliza odetchnęła z ulgą, że uniknęła konieczności tłumaczenia się ze swojej sytuacji. Sznur przyszlých studentów poruszał się w ślimaczym tempie, ale Eliza nie marnowała czasu i powtarzała w pamięci, co powie, gdy nadejdzie jej kolej. Drobne rozmiary i nieco dziecięce rysy twarzy z wejścia wzbudzą litość i chęć niesienia pomocy. Przecież wszystkie opowieści o wrednych paniach z dziekanatu są zwyczajnie wyolbrzymione, prawda? Jednak przez długie oczekiwanie coraz trudniej było jej się skupić, a im bliżej była drzwi, od których zależała jej dalsza przyszłość, tym bardziej robiła się nerwowa – paradoks działał, bojowy nastrój ulatywał. W końcu żołądek dał o sobie znać i Eliza złapała się za brzuch, czując nieprzyjemne skurcze. Zakręciło jej się w głowie, jakby za chwilę miała zemdleć. Musiała też zblednąć, bo jeden z przechodzących obok studentów, który zajmował się sprawami organizacyjnymi, uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał ze szczerym przejęciem w głosie. – Potrzebujesz pomocy?

Odgarnęła do tyłu klejące się do spoconego czoła rude kosmyki i zmusiła się do odwzajemnienia uśmiechu.

– Nie, dzięki. To tylko nerwy.

Speszona odwróciła wzrok i spojrzała na drugi koniec korytarza. Ostatkiem silnej woli powstrzymała się przed wydaniem zdumionego okrzyku, ale podejrzewała za to, że cała bladość zniknęła z jej twarzy. Zamrugowała jeszcze kilkakrotnie, ale nadal widziała zmierzającego w stronę dziekanatu dziwnego jegomościa. Prawdopodobnie jegomościa, bo przez beżowy trencz sięgający za kolana, twarz owiniętą białym szalem, założone przeciwsłoneczne okulary i kapelusz typu fedora nie sposób było określić, kto się krył pod tym przebraniem. Z czymś jej się to kojarzyło... Zupełnie jak...

– Niewidzialny człowiek! – rzuciła, gdy udało jej się połączyć kropki.

– Coś mówiłaś? – zainteresowała się stojąca za nią dziewczyna.

Eliza mieszała się lekko i wzruszyła ramionami.

– To taka postać z książki.

Dziewczyna spojrzała na nią z niezrozumieniem, więc dyskretnie wskazała palcem na przebranego mężczyznę.

– Ten zakryty od stóp do głów człowiek przypomina mi głównego bohatera... – urwała, widząc, że wywołała jeszcze większe zdumienie na twarzy przyszłej bądź niedoszłej koleżanki.

– Przecież nikogo takiego tam nie ma.

– No jak to?!

Eliza wychyliła się z linii kolejki i wyjrzała za mężczyznę, który powinien się zbliżyć już do dziekanatu, ale nigdzie go nie dostrzegła. Zupełnie jakby rozplynął się w powietrzu. Czyżby naprawdę był niewidzialny?! Rozglądała się na boki, czując na sobie oceniający wzrok dziewczyny. Przed zdobyciem etykiетки wariatki ocaliły ją otwierające się drzwi dziekanatu. Nadeszła jej kolej, więc pora była wziąć się w garść. Odetchnęła głęboko i przekroczyła próg. Ujrzała mityczne panie z dziekanatu, wszystkie z podobnie znudzonymi minami. Pewnym krokiem podeszła do masywnego, drewnianego pulpitu, na którym stała plakietka z nazwą jej wymarzonego kierunku. Za biurkiem siedziała niezwykle szczupła kobieta w średnim wieku, z burzą atramentowych loków i powiekami grubo pokrytymi srebrzystym cieniem. Kiedy podniosła ciemne, przenikliwe oczy, skojarzyła się Elizie z czarownicą rzucającą zły urok. To nie mogło się skończyć dobrze...

– Podanie, dowód wniesienia opłaty rekrutacyjnej – zarządziła kobieta bez zbędnego wstępu. – Kopia świadectwa maturalnego, kopia dowodu...

Elizę opuściła cała odwaga. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i zupełnie przestała słuchać tego, co się do niej mówiło. Dopiero donośne chrząknięcie wyrwało ją z letargu. Spojrzała na panią z dziekanatu przeproszająco i spróbowała nadrobić swoje nierozgarnięcie nieśmiałym uśmiechem. W odpowiedzi została porażona wrogim, palącym spojrzeniem.

– Czy pani mnie słucha?!

– Tak właściwie, to ja się nie dostałam... – powiedziała cicho Eliza i zrobiła zasmuconą minę. – I myślałam, że może... Że byłaby taka możliwość sprawdzić, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Zdobyłam wymaganą liczbę punktów i uzna...

Kobieta przerwała jej w połowie.

– Imię i nazwisko.

To nie było pytanie, to była komenda. Bez wątpienia lata doświadczenia uodporniły ją na zgrywanie sierotki Marysi.

– E-e-Eliza. Żaczek, Eliza.

Pracownica dziekanatu postukała szybko w klawiaturę. Można było odnieść wrażenie, że kpi sobie z dziewczyny i parodiuje stereotypowe sekretarki z seriali.

Coś jednak musiała przeglądać, bo po chwili cmoknęła krwiście czerwonymi ustami i obdarzyła petentkę promiennym uśmiechem. W sercu Elizy odżyła nadzieja.

– Tak, tak. Wszystko się zgadza. Nie może być mowy o żadnej pomyłce. Przykro mi – dodała, ale dziewczyna miała podstaw, by jej wierzyć. – Nie ma pani w bazie.

– A-ale jak to nie? – Eliza zrobiła dwa kroki do tyłu. Słowa huczały jej w głowie. Nie ma jej w bazie? Przecież to niemożliwe! – Wszystko pozłatwiałam! Rejestracja, opłata rekrutacyjna...

Kobieta wzniosła oczy ku sufitowi.

– Ma pani dowód wpłaty?

– Tak! Zaraz!

Eliza skinęła energicznie i wyciągnęła z torebki telefon. Zalogowała się na swoje konto bankowe i sprawdziła ostatnio wykonane transakcje. Przesuwała palcem po ekranie w górę i w dół, a początkowa pewność zniknęła, zastąpiona rosnącą paniką. Nigdzie nie mogła znaleźć przelewu dla uczelni. Nie, to się nie działo naprawdę! Otworzyła następne okienko w przeglądarce, weszła na stronę rekrutacji i spróbowała zalogować się na swój profil, ale za każdym razem wyskakiwał błąd. Niemożliwe! Wszystko zrobiła dobrze! Ostatnio bez problemu się udało. Nie ma jej w bazie?! Pozostawało jeszcze jedno miejsce, w którym mogła znaleźć dowód na to, że niczego sobie nie uroiła – skrzynka mailowa. Uruchomiła aplikację, przejrzała dokładnie wiadomości, ale nie znalazła żadnych maili związanych z rekrutacją. Była pewna, że ich nie usuwała, ale na wszelki wypadek zerknęła do kosza i folderu ze spamem. Pusto. To chyba jej się śniło! Przelogowała się na stary adres, ale również niczego nie znalazła. Może tylko jej się zdawało, że się rejestruje? Ten cały stres związany z maturą musiał namieszać jej w głowie... Nie! Na pewno rejestrowała się na studia! A może jednak nie?

– To ja mam za panią wiedzieć?

Uszczypliwe pytanie otrzeźwiło Elizę. Najwyraźniej nieświadomie cały czas mamrotała pod nosem, a pracownica dziekanatu wszystko słyszała. Och, co za wstyd! Ale nie mogła się tak po prostu poddać! Ponownie obdarzyła kobietę jak najpokorniejszym spojrzeniem, ale ona oparła brodę na lewej dłoni, a długimi paznokciami prawej wystukiwała coraz szybszy rytm i patrzyła na Elizę, jakby zastanawiała się, dlaczego jeszcze tutaj stoi, zamiast dać spokój i sobie pójść.

– W takim razie jakie są szanse na dodatkową rekrutację? – zapytała Eliza, przybierając błagalny ton.

– Ha! – Kobieta prychnęła. – Proszę pani, nie sądę, żebyśmy ją uruchomili. W tym roku zakwalifikowaliśmy dużo więcej studentów niż w poprzednich latach – wyrzucała z siebie z prędkością karabinu maszynowego. – Nawet jeżeli

kilka osób zrezygnuje, to i tak tych, co zostanie, będzie wystarczająco dużo. Za dużo! – Przy ostatnich dwóch słowach skrzywiła się w taki sposób, że ciarki przebiegły Elizie po plecach. – No i przecież zostają listy rezerwowe. Z listy rezerwowej mogłaby się pani dostać, ale to trzeba się najpierw umieć zarejestrować. Czy aż tak trudno podążyć za instrukcją na stronie? Nie sądzę. Wam, młodym, to teraz wszystko na tacy trzeba podawać! Za grosz ambicji!

Eliza nie odpowiedziała. Przeszła z nogi na nogę, niby wciąż niezdecydowana, czy zostać i walczyć dalej, czy jednak uciec. Ale co jeszcze mogłaby zrobić lub powiedzieć, żeby nie odejść z kwitkiem? Zamrugła, czując, jak pod powiekami zbierają jej się łzy. Jeszcze chwila, a na pewno rozryczy się niczym małe dziecko, robiące z siebie widowisko w hipermarkecie pełnym ludzi, bo rodzice nie chcieli kupić mu zabawki.

– Ech! – westchnęła z politowaniem kobieta. – Proszę pani, zawsze może się pani zapisać na studia niestacjonarne, a po roku, przy dobrej średniej, złożyć wniosek o przeniesienie na studia dzienne.

Eliza uniosła głowę. Czyżby jej tragiczna sytuacja skruszyła lodowe serce czarownicy?

– Tak! Nie pomyślałam o tym. A ile w takim razie kosztują studia zaoczne?

Zacisnęła kurczowo palce. Obawiała się, że odpowiedź może przerosnąć jej skromne fundusze, ale gdy kobieta podała kwotę, niemal upadła z wrażenia na kolana.

– Płatne z góry – dodała przesłodzonym głosem pani z dziekanatu.

– Aha... Mhm... Tak. Jest to pewna opcja do przemyślenia... – Eliza z całych sił starała się opanować wyraz twarzy. Nie da satysfakcji tej okropnej kobiecie. – Dzi-dziękuję za pomoc.

Odwróciła się i odeszła od stanowiska. Za sobą usłyszała ledwo stłumione parsknięcie śmiechu. Niekoniecznie śmiano się akurat z niej... Prawda? Drżącymi dłońmi ledwo poradziła sobie z otwarciem drzwi i gdy tylko znalazła się poza dziekanatem, pozwoliła sobie odetchnąć.

– Tak szybko? – zagadnęła dziewczyna, która stała za nią w kolejce. – Już złożyłaś dokumenty?

Eliza wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk, wymusiła uśmiech i pospiesznie opuściła budynek.

Żar lał się z nieba. Eliza spoglądała na swoją niedoszłą uczelnię, siedząc na jednej z ławek ustawionych na bulwarze wzdłuż brzegu Odry. Nerwowo przesuwiała butami po żwirowej nawierzchni. Odgarnęła klejące się do czoła

włosy, czując, że za chwilę cała się roztopi. Młode, patykowate drzewa posadzone dookoła zapewniały jedynie nędzną namiastkę cienia. Zasłużyła sobie na taką karę! Powinna się smażyć za swoją głupotę! Jęknęła i złapała się za głowę. Co tu teraz zrobić? Nie miała zbyt dużego wyboru. Żadna dobra myśl nie przychodziła do głowy. Telefon zawibrował i Eliza zerknęła na dymek czatu. Ala. No tak... Mogła się spodziewać, że się odezwie. Bez trudu dostała się do łódzkiej filmówki i niemal codziennie dopytywała się o sytuację przyjaciółki. Wyczuwalna we wiadomości troska ugodziła Elizę w brzuch. Z żalem odpisała krótko, czego się dowiedziała w dziekanacie, i w odpowiedzi natychmiast otrzymała gif z tulącymi się misiami. Nacisnęła reakcję z serduszkami, choć jej własne właśnie pękało na kawałki. Ech! Rodzicom też trzeba będzie powiedzieć prawdę... Przymknęła oczy, odchyliła do tyłu głowę. Nie, musiało istnieć inne rozwiązanie! Inne niż wrócić do domu, by przyznać się do porażki. Tylko jak zdobyć w krótkim czasie tak ogromną kwotę? Nie łudziła się, że znajdzie pracę, w której ktoś zapłaci jej za kilka miesięcy z góry, by wystarczyło na opłatę za studia. Nie mogła oczywiście prosić rodziców o pomoc, skoro zapewniła ich, że będzie studiować dziennie. Zgodzili się pokryć koszty wynajęcia mieszkania, ale gdyby wykorzystwała te oszczędności, musiałaby chyba zamieszkać pod mostem. Dobrze, że we Wrocławiu było ich pełno, będzie miała w czym wybierać!

Zapatrzyła się w płynący po rzece mały statek pełen turystów. Ha! Nie pozostało jej nic innego, jak zostać piratką! Co prawda łupienie ludzi na rzece nie było moralne i praktyczne, ale czy nie mówiło się, że cel uświęca środki? Eliza oparła łokcie na kolanach i położyła brodę na splecionych dłoniach. Dopiero wyraźny, rytmiczny odgłos obcasów stukających na kostce brukowej zwrócił jej uwagę. Podniosła leniwie wzrok, szukając źródła dźwięku.

– O ja cię! – wymsknęło jej się, gdy zauważyła przechodzącego w pobliżu tajemniczego mężczyznę, którego widziała w kolejce do dziekanatu.

Obróciła się na ławce i dyskretnie obserwowała go spod rzęs. Szczęśliwie nie usłyszał jej okrzyku, a przynajmniej nie dał po sobie niczego poznać. Najwyraźniej jego myśli zajmowały inne, być może podejrzone sprawy. Skradał się, a raczej próbował to robić, co wyglądało dość komicznie. Eliza musiała przygryźć wargę, by nie zachichotać. O ile na chłodnym korytarzu uczelni nie zwróciła uwagi na absurdalność jego stroju, o tyle w pełnym słońcu długi płaszcz, ciemnobrązowe spodnie wyglądające na uszyte z grubego materiału, skórzane półbuty i pasujące do nich rękawiczki nie mogły nie dziwić. Usta nadal skrywał szal, oczy okulary, a kapelusz jeszcze mocniej nasunięty na czoło skrywał w cieniu już i tak zamaskowane oblicze. Normalnie wariat! Eliza pokręciła z niedowierzaniem głową. Co go skłoniło do takiego ubioru? Pozerstwo, obłąd, choroba zakaźna? Wypuściła głośno powietrze nosem. Mimo

że miała na sobie przewiewną sukienkę w kwiaty, zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco i w pewnym sensie niekomfortowo, ale nie mogła oderwać od niego wzroku. Przemykał od drzewa do drzewa, nieudolnie chowając się za niezbyt grubymi pniami albo przyklejał się plecami do stalowej barierki, odgradzającej bulwar od rzeki, i przemieszczał się wzdłuż niej. Przypominał tajniaka z kiepskiego filmu detektywistycznego.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła. Wypatrywała ludzi pokazujących sobie palcem mężczyznę, śmiejących się otwarcie lub skrycie albo chociaż zdumionych min. Nie dostrzegła niczego takiego. Wszystko wskazywało na to, że nikt ze spacerujących w pobliżu ludzi nie zwracał na niedosłego szpiega najmniejszej uwagi. Zupełnie jakby go nie... Niemożliwe! Czyżby tylko ona go widziała? Przecież to absurd! Dotknęła skroni. A może udar?! Wyciągnęła z torebki butelkę i upiła łyk ciepłej, niezbyt smacznej już wody. To wystarczyło, by poczuła się odrobinę orzeźwiona, ale tajniak jak się skradał, tak się skradał. Kiedy całkowicie zniknął z pola widzenia, coś ją tknęło i zerwała się z ławki. Za tym musiała się kryć jakaś historia, drugie dno! Wystarczyło zdać się na intuicję! Jeśli pójdzie za nim, na pewno dowie się czegoś ciekawego, zdobędzie świetny materiał. Może dobrym artykułem udałoby się przekonać dziekana, żeby podarował jej szansę na studiach dziennych albo chociaż pozwolił na zapłatę za zaoczne w ratach?

Mężczyzna, pomimo pokracznego chodu, był naprawdę szybki, więc Elizie udało się go dogonić dopiero przy moście Pokoju prowadzącym na drugą stronę rzeki. „Tajniak” postawił kołnierz, jakby dotychczasowe okrycie mu nie wystarczało i ku rozczarowaniu dziewczyny wszedł na most. Pozbawił ją tym możliwości, aby dalej się za nim skradała. Przystanęła, wyciągnęła telefon i udawała, że chce zrobić zdjęcie panoramie Ostrowa Tumskiego, ale skierowała aparat tak, by złapać w kadrze dziwnego mężczyznę. Nacisnęła przycisk, a potem powiększyła zrobione zdjęcie. Zmięła w ustach przekleństwo. Nie udało się go uchwycić. Spróbowała raz jeszcze. Nic z tego. Musiała poruszyć ręką, bo obraz się rozmazał. Nie było czasu na kolejne zdjęcie. Tajemniczy mężczyzna pokonał niemal całą trasę. Ruszyła za nim dosyć szybkim tempem. Nie powinna wyglądać podejrzanie, ale dla pewności kręciła głową na wszystkie strony, jak turystka podziwiająca piękne widoki.

Skróciła dzielący ich dystans. „Tajniak” wyraźnie zmierzał w stronę ogromnego, nieco ponurego budynku o elewacji z szarego kamienia. Zatrzymała się, żeby zawiązać nieistniejące sznurówki w sandałach, a gdy wszedł do środka, odczekała chwilę i również wspięła się po schodach prowadzących do drzwi wejściowych. Nad nimi widniał napis „Biblioteka Uniwersytecka”. Zatrzymała się na ułamek sekundy, gdy poczuła ukłucie żalu. Ciekawe, ilu cudownych książek nie będzie mogła stąd wypożyczyć...

Wewnątrz zaskoczyła ją kompletna pustka. Nikt nie siedział w recepcji, nikt nie kręcił się po obszernym holu. Panujący tu chłód i cisza wywołały na jej skórze gęsią skórkę. Zadrżała i roztała ramiona. Pomyślała, że przydałby jej się teraz trencz. Zaśmiała się w duchu z własnego żartu, ale rozbawienie szybko zniknęło. Przed oczami przelatywały jej wszystkie potworne sceny z horrorów, w których młoda, naiwna dziewczyna wchodzi sama tam, gdzie nie powinna. Wzdrygnęła się. Niemal słyszała narastającą, budzącą grozę muzykę. Zwalczyła chęć, by pacnąć się w czoło. Przecież trwały wakacje i prawdopodobnie w bibliotece zarządzono przerwę, nic niezwykłego! Nie powinna się tu kręcić. Chęć, by rozejrzeć się w budynku, przegrywała z rozsądkiem. Koniec wygłupów! Ktoś ją tu zaraz znajdzie i oskarży o wtargnięcie bez zgody. Wycofała się do wyjścia, ale nagle ciszę przerwał huk.

Podskoczyła w miejscu i przyłożyła ręce do piersi. Serce waliło, jakby chciało się wyrwać z klatki piersiowej i uciekać na własną rękę, skoro jego właścicielka nadal stała osłupiała. Eliza drgnęła, gdy ponownie usłyszała podejrzane, głośnie dźwięki. Uniosła głowę zawiedziona, że nie może przebić się spojrzeniem przez sufit. Czyżby ktoś nad nią dewastował metalowe przedmioty? Zacisnęła dłoń na telefonie. Dobry dziennikarz nie zostawiał śledztwa w połowie. Wystarczy, że dyskretnie zorientuje się w sytuacji i zrobi zdjęcie. Jedno w zupełności wystarczy.

Pobiegła schodami na piętro, skąd, jak przypuszczała, dochodziły hałasy. Na górze znalazła otwarte wejście do przestronnej czytelnicy. Wypełniały ją dziesiątki metalowych regałów uginających się od książek. Na wprost zauważyła ścianę z rzędem okien, pod którymi ustawiono gęsto stoliki. Każdy z nich miał na blacie niewielką lampkę do czytania. Natychmiast wyobraziła sobie, jak godzinami ślęczy tu ze stosem potężnych tomiszczy i wczytuje się w kolejne, ciekawe pozycje. Upomniała się w myślach za bujanie w obłokach i rozejrzała uważnie, ale nie zauważyła niczego niezwykłego. Po prawej stronie dostrzegła pulpit podobny do tego na parterze w recepcji, ale za nim również nikt nie siedział. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie i niewinnie...

Z prawej strony wychwyciła skrzypienie. Odwróciła głowę. W ostatniej chwili zdążyła odskoczyć na bok, gdy jeden z regałów sam z siebie runął na ziemię. Złapała kilka gwałtownych oddechów i ostrożnie wychyliła głowę zza szerokiej kolumny, za którą się schowała. Dopiero teraz mogła zauważyć, że w głębi pomieszczenia znajdowało się jeszcze więcej przewróconych regałów, a pomiędzy nimi przeskakiwali dwaj mężczyźni.

Jeżeli pierwszy, ochrzczony przez nią mianem Tajniaka, roztaczał wokół siebie aurę tajemniczości, to drugi niczego nie ukrywał. Pod przesadnie dopasowaną koszulką wyraźnie rysowały się wyrzeźbione mięśnie, zdecydowanie

przewyższał też mężczyznę w płaszczu wzrostem. Nie chował twarzy pod żadnym szalem, więc Eliza dostrzegła kilkudniowy zarost na mocno zarysowanej szczęce, długi prosty nos i gęste, ciemne brwi, które na zmianę to marszczył, to unosił. Mężczyźni przesuwali się od regału do regału i zawzięcie opryskiwali każdą półkę jakimś aerozolem.

Poirytowana Eliza omal nie westchnęła na głos. To musiał być głupi dowcip z gazem pieprzowym! Schowała się ponownie za kolumnę. Planowała zrobić tylko jedno małe zdjęcie, żeby mieć dowód na swoje opowieści, bo wiedziała, że powinna kogoś powiadomić o tym, co działo się w bibliotece. Sięgnęła do zapięcia torebki, ale zamarła w połowie ruchu, gdy coś zaszeleściło przy jej uchu. Obejrzała się i oniemiała. Zmrużyła oczy, przetarła je, ale nadal widziała, jak z niektórych książek wychodzą włochate stworzenia przypominające kolorem i wielkością kolczaste owoce kasztanowca. Cofnęła się na tyle, na ile mogła, tak że uderzyła plecami o stojący za nią regał. Zadrżała, gdy skóra ramion zetknęła się z zimnym metalem.

„Spokojnie”, próbowała opanować emocje Eliza. „Przecież to jasne, panowie najwyraźniej zostali wysłani do dezynfekcji biblioteki, co tłumaczyłoby opustoszały budynek, dość nietypowy strój roboczy i wykonywany przez nich oprysk”. Może to wyjaśnienie było naciągane, nigdy wcześniej nie widziała takiego stroju czy rodzaju szkodników, ale co innego mogło się dziać? Zrezygnowała ze zdjęcia. Ważniejsze stało się bezpieczne opuszczenie biblioteki. W końcu wdychanie oparów mogło jej zaszkodzić, a dziwne robale mogły stanowić zagrożenie, prawda? Na drugą z zagwozdek niemalże natychmiast otrzymała odpowiedź.

Cicho pisnęła, gdy coś ukuło ją w szyję. Odruchowo sięgnęła do bolącego miejsca i wzdrygnęła się, gdy natrafiła na coś włochatego. Złapała i pociągnęła, ale to coś mocno wczepiło się w skórę. Zagryzła zęby i ignorując napływające do oczu łzy, z całych sił szarpnęła. Oderwana kulka okazała się jednym z tych dziwnych stworzeń wyłazających z książek. Przyjrzała mu się bliżej i wykrzywiła z obrzydzeniem usta. Pomimo tego, że miało dwie pary skrzydeł i długie czułki, nie przypominało typowego insekta. Było zbyt duże i wyglądało na skrzyżowanie nietoperza z trzmielcem. Obdarzyło Elizę bardzo inteligentnym, ale nienawistnym spojrzeniem. „Co za paskudztwo! To nie może być prawdziwe!”, pomyślała Eliza z obrzydzeniem. Zacisnęła powieki jak najmocniej, ale gdy znów zerknęła na ściśniętą dłoń, stworzenie wyszczerzyło się do niej jakby w uśmiechu, pokazując małe i ostre jak szpilki zęby. Zwariowała, na bank zwariowała! Na pewno nawdychała się szkodliwej substancji i miała teraz zwidy! Stworek, jakby czytał jej w myślach, postanowił udowodnić prawdziwość swojej egzystencji i ugryzł ją w palec. Eliza powstrzymała krzyk, odruchowo otworzyła

dłoń i pozwoliła mu uciec. Odrzucił na najbliższą półkę i schował się w jednej z książek. *Wrocław – miasto spotkań...* Najwyraźniej też z dziwactwami!

Dziewczyna otrząsnęła się i uznała, że nie ma co się wydurniać, czas stąd spadać! W grę wchodziła już nie tylko obawa o utratę zmysłów, lecz także zdrowia, a może nawet życia – w końcu nie wiadomo, co te dziwne stworzenia mogły jeszcze zrobić. Zostawiła za sobą stworki i powoli wycofywała się w stronę wyjścia z czytelnicy.

– Co za diabelstwo! Całe szczęście, że nie dobrały się do cenniejszych dzieł! – Usłyszała niski głos dobiegający z całkiem bliska.

Przykucnęła i zdążyła skulić się za okazałych rozmiarów maszyną ksero, nim wyższy z mężczyzn zdołał ją dostrzec. Zatrzymał się przy regałach, przed którymi chwilę temu jeszcze stała. Utkwiła spojrzenie w modnie wystrzyżonym tyle jego głowy, ale gdy się odwrócił, szybko uciekła wzrokiem i jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt za urządzeniem.

– A i owszem. Przybyliśmy w samą porę. Ossolineum nienaruszone. Chyba tylko tu się załęgły – odpowiedział mu zamaskowany i stanął z drugiej strony ksero, odcinając Elizie drogę ucieczki.

Nie mogła teraz po prostu podnieść się i przyznać, że przez cały czas obserwowała ich z ukrycia. Dyskretnie wyjrzała zza urządzenia. Mężczyźni wciąż kręcili się w pobliżu. Jeszcze chwila i na pewno odkryliby jej kryjówkę, gdyby nie chmara tych przeklętych stworzeń, które jak na komendę wyfrunęły z książek. Buczały, krążąc nad regałami, a ich ogromna liczba sprawiła, że w pomieszczeniu natychmiast zrobiło się ciemno i głośno.

– Co za dziadostwo! Czemu to nie działa?! – rzucił mięśniak.

Eliza również chciałaby to wiedzieć. Obserwowała, jak zirytowany potrząsa puszką i stuka nią kilka razy o szafkę, omal jej przez to nie wyginając.

– To jakiś syf, a nie mikstura!

– Och, opanowałbyś się. Trzeba chwilę odczekać. Cierpliwość to cnota, pamiętaj. Jaga mówiła, że efekt nie pojawi się od razu – odpowiedział spokojnie mężczyzna w płaszczu, poprawił szal na twarzy i powrócił do energicznego opryskiwania czytelnicy, co chyba jeszcze bardziej rozsierdziło stworzenia.

Zgraja rozdzieliła się na mniejsze gromady, które sprawnie demolowały bibliotekę. Przewracały regały, darły na strzępy kolejne książki, jakimś cudem rzucały opasłymi tomiszczami – jeden z nich trafił Elizę w ramię i musiała przygryźć dolną wargę, żeby nie krzyknąć z bólu. Dwie z grup połączyły się w większą i dopadły ksero. Próbowwały je podnieść i najpewniej w coś nim rzucić. Eliza nie mogła pozwolić, by odebrały jej schronienie. Złapała za wystającą półkę na papier i trzymała z całych sił. W odwecie część stworów wczepiła się w jej kok. Szarpały okrutnie za włosy, niszcząc misternie ułożoną fryzurę.

Dziewczyna traciła siły, a jej dłonie pociły się coraz bardziej, jednak nie poddawała się. Zaparła się nogami, chociaż czuła, że jeszcze chwila i urządzenie wyslizgnie jej się z palców. Na szczęście dziwny specyfik musiał wreszcie zadziałać – destrukcyjny zapal chmary stworzeń stopniowo słabł. W ostatnim przyptywie energii istoty znów połączyły się w jedną masę i rzuciły w stronę mężczyzn. Obaj uchylali się i wymachiwali rękoma, próbując odgonić latających napastników. Ci w końcu zamarli i opadli nieprzytomni, uderzając w podłogę i przykrywając ją swoimi ciałkami.

Eliza odetchnęła z ulgą, przytulona do ocalonego ksera. Starła się nie patrzeć na ten przykry widok. Pobieźnie sprawdziła swój stan po tej nieoczekiwanej potyczce. Wyglądało na to, że oprócz kilku śladów po ugryzieniach oraz poszarpanego ubrania i włosów nie stało jej się nic poważniejszego. Oby tylko nie okazało się, że kreatury były radioaktywne i od jutra zaczną łązić po ścianach... Wzdrygnęła się, odpędzając bzdurne myśli i wyjrzała zza urządzenia.

Jeden z tajemniczych mężczyzn wyciągnął skądś miotłę i zamiatał stworki tak, aby utworzyć z nich kilka okazałych stosów, które drugi pakował do ogromnych worków niczym opadnięte na jesień liście. Eliza nie wierzyła własnym oczom. Może rzeczywiście za długo siedziała na ławce w pełnym słońcu? Żadne, bardziej logiczne wyjaśnienie nie wchodziło w grę. Wszystko, czego przed chwilą była świadkiem, wydało jej się tak niedorzeczne, że mało brakowało, a wybuchnęłyby obłąkańczym śmiechem i zdradziła swoją obecność. Zamiast tego wyjęła telefon i dyskretnie zrobiła kilka zdjęć. Szybko pożałowała, że nie wzięła ze sobą lepszego aparatu. Powiększała kolejno zrobione fotografie, ale nie wyszły najlepiej. Stworzonka wyglądały na nich jak bezkształtna, brązowa masa, a owinięty szalem mężczyzna zdawał się nie mieć twarzy, zupełnie jakby była transparentna. Obwiniła za to słabe światło, ale cichy głosik w głowie sugerował, że kryło się za tym coś więcej. Nacisnęła dymek czatu z Alicją, ale zawahała się. Chyba nie powinna nikomu tego udostępniać. Przynajmniej dopóki nie dowie się czegoś więcej.

Mężczyźni dość szybko uwinęli się z pracą. Zarzucili sobie pełne worki na plecy i zeszli schodami na parter. Eliza odczekała kilka sekund, po czym podniosła się z podłogi i rozejrzała dookoła. Czytelnię pozostawiono w opłakanym stanie. Jeśli działania mężczyzn miały chronić najcenniejsze zbiory przed zniszczeniem, to pozwolili na spore straty, by to osiągnąć. Dziewczyna omal nie poślizgnęła się na fragmencie rozerwanej książki. Podniosła ją i zobaczyła, że zaczynała się od strony sto trzydziestej siódmej, pełnej niewielkich dziurek, które odpowiadałyby rozmiarami zębom stworków. Odłożyła książkę na jeden ze stolików i jeszcze raz omiotła wzrokiem czytelnię. Zostawią taki bałagan? Co się stanie z tymi podartymi egzemplarzami? A co się

stanie z nią, jeśli ktoś ją tu teraz znajdzie?! Bez dwóch zdań powiąże ją ze zniszczeniami!

Prędko pobiegła na dół. Po wyjściu z budynku od razu spostrzegła nietypową dwójkę mężczyzn. Wyglądali wyjątkowo podejrzanie, ciągnąc za sobą ogromne, wypchane worki, i powinni się rzucać w oczy, tymczasem nikt nie zwracał na nich uwagi, chociaż kilka osób kręciło się w pobliżu bulwaru. Co tu się wyprawiało?! Eliza czuła, że musi się dowiedzieć, czego właśnie była świadkinia. Taka historia nie mogła jej przejść koło nosa! Skradała się za mężczyznami, zachowując bezpieczną odległość – miała ich ciągle na oku, a jednocześnie sama starała się pozostać niezauważoną. Dopiero gdy znaleźli się na parkingu za biblioteką odważyła się podejść bliżej i schować za jednym z samochodów, by móc podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Te pieprzone mole podarły mi jeansy – narzekał osiłek.

Zmarszczyła czoło. Czy to miało być takie dowcipne określenie na te potworki? Dlatego że znaleźli je w książkach? Pokręciła głową.

– Nonsens. Przecież były już wcześniej podarte – odparł jego kolega. Eliza dopiero teraz wychwyciła, że mówił w sposób wyniosły, przesadnie przeciągając sylaby.

– Tak, ale były podarte specjalnie. Modnie podarte, a nie rozpierdzielone!

W odpowiedzi zamaskowany mężczyzna tylko westchnął, ale tak donośnie, że nawet dziewczyna go usłyszała. Mogłaby się założyć, że przewrócił przy tym teatralnie oczami, ale z tej odległości nie widziała dobrze jego twarzy.

Mężczyźni zatrzymali się na środku placu. Pierwsze, o czym pomyślała Eliza, to że rozglądają się za zaparkowanym samochodem, a gdy go znajdą i odjadą, nie będzie mieć możliwości dalszego prowadzenia śledztwa. Jednak oni wciąż stali w miejscu i wpatrywali się uparcie w jeden punkt. Wychyliła się zza auta i również spojrzała w tamtą stronę. Odchyliła do tyłu głowę i przetała oczy. Przed mężczyznami znajdowały się duże, zdobione drzwi. Pojawiły się zupełnie znikąd i z tej perspektywy wydawały się wisieć w powietrzu, ignorując grawitację. Eliza zamrugała kilkukrotnie, ale wciąż wyraźnie widziała je na drugim końcu parkingu.

Tajniak i jego kolega unieśli się w powietrzu i zniknęli. To wystarczyło, by Eliza uznała, że wszystko, co ujrzała, było tylko wytworem jej wyobraźni, ale wtedy spostrzegła ledwo widoczne, przezroczyste schody, po których musieli wejść do środka... No właśnie, czego? Dziewczyna skupiła całą swoją uwagę na schodach i stopniowo widziała ich zarys coraz wyraźniej. Za nimi powoli wyłaniał się z mgły (albo raczej materializował z niebytu) cały gmach. Nie tracąc czasu, rzuciła się pędem w stronę drzwi. Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniej widziała rzędy obramowanych okien, jasne gzymsy i bogatą w kamienne

zdobienia fasadę. Kiedy znalazła się w miejscu, gdzie wcześniej stali mężczyźni, budynek ukazał jej się w pełnej krasie. Przypominałby jedną z zabytkowych kamieniczek, które widziała na wrocławskim rynku, gdyby nie dziwny, migotliwy blask, barwiący ściany na fioletowo i sprawiający, że Elizie unosiły się włoski na ramionach, jak naelektryzowane zagadkową mocą.

Dziewczyna wzięła głęboki wdech i odważyła się postawić stopę na pierwszym schodku. Stopa nie zapadła się w iluzji – czuła stabilne podparcie, więc drugą nogę też oderwała od ziemi. Nic się nie stało – nie przeleciała przez stopnie na wylot, nie przewróciła się, po prostu stała kilkanaście centymetrów nad ziemią na niewidocznych dla innych schodach. Normalka. Przed zrobieniem kolejnego kroku spojrzała w górę. Portal zdobiły dwie kolumny, umieszczone po lewej i prawej stronie wejścia. Podtrzymywały dziwną płaskorzeźbę przedstawiającą zagniewaną kobietę, która skojarzyła się Elizie z Meduzą. Przyglądała się jej twarzy przez chwilę, bo miała wrażenie, że Meduza porusza oczami i obserwuje właśnie ją... Eliza wzdrygnęła się i uniosła wzrok. Nad płaskorzeźbą wykuto w kamieniu napis: Polski Instytut Przypadków Absurdalnych. Nigdy nie słyszała o takiej jednostce, ale uśmiechnęła się – nazwa pasowała idealnie. To wszystko było po prostu jedną wielką niedorzecznością!

Wiedziona ciekawością, podeszła do drzwi, zapominając na chwilę, że – technicznie rzecz biorąc – unosi się nad ziemią, a tajemnicze instytuty zazwyczaj nie wyrastają jak spod ziemi na środku wrocławskich parkingów. Drzwi nie miały klamki, więc z całych sił pchnęła jedno skrzydło, ale nie ustąpiło. Dopiero wtedy Eliza zauważyła bogato zdobioną kołatkę, wyglądającą jak głowa jakiegoś stwora. Musiała stanąć na palcach, żeby jej dosięgnąć. Wahała się przez chwilę, ale ciekawość i żyłka miłośniczki przygody zwyciężyły – zastukała kilka razy.

Nic się nie wydarzyło. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie tego! Ze złości uderzyła tak mocno w drewno, że aż zabolą ją ręka. Odwróciła się zawiedziona, kiedy nagle usłyszała za sobą ciche skrzypienie. Znów zwróciła się w stronę drzwi. Były otwarte! Tylko nikt za nimi nie stał... Cofnęła się gwałtownie i niewiele brakowało, by jej lewa stopa ześlizgnęła się ze stopnia. „To na pewno nawiedzony dom!”, pomyślała Eliza i przygryzła wargę, rozglądając się nerwowo na boki. Wiedziała, że powinna uciekać, ale musiała zaspokoić ciekawość. Wzięła głęboki oddech, przekroczyła próg i zamarła.

Trafiła do zupełnie zwyczajnego holu. Zbyt zwyczajnego. Podejrzanie wręcz zwyczajnego. Budynek pojawił się znikąd, następnie weszli do niego tajemniczy mężczyźni, którzy wcześniej stoczyli walkę z chmarą nieokiełzanych stworzonek, więc każdy szykowałby się na kolejne niesamowitości czekające w środku, tymczasem wewnątrz Instytutu przypominało typowy polski urząd, jakich mnóstwo ulokowano w starych, często zabytkowych gmachach. Dużą,

jasną przestrzeń skromnie zaaranżowano ciężkim drewnianym wyposażeniem, jak potężna i wyglądająca na niewygodną ławka dla oczekujących patentów czy spory stół ustawiony w rogu pomieszczenia, na którym rozłożono sterty różnokolorowych broszur. W powietrzu wyczuwało się delikatny aromat kawy mieszający się z chemicznym zapachem środka do mycia podłóg. Na pozór wszystko wydawało się zupełnie normalne.

Eliza zmarszczyła brwi. Nie potrafiła określić, co dokładnie budziło jej czujność. Może to, że nie widziała żadnych interesantów czy pracowników kręcących się w pobliżu, żadnej urzędniczki postukującej obcasami? W holu panowała wręcz nienaturalna cisza, a dudniące, rozchodzące się echo, które wywoływała kolejnymi krokami, sprawiło, że czuła się jak niezgrabny intruz. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że za każdym razem, gdy stawia stopę, trzęsie się cały budynek. Ciekawe, że jeszcze nikt nie przyszedł jej stąd pogonić.

Na jednej ze ścian, którą tak jak pozostałe pokrywała olejna lamperia w kolorze brudnej żółci, zauważyła tablicę informacyjną. Wyglądała zupełnie pospolicie – godziny pracy Instytutu, przeznaczenie kolejnych pomieszczeń, kilka ogłoszeń. Eliza podeszła bliżej i wytrzeszczyła oczy, gdy dokładniej wczytała się w treść komunikatów. Poza zupełnie niewinnie brzmiącymi określeniami, jak Sekretariat, Gabinet Dyrektora czy Archiwum, na schemacie widniały absurdalnie nazwane działy. Uciążliwe Uroki? Frapująca Flora, Kłopotliwe Kreatury, Magiczne Miejsca? Zaskakujące Zjawiska, Osobliwe Obiekty i Dziwne Dokumenty?! Zmrużyła oczy, ale słowa nie dawały się inaczej odczytać. Oczywiście mógł to być tylko przesadnie kreatywny pomysł znudzonego urzędnika... Ale coś mówiło Elizie, że pod płaszczykiem urzędowej normalności działo się tu jednak coś dziwnego.

Sekretariat zdawał się najlepszym miejscem do zasięgnięcia informacji. Według tablicy informacyjnej znajdował się na pierwszym piętrze, w pokoju 101. Eliza wyciągnęła telefon, ale nie udało jej się zrobić zdjęcia – za każdym razem, gdy klikała na ikonkę aparatu, urządzenie wyłączało się. Westchnęła zrezygnowana i podeszła do wahadłowych drzwi, które oddzielały hol od klatki schodowej. Pchnęła jedno ze skrzydeł i stanęła u dołu schodów. Nie prezentowały się zachęcająco. Stopnie wyglądały na wąskie i wysokie, a wiekowe drewno, z którego zostały wykonane, gwarantowało skrzypienie w trakcie wspinaczki. Eliza przekonała się o tym ledwie chwilę później. Wszystko trzeszczało, a balustrada, której się przytrzymała, okazała się lekko obluźwana. Nie mogła pozbyć się myśli, że cała konstrukcja zaraz się rozleci, a ona spadnie w przepaść.

Przystanęła na chwilę na półpiętrze, gdzie jej uwagę przykuło kamienne popiersie cudaczego mężczyzny. Obląkanym wzrokiem spoglądał na nią

Sobierad Bezumny, który – jeśli wierzyć tabliczce – ufundował Instytut w 1307 roku. Rzeźbiarz misternie wykuł rozczochrane, sterczące w różne strony włosy, wybałuszone, lekko zezujące oczy i rozwarłe w groteskowy sposób wargi. Zadbął nawet o detale, tworząc kropelki śliny w kącikach ust. Jeśli wiernie oddał wygląd, to Sobierad pewnie sam skończył jako przypadek absurdalny. Eliza uśmiechnęła się pod nosem. Po tym, co przeszła do tej pory, kto wie, czy nie powinna była zrobić podobnej miny i stanąć obok rzeźby.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

Poderwała głowę. Schody zadudniły złowieszczym tupaniem. Wspięła się na kilka pierwszych stopni i omal nie wpadła na schodzącą w błyskawicznym tempie staruszkę.

– A co mnie łązi po mojej stronie schodów, a? – burknęła na Elizę. Nie pożałowała również nienawistnego spojrzenia, pod wpływem którego dziewczyna chyba tylko cudem nie spłonęła, ale za to posłusznie odskoczyła na bok.

– Przepraszam...

– No, słusznie! – wtrąciła staruszka nie mniej ostrym tonem.

– ...ale co to za miejsce? – dokończyła Eliza, jednak została zupełnie zignorowana.

Z otwartymi ustami obserwowała, jak staruszka mija ją i w okamgnieniu znajduje się przy wahadłowych drzwiach. Pobiegła za nią. Gdy dotarła do holu, główne wrota stały otworem, a za nimi... Nie, to przecież niemożliwe! Eliza wychyliła się do przodu, ale nim upewniła się, że wyjście rzeczywiście prowadziło teraz na teren dziwacznej wioski, staruszka zamknęła za sobą przejście. Eliza podeszła bliżej i otworzyła ciężkie drzwi. Dziwne... A raczej zupełnie normalne. Ujrzała bowiem nie wioskę, tylko parking za Biblioteką Uniwersytecką! Przetarła twarz dłonią. Zwariowała albo ma zwidy. Ewentualnie jedno i drugie. Przygryzła wargę, gdy dopadła ją kusząca myśl, by dać sobie spokój i wrócić do domu, ale wtedy przypomniała sobie o sekretariacie i zamknęła drzwi.

Tym razem bez przeszkód wspięła się po schodach. Piętro przedstawiało się znacznie okazalej niż parter. Eliza wyszła na długi, ciemny korytarz, który kończył się zapewne sporych rozmiarów oknem, ale skrywała je ciężka zasłona. Jedyne światło we wnętrzu pochodziło z zawieszonych pod sufitem żyrandoli na łańcuchach, które rzucały cienie na ściany do połowy wysokości obłożone ciemną boazerią. Wyżej maźnięte były jasną farbą, co trudno było dostrzec, bo niemal szczelnie zasłonięte były obrazami. Eliza przez chwilę podziwiała oprawione w pozłacane ramy malowidła o najróżniejszych gabarytach. Niektóre były mniejsze od szkolnego zeszytu, inne ogromne, zajmujące znaczną część

ściany. Ktoś się niezle namęczył przy ich zawieszaniu, bo dopasowano je do siebie niczym kawałki układanki. W słabym świetle nie dało się dostrzec detali, ale większość z nich przedstawiała chyba postacie z mitów i legend.

Zapatrzona Eliza potknęła się o nierówność posadzki. Przytrzymała się klamki w najbliższych drzwiach i zdołała utrzymać równowagę. Z nosem skierowanym w dół mogła przyjrzeć się podłodze pokrytej starym, fragmentami uszkodzonym, ale wciąż bardzo ładnym parkietem. Wyprostowała się, podniosła głowę i wypatrzyła plaketkę z nazwą i numerem pokoju przymocowaną z lewej strony futryny. Trafiony, zatopiony!

Musiała przypadkiem otworzyć drzwi, bo nieznacznie uchylały się do środka. Zerknęła przez szparę, ale zobaczyła tylko fragment czegoś, co mogło być biurkiem. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze nosem. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Rozejrzała się po wnętrzu, ale ku jej rozczarowaniu sekretariat nie wyróżniał się niczym specjalnym – no, może poza jedną rzeczą. Przy biurku siedziała pulchna blondynka pisząca na maszynie. A więc były jeszcze miejsca, gdzie nie dotarł komputer! Elizie przeszło przez myśl, że ciekawie byłoby mieć taką maszynę – pisać na niej reportaże, felietony... O ile potrafiłaby z niej korzystać. Pracownica Instytutu nie miała z tym problemu – bez zastanowienia uderzała w kolejne klawisze, chociaż krótkie i serdelkowate palce, mimo że zakończone długimi i na pewno potwornie ostrymi paznokciami, raczej nie ułatwiały pracy. Eliza odepchnęła nasuwające jej się skojarzenia związane z wredną panią z dziekanatu i postanowiła rozpocząć rozmowę bez uprzedzeń. Podeszła do pulpitu, na którym stała plaketka z napisem: „Pani Luscia: sekretarka i kadrowa”.

– Dzień dobry! – przywitała się i przywołała na twarz grzeczny uśmiech.

Pani Luscia spojrzała na nią znad okularów w kocich oprawkach ozdobionych diamentkami, nadających jej nieco drapieżny, uwodzicielski wygląd. Eliza zwróciła uwagę na perfekcyjnie narysowane kreski na powiekach, przypominające kształtem skrzydła jaskółki. Sekretarka od razu skojarzyła jej się z hollywoodzką gwiazdą z lat pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych, może nieco bardziej krągłą. Dziewczyna nie umiałaby określić jej wieku – mogła mieć zarówno trzydzieści, jak i ponad pięćdziesiąt lat.

– Och! Dzień dobry, kochaniutka! – zaszcebiotała pani Luscia i zaprezentowała idealne uzębienie jak z reklamy pasty do zębów. Filmowy uśmiech podkreślały kształtne usta pomalowane na szkarłatny odcień. – O co chodzi? – spytała z zaciekawieniem, które Eliza wzięła za szczere.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć.

Sekretarka oparła się o pulpit i nachyliła do Elizy, a półdługie, zadbane włosy spłynęły jej falami, dotykając powierzchni blatu. Przez chwilę przyglądała się

intensywnie dziewczynie.

– Rozumiem, że chodzi o atak moli książkowych?

– Słucham?! – Elizie nie udało się ukryć zdenerwowania. Rozejrzała się na boki, myśląc, co odpowiedzieć. – Znaczy, tak. Dokładnie tak! Przyszłam na skargę! – wypaliła. Ludzie przychodzili do urzędów, żeby coś załatwić lub na coś ponarzekać. Najlepiej będzie pójść tym śladem. – To nie do pomyślenia, żeby człowiek nie mógł w spokoju poczytać książki! Chciałam tylko skorzystać z czytelnicy, a nie oberwać potężnym tomiszczem w ramio...

– Zaraz, zaraz! A tak właściwie to jak się tu dostałaś, słoneczko? – przerwała jej pani Lusia.

– Yyy, z parkingu? – odpowiedziała dziewczyna niepewnie.

– Och, z parkingu!

Ton, jakim wypowiedziała to pani Lusia, nie pozostawił Elizie złudzeń – najwyraźniej spaliła występ. Wykrzywiła usta w niewinnym uśmiechu, ale to nie podziało. Sekretarka obdarzyła ją ciepłym, ale sceptycznym spojrzeniem.

– To już wszystko jasne – odezwała się pani Lusia sztucznym, przesłodzonym głosem. – Zaczekasz tutaj chwileczkę, skarbie?

Nie czekając na odpowiedź Elizy, podeszła do wysokiego, starodawnego zegara, który stał przy ścianie za jej biurkiem. Otworzyła drzwiczki – w miejscu wahadła znajdowało się ukryte przejście. Eliza starała się dojrzeć, dokąd prowadziło, ale udało jej się wypatrzeć jedynie szare, zakurzone, kamienne schody biegnące w górę. Sekretarka z trudem wcisnęła się do środka i zatrzasnęła za sobą wejście. Nie pozostało nic innego, jak poczekać na jej powrót. Elizie nie bardzo się podobało zostawanie samej, drażniła ją nienaturalna cisza w pomieszczeniu. Chyba sama prosiła się o kłopoty... Przez myśl przeszło jej nawet, czyby stąd nie uciec, ale uprzedziło ją skrzyknięcie drzwi. Uniosła głowę i zobaczyła, jak pani Lusia znów przeciska krągłe ciało przez dość wąskie przejście. Sekretarka poprawiła zadartą, plisowaną spódnicę i odetchnęła głęboko kilka razy.

– Słoneczko, nasz dyrektor chciałby z tobą porozmawiać.

Eliza musiała zrobić naprawdę zszokowaną minę, bo sekretarka dodała:

– Och, nie masz się czego obawiać! To wybitnie kompetentny człowiek i jest w stanie rozwiązać twój problem.

Chyba każdy uznałby zachowanie sekretarki oraz jej tłumaczenia za podejrzanę. Na tyle podejrzanę, że Eliza bez zwłoki i żalu podjęła decyzję o rezygnacji ze śledztwa. Idąc na spotkanie z dyrektorem, prawdopodobnie straciłaby ostatnią szansę na bezpieczne wycofanie się z tego dziwnego przybytku. Dyskretnie zerknęła za siebie na drzwi wyjściowe, ale pani Lusia musiała odgadnąć, co planuje. Szybko wyminęła Elizę i zagroziła wyjście.

Uśmiechnęła się przepaszająco i popchnęła dziewczynę w stronę przejścia w zegarze.

– Normalnie nie pozwalam nikomu korzystać z mojego specjalnego przejścia i kazałabym ci iść naokoło, ale zrobię wyjątek, bo jeszcze byś się tu zgubiła.

– Albo uciekła – mruknęła pod nosem Eliza, gdy została złapana pod ramię.

Szybko rozważyła swoje możliwości. Czy dałaby radę wyrwać się i powalić kobietę? Nie, zdecydowanie nie. Intensywnie czerwone paznokcie prawie wbijały się w jej skórę, jednak niczym sparaliżowana nie potrafiła zmusić się do jakiegokolwiek próby stawienia oporu. Żegnaj, świecie! Ale się wpakowała... Ciekawe, czy rodzice odnajdą kiedyś jej zmasakrowane zwłoki... Delikatnie, ale stanowczo popchnięta w plecy, niechętnie weszła do środka zegara. Sekretarka natychmiast zatrzasnęła za nią drzwiczki. Eliza nawet nie próbowała sprawdzać, czy byłaby w stanie je otworzyć. Miała tylko jedno wyjście, a raczej wejście. Na górę. Poza tym, kto jak nie dyrektor powinien wiedzieć, co tu się naprawdę działo, i mógł odpowiedzieć na wszystkie jej pytania? Uważając, by się nie potknąć, ruszyła w stronę dochodzącego z góry światła.

– Czyli to takie Ministerstwo Magii jak w Harrym Potterze? – podsumowała Eliza, ale pytanie musiało być nie na miejscu, bo Bernard Kruk, dyrektor Instytutu Absurdu, skrzywił się i prychnął.

– Och, nie, nie, nie! Nie do końca. Oczywiście Wyspy Brytyjskie mają swój odpowiednik Instytutu, utrzymujemy z nimi bardzo dobre stosunki, zwłaszcza z odziałem w Irlandii, dokąd wyjechało sporo naszych kikimor i upiorów...

– Za pracą? – ironizowała dziewczyna, ale mężczyzna zdał się tego nie dostrzegać.

– No tak, tak, tak – potwierdził wyjątkowo pewny swego. – Na początku miejscowe leprechauny, kelpie i banshee nie były zadowolone z konkurencji na rynku. – Kruk podrapał się po bujnej, ciemnej brodzie, gdzieś tam poprzetykanej siwizną. – Ale teraz wszystko jest już w porządku. I między innymi na tym polega nasza praca. Nasz Instytut został powołany do zarządzania sprawami o naturze nadprzyrodzonej. Dbamy, by słowiański świat magii sprawnie i niezauważalnie funkcjonował we współczesnej rzeczywistości...

Eliza przyłożyła dłoń do twarzy, niby w geście głębokiego namysłu, w rzeczywistości zaś ukrywając drżenie kącików ust. Wybuch śmiechu mógł nie być w tych okolicznościach dobrze przyjęty. Mężczyzna wydawał się niegroźny, ale kto mógł przewidzieć, jak zachowa się fanatyk teorii spiskowych, gdy

poczuje się ośmieszony? O, właśnie! A może to wszystko żart? Może zaraz ktoś wyskoczy z ukrytą kamerą?

– Rozumiem... Czyli te wszystkie krasnoludki, rusałki i rumcajsiki z bajek istnieją naprawdę?

– Panno Elizo, czy pani mnie w ogóle słucha? Przecież od kilkunastu minut to tłumaczę. Ja wiem, że to może brzmi odrobinę...

– Absurdalnie? – wtrąciła, krzyżując ręce na piersi i posyłając dyrektorowi wyzywające spojrzenie.

– Ekhm... No cóż. Nie wierzy mi panienka?

Eliza pokręciła przecząco głową.

– No dobrze. Gałgan? Gałgan! Och, chyba poszedł na przerwę. To może inaczej...

Bernard Kruk westchnął i odchylił się na skórzanym fotelu, który lekko zaskrzypiał przy tym ruchu, a potem pochylił się ponownie w stronę gościa. Oparł się dłońmi o blat biurka o kształcie przypominającym klepsydrę, zmierzył dziewczynę nieodgadnionym spojrzeniem i znów odchrząknął. Sięgnął po słuchawkę na skróconym kablu i wybrał numer, mamrocząc pod nosem kolejne cyfry. Eliza uniosła brwi. Telefon z tarczą widziała ostatnio chyba u dziadków na strychu. To Instytut Absurdu czy Muzeum Techniki?!

– Pani Lusu, bardzo proszę podesłać tu Trefnisia – zakomunikował dyrektor poważnym tonem. Sapnął i splótł ręce. Stukał nimi niecierpliwie o blat, który został tak wypolerowany, że niemal oślepiał odbitym światłem lampki biurkowej.

Gałgan? Trefniś? Cóż to za dziwaczne przezwiska! A może to jakaś sekta? Eliza spojrzała podejrzliwie na Bernarda Kruka. Jego zasepioną minę uzupełniały ciemne, krzaczaste brwi, które coraz bardziej marszczył. Czujny, wpatrzony w nią wzrok również nie dodawał otuchy. Spoglądali na siebie w niezręcznej ciszy. Dyrektor kilka razy wygładził elegancki, ciemnobrązowy krawat dopasowany do koszuli, a Eliza w tym czasie bawiła się zapięciem od bransoletki. Na szczęście nie musieli długo czekać i po chwili dało się słyszeć cichutkie pukanie do drzwi.

– Proszę! – Po gabinecie rozniósł się donośny baryton dyrektora.

Eliza odwróciła się, gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, ale ze zdumieniem zauważyła, że te ani drgnęły. Dopiero po chwili dostrzegła, że wbudowane w nie było drugie, dużo mniejsze wejście i to przez nie do środka wszedł malutki człowieczek. Mole książkowe mogły być zmutowane, a pojawiający się znikąd budynek złudzeniem optycznym... Ale to?! Co to, do licha, było?!

– Bry – przywitał się przybysz piskliwym głosem.

– Dzień dobry... – odezwała się niepewnie Eliza, nie odrywając wzroku od nowo przybyłego.

Sięgał jej ledwo do pasa, chociaż w rzeczywistości musiał być jeszcze niższy, bo wzrostu dodawała mu spiczasta czerwona czapka, trochę na niego za duża. Co chwilę poprawiał ją, gdy opadała mu raz na lewe, raz na prawe ucho. Ubrany w zielony kubraczek z kolorowymi guzikami, prążkowane spodnie oraz małe, czarne trzewiki ze złotymi klamrami wyglądał jak postać żywcem wyjęta z baśni albo... krasnal wrocławski! Może każda z tych uroczych figurek rozlokowanych po mieście ożywała, kiedy nikt nie patrzył? Zaraz! O czym ona w ogóle myślała?! To na pewno przebrane dziecko! Zmrużyła oczy. Albo i nie? Elfie uszy i rudy zarost wyglądały przecież na prawdziwe.

– Panno Elizo, poznaj, proszę, Trefnisia. To nasz skrzat pomagający w katalogowaniu dokumentów w archiwum.

– Skrzat – powtórzyła automatycznie.

– W rzeczy samej, panienko. – Trefniś skinął jej nazbyt energicznie, przez co omal nie stracił czapeczki. – O co chodzi, Szefie?

– Potrzebuję teczek ze sprawami wszystkich niewyjaśnionych zaginięć z ostatnich hmm... Pięćdziesięciu lat. Bądź tak uprzejmy i poszukaj ich dla mnie.

– Jasna sprawa, już leczę! – zawołał skrzat i migiem wybiegł z gabinetu.

Bernard Kruk popatrzył na Elizę znacząco. Mimo bujnego zarostu widziała, że ledwo udawało mu się ukryć uśmiech. Och! Z pewnością musiał być zadowolony z efektu, jaki wywołał Trefniś.

– Dobra, wierzę panu – przyznała, choć nadal nie wiedziała, jak naprawdę działała magia i ile z tego, co mówił mężczyzna było prawdą, a ile zostało przez niego uproszczone lub podkoloryzowane. – I co teraz? Bo wydaje mi się, że istnienie magicznej rzeczywistości wokół nas to nie jest chyba powszechnie dostępna wiedza, prawda? To co, teraz wymażecie mi pamięć? Potraficie robić takie rzeczy? A może po prostu mnie sprzątniecie?!

Ostatnie słowa wypowiedziała prawie tak piskliwym głosem, jak skrzat.

W odpowiedzi Bernard Kruk wybuchnął gromkim śmiechem. Poprawił się na krześle, a dostrzegając jego ruch, Eliza mimowolnie podniosła się z krzesła i cofnęła. Prawie potknęła się o fałdę na ogromnym, wzorzystym dywanie. Mężczyzna uniósł do góry ręce w geście oznaczającym, że nie zamierza nic jej zrobić.

– Panno Elizo, proszę się uspokoić. Nic tu panience nie grozi. Nic a nic!

Dyrektor wskazał na krzesło, więc usiadła ponownie, tym razem na samej krawędzi, tak by móc w każdej chwili zerwać się i wybiec.

– Rozumiem, że to może być szok. Nie każdy człowiek ma zdolność widzenia magicznej strony świata. Gdyby tak było, to wszystkie mityczne i legendarne

istoty zostałyby wybite albo pozamykane w cyrkach. Magiczne przedmioty byłyby nagminnie wykorzystywane do realizacji niewłaściwych, niemoralnych celów. Niesamowite, ukryte przed światem miejsca zostałyby zadeptane jako atrakcja turystyczna. Brr! – Kruk się wzdrygnął. – Dopiero byśmy mieli co robić!

– Do tej pory nigdy nie zauważyłam u siebie takich zdolności... – próbowała zaprotestować Eliza.

– To zasługa Instytutu. Nie tylko pozwolił panience widzieć to, co dla wielu jest niewidoczne, ale i zaprosił do środka. Gdyby Instytut nie chciał, to by nie wpuścił przypadkowej osoby. Niezaprzeczalnie ma w tym jakiś cel. Pewnie słyszał, jak ostatnio narzekam na nawał spraw i braki w kadrze. Chyba wiem, o co mu może chodzić!

– Mówi pan tak... – zaczęła, próbując ubrać myśli w słowa. – Tak jakby ten budynek miał świadomość!

– Coś w tym stylu. To magiczny budynek, proszę o tym nie zapominać!

Ożywiony, zadowolony ton głosu Bernarda Kruka zdradzał, że mężczyzną przepełniała duma. Eliza mogła to zrozumieć. Być dyrektorem w tak niezwykłym miejscu? Zajmować się najbardziej niesamowitymi sprawami, które dla zwykłych ludzi pozostawały w sferze fantazji? Ile osób chciałoby być na jego miejscu albo przynajmniej móc tu pracować? Zmarszczyła lekko zadarty nos. Mogłaby chyba... Przeanalizowała jeszcze raz dokładnie słowa dyrektora. Jeśli dobrze rozumiała, to los zsyłał jej ciekawą, choć ryzykowną opcję.

– Wspominał pan coś o brakach kadrowych – przypomniała, licząc, że Kruk rozwinie temat.

– Tak! Brakuje mi ludzi i najwyraźniej Instytut sam podsunął mi idealnego pracownika.

– I to chodzi o mnie? Dlaczego Instytut miałby mnie wybrać? Nie dałam rady nawet dostać się na głupie studia dziennikarskie.

– O, o, o! No, właśnie! – Uradowany dyrektor aż klasnął w dłonie. – O to mi właśnie chodziło! O kogoś, kto będzie potrafił zająć się sprawami papierkowymi i opisywać zaległe raporty. Mamy ostatnio nawał skarg i trudne do rozwiązania śledztwo w toku. Inspektorzy większość czasu spędzają nad swoimi zadaniami albo są w terenie, a sterta papierów rośnie. Mógłbym na próbę zaoferować panience staż, oczywiście płatny! To byłaby świetna praktyka i na pewno przyjęliby panienkę za rok!

Eliza uniosła brwi. Nic dziwnego, że nazwali się Instytutem Absurdu! Pracodawca usiłował nakłonić pracownika do zatrudnienia?! Dziwne, doprawdy dziwne. Przecież nie mogła się pochwalić żadnym doświadczeniem. Co niby miałyby tu robić? I czy to aby na pewno będzie bezpieczne? Ta cała magia i dziwy... Przedstawiona propozycja wydawała się zaskakująca, ale i godna

uwagi. Eliza nigdy by nie wyobrażała sobie w ten sposób przyszłej pracy, jednak ta nietypowa posada pozwoliłaby jej opłacić studia. Taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć. Czyżby rozwiązanie problemów samo do niej przyszło?

– Myślałam, żeby pójść na studia już teraz, ale na zaoczne. Niestety, nie jestem w stanie pokryć chesnego, a chcą zapłaty z góry – wypaliła dziewczyna i nerwowo oczekiwała na reakcję rozmówcy.

– Nie ma problemu! Aldonka wszystko załatwi. Ma takie wejścia, że czasami aż mnie przeraża. Na pewno uda się pogodzić pracę i studia. Pytanie tylko, czy przyjmuje panienka moją ofertę?

– Mogę spróbować – odparła ostrożnie Eliza, ignorując wszelkie wątpliwości, które próbowały zwrócić na siebie jej uwagę, machając czerwonymi flagami.

Bernard Kruk zdawał się jednak nie zauważać u niej braku entuzjazmu – najwidoczniej jego wystarczał za dwoje. Wstał, wspierając się na drewnianej lasce zakończonej uchwytem w kształcie głowy kruka. Dopiero teraz można było stwierdzić, że był przeciętnego wzrostu. Przez swoją brodę i brązowy garnitur w drobną kratę skojarzył się Elizie z literatem z okresu międzywojennego albo staromodnym profesorem.

– Fantastycznie! Bardzo proszę za mną!

Dyrektor zaprowadził ją do pokoju znajdującego się po drugiej stronie korytarza. Na plakietce na drzwiach widniało: „Aldona Ostrzyżek, Naczelniczka Biura Spraw Absurdalnych”. Wciąż podekscytowany bez pukania wszedł do środka, więc Eliza podążyła niepewnie za nim.

W biurze znajdowały się podobne meble i dodatki jak u dyrektora, ale wewnątrz urządzono w sposób minimalistyczny, wręcz surowy. Wymuszało to, aby całą uwagę skupić na osobie siedzącej za biurkiem. Popatrzyła na dojrzałą kobietę o ostrych rysach twarzy. Przez długie, orli nos i krótkie, rdzawe włosy przetykane siwymi pasmami kojarzyła się z drapieżnym ptakiem. Przeszyła Elizę lodowatym spojrzeniem i dziewczyna w mig zrozumiała, że zabawa się skończyła.

Obok naczelniczki stał mężczyzna trzymający w rękach trenażer, biały szal i fedorę. To musiał być tajemniczy mężczyzna z czytelnicy! Nigdy by nie przypuszczała, że pod przebraniem kryła się tak przystojna postać. Klasyczne rysy twarzy, alabastrowa cera oraz złote loki jak u cherubinka sprawiały, że wyglądał jak ożywione dzieło Michała Anioła. Eliza rozkazała sobie w myślach, żeby przestać się na niego gapić, i zmusiła się do zamknięcia otwartych z wrażenia ust.

– Aldono, wybac, że przeszkadzam. To jest panna... Yhm... – Bernard Kruk podrapał się po brodzie.

– Elizaczek! – wypaliła bezmyślnie i powstrzymała chęć pacnięcia się w czoło.

Ostrzyżek bezgłośnie powtórzyła po niej, marszcząc wyjątkowo wąskie brwi, a kurze łapki przy kącikach oczu pogłębiły się.

– To znaczy Eliza Żaczek – poprawiła się dziewczyna, czując, że się rumieni.

– Równie nedorzeczne personalia – skwitowała naczelniczka, ale dyrektor zdawał się tego nie usłyszeć.

– Tak, właśnie! Wspaniale! – zawołał z pasją. – Pomyślałem, że przyjmujemy ją na staż. Przyda nam się świeża krew! – dodał, ale potem dziwnie zmieszał się i odchrząknął. – Och, przepraszam, Aleksie.

– Nic nie szkodzi – odparł mężczyzna i machnął uspokajająco ręką.

– Ekscentryczne upięcie, Żaczek – mruknęła kobieta, a Eliza uśmiechnęła się nieznacznie. Nie jej wina, że mole zniszczyły jej kok. – Usiądź na tamtym krześle i poczekaj. Muszę najpierw porozmawiać z dyrektorem.

Cichy, ale niepozostawiający miejsca na dyskusje głos przywołał ją do porządku. Widząc wąskie i zaciskające się w jeszcze cieńszą kreskę usta, zrozumiała, że Aldonie nie spodobał się pomysł z jej zatrudnieniem. Posłusznie wykonała polecenie.

– Nie będę wam przeszkadzać, pójdę już. – Mężczyzna nazwany Alekssem uklonił się naczelniczce i podszedł do Elizy.

Obserwowała, jak się do niej zbliżał, i próbowała opanować palpację serca.

– Ach, więc zostanie panna nowym pracownikiem. Bardzo ciekawe. Mogę zapytać, jak tutaj trafiłaś, panno Elizo?

– Przypadkowo – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Odwróciła na chwilę wzrok, niby zaciekawiona jedynym obrazem na ścianie, przedstawiającym ogromną dynię przerobioną na domek. Nie zdołała jednak odgonić poczucia, że robi jej się coraz bardziej gorąco.

– Przypadkowo, tak?

Aleks przez chwilę przyglądał się bacznie Elizie, jakby czegoś szukając, po czym uśmiechnął się triumfalnie.

– O, znalazł się nasz ostatni brakujący mół! – rzucił wesoło i wyjął z rozwalonego koka Elizy martwego włochoatego stworka.

Fuj! Miała to cały czas we włosach?! Wytrzeszczyła oczy, widząc kilka kosmyków swoich rudych włosów, które stworek trzymał w drobnych łapach zakończonych zakrzywionymi pazurami. Ekscentryczne upięcie?! Bardzo zabawne!

– Wiktor miał rację, że powinno ich być dokładnie pięć tysięcy – dodał Aleks i posłał Elizie wymowne spojrzenie.

Na pewno domyślił się, że była w bibliotece w trakcie ich akcji. Chyba nic jej za to nie zrobi? Z trudem przełknęła ślinę, ale nie zareagowała. Twardo udawała,

że nie rozumie, do czego nawiązywał. Chwilę mierzyli się wzrokiem i odetchnęła z ulgą, gdy mężczyzna pierwszy się poddał.

– Cóż, do zobaczenia wkrótce.

Sklonił się i wyszedł z pokoju, a Eliza zerknęła w stronę Ostrzyżek i Kruka, którzy wciąż dyskutowali. Jak rozstrzygną jej los? I czy naprawdę chciała tu pracować? Papierkowa robota brzmiała całkiem bezpiecznie, ale w takim miejscu nie można było być pewnym czegokolwiek. Nim na dobre pograżyła się w rozmyślaniach, dyrektor mrugnął do niej porozumiewawczo i pożegnał się. Została sam na sam z naczelniczką, która od razu przywołała ją do siebie.

– Masz tę pracę – powiedziała krótko. – Coś nie tak?

– N-n-nie – zaprzeczyła gwałtownie Eliza i odchrząknęła, by dodać sobie animuszu. – Po prostu nie spodziewałam się, że zechcecie przyjąć obcą dziewczynę prosto z ulicy do takiej sekretnej instytucji.

– Tak... – Ostrzyżek pokiwała głową i zamyśliła się na moment. – Obawiam się, że Bernard może mieć rację. Skoro sam Instytut cię wpuścił, to znaczy, że ewentualnie możesz się nam przydać. Na razie przyjmujemy cię na staż, a potem się zobaczy. Zaś co się tyczy sekretów, to musisz podpisać klauzulę tajności. Możesz marzyć o zostaniu najwspanialszą dziennikarką na świecie, ale żaden z naszych pracowników nie ma prawa zdradzać tego, co tu się dzieje.

Eliza powinna się spodziewać, że usłyszy właśnie coś takiego. Będzie pracować w najdziwniejszym miejscu, do jakiego kiedykolwiek trafiła, ale nie może o tym powiedzieć nikomu. Ani mamie, ani tacie, ani nawet Ali... Nikomu. I jeszcze trzeba będzie uważać, by przypadkiem się nie zdradzić. Typowe. Ale jakie miała wyjście? Musiała zaakceptować warunki, zwłaszcza że pozwalały na podjęcie studiów zaocznych i dalsze utrzymywanie żenującej sprawy z nieumiejętnością prawidłowej rekrutacji w tajemnicy przed rodzicami. Spojrzała na Ostrzyżek zdecydowanie i kiwnęła głową.

– Dzisiaj mamy... Tak, trzynastego lipca – mówiła do siebie naczelniczka, gdy wyciągała z szuflady plik papierów.

Wpisała datę w wykropkowanym miejscu. Niżej przybiła okrągłą pieczęć. Intensywnie fioletowy tusz układał się w ozdobny klucz na tle wrót identycznych z tymi, które prowadziły do Instytutu Absurdu. Drzwi na pieczęci były ozdobione gwiazdkami i otoczone wpisana w pierścień pełną nazwą jednostki. Aldona podpisała się i położyła przed Elizą umowę. Chwilę trwało, nim dziewczyna wszystko przeczytała i uzupełniła. Formularze i oświadczenia nie wyróżniały się niczym nadzwyczajnym, może poza osobliwą nazwą miejsca pracy. Nawet w zakresie obowiązków Eliza nie dostrzegła niczego podejrzanego – sporządzanie pism i raportów, przygotowywanie dokumentów... Nudno i bezpiecznie. Chyba nie mieli tu teczek z zębami, które odgryzłyby jej rękę?

Zawahała się przy punkcie o rzetelnym i efektywnym wykonywaniu przydzielonych obowiązków oraz powierzonych prac, ale nie mogłoby mieć na myśli niczego bardziej odpowiedzialnego od zaparzenia kawy, prawda? Na koniec podpisała klauzulę, która zobowiązywała ją do zachowania w tajemnicy wszelkich uzyskanych informacji, zarówno w trakcie stażu, jak i po jego zakończeniu. Odetchnęła głęboko i oddała Ostrzyżek podpisany komplet. Pewne rzeczy pozostawały niezmiennie niezależnie od okoliczności i najwyraźniej wspólną cechą urzędów magicznych i tych zwykłych było sporo druczków do wypełnienia.

– Dyrektor wspomniał, że nie masz jak opłacić studiów – odezwała się niespodziewanie naczelniczka po tym, jak schowała dokumenty do teczki opatrzonej personaliami Elizy. – Mam pewne znajomości i załatwię to tak, żebyś mogła płacić w ratach. Zakładałam też, że nie znalazłaś jeszcze lokum. Tutaj możesz się zatrzymać na jakiś czas za niewielką opłatą.

Eliza odebrała od niej kartkę i zerknęła na zapisany adres. Niemożliwe! Niedrogie mieszkanie tak blisko centrum?! Tu musiał być gdzieś haczyk...

– Super, już myślałam, że będę zmuszona zamieszkać pod mostem – zażartowała dla rozluźnienia, ale Ostrzyżek pozostawała niewzruszona.

– Pod mostem? Trolle to nie najlepsze sąsiedztwo – odparła beznamyślnie.

Zabrzmiało, jakby mówiła to na poważnie. Może mówiła? Trolle we Wrocławiu, skrzaty w Instytucie... I co jeszcze?

– To wszystko. Chyba że masz jeszcze jakieś pytania, Żaczek.

– Czy dostanę strój roboczy? – zagadnęła Eliza, przypominając sobie o trenczu i kapeluszu.

– Strój roboczy? Skąd taki pomysł?! – prychnęła naczelniczka. Wyglądała na szczerze zdziwioną, więc Eliza zwątpiła w sens swojego pytania.

– No bo... Nie chciałam być wścibska, ale zauważyłam, że pan Aleks w takim chodził, i myślałam, że...

– Och! To żadna tajemnica. Nie mamy tu ubrań roboczych. Aleks jest wampirem, a strój służy mu do ochrony przed słońcem, gdy pracuje na zewnątrz.

– Wampirem?! Jak to wampirem?! – Eliza wytrzeszczyła oczy. Skrzaty to jedno, ale wampiry?! Czy to nie jakieś zagrożenie dla przepisów BHP?!

Ostrzyżek nie zareagowała na wybuch nowej stażystki, lecz jej drgająca brew zdradzała poirytowanie. Eliza mimowolnie się przygarbiła. Znów zaliczyła wpadkę. Zdecydowanie nie zrobiła na swojej przełożonej dobrego pierwszego wrażenia. Ale jak miała zaakceptować wampira? Nawet tak przystojnego... Gdyby nie widziała wcześniej Trefnisia, to nie uwierzyłaby w żadnego wampira! Chociaż to uzasadniało bladą karnacją mężczyzny i hipnotyzujący urok osobisty. Zrozumiała również, dlaczego wszystkie okna zostały przyciemnione

i doświetlano pomieszczenia sztucznym światłem. Odetchnęła głęboko i wyszczerzyła zęby w groteskowym uśmiechu, choć starała się, by wyglądał naturalnie.

– Ależ oczywiście, że nim jest – powiedziała z lekką ironią, której nie udało jej się ukryć. – To wiele tłumaczy – dodała, chociaż po wyjaśnieniach Ostrzyżek miała jeszcze więcej pytań.

– Mamy tu naprawdę najróżniejszych pracowników, ale takie nierozgarnięte dziewczę jeszcze nam się nie trafiło – oświadczyła z przekąsem naczelniczka. – No cóż. Widzimy się w poniedziałek rano.

Dziewczyna przypomniała sobie, że warto byłoby dowiedzieć się, jak dotrzeć do urzędu. Typowy czy nie, pewnie nie tolerowali tu wymówek z cyklu: nie umiałam znaleźć odpowiednich schodów.

– Gdzie mam się stawić? Na parkingu?

Ostrzyżek zrobiła minę, przez którą Eliza nie miała wątpliwości, że znów powiedziała coś głupiego. Kobieta przymknęła oczy, westchnęła i rozmasowała palcami skronie.

– Pomyśl, że idziesz do pracy. Instytut sam cię znajdzie.

Kółka walizki stukały na ścieżce spacerowej otaczającej Fosę Miejską. Monotonne i całkiem donośne odgłosy nieco drażniły Elizę. Nie brakowało cienia rzucanego przez szpalery drzew posadzonych wzdłuż trasy, ale dziewczyna i tak przystawała co chwilę, by otrzeć twarz. Żałowała, że nie zaczekała na kolejny tramwaj, kiedy pierwszy uciekł jej sprzed nosa, ale uznała, że w ciągu kwadransa dotrze niemal na miejsce. Nie chciała się też spóźnić. W piątek, zaraz po wyjściu z Instytutu Absurdu, zadzwoniła pod podany przez Ostrzyżek numer, ale nikt nie odbierał. Nikogo nie zastała też pod podanym adresem, a że spieszyła się na pociąg do domu, odpuściła dalsze czekanie. Dopiero wieczorem oddzwoniła do niej niezbyt uprzejma staruszka i umówiły się na niedzielę. Eliza obawiała się, jakie warunki zobaczy w mieszkaniu, ale czegokolwiek tam nie zastanie, nie miała wyjścia. Musiała brać, co dawali.

W oddali wśród drzew wypatrzyła sztyld miłej knajpki, którą często odwiedzała z rodzicami albo znajomymi. Chociaż zjadła porządne śniadanie, mimowolnie zgłodniała na myśl o daniach serwowanych w lokalu. W końcu zbliżała się pora obiadu. Przełknęła ślinę, odwróciła wzrok i skręciła w Krupniczą. Kilka minut później zatrzymała się przed oznaczonym numerem trzynastie budynkiem przy jakże atrakcyjnej ulicy: Psie Budy. Zabudowa nie przypominała jednak zbitych z desek bud. Stanowił ją rząd drobnych kamieniczek, wśród których kilka

odnowionych prezentowało się nie mniej okazałe niż te przy pobliskim Placu Solnym. Nie brakowało ozdobnych detali, ale szczególną uwagę Elizy przykuła umieszczona nad wejściem do jej kamienicy płaskorzeźba baranka. Na jej widok poczuła się, jakby szła na rzeź. I jeszcze ten pechowy numer budynku...

Coś trzasnęło wysoko nad jej głową. Odchyliła się do tyłu, by objąć wzrokiem szczyt budynku, i spostrzegła poruszającą się nieznacznie firankę w jednym z okien. Nie potrafiłaby tego wytłumaczyć, ale skądś wiedziała, że jeszcze przed chwilą obserwowała ją właścicielka mieszkania numer siedem, gdzie miała się zatrzymać. Westchnęła i chwyciła mocniej za rączkę walizki na kółkach, do której podczas pobytu w domu spakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Powinny jej wystarczyć na kilka dni, nim sprowadzi resztę. Nacisnęła guzik domofonu. Nikt się nie odezwał, ale zabrzączał zwolniony zamek. Kiedy się wspinała po kolejnych schodkach, coraz bardziej docierało do niej, że naprawdę zaczyna nowy etap w życiu. Rodzice zgodnie z obietnicą przelali na jej konto sumkę wystarczającą na pokrycie kosztów wynajmu na miesiąc, ale wciąż nie mogła uwierzyć, że zgodzili się, by zamieszkała we Wrocławiu już teraz. Ponadto wydawali się zadowoleni, że znalazła pracę. Niestety musiała im nazmyślać, że będzie pomagać w pewnym biurze przepisywać dokumenty. Przerazające, jak jedno kłamstwo pociągało za sobą kolejne. Choćby chciała, nie mogła im wyznać prawdy – niekoniecznie ze względu na klauzulę tajności, ale głównie dla ich bezpieczeństwa. Zwariowaliby na wieść o tych absurdach. Dziwne, że sama nie zwariowała. A może była na najlepszej drodze, by tak się stało?

Nim odpowiedziała sobie na to pytanie, dotarła do właściwych drzwi opatrzonej tabliczką z wygrawerowanym napisem B. Kościej. Zapukała krótko. Otworzyła jej koścista, starsza kobieta w bladofioletowej sukni w drobne gwiazdki. Niczym wiedźma z bajek opierała się rękoma na biodrach i lypała na Elizę złowrogim spojrzeniem.

– Dzień dobry – odezwała się Eliza, by przerwać niezręczną ciszę. – Ja w sprawie...

– Tak, tak, wszystko wiem – zaskrzeczała w odpowiedzi Kościejowa. – Wejdzie do środka. Tylko niech buty najpierw wytrze!

Już na pierwszy rzut oka można było odnieść dziwne wrażenie, że mieszkanie zajmowało wewnątrz większą powierzchnię, niż to powinno wynikać z rozmiarów kamieniczki. Eliza nie dostała jednak szansy, by lepiej się rozejrzeć po pomieszczeniach, bo została poprowadzona do lewych drzwi wychodzących z urządzonego (a właściwie zagraconego) w staroświeckim stylu salonu.

– No, a tu będzie jej kącik!

Kościejowa machnęła ręką niczym agent nieruchomości prezentujący luksusowy apartament, a Eliza cudem powstrzymała się przed komentarzem.

Kącik! Idealne określenie! Nie dość, że jej pokój okazał się ciasny, to ściany pomalowano na okropny brudny beż. Jedną z nich zajmowała rozklekotana, połyskująca lakierem meblościanka z czasów PRL-u, a naprzeciwko stał tapczan. Rozłożony musiał niemal stykać się z szafą na ubrania, tak że nie pozostawało wiele miejsca, by przejść do okna, przy którym znajdował się koślawy stolik. W komplecie z krzesłem o wytartym, wyglądającym na twarde siedzisku, chyba miał pełnić funkcję biurka. Z sufitu zwisał toporny, szklany żyrandol, którego klosze pokrywały pajęczyny pęknięć i w każdej chwili jakiś odprysk mógł spaść komuś na głowę. Podłogę wyłożono brzydką, zieloną wykładziną, a na ścianie za tapczanem zawieszono dywan w tureckie wzory. Jakby w strachu przed jakąkolwiek wolną przestrzenią, w rogu pomieszczenia ustawiono kwietnik z ogromnymi paprotkami. Koszmar! Poczucie gustu Elizy zostało wystawione na ogromną próbę, ale przy takiej cenie za wynajem w samym centrum miasta nie powinna narzekać. Poza tym zawsze mogła dostać komórkę pod schodami.

– Ale jest internet? – zapytała pełna obaw o odpowiedź.

Kościejowa spojrzała na nią z politowaniem.

– Ano nie ma, ale sąsiedzi mają niezabezpieczone hasłem, to się może podłączyć.

– A jak zabezpieczą?

– To się wtedy będzie martwić.

Nie, to były jakieś żarty! I ona miała tutaj wytrzymać?! Wdech i wydech... Wdech i wydech.... „Przemęcę się jakoś”, próbowała się pocieszać. „Większą część dnia i tak będę spędzać poza (tfu!) domem. A za rok przeniosę się na dzienne studia i za zaoszczędzone pieniądze poszukam czegoś lepszego do wynajęcia. Może nie w lepszej lokalizacji, może nie w lepszej cenie, ale z nieabsurdalną właścicielką!”.

– No to niech się rozkłada z rzeczami i przyjdzie do kuchni. – Kościejowa poklepała ją niezbyt delikatnie po plecach. – Głodna pewnie, to obiadu dam.

Przytaknęła i zaczekała, aż właścicielka uda się do kuchni. Wyciągnęła telefon, dyskretnie zrobiła kilka zdjęć przedstawiających pokój w całej okazałości. Przesłała je Alicji z podpisem, że tak teraz będzie mieszkać jako jeszcze nie-studentka. W odpowiedzi otrzymała tylko trzy płaczące ze śmiechu emotki. Taaak... Na przyjaciół zawsze można liczyć.

Jeszcze nigdy Elizie tak bardzo nie dłużyło się do wieczora i doszła do wniosku, że mieszkanie Kościejowej zaginało nie tylko przestrzeń, lecz także czas. Cóż w tym dziwnego? Zapewne ta zasada tyczyła się każdego miejsca, w którym nie miało się ochoty przebywać. Kolejne absurdalne stwierdzenie, do kolekcji z paradoksem oczekiwania na nieuchronną przykrość. Eliza nie miała ani chwili dla siebie, bo Kościejowa nie odstępowała jej na krok.

Nie udało się też zaszyć w nowym pokoju, bo została wyciągnięta przez staruszkę na wspólne oglądanie serialu. Przed poznaniem jakże niezbędnej ukrytej prawdy o tym, kto jest czyim ojcem i kto kogo z kim zdradził, uratował ją telefon od rodziców. Pośpiesznie życzyła Kościejowej dobrej nocy i uciekła do siebie.

Chwilę porozmawiała z mamą, zapewniła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, i padła na tapczan. Szybko się jednak podniosła. „Tapczan sam się nie rozłoży”, westchnęła, patrząc na przedpotopowy mebel. Pociągnęła za siedzisko, a oparcie runęło z hukiem. Odskoczyła do tyłu i wzdrygnęła się. Omal nie straciła palców! Kościejowa zostawiła jej na krześle pościel rodem z ubiegłej epoki – Eliza oblekła olbrzymie bladuróżowe poduchy zapewne wypełnione pierzem i równie puchatą kołdrę do kompletu, rozłożyła na łóżku, zgasiła światło i położyła się spać. Jutro pierwszy dzień w pracy i dobrze byłoby się wyspać...

Drap... Drap... Drap...

Ledwo przyłożyła głowę do poduszki, gdy rozległo się chrobotanie. Usiadła na łóżku. Dziwne dźwięki zdawały się docierać zza tapczanu. Szczury? Karaluchy? Eliza była pewna, że nie zaśnie, dopóki nie dowie się, co było źródłem chrobotu. Zapaliła światło i odsunęła mebel, ale niczego nie dostrzegła. Może to tylko dźwięk sprężyn w tapczanie? Znów się położyła, ale tym razem podciągnęła kołdrę pod sam nos i upewniła się, że nie wystaje spod niej nawet kawałek stopy – tak na wszelki wypadek.

Sen długo nie przychodził i gdy zadzwonił budzik, miała wrażenie, że dopiero co zamknęła oczy. Przetarła je i zbliżyła się do okna. Traf chciał, że dostrzegła Kościejową, która biegła truchtem, by zdążyć na podjeżdżający na przystanek tramwaj. Zabawne, że wczoraj tyle razy narzekała na ból pleców... Eliza wzruszyła ramionami, szybko przygotowała się do wyjścia, nie zapominając o zabraniu śniadania. Nie wypadało spóźnić się pierwszego dnia. Gotowa stanęła na środku pokoju i zamarła. Jak miała się dostać do pracy? Gdzie tak właściwie znajdował się Instytut Absurdu? Pamiętała ostatnie zdanie Ostrzyżek, że Instytut sam ją znajdzie. Tylko jak?

– Idę do pracy! – powiedziała głośno w pustym mieszkaniu i w tej samej chwili poczuła się jak kretyńka. Ale może Instytut ją usłyszał i pojawi się gdzieś na podwórzu?

Wyjrzała przez okno, zmrużyła oczy, ale tym razem nigdzie nie dostrzegła półprzezroczystych schodów czy muśniętej fioletowym blaskiem elewacji tajemniczego budynku. Może musiała podejść bliżej? Wyszła z mieszkania, zamknęła drzwi na klucz i wrzuciła go do torby. Dopiero po chwili zorientowała się, że nie znalazła się na klatce schodowej, ale trafiła do znajomego holu. Drżącą ręką wyciągnęła z powrotem klucze, przekręciła właściwy w zamku, popchnęła

drzwi i niesamowicie zdumiona wróciła do mieszkania. Wzięła kilka głębokich oddechów, a gdy się uspokoiła, zauważyła na ścianie lekko prześwitujące wrota do Instytutu. O rety! A więc tak to działało! Bardzo sprytne rozwiązanie! Odważyła się parę razy przeskoczyć z pomieszczenia do pomieszczenia. Pierwszy raz miała styczność z portalem czasoprzestrzennym. Cóż za oszczędność w czasie i kosztach dojazdów do pracy!

Przeskoczyła ostatni raz do Instytutu. Niestety, tym razem coś poszło nie tak – nagle wokół niej pojawiły się dziwne fioletowe, purpurowe i srebrne smugi nieokreślonego stanu skupienia. Z niesamowitą prędkością wirowały jej przed oczami, zlewając się w bezkształtną, mieniącą się kolorami masę. W uszach brzęczało jej nieprzyjemnie, a narastający dźwięk już nie tylko powodował dyskomfort, ale i ból głowy.

– Auaaa! – Eliza skrzywiła się i zasłoniła uszy. – Zaraz mózg mi wybuchnie! Co się dzieje?! – krzyknęła spanikowana, ale nie usłyszała własnego głosu, co przeraziło ją jeszcze bardziej.

Całkowicie straciła rozum, gdy poczuła, jak coś szarpie ją za koszulkę. Przypomniały jej się międzywymiarowe potwory z lovecraftowskiej twórczości. O nie! Skoro magia istniała, to może one też były prawdziwe i wyciągały po nią swoje macki?

– Zostaw mnie! Ratunku!

Z całej siły próbowała się wyszarpnąć, ale to coś zbyt mocno trzymało i gdzieś ją ciągnęło. Zrezygnowana, zamknęła oczy, godząc się ze swoim nędznym losem. Gwałtowny upadek i ból stłuczonych kolan sprawiły, że natychmiast oprzytomniała. Wylądowała na zakurzonej, kamiennej posadzce, którą z radości aż miała ochotę ucałować. Podniosła wzrok i uspokoiła się całkowicie, widząc wokół paskudną, żółtą lamperię. Spojrzała nieco wyżej i dopiero wtedy dostrzegła zdenerwowaną, trochę starszą od niej kobietę.

– Dziewczyno, co ty wyprawiasz!?! – krzyknęła, gdy wyczuła, że ma kontakt z Elizą. – Instytut się już przenosił! Mogłaś wylądować w pustce albo w dwóch miejscach naraz. Dobrze, że cię złapałam!

– Mhm, dzięki – wymamrotała speszona dziewczyna.

Nawet nie chciała myśleć, co oznaczało wylądowanie w dwóch miejscach naraz. Zastanawiała się, co powinna jeszcze powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Kobieta wciąż wpatrywała się w nią niecierpliwie. Elizę zaintrygowały jej dziwne oczy – lekko skośne, w kształcie migdałów, w niespotykanym kolorze. Wyróżniały się błyszczącą, złocistą barwą jak u kota. A właściwie tygrysa, biorąc pod uwagę to, z jaką miną na nią patrzyła. Eliza ją rozgniewała. Świetny początek dnia...

– Przepraszam! Chciałam tylko sprawdzić, jak to działa, ale już wiem, że to było głupie. – Podniosła się i otrzepała przybrudzoną spódnicę. Na szczęście nogi miała całe, ale przeczuwała, że pojawią się na nich siniaki. – A ty skąd tu trafiłaś? – Spróbowała taktycznie zmienić temat.

– Z Poznania.

– Z Poznania? Wow! Czyli ten Instytut tak się przenosi między miastami? I każdy sobie wchodzi do pracy skąd chce, tak? – zapytała, a kobieta w odpowiedzi kiwnęła głową. – Super! Może z wyjątkiem tego, że można wylądować w jakiejś pustce. Jeszcze raz dziękuję za ratunek, myślałam, że to jakiś kosmiczny stwór mnie pochwylił.

Kobieta parsknęła i pierwszy raz uśmiechnęła się do Elizy, a jej twarz z poirytowanej zmieniła się w całkiem sympatyczną, mimo mocno zarysowanych kości policzkowych oraz długiego, lekko szpiczastego nosa.

– To ty jesteś ta nowa, nie?

– Taa...

– No, mieliśmy już kilku stażystów. Zwykle nie wytrzymują długo, ale to byłby już rekord. Jaga jestem – przywitała się kobieta i wyciągnęła dłoń, którą Eliza od razu uścisnęła, chcąc poprawić pierwsze wrażenie. – Wiesz już, czym się będziesz tutaj zajmować?

– Niezupełnie, niby pomocą przy dokumentach, ale... – Urwała. Nic tak naprawdę o tym miejscu nie wiedziała.

– A wiesz chociaż, jak trafić do Strzygi?

– Strzygi?

– Aaa! Tak mówimy między sobą na Ostrzyżek, jak nas nie słyszy. Straszna z niej żyleta, lepiej jej się nie narażać.

Eliza wzdrygnęła się, co nie umknęło uwadze Jagi, bo ta dodała:

– Co, już jej podpadłaś?

– Chyba. Nie wiem. Pewnie tak – uznała Eliza, przypominając sobie kilka gaf popełnionych w trakcie rozmowy z naczelniczką oraz to, jakie okazało się rekomendowane przez nią lokum.

– To powodzenia. Będę wyjątkowo miła i nie wspomnę jej o tym wydarzeniu z portalem.

– Dzięki, doceniam. I fajne buty! – pochwaliła, chociaż sama nigdy by nie włożyła tak wysokich koturnów z ćwiekami.

Jaga odprowadziła ją pod same drzwi pokoju, w którym urzędowała Aldona Ostrzyżek, a na koniec odwróciła się do stażystki i pokazała, że trzyma kciuki. Eliza starała się zapamiętać drogę, ale poplątane korytarze Instytutu jej tego nie ułatwiały. Uśmiechnęła się do Jagi i pomyślała, że będzie mieć przynajmniej jedną sympatyczną osobę w pracy. Wyciągnęła jeszcze lusterko z torebki

i sprawdziła, czy mimo upadku jej wygląd prezentował się przyzwoicie. Poprawiła grzywkę i odgarnęła włosy wpadające do oczu, po czym zapukała i pełna najgorszych obaw nacisnęła klamkę.

Zobaczyła naczelniczkę, która w błyskawicznym tempie otwierała listy, jeden po drugim, używając do tego posrebrzanego, finezyjnego, stylizowanego na sztylet noża do kopert. Elizie zaschło w ustach, ale zwalczyła chęć ucieczki. Ostrzyżek, czy też Strzyga, była rzeczywiście straszna. Przywitała Elizę lodowatym spojrzeniem, ale na szczęście odłożyła ostre narzędzie.

– Yyy... Dzień dobry? – przywitała się nieśmiało stażystka.

– Dzień dobry, Żaczek. A więc jednak przyszedłeś...

– No tak. Przepraszam za spóźnienie.

Strzyga niewymuszonym ruchem poprawiła odłożony nóż, by jego pozycja była idealnie prostopadła do sterty wciąż zaklejonych listów. Eliza nie mogła oderwać wzroku od jej długich palców. Starła się zagłuszyć niedorzeczną myśl, że kobieta zaraz złapie sztylet i rzuci w nią, niczym jakiś asasin.

– Dobrze. Nie będę cię długo zatrzymywać. Najpierw pójdziesz do sekretariatu, tam masz listę obecności. Codziennie po przyjściu do Instytutu masz się na nią wpisywać. Pani Lusia wytłumaczy ci prawa i obowiązki i załatwisz z nią pozostałe sprawy kadrowe. Następnie udasz się do Wiktora. Wysoki, barczysty. Dużo gada, mało robi. Na pewno rozpoznasz. Jest inspektorem Kłopotliwych Kreatur. Pomożesz mu opisać mole książkowe – poinstruowała naczelniczka. – Mniemam, że masz już jakieś pojęcie w tym temacie – dodała, patrząc znacząco na dziewczynę.

– Coś mi się obilo o uszy – odparła Eliza i zdobyła się na odwagę, by spojrzeć śmiało na kobietę.

Strzyga zacisnęła usta. Czyżby chciała ukryć rozbawienie? Nie, to niemożliwe.

Instytut Absurdu musiał być bardzo ciekawym miejscem, ale szwendanie się samemu po budynku groziło trafieniem nie tam, gdzie trzeba. Chociaż Strzyga dokładnie wytłumaczyła trasę, Eliza miała problem ze znalezieniem sekretariatu. Nie podejrzewała się o aż taką nieporadność, raczej sam budynek utrudniał jej dotarcie do celu. W końcu znalazła właściwy pokój i zdołała się uspokoić. Ostatnio sekretarka zachowywała się całkiem miło. Chyba jej nie urwie głowy za lekkie spóźnienie?

Weszła do środka i chciała się przywitać, ale głos zamarł jej w gardle. Pani Lusia, ubrana niczym gwiazda przedwojennego kabaretu, wyciągała właśnie deskę do prasowania i stare radzieckie żelazko.

– Ekhm! Dzień dobry – wydusiła w końcu Eliza. – O co chodzi z tym prasowaniem?

– Och, dzień dobry, pączusiu! Właśnie szykuję dzisiejszą pocztę. – Pani Luscia wskazała na wypchane, lniane worki leżące przy pulpicie, których Eliza wcześniej nie zauważyła.

– Tak wygląda poczta? – zdziwiła się Eliza i podeszła bliżej, ale zobaczyła, że zamiast tradycyjnych listów w środku znajdują się niesamowicie niechlujne, zgniecione w kulki kartki.

– Och, to miały być żurawie origami. Pomysł Bernarda. Ustalił, że przyjmujemy listy wyłącznie w takiej formie.

– Aha...? Dlaczego?

– W teorii ludzie mieli nie zasypywać nas tak strasznie pismami, tylko pisać wtedy, gdy to naprawdę potrzebne, bo komu by się chciało składać takiego żurawia bez celu.

– I to nie zadziałało?

– Oczywiście, że nie, precelku! Większość petentów to zlekceważyła i wysyła takie coś. I muszę teraz to wyprasować, aby jakoś wyglądało. Nie powiem przecież Bernardowi, bo mu będzie przykro.

– No tak. To zrozumiałe – przytaknęła Eliza, darując sobie komentarz dotyczący całkowitego braku logiki w pomyśle dyrektora.

– Prawda? No dobrze. Chodź tu bliżej i przeczytaj nasz regulamin, a potem możesz się podpisać.

Pani Luscia przywołała ją gestem dłoni i wyciągnęła spod blatu kilka dość opasłych plików papierów. Eliza jęknęła w duchu. Nie zdążyłaby tego przeczytać do końca dnia pracy! Przewertowała regulamin, na pierwszy rzut oka nie zauważyła niczego podejrzanego, więc potwierdziła podpisem na ostatniej stronie, że zaznajomiła się z treścią. Niczym się to nie różniło od akceptowania kliknięciem regulaminów aplikacji i stron internetowych – kto to w ogóle czytał? Następnie podeszła do stolika, żeby podpisać listę obecności, która znajdowała się w różowym skoroszycie. Sięgnęła po równie pastelowy długopis z puchatą końcówką, podobną do boa z piór, które pani Luscia miała owinięte wokół szyi.

– Skarbeńku?

Eliza podniosła głowę i zobaczyła, że pani Luscia uśmiecha się do niej przepraszająco.

– Yyy... Tak?

– Niestety nie będę miała dzisiaj czasu, by cię oprowadzić po Instytucie, ale następnym razem nadrobimy to porządną wycieczką – zapewniła gorąco. – Mam nadzieję, że się do tego czasu kompletnie nie zagubisz... – dodała już bardziej do siebie.

Nieco skonsternowana Eliza opuściła sekretariat. Wycieczka brzmiała zachęcająco – ciekawe, co jeszcze skrywało to miejsce. Ale pozostawiona sama sobie znów mogła się błąkać w nieskończone po płataninie korytarzy i pięt. Postanowiła wrócić pod gabinet Ostrzyżek dokładnie tą samą trasą, jaką cudem dotarła do sekretariatu. Za punkty orientacyjne robiły co bardziej wyróżniające się obrazy na ścianach. Obok gabinetu Strzygi wisiał galopujący jednorożec. Albo domek z dyni. Chociaż nie... Domek wisiał w środku!

– O, nie... Znów się zgubiłam. I jak ja mam tu pracować? – jęknęła, rozglądając się po krętych korytarzach.

Nikt jej nie odpowiedział, ale kiedy wspięła się po kolejnych schodkach, ze zdumieniem odkryła, że trafiła na trzecie piętro, gdzie mieściły się biura inspektorów. Przeszła obok siedmiu sąsiadujących ze sobą drzwi, odczytując plakietki z nazwiskami i dziwnie nazwanymi działami. Pierwsze drzwi prowadziły do gabinetu Aleksandra Garlickiego. Z plakietki dowiedziała się, że był zastępcą naczelniczki, ale oprócz tego zajmował się Zaskakującymi Zjawiskami. Ha! Tutaj działy się same zaskakujące rzeczy! Całe szczęście, że nie musiała tu wchodzić. Odetchnęła z ulgą i wybrała czwarte drzwi, należące do pokoju Wiktora Morawskiego. Weszła do środka i od razu cofnęła się na korytarz. Nie do wiary! Wróciła do biura i rozejrzała się dokoła. Wszystkie siedem wejść prowadziło do jednego, wielkiego pomieszczenia, podzielonego szafami i stertami papierów na kąci dla każdego z inspektorów. Czyżby to nie był koniec nielogicznych pomysłów Bernarda Kruka? Najbliżej niej, po lewej stronie, stał duży stół, przy którym siedział inspektor Kłopotliwych Kreatur. Przeglądał jakiś magazyn sportowy i zupełnie nie zwracał na nią uwagi.

– Uhm... Dzień dobry – przywitała się.

– Dzień dobry, Elizaczku! – zawołał wesoło, po czym wstał i podszedł do niej.

Cóż, zapewne wszyscy wiedzieli już o jej przejęczeniu i zasłużyła na nowe przewisko. Mężczyzna z bliska wydawał jej się jeszcze przystojniejszy. Eliza zwróciła uwagę na wąską, podłużną bliznę, przecinającą jego twarz. Przechodziła od połowy czoła, przez lewą brew, zahaczając delikatnie o policzek. Szrama wcale go nie szpeciła, wręcz przeciwnie – dodawała surowego uroku. Zapewne podobał się wielu kobietom, ale miał w sobie coś z lowelasa. Eliza odwróciła wzrok, by nie pomyślał, że się gapi.

– Jestem Wiktor Morawski, Kłopotliwe Kreatury. – Wyszczrzył się i mrugnął porozumiewawczo. – Ale wszyscy mówią mi Moras. No, prawie wszyscy.

Podawała mu rękę. Miał mocny chwyt i przyjemnie ciepłą dłoń. Oj, tak! Mole książkowe faktycznie pasowały do kategorii kłopotliwych kreatur. Wciąż miała przed oczami akcję w bibliotece.

Łańcuch skojarzeń doprowadził ją do myśli, że jeśli był tu Wiktor, to w pobliżu musiał być też ten wampir! Ze wzrokiem wystraszonej zwierzyny łownej rozglądała się w poszukiwaniu mężczyzny. Powoli wypuściła powietrze nosem. Uff... Siedział daleko od Morasa, osłonięty wysokimi regałami na dokumenty. Jego kącik, mimo że mocno przyciemniony, wyglądał na najczystszy i najbardziej uporządkowany. Ciekawe, ciekawe. Ale w sumie czego miała się spodziewać? Błatu poplamionego krwią?

W centralnej części biura spostrzegła dwa duże, złączone ze sobą biurka, a przy nich Jagę i drobną blondynkę o ponadprzeciętnie długich, falowanych włosach. Ostatni inspektor, mężczyzna przed czterdziestką, zerkał spod stosu książek, od których niemal ugiął się stół ustawiony w przeciwnym rogu pokoju względem stanowiska wampira.

– My się już znamy, ale nie przedstawiłem się odpowiednio. Wybacz panna Eliza taki nietakt. Hrabia Aleksander Garlicki.

Nawet nie zauważyła, kiedy się za nią pojawił. Wampir. Żywy wampir... Znaczący nieżywy, ale prawdziwy! Spokojnie. Wdech i wydech. Eliza starała się zapanować nad tym, by nie podskoczyć i krzyknąć. Udało jej się ograniczyć do lekkiego zadygotania. Powinna się opanować! Przecież jej nie zje, prawda? Skoro tu pracował, to pewnie swoich nie ruszał. Wzięła kolejny głęboki oddech i odwróciła się powoli. Gdyby nie paralizujący strach na pewno nie zdołałaby się opanować i zaśmiałyby się na dźwięk nazwiska. Garlicki! Ależ to pasowało!

Wampir wyciągnął zadbaną dłoń. Na jego serdecznym palcu widniał złoty sygnet z herbem i ozdobnym „G” na tarczy. Eliza zbyt długo ociągała się z odwzajemnieniem uścisku, ale tak jak się spodziewała, jego ręka była nieco chłodniejsza niż u przeciętnej osoby.

– Hrabia! – parsknął ostatni z obecnych mężczyzn i energicznym ruchem przetarł szkła okularów z grubymi oprawkami.

– Zaiste! Czyżbyś miał coś przeciw temu? – Garlicki założył ręce na piersi i spojrzał na niego z góry, ale został zignorowany.

– Jestem Feliks Lange – zwrócił się do Elizy mężczyzna. – A Aleks nie jest żadnym hrabią, ale każdemu stara się wmówić swoje szlachectwo.

Przesadnie gestykulował i mówił przez nos. Zaczął tłumaczyć Elizie coś o kupowaniu tytułów, ale nie mogła się skupić na jego słowach. Zszokowało ją to, że tak otwarcie sprzeciwił się prawdziwemu wampirowi, a nikt z pozostałych inspektorów nie reagował.

– Oczywiście, że jestem hrabią. Co taki prowincjusz jak ty może o tym wiedzieć? – Garlicki przerwał wywód kolegi.

– Dla historyka to nie jest problem! – prychnął Feliks.

– Dziwne Dokumenty? – zagadnęła go Eliza, licząc, że w ten sposób odwróci uwagę mężczyzn od wymiany zdań i uspokoi sytuację, zanim ta dosłownie przerodzi się w krwawy konflikt.

– Tak, dokładnie. Interesujesz się historią? – Inspektor wydawał się niezwykle uradowany, jak gdyby w końcu natrafił na upragnionego słuchacza. Już otwierał usta, by najpewniej wygłosić długi monolog, gdy przeszkodził mu Moras.

– A tu mamy naszą cudowną Jadwigę Babicz! – Złapał brunetkę, która rano zaprowadziła Elizę do Strzygi, i popchnął ją lekko do przodu.

– Jaga! – poprawiła go. – A my już się rano widziałyśmy. Ja jestem od Uciążliwych Uroków. Kłątwy, mikstury, zaklęcia i takie tam sprawy.

– A ta słodka pszczołka to Maja Wawrzynek – wtrącił się ponownie Feliks i wskazał na blondynkę, która oblała się rumieńcem i speszyła. – I zajmuje się tu roślinkami – dodał mężczyzna.

– Czyli Frapująca Flora! – dopowiedziała Eliza. Postanowiła, że więcej nie zrobi z siebie idiotki. Udowodni, że łapie, o co tutaj chodzi, chociaż to nie była do końca prawda.

– Cześć – przywitała się Maja nieśmiało, cichym, melodyjnym głosem, przywodzącym na myśl małe dzwoneczki.

Miała okrągłą twarz jak u lalki i urzekająco duże, intensywnie zielone oczy. Eliza podejrzewała, że musiała być w podobnym wieku, co reszta pracowników, ale wyglądała na dużo młodszą. Dopiero gdy lepiej jej się przyjrzała, zauważyła stojącą na parapecie za nią dziwną roślinę, która kręciła ogromnym, liściastym „łbem”, jakby przysłuchując się temu, co mówili inspektorzy.

– To jest Narcyś, moja muchołówka – wyjaśniła Maja, zapewne widząc zszokowany wzrok dziewczyny.

Eliza zmarszczyła nieufnie brwi. W jednym ze sklepów ogrodniczych widziała muchołówki, ale były zdecydowanie mniejsze. Nie zachowywały się również, jakby miały własną osobowość.

– Dość duża – skomentowała tylko.

– Pszczołka trochę ją podrasowała. – Moras zarechotał.

– Ktoś ją wyrzucił do śmieci, taką biedną, zmarniałą. Zupełnie nie umiał o nią zadbać – wyjaśniła z wyrzutem Maja.

Narcyś niemal od razu dostał możliwość udowodnienia, jak świetną opieką został otoczony. Wychylił nibygłową i z niesamowitym refleksem złapał fruującą w powietrzu tłustą muchę. Tym się zajmowała Frapująca Flora? Przerabianiem kwiatków na potwory?

– W zespole jest jeszcze Oskar Hochman, ale spędza więcej czasu w terenie niż w Instytucie, no i nasz najmłodszy do tej pory, Marcel Kruk. Ale ma teraz wolne, bo poprawia sesję – poinformowała Jaga.

Eliza wypatrzyła dwa biurka, które stały puste. Jedno z nich wyglądało na rzadko używane, a drugie zawałono różnymi bibelotami.

– Tak, to nie zbieżność nazwisk, to nepotyzm. – Moras wyrwał ją z zamyślenia. – Młody jest bratankiem dyrektora.

– Niesłychane! Pan Morawski zna takie określenie jak nepotyzm i użył go w prawidłowym kontekście! – Komentarz Garlickiego ociekał cynizmem. – Niech go panna nie słucha. Do Instytutu nikt nie trafia przypadkiem czy po znajomości – zwrócił się do Elizy wampir.

– Proszę, proszę... Znalazł się inteligencik! – Moras klepnął Garlickiego dosyć mocno w bark, ale ten ani drgnął, za to Eliza aż podskoczyła. Dlaczego oni prowokowali tego wampira?! Przecież to się mogło źle skończyć! Znow spróbowała zmienić temat.

– A to co? – spytała i wskazała na kamienną rzeźbę stojącą w kącie.

Przedstawiała małpę z rogami barana i skrzydłami nietoperza. Eliza miała nieprzyjemne wrażenie, że figura kilka razy się poruszyła, odkąd dziewczyna weszła do biura. W tym miejscu nie można było być pewnym swoich zmysłów. I owszem, mogło jej się wydawać, że rzeźba zmieniała pozycje, ale szybką wymianę spojrzeń między inspektorami zarejestrowała z całą pewnością.

– Dobra, nie ma sensu udawać – uznała Jaga, a reszta ewidentnie nie zamierzała jej się sprzeciwiać. – To gargulec.

Eliza kojarzyła tę nazwę z lekcji plastyki. Ale czy gargulce nie były czasem stawiane na szczycie budowli, jak jakieś ozdobne rynny? Wzruszyła ramionami. Instytut rządził się swoimi prawami, nie zamierzała się więc wtrącać.

– Jasne, klimatyczny wystrój.

– To nie wystrój, to gargulec. Ma na imię Granit i pełni funkcję, hmm... Urządzenia wielofunkcyjnego – wyjaśnił Moras.

Wywołany Granit obudził się i przeciągnął, teatralnie ziewając. Przy każdym ruchu generował zgrzytające dźwięki kamienia ocierającego się o kamień.

– O, mamy nową koleżankę. – Poruszył ustami, z których wydobył się niski, gardłowy głos, brzmiący tak, jakby w trakcie artykulacji przeżuwał zardzewiałe gwoździe i żwir. – Dzień dobry!

– On mówi – stwierdziła inteligentnie Eliza. – Oczywiście, że on mówi. Dlaczego by nie?

– Dobra, to patrz, co potrafi! – rzuciła Jaga i podała Granitowi kilka pobazgranych kartek.

Gargulec złapał jedną z nich w ręce i, niczym niszcarka do papieru, odgryzał kawałek po kawałku, wypluwając je do kosza stojącego obok. Następnie połknął paczkę zszywek, a potem z prędkością karabinu maszynowego wypluł je i zszył pozostałe kartki.

– Niesamowite! – Eliza zaklaskała.

Gdyby tylko mogła go nagrać i udostępnić... Rolka z popisami gargulca bez wątpienia ożywiłaby jej od dawna pokryte kurzem konto na Instagramie.

– To nic takiego. Następnym razem pokażę ci, jak laminuję dokumenty – obiecał Granit i Eliza mogłaby przysiąc, że puścił do niej kamienne oczko.

– Czy są jeszcze jakieś rzeczy, o których powinnam wiedzieć? – zapytała i mimowolnie zerknęła na Garlickiego.

– Ach! Rozumiem, że Aldona już coś napomknęła o mnie, panno Elizo?

– Uhm... To przez moją ciekawość.

– O, doprawdy? A panna Eliza nie wie, co się mówi o ciekawości? – Wypowiedział to pytanie tak złowieszczo, że ze strachu aż przełknęła ślinę. Wampir musiał to usłyszeć i parsknął śmiechem, odsłaniając przerośnięte kły, przez co poczuła się naprawdę słabo. – Ależ proszę się mnie nie obawiać! Od ponad stu lat, z uwagi na zasady moralne, nie piję krwi, nawet zwierzęcej. W zupełności wystarczy wytrawne czerwone wino. Upodobanie do koloru zostało.

– Wampir weganin – podsumowała Jaga.

– Yyy... Co? Myślałam, że wampiry muszą pić jakąś krew, choćby zwierzęcą, i prywatne przekonania nic tu nie zmieniają?

Eliza czuła, że jej dotychczasowa wiedza o wampirach, zgromadzona na bazie kilku książek i filmów, nie wystarczy w kontakcie z prawdziwym przedstawicielem tego gatunku.

– Magia umysłu. – Garlicki dotknął palcem czoła. – To tak jak z homeopatią. Niby nie powinna działać, a tysiące ludzi się na to nabierają. Poza tym skoro taki nieokrzesany prymityw jak Moras panuje nad sobą, to ja tym bardziej nie powinienem mieć z tym problemów.

Eliza zerknęła na Morasa, ale ten po prostu założył ręce na piersi i posłał Garlickiemu spojrzenie pełne politowania. Wyglądało na to, że lubili sobie dogryzać.

– A co z tobą jest nie tak? – Bała się pytać, ale skoro miała z nimi pracować, chciała wyjaśnić wszystko do końca.

– Wiktor ma... problemy księżycowe. – odpowiedziała zamiast niego Maja. – Ale jest kochany i niegroźny. – Znowu się zarumieniła.

– Niech zgadnę. Wilkołak? – domyśliła się Eliza. – Chyba już nic mnie nie zdziwi.

– Nigdy nie mów nigdy. Pracuję tu już jakiś czas, a Instytut wciąż potrafi mnie zaskoczyć – odparła Maja. – Od razu powiem, że jestem w połowie rusałką, oczywiście po mamie. A Jaga to wiedźma z łysogórskim rodowodem.

– Czy tylko ja tu jestem... – Eliza ugryzła się w język, nim zdążyła powiedzieć „normalna”. – Przeciętna? – zakończyła koślawo.

– Oczywiście, że nie. Jesteśmy przecież tolerancyjni dla mniejszości ludzkiej – zapewnił Moras.

– Mniejszości?!

– Nabiera cię. Poza nimi reszta to zwykli ludzie. Ja, Marcel, Oskar, Szeł, Aldona i Grażka, czyli nasza Główna Księgowa. – Feliks starał się uspokoić nową stażystkę, ale Eliza zaczynała się gubić w ich zeznaniach.

– A pani Lusia? – spytała.

– No, z nią to nic nie wiadomo – przyznał szczerze mężczyzna.

Co za ironia! Tyle czasu przejmowała się wampiryzmem Garlickiego, a otrzymała mnóstwo nowych informacji, z którymi musiała się zmierzyć. Miała pomagać w opisywaniu dziwnych spraw, a nie pracować z nimi w jednym pomieszczeniu!

– Czyli pan Aleks jest wampirem, ale nie pije krwi. Moras to wilkołak, ale jest oswojony. Jaga to wiedźma i zna się na czarach, a Maja jest półrusalką, ale pewnie nie tańczy nago w czasie nowiu. Naczelniczkę, jak nie słyszy, przeżywa się Strzygą, dlatego że jest oschła i surowa, ale tak naprawdę nią nie jest. W pracy pomagają nam ożywione gargulce, a w archiwum mieszka skrzat Trefniś – wymieniła, nie wierząc, jakie bzdury wygaduje.

– No i super, szybko załapałaś! – pochwalił ją Moras.

– Uhm... To jeszcze nie wszystkie rewelacje, ale nie będziemy cię nimi zasypywać na początek. Już i tak masz chyba sporo do przetrawienia. – Maja poklepała dziewczynę po ramieniu w geście pocieszenia.

Dalszą wymianę myśli przerwała Strzyga. Wpadła do gabinetu, przelotnie zerknęła w stronę stażystki i podeszła do Jagi, wręczając jej niewielki kawałek papieru, w którym Eliza rozpoznała zdjęcie. Rozmawiały ze sobą przez jakiś czas, ale na tyle cicho, że nie zdołała usłyszeć o czym. Feliksa również zaintrygowała treść ich konwersacji i zaraz po tym, jak Strzyga wyszła, wyskoczył z pytaniem:

– Kolejne zniknięcie?!

– Tak! Zaraz zwariuję! Tym razem we Wrocławiu – potwierdziła Jaga.

Nazwa miasta, w którym od niedawna mieszkała, zaintrygowała Elizę na tyle, że podeszła do Jagi i przyjrzała się zdjęciu. Widniał na nim młody mężczyzna o pulchnych policzkach, dużych niebieskich oczach i bujnej, jasnobrązowej czuprynie. Na odwrocie znajdował się podpis: „Artur Bartoń, lat 22”. Nie kojarzyła nazwiska, ale skądś znała tę twarz. Tylko skąd? Zmarszczyła czoło, jakby jej to miało pomóc w przetrzepaniu wspomnień. Kolejka do dziekanatu. Student w koszulce z logo wydziału...

– Wiem! Widziałam tego chłopaka. Jest z uczelni, na której miałam... Będę studiować. Aale o co chodzi z tymi zniknięciami? – rzuciła.

– Od pewnego czasu w całej Polsce znikają ludzie. W różnych przypadkowych miejscach. Wyglądają na zupełnie losowo dobrane osoby, niezwiązane ze sobą. Przynajmniej do tej pory niczego takiego nie znaleźliśmy.

– A skąd wiadomo, że zniknięcia nie są normalne? W sensie, że jest w to zamieszane coś... Absurdalnego? – Ostatnie słowo wypowiedziała prawie szeptem.

– Ślad magii w powietrzu w miejscu, gdzie zniknęła osoba. To jedyna rzecz, która łączy te sprawy. Nie wiem, co to za magia, i nie potrafię odnaleźć zaginionych. A jak widzisz, lista rośnie. Postaraj się przypomnieć sobie wszystko, co pamiętasz o tym chłopaku. Może to coś pomoże – powiedziała Jaga głosem, w którym dało się wyczuć bezradność.

Inspektorka odwróciła się do ściany, na której wisiała mapa Polski. Przypięła zdjęcie w miejscu, gdzie znajdował się Wrocław. Eliza szybko oszacowała, że znajdowało się tam już około dwóch tuzinów fotografii. Przedstawiały mężczyzn i kobiety w różnym wieku, o różnym wyglądzie, z miast znacznie oddalonych od siebie i porzucanych po całym kraju. Co ich ze sobą łączyło? Wzdrygnęła się, czując lód przechodzący wzdłuż kręgosłupa. Najpierw Artur zaproponował jej pomoc i zniknął w dziwnych okolicznościach. Następnie ona trafiła tutaj i być może mogła pomóc jemu. Przypadek?

Sprawa nr II

Piaskiem po oczach

Następnego dnia Eliza dotarła do pracy bez zahaczania o międzywymiarową przestrzeń. Z tak potężnym portalem nie należało się wygłupiać, dlatego gdy na ścianie pojawiły się wrota Instytutu Absurdu, otworzyła je i od razu wskoczyła do środka. Otrzeпаła spódnice, bardziej dla zasady niż faktycznie z potrzeby wyczyszczenia jej, i rozejrzała się po holu w poszukiwaniu kogokolwiek, kto pomógłby jej trafić do biura. Niestety, wokół panowała całkowita cisza. Postanowiła, że zaczeka na kogoś z pracowników – może pojawi się Jaga i zaprowadzi ją do gabinetu inspektorów, tak jak ostatnio? Sama na pewno pomyli drogę i będzie się błąkać po korytarzach w nieskończoność, znowu wychodząc na nierozgarniętego, głupiutkiego Elizaczka.

Usiadła na ławce i położyła obok torbę. Sięgała po telefon, ale rzuciły jej się w oczy broszurki leżące na stole, które zauważyła podczas pierwszego pobytu w Instytucie. Złapała pierwszą z brzegu. Zerkał z niej dumny, szkarłatny smok ziejący ogniem, a płomienie układały się w tytuł: „Jak wytresować smoka?”. Wyglądały bardzo realistycznie. Otworzyła broszurę drżącymi rękami. Płomienie nie wybuchły jej prosto w twarz, jak się tego przez chwilę obawiała. Pobieźnie przejrzała ulotkę, ale to wystarczyło, by dowiedzieć się, że smoków nie należało poskramiać czy próbować ujeżdżać. Były dzikimi, groźnymi stworzeniami i zdecydowanie nie nadawały się na zwierzątka domowe. No kto by pomyślał! W końcu natrafiła w Instytucie na coś brzmiącego sensownie. Gdyby ktoś poprosił ją o opinię na temat tresury smoka, sama doradziłaby podobnie – chociaż jeszcze nie widziała żadnego. I oby tak zostało. Następną ulotkę uderzyła Elizę wściekłym, zielonym kolorem. Miała kształt połączonych ze sobą listków i podpowiadała, jak uzyskać dotację na uprawę czterolistnej koniczyny. Kolejna okazała się reklamą ekskluzywnego Hotelu Chafoud, który zapewniał noc niezapomnianych wrażeń, ale grafika prezentująca szkielet, stado fruujących nietoperzy i żelazne kajdany jakoś nie zachęciła dziewczyny do skorzystania z oferty. Chwyciła jeszcze jedną, która najbardziej zwracała na siebie uwagę. Na pierwszej stronie widniało pięć kotłów, narysowanych w jednym rzędzie, każdy w innym kolorze: złotym, zielonym, niebieskim, brązowym i czarnym. Nad nimi znajdował się duży napis: „Segregacja odpadów magicznych”. Krótka lektura uczyła, że do złotego kotła należało wrzucać między innymi stare kociołki, chochle czy miotły, zielony był na szkło, a konkretnie zużyte fiolki i butelki po eliksirach, niebieski przeznaczono na niepotrzebne książki, zwoje i pergaminy z zaklęciami, brązowy należało zapełnić niewykorzystanymi lub przeterminowanymi resztkami składników różnorodnych mikstur, czyli pijawkami, kłami węży, korzeniami dziewanny, żabim skrzekiem i podobnymi im okropnościami, a czarny gromadził odpady zmieszane. Kto by przypuszczał, że przejmowali się ekologią!

– Dzień dobry, panno Elizo.

Wyrwana z zamyślenia podskoczyła, wydając komiczny okrzyk. Spostrzegła nad sobą pochylającego się Garlickiego, wciąż jeszcze ubranego w trencz i kapelusz.

– Dobry – odparła nieco zbyt cienkim głosem. Zganiła się za to w myślach. Powinna zachowywać się naturalnie, wyjść na osobę opanowaną. Pokazać, że nie przejmuje się prawdziwą naturą kolegi. Ale łatwo było powiedzieć.

Garlicki ściągnął płaszcz, z gracją złożył go na pół i przełożył sobie przez ramię. Spod zawadiacko przechylonego kapelusza wystawały mu złote loczki.

– Czekają na kogoś?

– Tak, na przewodnika. Zamiast tych broszurek powinna tu być mapa Instytutu.

– Ha, ha, ha! – Śmiech mężczyzny brzmiał przyjaźnie i Eliza nie określiłaby go jako złowieszczy, a takiego się spodziewała. – W takim razie pozwól panno Eliza, że ją odprowadzę.

Przytaknęła. Darowanemu przewodnikowi nie zagląda się w zęby, choćby miał wśród nich ostre kły. W trakcie wędrówki znów próbowała zapamiętać drogę, ale o ile ta do sekretariatu jawiła się jako dość prosta i logiczna – wstąpili na chwilę, żeby podpisać listę obecności – o tyle dalej zamieniała się w plątaninę korytarzy i schodów. Może Instytut specjalnie utrudniał petentom dalsze penetrowanie budynku? Starła się wypatrzyć jakieś charakterystyczne elementy wystroju, wyróżniające się obrazy czy rzeźby, ale obawiała się, że nawet to by jej nie pomogło. Przydałoby się coś w rodzaju Mapy Huncwotów. Ciekawe, czy mieli taką na stanie. A może dałoby się taką stworzyć?

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Garlicki chwilę później, gdy znaleźli się na korytarzu trzeciego piętra. – Wybacz panno, ale mam pilną sprawę do dyrektora.

Skłonił się szarmancko i odszedł w kierunku, z którego przyszli.

Przystanąła i otworzyła szerzej oczy. No, nie! Przecież... Przecież to absurd! Przeliczyła kilka razy liczbę drzwi, ale wynik za każdym razem wychodził ten sam. W ścianie korytarza znajdowało się osiem wejść, o jedno więcej niż dzień wcześniej. Podeszła do nowego i zauważyła, że na środku zawieszono tabliczkę z jej imieniem i nazwiskiem, a niżej widniał dopisek: „stażystka”. Eliza założyła ręce za głowę i odetchnęła głęboko. Co to za dziwy? W jeden dzień na pewno nie zdążyliby wykuć w ścianie kolejnego otworu i zamaskować go tak, żeby dawał złudzenie, że był tu od zawsze. Może zadziałała tu magia Instytutu Absurdu, bo co innego mogło to wyjaśnić... Tylko co dawała im ta cała zabawa z indywidualnym przejściem, skoro i tak inspektorzy dzielili wspólny pokój? Eliza uznała, że nie warto szukać sensu.

Po raz pierwszy przeszła przez prywatne drzwi i rozejrzała się po wnętrzu biura. Instytut chyba naprawdę potrafił zmieniać swoje gabaryty, bo dodatkowe drzwi to był drobiazg przy pomieszczeniu, które sprawiało wrażenie bardziej przestronnego, jakby zostało rozciągnięte, aby pomieścić miejsce dla nowego pracownika. Eliza kątem oka zauważyła szczerzącego się do niej Morasa, więc przywitała się z nim, a on pomachał do niej wesoło. Oprócz niego w biurze siedział na swoim stanowisku Feliks, ale nie wyglądał na zadowolonego z obecności Elizy. Na jej „dzień dobry” mruknął coś niezrozumiałego, a Moras wybuchnął gromkim śmiechem, na którego dźwięk aż podskoczyła. Wciąż rechocząc, wskazał nowe biurko ustawione pod oknem ze szczerze opuszczonymi żaluzjami. Jej biurko! Wczoraj na pewno go tu nie widziała. Stało niedaleko kącika Jagi i Mai, ale i dość blisko miejscówki Garlickiego. W trakcie wykonywania obowiązków będzie widoczna jak na dłoni. Czyżby zastępca naczelniczki chciał mieć ją na oku? Na blacie stała zgrabna plakietka z napisem: „Eliza Żaczek”, a pod nim wypisano jej obecną funkcję. Na samym środku biurka ustawiono ogromną, czarną maszynę do pisania. Eliza przejechała palcem po obudowie i starła przy tym warstewkę kurzu. Natrafiła na przyklejoną z tyłu różową karteczkę samoprzylepną w kształcie serca. Ktoś zostawił na niej napis: „Elizaczek”.

– Bardzo zabawne – wymamrotała pod nosem i zdjęła nalepkę.

– Elegancka, co nie?

Drgnęła i odwróciła się. Za nią stał wciąż szczerzący się Moras. Poklepał pieszczotliwie urządzenie.

– Trochę wysłużona, ale tylko taką znaleźliśmy w piwnicy. Będziesz mogła w końcu wystukać raporty o molach. – Położył obok maszyny kilka zapisanych kartek. – Coś już tu przygotowałem do przepisania. Będziesz wiedziała, jak masz opisywać kolejne sprawy. Zobaczysz, szybko załapiesz, o co chodzi.

Zerknęła na zapiski. Spodziewała się trudnych do rozczytania bazgrołów, ale zbyt pochopnie oceniła Morasa – miał całkiem ładny charakter pisma. I podobny do dopisku z nalepki. Oczywiście! Kto inny mógł sobie z niej tak zażartować?

– I fajnie, że w ogóle przyszłaś – paplał bez przerwy. – Robiliśmy zakłady, czy będziesz chciała dalej z nami pracować. Ha! Ktoś tu jest mi winien dychę!

Nie do wiary! Spojrzała na niego i zamrugała kilkukrotnie. Założyli się o to, czy odważy się przyjść ponownie do tego wariatkova?! O, nie! Udowodni sobie i im, że nie znalazła się tu przypadkiem. Instytut Absurdu nie wpuścił jej tu bez przyczyny, prawda? Prawda! No chyba prawda...

– Być może jestem bardziej zdesperowana, niż można byłoby przypuszczać, i dla kilku dodatkowych groszy godzę się tu z wami wytrzymać – odparowała Eliza, a Moras zaśmiał się krótko i poklepał ją przyjacielsko po ramieniu.

– I takie nastawienie rozumiem! Czyżby Jaga już cię poinstruowała, że tu honorujemy jedynie ostre riposty? O! A może masz jakąś wiedźmę wśród przodków? – zapytał z całkiem poważną miną, więc od razu zaprzeczyła zgodnie ze swoją wiedzą. – Nie? Szkoda, bo nawet by pasowało. Ale dobra, Feliks, gdzie moja dycha?!

Spojrzała w stronę drugiego z inspektorów. Dziwnie unikał wzroku Elizy. A więc to on jej nie docenił! Czyżby poczuł się nieswojo i żałował, że w nią zwątpił? Westchnął, pokręcił zrezygnowany głową i sięgnął do torby, z której wyciągnął skórzany portfel. Pogrzebał w nim chwilę, po czym podszedł do nich i wręczył Morasowi banknot.

– Masz i się odczep. – Popatrzył na kolegę spod byka i zwrócił się do Elizy: – Ja też się cieszę, że jesteś. Nawet jeśli kosztowało mnie to dychę.

– Eee... Dzięki – rzuciła stażystka, ale naprawdę odczuwała wdzięczność.

Inspektorzy może i stroili sobie z niej żarty, ale przy tym zachowywali się życzliwie i mimo wszystko chyba stosowali wobec niej taryfę ulgową. Może dzięki temu łatwiej przyjdzie jej zrozumienie panujących tu zasad, całej tej magicznej otoczki? I kto wie, może nawet z czasem wpasuje się w ten zwariowany zespół.

– Mówiłem, że Elizaczek to twarda sztuka. Jeszcze trochę, to tak się wkręci, że trzeba będzie ją powstrzymywać przed skopaniem tyłków goblinom! – Moras podrapał się intensywnie po brodzie, jakby nad czymś się zastanawiał. Dźwięk pocieranego zarostu zabrzmiał jak szlifowanie deski papierem ściernym, ale nawet jej się podobał. – A może już chciałabyś z nami wyskoczyć na jakąś akcję? – wypalił.

Gobliny. No tak. Oczywiście, że musiały istnieć gobliny, skoro widziała już skrzata, wampira, wiedźmę, wilkołaka i rusałkę. Ale zaraz, jaka akcja?! Na to się nie pisała!

– O, nie, nie, nie! – odparła kategorycznie. – Była umowa, że pomagam na miejscu z raportami. Żadnego kopania tyłków goblinom! Od tego wy jesteście!

Demonstracyjnie usiadła za biurkiem i przysunęła do siebie maszynę do pisania, ale zawahała się, próbując sobie przypomnieć jakikolwiek film, na którym widziała, jak ludzie korzystali z tego ustrojstwa. Nacisnęła jeden z klawiszy i czcionka uderzyła w taśmę. Wybrzmiało charakterystyczne stuknięcie, a prowadnica urządzenia przesunęła się w lewo.

– Oj! Widzę, że potrzebujesz małego przeszkolenia – zatroskał się Feliks.

Podwinął mankiety beżowej koszuli i pochylił się nad maszyną. Eliza na linii wzroku miała jego na pewno oryginalny, chociaż nieco krzykliwy krawat z postaciami z jakiegoś komiksu. Długimi, zgrabnymi palcami – widać, że raczej nie pracował fizycznie – błyskawicznie wystukał swoje dane.

– Całkiem sprawnie działa – oznajmił wyraźnie ukontentowany. – No dobrze. Pokażę ci co i jak. Najpierw papier.

Ton jego wypowiedzi wskazywał, że lubi popisywać się wiedzą. Eliza mogła jednak przymknąć na to oko – w końcu zachowywał się koleżeńsko i chciał jej pomóc. Wyjął z szuflady arkusz papieru, pokazał, gdzie i w jaki sposób należy go włożyć, żeby nie umiejscowić go krzywo. Ustawił za pomocą suwaków marginesy i pokazał, którym przyciskiem wybrać szerokość odstępów między kolejnymi liniami oraz jaki klawisz odpowiadał za wstawianie wielkich liter. Elizie najbardziej spodobał się dźwięk dzwonka, informujący, że zbliżyła się do marginesu. Należało wtedy zacząć pisanie od nowej linii, pociągając za dźwignię i przesuwając prowadnicę w prawo. Pisanie na maszynie przypominało grę na pianinie – wstukiwanie odpowiednich klawiszy, które wydawały przyjemne dźwięki. Jednak korzystanie z tego urządzenia przez osiem godzin mogło być nie lada wyzwaniem.

– Ja wiem, że to takie klimatyczne i w ogóle, ale czy nie byłoby wygodniej używać nowszego sprzętu? – spytała, starając się, by zabrzmiało to lekko i niewinnie, a nie jak zarzut czy marudzenie.

– Próbowaliśmy, ale komputery wariują. Za duże stężenie absurdu. Wywalało dyski, niebieski ekran to była codzienność, a papier wszystko przyjmie – wyjaśnił Moras.

– Dokładnie! Papier wszystko przyjmie! – potwierdził Feliks z taką zapalczywością w głosie, że nie odważyłaby się sprzeciwić. – Nie wiadomo, czy za kilkadziesiąt lat przyszłe pokolenia będą w stanie odczytać cokolwiek z delikatnych i awaryjnych płyt czy kart pamięci, a dokumenty, które znajdują archeolodzy, mają i po kilkaset lat, a wciąż da się je poskładać i rozszyfrować – dodał i podsunął wyżej okulary ruchem sugerującym, że zakończył temat niepodważalnym argumentem.

– Coś w tym jest – przyznała ugodowo i dla spokoju nie wspominała o bibliotece aleksandryjskiej, innych pożarach trawiących bezcenne książki i dokumenty czy celowym ich niszczeniu.

Zamiast tego wyciągnęła telefon – musiała sprawdzić, czy Moras mówił prawdę. Odblokowała ekran i rzeczywiście, nie miała zasięgu. Włączyła komunikator i spróbowała wysłać wiadomość do mamy, ale połączenie z internetem bez przerwy się wieszało. Również przeglądarka nie chciała wyświetlić poprawnie żadnej strony. Cudownie! Jeśli wampir postanowiłby zmienić zdanie odnośnie do weganizmu, nie miałyby nawet jak wezwać pomocy.

– Jest już Jaga?

Ciało Elizy zawibrowało na dźwięk charakterystycznego tembru głosu. No ładnie, wywołała Garlickiego z lasu. Odwróciła się, by zobaczyć, jak odwiesza

trencz i kapelusz. Nie słyszała, jak otwierał drzwi, ani jego kroków, i gdyby się nie odezwał, nie wiedziałaby, że już przyszedł. Mimowolnie się wzdrygnęła. Naprawdę niełatwo zaufać wampirowi.

– Nie, jeszcze nie przysła – odpowiedziała mu zadowolona, że w jej głosie nie dało się słyszeć zaniepokojenia.

– Ach! Najmocniej przepraszam. Dzień dobry wszystkim.

Roztargniony Aleksander podszedł do biurka Jagi i położył na nim kilka zdjęć. Czyżby kolejne zniknięcia? Zerknęła na Morasa i Feliksa, a widząc, jak znacząco popatrzyli na siebie, zrozumiała, że również przejmowali się niewyjaśnioną sprawą. Gdyby tylko potrafiła, chętnie pomogłaby im ją rozgryźć, ale co taka stażystka bez żadnego pojęcia o magii mogła zrobić? Westchnęła ciężko. Najwyraźniej trafiła do Instytutu Absurdu w dość nieciekawym momencie.

By pozbyć się nieprzyjemnych myśli, zaczęła przepisywać notatki Morasa. Tak bardzo skupiła się na zadaniu, że przegapiła przyjście Mai i to, czy na pewno się z nią przywitała... Za to po dwóch godzinach miała gotową mniej więcej połowę. Może niezbyt imponujące osiągnięcie, ale coraz lepiej radziła sobie z obsługą starej maszyny. Układ klawiszy był znajomy, przypominał ten na klawiaturze laptopa, więc sprawnie odnajdywała właściwe znaki. Niestety, podczas opanowywania techniki pisania uzbierała niemały stosik błędnie zapisanych czy pogiętych kartek. Próbowwała go schować, żeby pozostali pracownicy nie zorientowali się, ile papieru zdążyła zmarnować. Otwierała kolejne szuflady w biurku, ale te już wypełniały zapasowe kartki, czyste teczki, koszulki foliowe, skoroszyty czy bruliony. Rozejrzała się po biurze. Inspektorzy zdawali się zajęci swoją pracą. Hmm, jeśli będzie wyglądać na pewną siebie, pewną tego, co robi, to nikt tego nie zakwestionuje. Złapała stosik. Najlepiej byłoby zniszczyć nieudane zapiski – jednak konieczność skorzystania z nietypowej niszczarki do papieru nieco studziła zapał. Cóż, prędzej czy później i tak będzie musiała się przełamać. Zebrała się na odwagę, wstała i skierowała się w stronę drzemiącego gargulca.

Kucnęła i nachyliła się nad nim.

– Panie Granicie? Halo?

Gargulec rozchylił powieki, ale jego wzrok pozostał pusty. Eliza przygryzła wargę. Pomachała mu ręką przed oczami, ale nie zareagował. Zamurowało go! Może by go tak szturchnąć? Postukać? Wyciągnęła rękę, ale nim go dotknęła, ziewnął potężnie i przeciągnął się.

– O! Dzień dobry, Elizka! Czego ci potrzeba?

Omam się nie przewróciła. Powstrzymała chęć piśnięcia, ale wystraszyła się na tyle, że musiała uspokoić oddech.

– Eee... Mam kilka kartek do zniszczenia.

Odebrał od niej plik i odgryzł jeden z rogów. To, z jakim zadowoleniem przeżuwał papier, świadczyłoby, że uraczyła go wykwintnymi delicjami, a nie sprasowaną celulozą. Wzruszyła ramionami. Najważniejsze to robić to, co się lubi, prawda? Myśli Granita musiały krążyć wokół podobnych tematów, bo wypluł do kosza kęs i zapytał:

– No to powiedz, Elizka, jak ci się pracuje w Instytucie?

– Chyba... Chyba dobrze? – rzuciła niepewnie, bo co innego mogła powiedzieć. Po niecałych dwóch dniach trudno było stwierdzić cokolwiek oprócz tego, że Instytut Absurdu zaskoczy ją pewnie nieraz.

– A no pewnie, że dobrze. Jeszcze się do wszystkiego przyzwyczaisz, wszystkiego nauczysz, co trzeba. Fajnie tu u nas jest, zobaczysz. Nawet Malwinka mi ostatnio mówiła, że wydajesz jej się trochę nieopierzoną, ale całkiem bystrą dziewczyną i...

– Malwinka? – przerwała mu zdziwiona.

Przywoływała w głowie kolejne wydarzenia od czasu przybycia do Instytutu, ale nie znalazła w nich informacji o kimś o takim imieniu, kto by tu pracował. Oczywiście nie знаła wszystkich pracowników, wciąż czekała na obiecaną przez panią Lusię wycieczkę po budynku, ale skoro ta cała Malwinka zdążyła sobie wyrobić zdanie na jej temat, musiały się gdzieś przynajmniej minąć.

– No, Malwinka, czyli maszkaron wiszący nad portalem wejściowym, a prywatnie moja żonka. Działa tu jak system monitoringu i nic się przed nią nie ukryje – wyjaśnił Granit pomiędzy przeżuwaniem kolejnych arkuszy.

A jednak Eliza dobrze myślała, że ktoś ją obserwował na schodach podczas pierwszego spotkania z Instytutem Absurdu! Czyli to Malwinka wpuściła ją do środka? Eliza przypomniała sobie wykrzywioną kobiecą twarz wykutą w kamieniu. Ciekawe, czy nigdy nie opuszczała posterunku... Chyba nie mogła bez reszty ciała? Chciała zapytać o to Granita, ale nim zdecydowała, czy pytanie nie jest zbyt wścibskie, gargulec pierwszy się odezwał:

– Ale czasem zobaczy za dużo, a jeszcze więcej sobie dopowie.

Westchnął, włożył do paszczy pozostałe kartki i przeżuwał je naraz.

– To znaczy?

– No wiesz. – Zakrztusił się i wypluł papier. – Że niby ją zdradzam. Strasznie się wkurzyła, gdy pewnego razu przyuważyła, jak zbyttno się spoufalałem z jedną z kariatyd.

– Kariatyd?

– To takie kolumny w kształcie kobiet. Takie eleganckie, fajne, smukłe takie. – Zobrazował gestem ich smukłość. – Podtrzymują na głowach zadaszenie balkonu przy gabinecie dyrektora Kruka. Mają powab. Oj, mają.

– A spoufalaleś się? – spytała Eliza, szczerze zaciekawiona. Czyżby kamienne detale architektoniczne miały ciekawsze życie towarzyskie od niej?

– A gdzie tam. Chwilę pogawędziliśmy i pochwaliłem nową fryzurę. Przecież jeszcze młody i zdrowy ze mnie gargulec, to wiadomo, że sobie czasem zerknę tu i ówdzie. Strasznie zazdrosna ta moja żonka. Ten mój kochany maszkaron. Mówię ci, Elizka. Ty się zastanów, zanim zechcesz się z kimś związać. Na początku czujesz putta w brzuchu i nie myślisz racjonalnie, ani się obejrzysz, a ty scementowałaś się z kimś na wieki. No i zrobione!

Wypluł ostatni strzępek do kosza na śmieci.

– Następnym razem zostaw mu te kartki i szybko zmykaj, bo cię zanudzi na śmierć – podpowiedział Moras konspiracyjnym szeptem, gdy przechodziła obok jego stanowiska.

Całkiem możliwe, że takiemu doświadczonemu wyjadaczowi jak on opowieści gadatliwego gargulca spowszedniały, może nawet znał ich treść na pamięć. Nie powinien jednak winić Elizy za fascynację magicznym światem. Każdy element z nim związany zaciekałby nawet najbardziej znudzonego nowicjusza. Problemy małżeńskie kamiennych rzeźb również się do tego zaliczały. Eliza wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się do inspektora Kłopotliwych Kreatur i wróciła na swoje miejsce. Należało wreszcie zabrać się za napisanie raportu o molach książkowych według notatek i instrukcji dołączonej przez Morasa. Jej pierwsze poważne i samodzielne zadanie! Za żadną cenę nie mogła tego sknocić. Liczyło się pierwsze wrażenie, a zdążyła już nieco je popsuć zagubieniem i niewiedzą, dlatego raport musiał jej wyjść idealnie. Włożyła czystą kartkę, wystukała datę i zamarła ze wzrokiem wbitym w nagłówek. Od czego powinna zacząć? Zerknęła do notatek, w głowie kształtowało się już pierwsze zdanie, ale w obawie, że zabrzmie nieprofesjonalnie, Eliza wciąż nie zdecydowała się go zapisać. Może poprosić kogoś bardziej doświadczonego o pomoc? Dyskretnie zerknęła, co robią inne osoby. Wszyscy zdawali się mocno zajęci swoimi zadaniami. Garlicki sprawdzał zaległe raporty Morasa, który naprędce je tworzył. Maja co chwilę wychodziła do zielarskiej pracowni gdzieś na strychu Instytutu i przynosiła z niej kolejne pudełka z dziwaczными nasionami, które segregowała, opisywała i rozdzielała. Eliza raczej nie chciała wiedzieć, co mogło z nich wyrosnąć. Feliks wyszedł do biblioteki, żeby zająć się katalogowaniem nowych zbiorów – to miejsce koniecznie musiała zobaczyć! – ale jeszcze stamtąd nie wrócił. Jaga wciąż nie przychodziła, ale nikt nie wydawał się tym przejmować.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło południe i w pokoju czuło się coraz większą duchotę. Uznała, że odrobina świeżego powietrza na pewno rozjaśni jej umysł, więc podeszła do okna, ale nie zdążyła nawet pociągnąć za klamkę, gdy jej dłoń została zablokowana czyjąś ręką. Nieznacznie, ale wyczuwalnie chłodniejszą od

przeciętnej. Nie musiała sprawdzać, by wiedzieć, że należała do Garlickiego. Niewiarygodne, a zarazem przerażające, jak szybko się znalazł tuż przy niej! Przeskoczył przez swoje, a potem jej biurko? Przefrunął nad nimi? A może potrafił zamieniać się w mgłę lub nietoperza?

– Ależ, ależ! Panno Elizo! Tak nieludzko mną panna gardzi?!

Gardzi? Odsunęła się, a Garlicki puścił jej dłoń. Spoglądała na niego bezrozumnie. Czym tak bardzo go zdenerwowała? Przecież chciała tylko...

– Och, najmocniej przepraszam, panie Aleksie! Ja nie pomyślałam... Zapomniało mi się – wyrzucała z siebie ze skruchą. No ładnie! O mały włos nie usmażyłaby przełożonego. Ciekawe, jaka groziła za to kara, oczywiście poza wywaleniem z pracy. A może regulamin nie przewidywał takiego zdarzenia?

– Zapomniało się? Och, to doprawdy urocze. Wybaczam panience, ale na przyszłość uprzejmie proszę mieć baczenie na przedstawicieli wampirów w tej jednostce. Zwłaszcza że sama jest panna na najlepszej drodze do zostania jednym z nas.

Eliza spojrzała na niego poblądła i mimowolnie złapała się za szyję.

– Co?! Jak to?!

Chyba nie mówił poważnie!

Czyżby poczuł się urażony zamachem na jego życie po życiu i chciał się zemścić w tak okrutny sposób?

– Zaobserwowałem, że częściej posługuje się panna lewą ręką, a dodając do tego te tycjanowskie włosy, stanowi panna idealną kandydatkę na przyszłą upiorzycę.

– Nie rozumiem... – Rozejrzała się po pokoju, jakby poszukując ratunku u innych inspektorów.

– Wszyscy wiedzą, że leworęczni i rudzi zostają po śmierci wampirami – wtrącił się Moras.

Zamarła. Złapała za wysuwający się z kucyka luźny kosmyk i przyglądała mu się w skupieniu. Zostanie wampirem? Zaraz! Przecież jedyny, którego poznała, nie był ani rudy, ani leworęczny!

– Pan Aleks tylko sobie żartuje z wiejskich przesądów. Nie przejmuj się ich durnym poczuciem humoru. Masz naprawdę ładny kolor włosów, Elizo – odezwała się milcząca do tej pory Maja. – A wy naprawdę moglibyście dać jej spokój – zwróciła się do kolegów.

Ze stanowczą miną Maja wciąż wyglądała prześlicznie, a Eliza uznała, że błyski zniecierpliwienia w oczach dodawały jej uroku. Na pierwszy rzut oka można było jednak przegapić jej urodę. Chociaż określiła się jako w połowie rusałka, świadomie czy nie, ukrywała ją pod specyficznym dobranym ubiorem.

Śmieszne, raczej sztuczne słoneczniki doszyte do sukienki tylko to potwierdzały. Chyba jedynie pani Lusja ubierała się bardziej ekstrawagancko.

– Oczywiście, to tylko żarty. Wampirami zostają małe, wścibskie...

– Wiktor! – upomniała go Maja.

– Jeszcze raz przepraszam – powiedziała Eliza i spojrzała na Garlickiego błagalnym wzrokiem, ale ten nie wyglądał na zagniewanego. – Po prostu chciałam przewietrzyć pokój.

– Rozumiem i nie gniewam się, panno Elizo.

– Jeśli dalej będzie ci za gorąco, to załatwi się jakiś wentylator – dodała Maja. – Dla mojego kochanego Narcysia też zrobiliśmy mały wyjątek.

Przerośnięta muchołówka stała na parapecie, gdzie wygrzewała się w promieniach skierowanej na nią lampy LED. Przekręcała się co chwilę, niczym człowiek, który chciał raz opalić przód, raz plecy.

– Nie cierpię tej rośliny. Zachowuje się jak pępek świata – zaburczał cicho Moras.

Urażenie malujące się na twarzy Mai wskazywało na to, że musiała usłyszeć komentarz kolegi. W oczach rusalki kryło się też coś na kształt zawodu. Eliza dziękowała sobie w myślach, że zauważyła to, nim przyznała się na głos, że podzielała zdanie Morasa.

– A wszyscy wiedzą, że to twoja rola. Obawiasz się konkurencji tego zielska? – zadrwił Garlicki, a Moras pokiwał głową i obaj się roześmieli.

– Nie słuchaj ich, Narcysiu. – Maja odwróciła się do nich tyłem i z czułością pogłaskała liściasty łeb rośliny.

Eliza stłumiła śmiech. Usiadła z powrotem przy maszynie do pisania. Położyła palce na klawiszach, ale nadal nie nacisnęła żadnego. No bo jak tu zacząć? Sięgnęła po notatki Morasa, a z przybornika na biurku wybrała kolorowe zakreślacze. Na zielono zaznaczyła te informacje, które zdecydowanie powinna ująć w raporcie, na żółto te mniej istotne. Po skończeniu niewiele zdań pozostało niepodkreślonych. Ech, przecież nie przepisze całych notatek! A może właśnie powinna? Podrapała się zatyczką od pisaka po brodzie. Nie, zgodnie ze wskazówkami to powinno być skrótowne opracowanie zawierające najważniejsze dane. Nieraz przecież pisała tego typu streszczenia. Teraz też da radę! Tylko najpierw należało zacząć, a potem to już pójdzie z góry.

Zacząła od krótkiej charakterystyki kłopotliwej kreatury, z jaką przyszło się zmierzyć inspektorom. Wychodziło z niej, że „mól książkowy” to nie tylko zwykłe powiedzenie, lecz także poważna sprawa. Złośliwe, żywotne stworzonka szybko powiększały swoją populację i potrafiły rozprzestrzenić się po całym księgozborze, niemal doszczętnie go niszcząc, jeśli w porę się ich nie ujarzmiło. We Wrocławiu znalazły się przez przypadek. Przeniesiono je razem

z zainfekowanymi książkami z prywatnej kolekcji niedbalskiego czarownika, która trafiła do Biblioteki Uniwersyteckiej. O incydencie w porę został poinformowany Instytut Absurdu, do akcji wkroczyli Wiktor Morawski i Aleksander Garlicki, którym udało się opanować niszczycielską chmurę. Z opisem przebiegu akcji Eliza miała najmniejszy problem – w końcu widziała ją na własne oczy. Na koniec dodała jeszcze wzmiankę o uprzątnięciu z miejsca akcji wszystkich moli i mogła uznać zadanie za wykonane. Szkoda było jej tylko tych zniszczeń w bibliotece. Wzdrygnęła się, gdy powróciły do niej wspomnienia podartych książek i powywracanych regałów. Aż dziw, że miasto jeszcze o tym nie huczało.

Wyciągnęła z urządzenia kartki i złożyła na biurku akurat w momencie, kiedy podszedł do niej Moras. Nachylił się nad raportem, ale można było odnieść wrażenie, że tylko pobieżnie na niego zerknął albo miał nadludzkie tempo czytania, bo nie minęło kilka sekund, jak zawołał:

– I git! Lepiej sam bym tego nie napisał! Zrób jeszcze jedną kopię i mamy to z głowy.

– Serio? Nic byś nie poprawił?

– Nie, wspaniale się spisałaś, Elizaczku. Chociaż... – Poglaskał się po brodzie. – Mogłabyś dopisać, jak wielkie odniosłem straty w walce i że by stłamsić wroga, poświęciłem najlepsze spodnie.

– Ten raport mógłby nie udźwignąć takiego bohaterstwa – odgryzła się, za co otrzymała od Morasa kuksańca.

Dałaby też sobie rękę uciąć, że dotarło do niej przytłumione parsknięcie śmiechem Garlickiego, ale nie roztrząsała tego i zabrała się do roboty. Kończyła przepisywanie drugiego egzemplarza, gdy do biura wpadła Strzyga. Ugięła się pod ciężarem gigantycznej sterty papierów, które z hukiem rzuciła na biurko swojego zastępcy. Aż dziw, że mebel wytrzymał atak. Wampir spojrzał z wyrzutem na naczelniczkę, a w pomieszczeniu rozległo się jego donośne westchnięcie.

– A to dopiero połowa – wyjaśniła kwaśno Strzyga. – I to głównie skargi na waszą opieszałość. Ogarnijcie się!

Garlicki pokiwał smętnie głową. Przysunął sobie wieżę z dokumentów, zaczął przeglądać kolejne pisma i dzielić je na mniejsze stosy, które zapewne miały trafić do poszczególnych inspektorów. Eliza wyłapywała jego ledwo słyszalne mamrotania o tym, jak to petenci stawali się coraz bardziej zuchwali i roszczeniowi. Uśmiechnęła się pod nosem. Naczelniczka zdawała się jednak zupełnie nie przejmować narzekaniem zastępcy. Zostawiła go i podeszła do Elizy, która natychmiast wyprostowała się przy maszynie do pisania. Strzyga chwilę patrzyła na przepisywany raport i stażystka nie mogła się pozbyć irracjonalnego

poczucia, że jest niczym uczeń przyłapany na ściąganiu na egzaminie. Musiała mocno się skupić na tym, żeby trafiać w odpowiednie klawisze. Nie mogła przecież popełnić błędu na oczach przełożonej, po raz pierwszy obserwującej jej poczynania w nowej pracy. Nie ułatwiało to zadania. Minęło pewnie kilka sekund, ale mogłaby przysiąc, że to były wieki, nim w końcu Strzyga zacmokała i bez komentarza wyszła z biura.

– Widzisz, Elizaczku. Skoro nie skrytykowała, to znaczy, że dobrze sobie radzisz – odezwał się wesoło Moras.

– Aha, czyli to nie jest typ, co chwali?

– Nie. To jest typ, co jesteś zadowolona, jak nie opiernicza. Ale jedno trzeba jej przyznać, jest surowa, ale sprawiedliwa – oznajmił, a kiedy Eliza uniosła pytająco brew, dodał: – Pamiętam, jak sam tu zaczynałem. Strzydze nie spodobał się mój sposób bycia i chyba nadal szczerze mnie nie znosi, ale dostawałem i dostaję tyle samo roboty co inni. No, może przez pierwsze miesiące katowała mnie przepisywaniem raportów od nowa, że niby używam zbyt potocznego języka. Ale czy to takie ważne, żeby tak sztywno wszystko brzmiało?

Przytaknęła, na co Moras zareagował jękiem zawodu.

– No co? Chyba nie może być tu tak absurdalnie, żeby zamiast językiem urzędowym odpowiadać w pismach potocznym? Czy jednak jest? – zastanowiła się na głos Eliza i dotarło do niej stłumione parsknięcie śmiechu, dochodzące od strony biurka Garlickiego.

– Feliks w spódnicy – burknął Moras. – Właśnie tego nam tu brakowało.

– O, właśnie! A jak ty tu trafiłeś, jeśli mogę spytać?

– Aleks. – Inspektor wzruszył ramionami. – To jego zasługa. Nasz wspólny znajomy polecił mnie jemu, a on uznał, że się nadaję, i załatwił mi pracę. Ma chody u Strzygi.

– Zawsze myślałam, że wampiry i wilkołaki nie przepadają za sobą. W większości książek i filmów tak jest. Wy wyglądacie na zgrany zespół. Dogadujecie się, nie?

Nim Moras zdążył odpowiedzieć na to pytanie, głos zabrał Garlicki:

– Na tym polega profesjonalizm, panno Elizo. – Zakręcił pióro, którym adnotował rozdzielone pisma, i odłożył je na bok. – Nie pozwalać, by osobiste urazy wpłynęły na ocenę kompetencji i atmosferę w pracy.

Wilkołak bezgłośnie powtórzył wypowiedź Garlickiego, przedrzeźniając go i parodiując hrabiowskie maniery. Wampir wzniosł oczy ku sufitowi, ale powstrzymał się od komentarza.

– Nie daj się zwieść pozorom, Elizo, to najlepsi przyjaciele – wtrąciła się Maja, a Moras udał, że jest mu niedobrze. – Jeden by za drugim w ogień skoczył – dodała, ignorując jego zachowanie.

Mężczyźni już szykowali się, żeby zaprzeczyć słowom rusalki, gdy z hukiem do środka wpadła Jaga. Znów wyglądała, jakby wróciła prosto z rockowego koncertu, ale dziś sprawiała wrażenie nieco sfatygowanej. Mocny makijaż rozmazał się gdzieś, a jej bardzo ciemne i krótko ścięte włosy, ostatnio starannie ułożone, sterczały na wszystkie strony niczym po trafieniu piorunem. Oddychała ciężko, jakby przebiegła całą drogę do Instytutu.

– Ol... ol... olbrzym! – wydukała z przejęciem.

– Dziękuję, nie pierwszy raz to słyszę – zażartował Moras.

W odpowiedzi wiedźma posłała mu jadowne spojrzenie kocich oczu. Nieznany Elizie cudem mężczyzna nie spłonął na miejscu pod jego wpływem. Jaga odwróciła się do niego plecami, złapała kolejny oddech, przełknęła ślinę i zawołała:

– Olbrzym! U mnie! W mieście! W Poznaniu!

– Co?! – odparli wszyscy chórem.

Eliza rozejrzała się po biurze. Każdy z pracowników miał równie zaskoczoną minę. A więc olbrzymy w mieście najwyraźniej stanowiły coś absurdalnego nawet dla nich? Co za ulga!

– Niesłychane! Olbrzymów od wieków nie spotyka się w Polsce. Nawet ja żadnego nie zdążyłem zobaczyć, a chodzę po tej ziemi niespełna dwieście lat – zdumiał się Garlicki.

– Wiem o tym, ale mówię, co widziałam. Wracałam z klubu i zobaczyłam ogromny, poruszający się kształt. Zaniepokoiłam się. Podbiegłam bliżej. To był olbrzym! Długo go śledziłam, ale mi zniknął nad ranem. Dlatego się spóźniłam. Spędziłam kilka godzin na przeszukiwaniu starego miasta, ale nie natrafiłam na żaden ślad...

– Jak można zgubić olbrzyma? – Moras wszedł jej w słowo. – Jesteś pewna, że naprawdę go widziałaś i to nie wina procentów? Chuchnij!

– Ostrzegam, dość już mam twoich żartów! Nie miałam możliwości się przespać. Jestem zmęczona i wściekła!

– Spokojnie. Naszym obowiązkiem jest to sprawdzić.

Garlicki najwyraźniej nie musiał podnosić głosu, by okiełznać zespół. Eliza sama poczuła się przywołana do porządku, choć upomnienie nie zostało przecież skierowane do niej. Milcząca dotąd Maja również zasłoniła dłońmi usta, a Jaga i Moras natychmiast zamilkli i odsunęli się od siebie na bezpieczną odległość. Ukontentowany wampir odwrócił się, by sięgnąć po trenażer i kapelusz. Owijał twarz szalem, gdy Moras, najwidoczniej niepotrafiący się powstrzymać, by nie wykorzystać okazji do dalszego dogryzania Jadze, zapytał cicho:

– A białych myszek nie widziałaś?

– Jak chcesz, to zaraz jedną zobaczę! – krzyknęła Jaga, wyciągnęła palec i pogroziła mu. – Elizo, patrz uważnie, pokażę ci, jak się pozbyć natrętnego dupka.

– Ej, no bez przesady! Lepiej byś mnie poprosiła o pomoc.

– Ja mam cię prosić? Kłopotliwe Kreatury się kłaniają, to twoja działka!

– Och, na litość, opanujcie się! – Garlicki po raz pierwszy uciekł się do ostrzegawczego warknięcia. – Jak to o was świadczy? Mhm... Niech panna Eliza i Maja wybaczą moje wzburzenie, ale to po prostu przechodzi wampirze pojęcie.

Jaga westchnęła ciężko. Podeszła do swojego biurka i ominęła je, by dostać się do szafki. Wyciągnęła z niej kilka różnokolorowych fiolek, przeglądała je, a wybrane wrzuciła do torby. Moras tylko schował w tylną kieszeń jeansów składany nóż myśliwski. Założył ręce na piersi i oparł się o drzwi, czekając na resztę.

– Idziemy! Bądź grzeczna, Elizaczku – powiedział, gdy Garlicki i Jaga skończyli się szykować i dołączyli do niego. – Słodka Pszczółka się tobą zaopiekuje, prawda?

– Pewnie – zapewniła cichutko zarumieniona Maja.

Wyszli, a Eliza spojrzała na łagodnie uśmiechającą się do niej rusałkę. Zdenerwowana, nie potrafiła jednak odwzajemnić uśmiechu i tylko przygryzła wargę.

– Nie martw się, Elizo. Na pewno sobie poradzą. To najbardziej doświadczeni pracownicy – zapewniła ją rusałka i wróciła do swoich nasionek.

Eliza westchnęła i pokiwała głową. Martwieniem się olbrzymem na pewno im nie pomoże. Zatarła ręce i zabrała się za kończenie przepisywania kopii raportu i poprawianie pozostałych notatek przekazanych przez Morasa. Uporała się z tym dość szybko, więc Maja poprosiła ją jeszcze o sprawdzenie raportu, dzięki czemu stażystka nie musiała umierać z nudów albo wpatrywać się tępo w maszynę do pisania. Dostała czerwony długopis do zakreślania błędów, ale Maja pisała na tyle poprawnie i zrozumiale, że Eliza nie miała nic do roboty i tylko pochłaniała kolejne informacje o magicznym świecie. Problem z zaginięciem magicznych nawozów do roślin w szkółce Leszego. Tak, TEGO Leszego. Najwyraźniej demony ze słowiańskich legend były jak najbardziej prawdziwe i potrafiły się przystosować do współczesnych czasów. Oderwała wzrok od ostatniej strony, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi.

– Jak wam poszło? – zapytała, choć zdenerwowana mina Morasa, zawiedziona Jagi i umęczona Garlickiego mówiły same za siebie.

– Niestety nie znaleźliśmy niczego, co by wskazywało na obecność olbrzyma w Poznaniu – poinformował wampir.

– Mówiłem, że to tylko omamy – prychnął Moras. Przysiadł na swoim stole, a z założonymi na piersi rękami przypominał obrażonego przedszkolaka. – Cały dzień zmarnowany, bo koleżanka nam zabalowała.

Jaga wyglądała jednak na całkowicie trzeźwą i śmiertelnie poważną.

– Niczego nie zmyśliłam. Naprawdę go widziałam.

Eliza nie miała powodów, by jej nie wierzyć. Jeden absurd w tę czy w tamtą stronę, co za różnica. Jednak po znikających ludziach, znikający olbrzym to było ciut za dużo, jak do przetrwania na raz. Jak takie monstrum mogłoby się ukryć w centrum tłoczego miasta? I gdzie?

Kiedy następnego dnia Eliza weszła do sekretariatu, przywitał ją radosny, przesłodzony, ale szczery głos.

– Dzień dobry, truskaweczko!

Za pulpitem stała jak zawsze szeroko uśmiechnięta pani Lusia. Że też o tak wczesnej porze nie wyglądała na ani trochę niewyspaną! W karminowej sukience wyszywanej złotymi cekinami i z włosami przewiązanymi zieloną kokardką sama przypominała truskawkę.

– Dzień dobry – odpowiedziała jej Eliza i potwierdziła obecność na liście. – Miłego dnia, pani Lusi – dodała i już kierowała się w stronę wyjścia, gdy sekretarka zawołała:

– Sekundkę, jeszcze jedno!

Odwróciła się. Pani Lusia właśnie wyszła zza biurka i ruszyła w jej stronę.

– Zaraz znajdę kogoś do przypilnowania sekretariatu i możemy iść zwiedzać Instytut. Trzeba ci tu wszystko pokazać, wszystkim przedstawić! Nasz nowy pracownik!

– Och! Po co to zamieszanie... – wydusiła z siebie Eliza.

Euforia pani Lusi zupełnie jej nie pasowała. Kto by się przejmował zwyczajną stażystką przy takich niezwykłościach. Ale dziewczyna była ciekawa, co jeszcze krył Instytut i kim byli jego pozostali pracownicy. A co, jeśli im się nie spodoba? Uznają ją za piąte koło u wozu? Lęk powoli zagłuszało podekscytowanie na myśl o tym, że za chwilę zwiedzi niesamowite miejsca, których do tej pory nie widziało wielu śmiertelników. Może, gdy pozna wszelkie zakamarki, przestanie w końcu się gubić? No to pokaż, co tam chowasz w zanadrzu, Instytucie!

– Jakie zamieszanie?! W końcu nie bez powodu cię tutaj mamy, słodziutka – dodała sekretarka.

– Eee... Nie rozumiem.

– Jak to? Przecież wiesz, że to sprawka Instytutu, że tu pracujesz, tak? Uznał, że cię potrzebuje, i całkiem mocno się postarał, byś tu trafiła... – Urwała i znacząco mrugnęła do Elizy. – Magia!

Stażystka próbowała wyczytać z miny pani Lusi, co dokładnie miała ona na myśli. Mocno się postarał? Magia? Przypomniała sobie słowa Morasa o zbyt dużym stężeniu absurdu, o wirujących urządzeniach elektronicznych. O, nie! Czyżby to oznaczało...

– Chce pani powiedzieć, że...

Pani Lusia nie dała jej dokończyć pytania.

– No to poczekaj tu na mnie. Minutka i jestem z powrotem!

Kobieta wyszła bez oglądania się za siebie, a Eliza uniosła do góry ręce i opuściła je bezradnie. Jeśli dobrze zrozumiała, jej obecna sytuacja była sprawką Instytutu. To by się zgadzało – nie zapomniała się zarejestrować, nie ubzduriała sobie, że zrobiła przelew, tylko wzywał ją do siebie absurd. Ciekawe, co by powiedziała pani w dziekanacie na wieść, że w systemie uczelni namieszała magia. Ha! Żeby tylko w systemie! Namieszała też i w życiu Elizy. Powoli obracała się wokół własnej osi, wbijając wzrok w ściany, jakby szukała w nich czającego się wroga.

– Hej, Instytucie, to ty mnie tak urządziłeś?! – Wzięła się pod boki. Próbowała przy tym ignorować, jak niepoważnie musiała wyglądać, gdy kolejny raz usiłowała porozumieć się z budynkiem. – Aż tak mnie potrzebujesz? Niby po co? Warto było zakłócać moją rekrutację? Przez ciebie nie dostałam się na studia, wiesz? Może w takim razie zafundujesz mi zaoczne!

Trzasnęły drzwi sekretariatu. Zaskrzypiały szuflady i drzwiczki w szafkach i biurku. Lampa z ozdobnym kloszem zwisająca z sufitu zabujała się, a światło żarówki mrugało. Jasno, ciemno, jasno, ciemno... Szybciej i szybciej jak w horrorze. Eliza nigdy za nimi nie przepadała, a dobrowolnie przychodziła do – jak widać – nawiedzonego domu. Klepki parkietu coraz mocniej drżały pod jej nogami. A co, jeśli się rozstąpią i wpadnie w otchłań? Powinna wskoczyć na biurko, czy je też pochłonie ураżony budynek?

– Dobra, przepraszam! Nic już nie mówię! Będzie po twojemu! Przepraszam! – zawołała spanikowana i wtedy na głowę Elizy osypało się odrobinę tynku i Instytut się uspokoił.

Przestało skrzypieć, trzeszczeć, a jedynym, co nadal się trzęsło, były nogi dziewczyny. Zapanowała nad nimi i jęknęła z wyraźną ulgą. Wytrzepała z włosów opadłe odpryski z sufitu. Podskoczyła w miejscu, gdy otworzyły się za nią drzwi do pomieszczenia.

– Ładnie, ładnie, Elizo.

Odwróciła się i napotkała wymowny uśmiech Feliksa. Nie miała złudzeń, że drganie musiało być odczuwalne na każdym pięttrze. Świetnie, jakby mała zaliczyła okazji, by wyjść na głuptasa! Co jej w ogóle strzeliło do głowy, by prowokować magiczny budynek? Nie żeby mógł najpierw zapytać ją o zdanie, nim namiesza w jej życiu...

– Nie każdemu udaje się wywołać taki efekt na dzień dobry – kontynuował Feliks. – Cicha woda.

– Uhm...

Spojrzała bezradnie na starszego kolegę. Poprawił okulary na czubku nosa, a Eliza wykrzywiła usta w podkówkę. Inspektor westchnął.

– Dobra, jakby co, to mówimy, że przyszła wiedźma Smysława. Ta to dopiero ma talent do irytowania Instytutu swoją obecnością... No, w sumie każdego!

Dziewczyna nie miała pojęcia, kim była wiedźma Smysława i czy w ogóle chciała się przekonywać, czy Feliks miał o niej słuszne zdanie, ale pokiwała głową.

– Dzięki!

– Leć już, pani Lusia czeka na korytarzu. A ja postaram się cieszyć ostatnimi sekundami ciszy, nim zadzwoni pierwszy pete... – urwał, gdy zabrzączał telefon. – Ech! No i masz!

Feliks usiadł na miejscu pani Lusi i podniósł słuchawkę. Jego twarz niemal natychmiast przybrała udręczony wyraz. Może dzwoniła wspomniana wiedźma? Eliza stłumiła chichot i wymknęła się po cichu z sekretariatu.

– O, słodziaczku, ale dorzuciłaś do pieca! – Pani Lusia zagarnęła ręką niczego nie spodziewającą się Elizę. – Kto by pomyślał?! Taka drobinka, a tyle werwy! Ale najważniejsze, że wszystko sobie wyjaśniliście z Instytutem. Takie niedopowiedzenia źle działają na atmosferę w pracy. Zawsze to powtarzam. Ale teraz już wszystko dobrze, tak? – Poklepała stażystkę po ramieniu. – Cudownie! To czas na małe zwiedzanie! Zacniemy od specyficznego miejsca, a potem pójdzie już z górki – zaszczębiotała i puściła do niej oko.

Liczba słów i prędkość, z jaką je wypowiadała, skołowałyby niejednego. Eliza co prawda starała się poskładać w całość sens wypowiedzi pani Lusi, ale nie miała na to dość czasu, bo zaciągnięto ją w stronę drzwi znajdujących się naprzeciwko sekretariatu. W głowie huczało jej tylko ostatnie określenie. Specyficzne miejsce. Czy to jakiś podstęp? Już raz sekretarce udało się wpuścić ją w maliny. Chociaż archiwum, bo tabliczką z taką nazwą oznaczono pomieszczenie pod numerem setnym, nie zapowiadało niczego straszego. Raczej kurz i nudy, prawda?

– No, to wycieczkę zaczynamy od archiwum – poinformowała pani Lusie, opierając rękę na klamce. – Zaczyna się właśnie tutaj, od pierwszego piętra

i ciągnie w dół, przez parter aż do piwnicy. Hmm... A może i jeszcze głębiej?

Sekretarka gestem zachęciła Elizę, żeby weszła do środka. Stażystka chciała jeszcze zapytać, o co dokładnie chodziło z głębokością archiwum, ale jej uwagę skupił znajomy skrzat, którego wypatrzyła przy pierwszym stoliku. Zasypany papierami siedział na wysokim stołku barowym, dzięki któremu dosięgał blatu, a jego krótkie nogi dyndały w powietrzu. Majtał nimi, gdy ze skupioną miną zapisywał coś w grubym zeszycie. Musiał poczuć się obserwowany, bo uniósł głowę, ale na widok Elizy uśmiechnął się i pomachał na przywitanie. Odmachała mu i rozejrzała się po wnętrzu. Wyglądałoby jak typowe, stare archiwum z regałami i szufladami pełnymi zakurzonych teczek, gdyby nie wielka dziura na środku pomieszczenia, w której zamontowano ogromne, kręte schody prowadzące w dół. Co tam mogło się kryć? Podeszła do nich i zajrzała w głąb otworu. Mimo półmroku zobaczyła kolejne wypełnione szafki. Wydawały się wyrastać z nieskończoności. „Przez parter aż do piwnicy, a może i jeszcze dalej”, Eliza przypomniała sobie słowa pani Lusi. Jak daleko? Do wnętrza Ziemi? Czyżby tu działał analogiczny efekt, jak w pokoju inspektorów? Pomieszczenie samo powiększało się magicznie do odpowiednich rozmiarów, gdy przybywały nowe sprawy do przechowania? Wychyliła się jeszcze bardziej, ale ciemność nie pozwalała na dostrzeżenie dna. Stażystka spostrzegła za to coś innego. Zmrużyła oczy. Unoszące się blade, niebieskawe światło zmierzało w jej kierunku.

– O, cholera! – Eliza cofnęła się odruchowo.

Temperatura w pomieszczeniu obniżyła się. Lodowaty powiew zjeżył jej włoski na odsłoniętych rękach, a nogi niemalże odmówiły posłuszeństwa. Zaraz zemdleje! Spadnie do środka i skręci kark. Tak się skończy jej przygoda z Instytutem...

Pani Lusia przezornie złapała ją pod ramię.

– Oto i jest! Nasz kochany Jan Sulima! – zawołała radośnie.

– Serio, duch? – wyszeptła zszokowana Eliza. Wypadałoby chyba uprzedzić nowego pracownika, przygotować na to, że powinien się spodziewać nadnaturalnego bytu, sunącego złowieszczu w powietrzu.

– Oj, nie ma co się tak krygować, aniołku!

Niewzruszona pani Lusia objęła podopieczną ramieniem i poprowadziła w stronę zjawy. Eliza zapierała się nogami, ale z marnym skutkiem. Skąd pani Lusia miała tyle siły? I dlaczego w Instytucie pracował duch?! Co za absurd! Obecność wampira, wilkołaka czy wiedźmy w kadrze można było łatwiej zaakceptować. Przynajmniej wyglądali jak zwykli ludzie. Co innego półprzezroczysta, niebiesko-biała smuga o kształcie zgarbionego staruszka! Ona każdego przyprawiłaby o zawał!

– Jan Sulima, nasz archiwista! – przedstawiła pani Lusia. – Dawniej był średniowiecznym kronikarzem. A w Instytucie pracuje praktycznie od samej śmierci... To będzie dokładnie... Czterysta? Nie, prawie pięćset... No, w każdym razie bardzo długo! Zna każdy pojedynczy paproch w tym miejscu, złotko.

To miało sens. Taki wiekowy duch musiał być jednak świetnym pracownikiem. Po pierwsze gwarantował doświadczenie i nieocenioną wiedzę, a po drugie nie męczył się i nie potrzebował robić sobie przerw. Pewnie nawet nie pobierał wypłaty, bo na co by ją przeznaczał?

– Dzień dobry, najmilszy – przywitała się pani Lusia.

Eliza zdołała jedynie przestać się trząść i wykrzywić usta w niewyraźnym grymasie.

– Witajcie, zacne panie, w ubogich progach skromnego sługi! – Sulima krótko odwzajemnił uprzejmości. Jego dudniący, zachrypnięty głos przenikał przez całe ciało aż do kości. – Trefniś! Obacz naprędce owo decretum, ale wprzód podajże dokumenta, o których wcześniej napomkłem. Tedy viribus unitis pośledzim, w czym rzecz.

Gdyby ktokolwiek poprosił Elizę o przetłumaczenie słów Sulimy, nie potrafiłaby tego zrobić, ale Trefniś najwyraźniej nie miał z tym problemu. Jego ogromne, niesamowicie niebieskie oczy błysnęły czujnie. Szybko zeskoczył ze stołka i zwinnie jak małopka wspiął się po półkach, by wyciągnąć podniszczoną, starą teczkę. W tym czasie Sulima podleciał do swojego biurka. Jako duch nie mógł rzecz jasna zasiąść na krześle, ale unosił się kilka centymetrów nad siedziskiem. Trefniś dobiegł do archiwisty, otworzył teczkę i rozłożył ją przed nim na blacie. Sulima pochylił się nad dokumentami. Zdawał się nieobecny, całkowicie poświęcony swojemu zajęciu, zupełnie jakby zapomniał o gościach. Eliza nie poczuła się tym ani trochę urażona, wręcz przeciwnie. Głupio założyła, że pomału przywyka do dziwactw Instytutu Absurdu. Od archiwum powinna trzymać się z daleka! Uznała, że najlepiej jak najszybciej opuścić to miejsce, więc pociągnęła panią Lusię za nedorzecznie różowe i puchate futerko, które miała zarzucone na sukienkę, i szepnęła:

– Jestem pewna, że zobaczyłam już wszystko, co powinnam zobaczyć. Poza tym chyba przeszkadzamy w ważnej pracy.

– Tak? To w porządku. Pamiętaj, że tutaj, kotuś, możesz przyjść zawsze, gdy będziesz chciała zajrzeć do jakiejś starszej sprawy. Trefniś ci to wyszuka. No, to lecimy dalej!

Gdyby Eliza nie przejmowała się zwracaniem na siebie uwagi, otarłaby teatralnie czoło z potu. Pozostało jej tylko z ulgą wyjść za sekretarką z archiwum. Oby nie musiała często korzystać z tego miejsca i usług zjawy.

– Teraz zapoznam cię, kotuś, z zupełnie inną, ale równie ciekawą osobą – zaszcebiotała pani Lusią. – Odwiedzamy moją dobrą koleżankę.

Dobra koleżanka? Jej chyba nie należało się obawiać. Poza tym, czy istniało coś gorszego niż duch? Eliza nie potrafiłaby wskazać kogoś takiego. Posłusznie podreptała za panią Lusią. Pomyślała, że szkoda, że nie potrafi tak kołysać na boki biodrami jak ona. Ominęły sekretariat i zatrzymały się przy drzwiach z plakietką: „Grażyna Wąs, Główna Księgowa”. Pokój mógłby uchodzić za skup segregatorów, z których połowę utworzono i porozkładano na podłodze tak, że Eliza nie wiedziała, gdzie można postawić stopę. Niewysoka, pulchna kobieta w ponurym, wełnianym żakiecie w jodełkę przeskakiwała od jednego do drugiego, kartkując, czegoś szukając i złorzecząc pod nosem. Trzymała w ustach krótkiego, prawie w całości wypalonego papierosa – aż dziw, że nie przypiekł jej warg. Całe pomieszczenie wypełniał siwy, gryzący dym. W kącie przy oknie Eliza dostrzegła siedzącego, najpewniej znużonego gargulca, łudzaco podobnego do Granita, który chrząkał i prychał. Pewnie przeszkadzał mu dym. Chciała zapytać panią Lusię, czy on także zastępował niszczarkę do papieru, ale kobieta zdawała się czytać w myślach.

– Gburek, gargulec-pomocnik – szepnęła jej na ucho pani Lusią, nim Eliza zdążyła zadać pytanie.

– Pani Lusią! – zawołała księgowa.

– Cześć, Grażka, kochanie moje!

Kobiety przywitały się cmokaniem w powietrzu. Księgowa nawet nie wyciągnęła pęta z ust, ale pani Lusi chyba to nie przeszkadzało. Co za niezwykła kobieta! I ciekawe, że mówiła do każdego po imieniu, często używając zdrobnień i dziecinnych określeń, ale pozostali pracownicy, dyrektor i Strzyga zwracali się do niej per pani Lusiu. O co tu mogło chodzić?

– Coś dzisiaj zatrzęsło budynkiem, czy mi się zdaje? – odezwała się księgowa, a Eliza natychmiast wróciła na ziemię.

– Wiedźma Smysława – uprzedziła z odpowiedzią panią Lusią.

Grażka zmrużyła oczy, jakby dopiero teraz zorientowała się, że ktoś oprócz sekretarki złożył jej wizytę. Zdjęła okulary, chuchnęła na jedno i drugie szkło, po czym przetarła je mankietem garsonki, nie odrywając wzroku od Elizy.

– Pozwól, że przedstawię ci Elizę Żaczek! – powiedziała uroczyście pani Lusią, objęła Elizę i wysunęła ją na środek pomieszczenia, gdzie jeszcze pozostała odrobina podłogi niepokrytej teczkami.

– To jest to nowe dziewczę, tak? – spytała księgowa ochryłym głosem. Teraz już niemal na nią nie patrzyła, znów zajęta przerzucaniem rozłożonych dokumentów. – Mhm! Ujdzie w tłoku. Byleby pamiętała, jak rozliczenia wypełniać. Nie mam potem czasu po was tego poprawiać. Nie łudźcie się, że

wszystko będę za was robić. Już ja was znam! Najlepiej wszystko na mnie zwalić! A ja mam jeszcze salda do uzgodnienia. To jak, będziesz umiała wypełnić rozliczenie, dziecko drogie?

– Och, na pewno! – zapewniła pani Lusia. – Jak na razie świetnie sobie radzi. Prawda, słoneczko?

– Yhy... – mruknęła jedynie Eliza.

Wyraźnie poczuła na sobie wzrok księgowej, która otaksowała ją z góry na dół. Nic przy tym nie powiedziała, ale jej surowy, oceniający wzrok i powątpiewająca, kwaśna mina stanowiły wystarczającą odpowiedź. Pomimo wyraźnych różnic w aparycji skojarzyła się Elizie ze Strzygą. Dlaczego bardziej przestraszyła się ducha? To nie Bernard Kruk czy Strzyga rządili w Instytucie, ale ona, Główna Księgowa. Całą postawą dawała do zrozumienia, że potrafiłaby wszystkich rozstawić po kątach. Cóż, w końcu to ona trzymała kasę.

– Droga pani Lusi, porozmawiałabym dłużej, ale mam sporo dokumentów do zaksięgowania. Ale proszę do mnie wpaść w przerwie na kawę i ciacho.

– Och, oczywiście, słodziutka!

Eliza nie użyłaby takiego określenia w stosunku do głównej księgowej. Jeśli koniecznie musiałyby wskazać któryś ze smaków, prędzej wybrałaby kwaśną, może nawet zgorzkniałą. Z taką właśnie miną, nie zwracając uwagi na gości i nie czekając, aż wyjdą, Grażka rzuciła się w wir pracy. I najwyraźniej absurdalność Instytutu nie pozwalała na korzystanie z kalkulatora. Zamiast tego księgowa pochwyliła liczydło i z niesamowitą prędkością zaczęła przerzucać kolejne koraliki. Dosyć grube palce, ozdobione mnóstwem pierścionków, poruszały się tak szybko, że pozostawiały w powietrzu złote wstęgi. Eliza obserwowała pracującą kobietę jak zahipnotyzowana, gdyby nie pani Lusia, która wskazała dyskretnie na drzwi.

– Tutaj można palić? – zapytała, gdy wróciły na korytarz i mogły znów swobodnie oddychać.

– A zabronisz jej, kwiatuszku?

Stażystka nie odpowiedziała, a pani Lusia tylko uniosła wymownie brwi i zabrała ją na schody prowadzące na drugie piętro. Tam znajdowały się gabinety dyrektora Kruka i naczelniczki Ostrzyżek, które stażystka odwiedziła już wcześniej. O ile nie miała nic przeciwko, by przywitać się z Szeferem, tak szczególnie uśmiechało jej się spotkanie ze Strzygą. Nie protestowała więc, gdy pani Lusia minęła ich drzwi, tylko przypominając, kto urzędował w środku, i zatrzymała się dopiero przed pomieszczeniem oznaczonym tabliczką z nazwą: „Sala Konferencyjna”.

– Tutaj, laleczko, odbywają się spotkania z przedstawicielami różnych społeczności magicznych i mitologicznych. No wiesz. Takie ważne mityngi. A to

przyjedzie delegacja z innego instytutu, a to organizujemy jakieś konferencje naukowe albo szkolenia i wykłady. A czasem trzeba zwołać takie kryzysowe zebranie w ważnych... No, jak coś pierdyknie!

– A te czarne plamy?

Idealnie białe ściany miejscami pokrywały zabrudzenia jakby z sadzy. Zabawne, ale kształtem przypominały Elizie niewysokich, ale krępych ludków...

– Och, to! To po ostatniej, burzliwej debacie. Krasnale dolnośląskie i górnośląskie wyklócały się, jak ma przebiegać granica między ich kopalniami.

– Ach! No tak. Krasnoludy. – Eliza podeszła bliżej do jednego ze śladów. – Tutaj jakby nawet widać kilof... Ale dogadały się?

– No coś ty, głuptasku! – zaśmiała się pani Lusia i wskazała dziewczynie przejście do następnego pomieszczenia.

Za drzwiami znajdowała się duża, bogato zdobiona aula ze sceną i rzędami siedzisk przed nią. Większość sprzętu i mebli pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Dawno, dawno temu wystawiano tu małe przedstawienia lub odbywały się koncerty, a kilka razy w roku przestawiano krzesła pod ścianę i urządzano przyjęcia. Obecnie praktycznie z niej nie korzystamy.

– Naprawdę? Szkoda – mruknęła Eliza.

Akurat chętnie przekonałaby się, jak wygląda takie magiczne przyjęcie. Może podjechałaby po nią karoca z dyni i wsiadałaby do niej w wielowarstwowej sukni iskrzącej się brokatem?

– Czy ja wiem? Sporo było z tym zamieszania. Ale może kiedyś jeszcze... – Sekretarka zawiesiła głos. – No, ale chodźmy dalej!

Z piętnem inspektorów zaznajomiła się najlepiej, dlatego tutaj również nie zatrzymywały się na dłużej. Minęły ogromne biuro, gdzie pewnie czekał już na Elizę stos dokumentów do przepisania. Pani Lusia zmierzała do pomieszczenia na końcu korytarza.

– Tu mamy magazyn. Najczęściej korzystają z niego Moras i Marcel. Nie poznałaś go jeszcze, prawda? – spytała, a Eliza pokręciła głową. – Zajrzymy na chwilę. Straszny syf tu mają. Założę się, że Smysława ma czyściej w kurniku. Na miejscu dyrektora już dawno powiedziałabym im parę słów, ale on jest po prostu zbyt... – urwała, jakby uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. – No, nieważne.

Eliza w duchu przyznała jej rację. Magazyn nie zasługiwał na swoją nazwę. Sama określiłaby to miejsce jako rupieciarnia. W stosach byle jak poukładanych rzeczy rozpoznała różnych rozmiarów oraz kształtów klatki i pułapki, pewnie na magiczne kreatury, a na starych, byle jak skręconych półkach i szafkach poupychano najdziwniejsze przedmioty. Pozostałe wolne przestrzenie zajmowały ogromne pudła, poustawiane w wysokie, niestabilne wieże. Jeśli dotknęłaby tu

czegokolwiek lub po prostu odetchnęła mocniej, to na pewno zawaliłyby się niczym konstrukcja z kostek domina.

– Co za bałaganiarze! Jest gorzej niż ostatnio, jak tu byłam – westchnęła z irytacją pani Lusia. – Oj! No nic, idziemy dalej.

Czwarte piętro w całości przekształcono na ogromną bibliotekę – największą i najpiękniejszą, jaką Eliza kiedykolwiek widziała. Nie potrafiłaby oszacować, ile liczyła pozycji. Setki, tysiące, miliony? Księgi znajdowały się po prostu wszędzie. Wykorzystano każdą, nawet najmniejszą lukę, by zmieścić choćby kilka tomów. Również wnęki pod parapetami okien i kolumny podtrzymujące sufit zostały zagospodarowane. Jedynie w samym centrum przewidziano odrobinę wolnego miejsca i ustawiono duży stół roboczy z kompletem krzeseł, a obok kilka mniejszych stolików i towarzyszące im wygodne, pikowane fotele. Na jednym z nich pewnie wcześniej siedział Feliks. Zostawił na miejscu mnóstwo czekających na niego książek. Nic dziwnego, że tak często tu przebywał – to miejsce jawiło się jak prawdziwy raj. Eliza musiała się powstrzymać, by nie zacząć kręcić się wokół własnej osi w zachwycie. Jeśli okazałoby się, że zostanie przyjęta na stałe, to z pewnością chciałyby jak najczęściej dotrzymywać mu tu towarzystwa. Zniosłaby nawet jego marudzenie.

– Na sam koniec zostawiłam najciekawsze miejsce – oznajmiła pani Lusia, gdy zmierzały do kolejnych schodów. – Strych!

Eliza wspięła się za nią po trochę węższych i bardziej stromych stopniach niż te, z których korzystała w pozostałej części Instytutu Absurdu. Na końcu schodów znajdował się krótki korytarz zakończony ścianą, którą prawie całą wypełniały półokrągłe wrota z ciężkiego drewna, ozdobione stylowymi okuciami. Pani Lusia złapała za uchwyt i popchnęła drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. W tej samej chwili Elizę uderzyła mieszanina zapachu ziół, cytrusów i kwiatów. Balsamiczna, orzeźwiająca i słodka...

– To pracownia Jagi – bardziej stwierdziła, niż zapytała, gdy tylko przekroczyły próg.

Na wprost wejścia ustawiono regały z książkami. Już na pierwszy rzut oka wyglądały na równie stare, co magiczne. W pobliżu stały dwa wielkie stoły, na jednym zostawiono pootwierane woluminy i zwoje, a na drugim leżały posortowane i przygotowane składniki oraz aparatura do tworzenia eliksirów. Na ścianach, od podłogi aż po strop, zawieszono półki, a na nich ustawiono słoje i butelki z tajemniczymi substancjami. Eliza nie podchodziła bliżej, niepewna, co dokładnie mogło się w nich znajdować. W centrum pomieszczenia zauważyła kilka kociołków o różnych gabarytach. W tym największym cicho bulgotał wywar, nad którym unosiła się wąska smużka dymu.

– Druga część strychu należy do Mai, prawda? – zapytała Eliza.

– Pewnie, że to Majusi jest! – potwierdziła pani Lusia, zachęcając stażystkę do przejścia dalej.

Zamiast połowy dachu pomieszczenie wieńczyła stalowa konstrukcja pokryta prostokątnymi i trójkątnymi taflami szkła. Tworzyło to coś na wzór oranżerii. Całą przestrzeń zapełniono ogromnymi donicami, w których rosły obce jej rośliny o niespotykanym kształcie liści czy kolorze kwiatów. Szczególnie przyciągały wzrok dwa największe egzemplarze, praktycznie sięgające sufitu. Większy, podobny do paproci i drugi, wspinający się po trejażu i przypominający bluszcz. Eliza starała się trzymać od nich z daleka. Nie była pewna, czy nie mogłyby jej złapać i zadusić pędami albo połknąć i strawić jak Narcyś muchę.

– To jedyne pomieszczenie, do którego Aleks nigdy nie wchodzi – dodała ni stąd, ni zowąd pani Lusia.

Eliza pomyślała, że to smutne i niesprawiedliwe. Dopiero tutaj można było zobaczyć, jak Instytut Absurdu cały czas przenosi się do kolejnych miejsc. Przez chwilę obserwowała pojawiające się i znikające miasta, miasteczka, panoramy wiosek, skraje lasów albo polany, szczyty i doliny gór, strome klify nad morzem, brzegi jezior, wielobarwne łąki... To nie mógł być prawdziwy widok! Prędzej uwierzyłaby we wmontowane ekrany wyświetlające zapętloną prezentację. Jedynie subtelnie muskające powierzchnię szybek fioletowe światło świadczyło o tym, że naprawdę działała magia. Eliza chętnie zostałaby na strychu i oglądała zmieniającą się scenerię w nieskończoność.

– No! Koniec naszej wycieczki. Podobało się? – przerwała jej rozmyślenia pani Lusia.

Eliza niechętnie oderwała wzrok od zmieniających się krajobrazów i popatrzyła z uśmiechem na sekretarkę.

– Tak, bardzo dziękuję!

Właśnie tego potrzebowała, by choć trochę oswoić się z Instytutem Absurdu. Nie chciała mu się już więcej narażać, nawet nie czuła już do niego żalu. Może powinien to wszystko inaczej załatwić, kto jednak mógł zrozumieć, czym kierował się magiczny budynek? Chyba nikt nie miał o nim i dziejących się tu rzeczach większej wiedzy niż pani Lusia. No, może poza Janem Sulimą. Eliza wzdrygnęła się, przywołując z pamięci bladoniebieską, półprzezroczystą postać starca.

– Nie ma za co, myszko. – Sekretarka machnęła ręką. – Niestety, czas wracać do zajęć. Feliks pewnie też ma już dość pilnowania sekretariatu.

Dziewczyna kiwnęła głową i ostatni raz spojrzała przez szyby oranżerii, by pożegnać się z pięknymi widokami. Odwróciła się, ale pani Lusia już gdzieś zniknęła. Czyżby zostawiła ją tu samą? Eliza wyszła na korytarz, zamknęła drzwi na strych i zbiegła po schodach, licząc, że dogoni sekretarkę, ale nigdzie jej nie

dostrzegając. Zatrzymała się na piętrze niżej. Jeśli dobrze pamiętała, to tu znajdowała się biblioteka. Uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka. Miała rację! Jednak Feliks nadal nie wrócił z sekretariatu, jego fotel obłożony książkami wiernie czekał. Wycofała się i przez chwilę powątpiewała, czy da radę znaleźć drogę do biura inspektorów. Gdzie miała w ogóle szukać klatki schodowej? Pomyślała jednak, że skoro zwiedziła cały Instytut Absurdu i poznała już, na pewno nie wszystkie, ale najważniejsze miejsca, to nie powinna się tu więcej zgubić.

– Prawda, Instytucie? – odważyła się zadać budynkowi pytanie.

Nic nie trzasnęło, nie zaskrzypiało, nie zadrzało, więc wzięła to za dobry znak. Skręciła w lewo i w połowie korytarza, na ścianie po jej prawej dostrzegła łukowaty otwór prowadzący do dodatkowych krętych schodów na niższe piętro. Znalazła skrót i choć nigdy z niego nie korzystała i widziała go tylko przez ułamek sekundy podczas wycieczki z panią Lusią, to coś jej podpowiadało, że to dobra droga. Zbiegła po stopniach i znalazła się na wprost ośmiu identycznych drzwi, za którymi znajdowało się biuro inspektorów.

Przywitała się z pracownikami i usiadła przy swoim biurku. Ledwo zaparzyła sobie herbatę, gdy Feliks z miną, jakby wspaniałomyślnie odczekał chwilę, by zdążyła się ogarnąć, przyniósł jej kilka kartek do przepisania. Nie było to jednak trudne zadanie, więc szybko się z nim uporała. Następnie Garlicki zostawił jej swój raport do sprawdzenia. Przy tym musiała się już mocniej skupić, zastępca naczelniczki bowiem najwyraźniej lubował się w układaniu długich, wielokrotnie złożonych zdań oraz używaniu trudnego słownictwa. Pomimo to jego spostrzeżenia okazywały się trafne i logiczne. Gdy skończyła czytanie, nie wyłapawszy najmniejszego błędu, Moras stwierdził, że również coś jej zada, ale musi to wcześniej znaleźć. Czekala i czekała, a on nie przestawał przekładać z jednej sterty na drugą plików pism. Eliza nie zgadłaby, co dokładnie chciał znaleźć, ale przypominało to bardziej obijanie się niż rzeczywiste poszukiwania. Zamarł z kilkoma kartkami w dłoni, gdy do środka, podobnie jak poprzedniego dnia, wpadła Jaga. Drzwi z impetem uderzyły w ścianę. Garlicki i Feliks pokręcili zde gustowani głowami, a lampa nad głową Elizy zabujała się. O nie! Czyba nie zdenerwowali Instytutu?

– Nie uwierzycie! – zaczęła Jaga, a jej kwaśna mina dopowiadała to, co niezbędne. Drzwi, które otworzyła, trzasnęły za nią. Bezgłośnie przeprosiła budynek, wyraźnie zawstydzona.

– Niech zgadnę. Znowu widziałaś olbrzyma? – odezwał się Moras, a wiedźma pokiwała głową.

– Tak, ale to nie wszystko. Po Starym Mieście płacze się cały ogrom stworów. Przed chwilą zaczepiły mnie chochliki wędrownie...

– E tam, to nic dziwnego – przerwał jej Wiktor. – Planowały przewędrować przez Polskę dalej na wschód. Skubane, szybkie są! Wydawało mi się, że będą jeszcze gdzieś w okolicy Szczecina.

Eliza starała się jak najciszej i najwolniej uderzać w kolejne klawisze na maszynie do pisania. Równocześnie wychyliła się nieznacznie w stronę inspektorów. Temat olbrzyma był zbyt intrygujący, żeby przegapić cokolwiek z tej niesamowitej wymiany zdań.

– A jednorożec biegnący galopem przez Świętego Marcina i skręcający do Zamku Cesarskiego to też nic dziwnego? – Jaga ewidentnie była wkurzona tym, że kolega bagatelizował jej zgłoszenie.

– Taaa... Jednorożec. Tylko mi nie mów, że ci łeb na kolanach położył.

– Moras, grabisz sobie! Uważaj, bo...

– Nie strasz, nie strasz.

Jaga z zaciętą miną i założonymi na piersi rękami posyłała mu coraz to nowsze wymowne spojrzenia.

– Dobra, łapię. Bez żartów. – Moras spoważniał. – Może to znowu jakaś nielegalna grupa cyrkowa i te stworzenia z niej zbiegły?

– O, nie wpadłam na to! Możesz mieć rację. Chodźmy to sprawdzić!

– Jasne, już lecę – powiedział przez zaciśnięte zęby. Wygiął palce tak, że przypominały szpony, i udał przed Elizą, że chce udusić wiedźmę, która odwrócona do niego plecami nie mogła tego zobaczyć.

Eliza stłumiła chichot i pomachała im na odchodne. Nieco później pozostali inspektorzy również opuścili biuro, Feliks poszedł do biblioteki, a Aleks do Strzygi, więc została całkiem sama. Nawet Granit wybył na przerwę, którą spędzał z innymi gargulcami. Dość szybko skończyła przygotowywanie szkicu odpowiedzi na pismo, które jej zostawił Moras wraz ze wskazówkami, co powinna w nim zawrzeć. Aby zabić nudę, wyciągnęła z torebki chusteczki i przetała maszynę do pisania z resztek kurzu, który przeoczyła podczas wcześniejszego czyszczenia. Posegregowała wszystkie artykuły piśmiennicze w przyborniku na biurku, poukładała w szufladzie zapasy czystych kartek, naostrzyła ołówki. Jeszcze raz przeczytała zarys odpowiedzi dla Morasa, ale nie wpadła na żaden pomysł, jak mogłaby go poprawić. Nie pozostało jej nic innego, jak poczekać na kogoś z inspektorów i kolejne zadanie dla niej.

Dopiero późnym popołudniem do biura wrócił Garlicki i posyłając Elizie pełen kurtuazji uśmiech, zostawił na jej biurku niemały stosik zapisków do przepisania. Kończyła pracę, gdy usłyszała cichutkie westchnienie. Do biura weszła Maja, targając konewkę napełnioną wodą.

– Panno Maju, może potrzebuje panna pomocy? – zaoferował Garlicki.

– Och, spokojnie. Poradzę sobie.

Rusałka postawiła baniak na parapecie obok monstrealnej muchołówki. Z szafki wyciągnęła pękatą butelkę z etykietą, z której Eliza z trudem zdołała odczytać nazwę „Czarodzywka”. To musiała być mikstura do nawożenia magicznych roślin, bo gdy Maja wyciągnęła korek, ze środka natychmiast ulotniło się sporo zielonych baniek roznoszących po pomieszczeniu zapach kwitnącego ogrodu. Rusałka wlała kilka kropel do konewki i energicznie zamieszała. Narcyś wychylił w jej stronę swój liściasty łeb, jakby gotowy na przysnic, ale musiał chwilowo uzbroić się w cierpliwość. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na rząd drzwi. Wiedźma i wilkołak wrócili. Ich kłótnie słyszało się, nim weszli do pokoju.

– Jak to ma być jakiś twój kawał, to ja dziękuję bardzo, ale mam co robić!

– Przecież sobie tego nie zmyśliłam!

– Kobieto, ty masz jakieś urojenia! – kontynuował Moras, wchodząc do środka. – Bawi cię to?

– Sam masz urojenia, zapchlony kund...

– Uspokójcie się, proszę – jęknął z bólem Garlicki. – Jaki wy przykład dajecie młodemu pracownikowi? – Wskazał na Elizę, a ona wzruszyła ramionami.

– Niech się uczy. Będzie wiedziała, że najwyraźniej wiedźmy po trzydziestce dostają omamów wzrokowych.

Jaga ewidentnie szykowała się, by odgryźć się Morasowi równie złośliwie, ale Maja przerwała pielęgnację swojej rośliny i wtrąciła się do rozmowy:

– A co, jeśli te stworzenia pojawiają się nocą, a za dnia ukrywają? Dlatego nie możecie ich teraz znaleźć.

W biurze na chwilę zapanowała cisza. Eliza odchyliła się do tyłu na krześle. To miało sens. Zerknęła na Garlickiego, który w skupieniu gładził się po brodzie.

– Tak, to całkiem prawdopodobna hipoteza, panno Maju. Myślę, że powinniśmy się na nie zacząć wieczorem.

– Doskonały pomysł, Aleksie! – Jaga doskoczyła do niego i złapała go za rękaw. – Pomożesz, prawda? – Wyraźnie ucieszyła się, że ktoś wreszcie potraktował jej problem poważnie.

– Oczywiście, jak zawsze możesz na mnie liczyć.

– A ty, Burek? – zagadnęła kąśliwie Morasa wiedźma.

– Ja pasuję. Dość mam tych bzdur. Znikający olbrzym to już nie jest kłopotliwa kreatura, tylko zaskakujące zjawisko, a Aleks już się zgodził tym zająć. Ja mam dzisiaj zajęty wieczór.

W biurze rozległo się ciche prychnięcie. O dziwo jego autorką nie była wcale Jaga. Eliza kątem oka zauważyła, że Maja przelała doniczkę Narcysia, odstawiła na bok konewkę, gwałtownym ruchem odgarnęła na bok długi, złocisty warkocz przeplatany jakimś zielskiem – co budziło skojarzenia z fryzurą Roszpunki –

i sięgnęła po ścierkę, żeby wytrzeć mokry ślad na parapecie. Eliza pierwszy raz usłyszała, jak rusałka cicho zaklęła. Niemożliwe! Do tej pory z jej ust wychodziły same miłe słowa.

– Tak podejrzewałam. Na ciebie nie można liczyć! – odparła wkurzona Jaga.

– Sorki, słonko, ale mam randkę. A już chciałem kasować apkę, bo na same desperatki trafiałem.

Maja w dalszym ciągu milczała, ale Elizie zdało się, że trochę mocniej zaczęła obskubywać uschnięte liście muchołówki. Narcyś nie wyglądał na zadowolonego z zabiegu i próbował uciekać na skraj doniczki. Ciekawe...

– Bez łaski – odparła Jaga, a potem zwróciła się do Garlickiego: – Mimo wszystko przydałaby się nam dodatkowa osoba do pomocy.

Moras podszedł do Aleksa. Szeptał mu coś na ucho, a przy tym uśmiechał się i patrzył wymownie w stronę Elizy. Wampir w skupieniu kiwał głową, a jego złote loczki zabawnie podskakiwały przy tym ruchu. Zamrugęła. Zaraz! Oni na pewno coś knuli! Podejrzewała zresztą, o co im mogło chodzić...

– Panno Elizo, może zechciałabyś nam pomóc? – zapytał wampir.

– Nie – odpowiedziała od razu, gdy tylko skończył zadawać pytanie.

– No coś ty! Elizka, zgódź się. Wiem, że chcesz. Będzie fajnie. Pokażę ci moje rejony! – dorzuciła Jaga.

Brzmiała, jakby była zaskoczona, że Eliza, zatrudniona przecież jako stażystka do papierologii, odmawia udziału w akcji. Może wiedźma myślała, że oferta polowania na niebezpiecznego potwora jest równie atrakcyjna, co darmowy weekend w SPA?

– Dziękuję, ale nie skorzystam.

– Jeśli ma panna tu pracować, to trzeba przejść chrzest bojowy. Olbrzym na początek to nie będzie wymagająca sprawa, więc nie ma potrzeby się denerwować – uspokajał Garlicki.

– Olbrzym ma być łatwą sprawą? Moras mówił co innego.

– Nie zna się na rzeczy. Co ważniejsze, przykro mi to mówić, jest zwykłym tchórzem – skomentował wesoło Aleks, a Moras zacisnął dłonie i udawał, że chce mu przywalić. Wampir zupełnie się tym nie przejął i kontynuował: – Olbrzymy nie są groźne. Wiadomym jest, że im większa istota, tym łagodniej się zachowuje wobec małego stworzenia. Nie stanowi panna dla niego naturalnego wroga, ale jest dla niego jak mucha dla słonia. Trzeba li tylko uważać, by kogoś przypadkowo nie zgniół. Czyżby znała panna jakąś olbrzymią, magiczną kreaturę, która jest agresywna z zasady?

– No nie wiem, może smok? – Eliza założyła ręce na piersi i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Wiesz już o smokach? – zdziwił się Moras.

- Macie na ten temat broszurę.
- Tak... Cóż, to polecenie służbowe – zarządził Garlicki tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Ale... – zaczęła, ale Jaga zagłuszyła ją.
- Żadne ale. Jesteś tu na stażu, a stażyści są od czarnej roboty. Nie bądź miągwą! O dziesiątej spotykamy się w holu. Będzie super! No i nocne akcje są dodatkowo płatne, tak że ci się opłaci.
- Dobra, będę... – skapitulowała, nie wierząc, że naprawdę dała się namówić. I to wszystko dla kilku groszy. Jeśli ten olbrzym ją załatwi, to miała nadzieję, że zostanie po niej chociaż Nagroda Braku Asertywności i Zdrowego Rozsądku imienia Elizy Żaczek. W skrócie: Elizaczek.

- Tak, w pracy wszystko w porządku. Dostaję, eee... Coraz ciekawsze zadania – przyznała Eliza. Nocne polowanie na olbrzymia jak nic można było w ten sposób określić.
- To chyba dobrze, kochanie. A zadomowiłaś się już w mieszkaniu?
- Dziewczyna poprawiła trzymany w ręce telefon i rozejrzała się z rosnącym zażenowaniem po swoim pokoju.
- Powoli się przyzwyczajam, mamo.
- Spokojnie, nie minął jeszcze tydzień. Ale jeśli już za nami tęsknisz, to może wróć na weekend do domu, co?
- Mhm... Pomyślę o tym. Późno już. To dobranoc!
- Dobranoc! I odzywaj się częściej, co?
- Mhm...

Eliza rozłączyła się. Otworzyła ponownie ekran laptopa i wróciła do przeglądania studenckiego forum w poszukiwaniu wskazówek i informacji o zaocznym dziennikarstwie. Co ważniejsze wypowiedzi użytkowników przeklejała do pliku, w którym już nagromadziła nieco informacji ze strony uczelni czy elektronicznego sylabusa. Zapisała dokument i wyłączyła urządzenie. Zostało jej jeszcze trochę czasu do umówionej godziny, więc zabrała się za zakupioną za ostatnie grosze książkę o etyce dziennikarskiej.

Skończyła czytać kolejny rozdział i zerknęła na zegarek w kształcie kota z wywalonym jęzorem – chyba jedyny przedmiot w pokoju, który mimo tego, że był kiczowaty, nawet jej się podobał. Dochodziła dziesiąta. Kościejowa pewnie zasnęła przed telewizorem. Dziewczyna słyszała jej pochrapywanie, zagłuszające co chwilę głosy aktorów jakiegoś serialowego tasiemca. Najchętniej sama również by się położyła spać... Właściwie mogłaby. Miała numer Jagi, więc

wystarczyłoby napisać jej, że jednak nie weźmie udziału w nocnej akcji. Przecież się tu nie zjawią i nie zaciągną jej siłą. No nie zaciągną, ale pomyślą, że stchórzyła. I będą mieli rację! Kto nie bałby się polowania na olbrzyma?! Złapała się za głowę. Że też dała się w to wkreślić!... Ponownie sprawdziła godzinę. Zostało jej niecałe pięć minut. Pójdzie. Dała słowo i go nie złamie, choćby to miała być ostatnia obietnica, jakiej dotrzyma.

Odłożyła książkę na bok i podniosła się z łóżka. Z szafy wyjęła wygodne buty do biegania – nie była pewna, czy nie będzie musiała uciekać przed olbrzymem. Zabrała jeszcze torebkę, do której schowała klucze i telefon. Ułożyła poduszki na łóżku, w miejscu, gdzie powinno być jej ciało, i przykryła je kołdrą. Jeśli nie wróci żywa z misji, Kościejowa pomyśli rano, że uciekła. I zostawiła wszystkie swoje rzeczy... Co za niedorzeczny pomysł! Poprawiła pościel. Wróci żywa. Tacy doświadczeni inspektorzy nie pozwolą jej przecież zginąć.

Zgasiła lampkę. Przez szparę w drzwiach dochodził jedynie słaby blask ekranu telewizora. Eliza skupiła się i przywołała wrota do Instytutu Absurdu. Po ścianie prześlizgnęła się fioletowa poświata, po czym zgasła. Eliza po omacku odnalazła wejście do budynku. Dotknęła skrzydeł drzwi, a one uchyliły się. Weszła do środka, gdzie czekali już na nią wiedźma i wampir.

Garlicki uśmiechnął się szeroko, a jego dwa przerośnięte kły błysnęły w świetle żyrandola.

– Dobry wieczór, panno Elizko.

Wyglądał inaczej niż za dnia. Słońce niedawno zaszło, więc nie założył okularów ani żadnego okrycia wierzchniego. Prezentował się zniewalająco, a biała, elegancka koszula z nonszalancko podwiniętymi mankietami tylko to podkreślała. Jego naturalny urok z pewnością działał lepiej nocą. Eliza pomyślała, że trzeba się będzie pilnować. Może i nie pijał ludzkiej krwi, ale skąd mogła mieć pewność, że nie zacznie? Szczególnie że sprawiał wrażenie wyjątkowo ożywionego, o ile można było użyć takiego sformułowania w stosunku do wampira.

– Mówiłem, że przyjdzie – dodał, zwracając się do Jagi.

– A już myślałam, że spęka. Jednak miałeś rację. Cześć, Elizko!

Westchnęła. Znów się o nią zakładali. Niewdzięczna rola stażysty... Mimo wszystko zdawali się zadowoleni z jej przyjścia. Nie wiedziała dlaczego. Nie pomoże im przecież zbytnio, tylko się będzie plątać pod nogami – oby nie olbrzyma!

Jaga postawiła kołnierz w skórzanej ramonesce, podeszła do wrót, przez które przed chwilą weszła Eliza, przymknęła oczy, odczekała chwilę i otworzyła je. Za nimi nie znajdował się już paskudny pokój wynajmowany przez Elizę w starej kamienicy w centrum Wrocławia, tylko zabytkowy poznański rynek, skąpany

w żółtym świetle latarni. Wyszli na zewnątrz w przyjemnie ciepłą noc. „Ciekawe, jak długo pozostanie taka przyjemna”, pomyślała dziewczyna.

– Nigdy wcześniej nie byłam w Poznaniu, ale to chyba ratusz, tak? – Eliza wskazała na największy i najzdobniejszy budynek z wyrastającą z niego wieżą, a Jaga kiwnęła głową. – Gdzie są ulokowane koziołki? – zapytała ją.

– Nie ma tak dobrze! Pokazują się tylko w południe.

– Szkoda.

Niepoczyszona rozglądała się po okolicy w poszukiwaniu innych urokliwych atrakcji do podziwiania. Po placu kręciło się naprawdę sporo osób, ale żadna z nich nie zachowywała się tak, jakby zdawała sobie sprawę z obecności nietypowych gości z Instytutu Absurdu. Ignorowali inspektorów, czego już raz była świadkiem. Ale mało tego! Ignorowali i ją. Jak to było możliwe?

– Jak to jest, że ludzie nas nie widzą? – zapytała tym razem na głos, a Garlicki odparł:

– Och, po prostu mają styczność z tyloma niedorzecznymi, nielogicznymi sytuacjami, zachowaniami czy przepisami na co dzień, że na nas nie zwracają już uwagi.

Roześmiała się. Wyjaśnienia wampira brzmiały równie prawdziwie, co absurdalnie – były zupełnie jak jego komiczny styl przemieszczania się. Choć zauważyła, że tym razem poruszał się zupełnie normalnie, pewnym krokiem i z gracją. No tak. Noc. Za dnia skradał się, by skorzystać z najmniejszych skrawków cienia i unikać promieni słonecznych.

– Panno Elizo...

Drgnęła i spojrzała na niego uważnie, słysząc poważny ton.

– Zanim zaczniemy poszukiwania, mam dla panny kilka zasad, których bezwzględnie należy przestrzegać. Po pierwsze, musi się nas panna zawsze trzymać i pilnować, żeby się nie zgubić. Po drugie, ma być panna czujna, uważać i mieć oczy dookoła głowy. Po trzecie, zawsze słuchać poleceń, nie podważać naszych decyzji, nie dyskutować...

– I dobrze się bawić – przerwała mu Jaga i puściła oko do dziewczyny, ale zaraz zamarła, gdy znad dachów kamienic wyleciała iskrząca się postać. – Co to za czupiradło? No tego wcześniej nie było! – zawołała, a uniesione wysoko brwi i szeroko otwarte oczy świadczyły o jej szczerym zdziwieniu.

Garlicki, z identycznie zszokowaną miną, śledził wzrokiem fruwającą nad rynkiem istotę. Przypominała Elizie młodą kobietę, ale z jej pleców wyrastały dwie pary półprzezroczystych, błyszczących skrzydeł, zupełnie jak u ważki. Długa, balowa sukienka powiewała zalotnie w czasie przelotu. W prawej ręce trzymała różdżkę. Najprawdziwszą, magiczną różdżkę, z której tryskały tęczowe iskry!

– Czyli takie wróżki nie są czymś normalnym? – upewniła się Eliza, która nie miała nic przeciwko, żeby było inaczej.

– Nie – odpowiedzieli jej równocześnie.

Iskry z różdżki opadały powoli na ziemię, a kiedy już się z nią zetknęły, w miejscu lądowania w ułamku sekundy wyrastały kolorowe kwiaty. Eliza rozpoznawała lilie, róże, dalie czy bratki, które wielkością zdecydowanie przerastały naturalne odpowiedniki, a w dodatku w sztucznym świetle mieniły się złocistym brokatem.

– Szkoda, spodobałaby się Mai – zażartowała.

Pomyślała, że mogła jej zanieść jeden kwiat do pracy, pewnie by ją to ucieszyło. Zbliżyła się do najokazalszej róży, oczarowana jej pięknem. Ledwie musnęła kwiat opuszkami palców, a ten natychmiast rozsypał się w złoty pył, który rozwiął się na wietrze. Eliza bezmyślnie wpatrywała się w swoje dłonie. Zostało na nich trochę brokatu. Podniosła wzrok i napotkała zachmurzone oblicze Garlickiego.

– Panno Elizo! – Zgromił podopieczną wzrokiem. – Miała się nas panna słuchać. Proszę niczego więcej nie dotykać.

– Przepraszam! – odparła natychmiast i wyszczerzyła się, by ukryć zakłopotanie. Cudownie! Już na samym początku misji musiała zrobić coś nie tak.

Garlicki skinął głową. Przykucnął przy rozsypanej róży, wyciągnął z kieszeni woreczek strunowy i małą łopatką zebrał do niego trochę pyłu. Przyglądał się mu w zastanowieniu.

– Mówiłam, że tu dzieje się coś dziwnego! – Jaga wymownie poruszyła brwiami.

Skupili się na wróżce. Ścigali ją od dobrych kilku minut, podążając za jej radosnym śpiewem i wyczarowywanymi kwiatami. Niestety wciąż jej nie złapali – choć raz Garlickiemu prawie się to udało – gdyż sprytnie unosiła się wysoko nad ich głowami. Nieuchwytna, zwinnie przemykała przez płataninę uliczek. Wybiegli na ulicę Świętego Marcina, gdzie Jaga poprzednio wypatrzyła galopującego jednoroźca. Eliza rozglądała się nerwowo wokół. Nigdzie go nie dostrzegła, podobnie jak skrzydlatej wróżki. Jedyne pozostawiony przez nią ślad w postaci wstęgi kwiecistej łąki biegnącej przez środek jezdni, świadczył o tym, że musiała tędy przelatywać. Czarodziejskie kwiaty musiały być niewidzialne dla kierowców, bo samochody bez wahania przejeżdżały przez nie i rozdmuchiwały po kolei.

– Poznań, miasto doznań. To haselko nabiera zupełnie nowego znaczenia – zażartowała Jaga.

– Wszyściutko rozsypuje się w ten złoty pył. Jest wszędzie – zauważyła Eliza.

Czym dokładnie mógł być? To jakaś magiczna substancja? I co tu się tak naprawdę dzieje? Ech... Nic nie wymyśli. Gdyby tylko miała więcej wiedzy i doświadczenia...

– Tak, też to wychwyciłem – skomentował nieco ironicznie wampir.

Na wysokości malowniczego pałacu, który Jaga nazwała Zamkiem Cesarskim, nad pozostałościami brokatowej łąki krążył z tuzin ogromnych, lekko pobłyskujących motyli. Kilka z nich przeleciało dość nisko nad dwójką spacerujących ludzi. Silny powiew wiatru, wywołany machnięciem wielobarwnych skrzydeł o niesamowitej rozpiętości, rozwał ich włosy. Oboje złapali się za głowy i wypatrywali źródła podmuchu. Och! Zaraz przejrzą na oczy i zauważą dziejące się tu dziwy! Eliza zmarszczyła brwi, gdy jednak objęli się mocniej i poszli dalej. Niektórzy naprawdę byli ślepi. Ile razy sama musiała przeoczyć wcześniej coś równie absurdalnego? Inspektorzy podbiegli bliżej owadów. Zadarli głowy do góry i obserwowali ciemne, szybujące kształty. Z tej perspektywy wyglądały wręcz nierealnie. Bajecznie! Elizie zakręciło się w głowie. Przez chwilę zupełnie zapomniała o strachu i olbrzymie.

– Zakładam, że to też nie jest przeciętny widok w waszej pracy – zagadnęła, a Garlicki przytaknął.

– Halo! Tam w górze! Coście za jedni?! – zawołała Jaga.

Wystraszone insekty rozproszyły się na wszystkie strony. Jeden przez nieuwagę uderzył w ścianę pobliskiego budynku i rozprysnął się na niej, pozostawiając w miejscu zderzenia złocisty ślad. Jednak to nie krzyk Jagi tak bardzo je przeraził. Eliza zadrżała, gdy i do niej dotarł potężny, dudniący odgłos stawianych kroków. Z bocznej uliczki wysunął się humanoidalny kształt, znacznie przewyższający okoliczną zabudowę. Nie był to poszukiwany olbrzym, lecz gigantycznych rozmiarów robot, który wyglądał trochę jak... Transformers? Skąd się tu wziął?! Nie jego szukali! Eliza popatrzyła na inspektorów, ale wyglądali na równie zbitych z tropu.

Robot nie próżnował. Zobaczył motyle, a niebieskie, laserowe oczy zgasły na chwilę, po czym ponownie się zapaliły – ale tym razem na czerwono. Zbliżył się. Z metalicznym zgrzytem wyciągnął prawą rękę, przekształcił ją w coś na kształt karabinu maszynowego i wycelował.

– Padnij! – zawołał Garlicki.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Eliza rzuciła się w stronę najbliższej ławki. Kucnęła za nią, a strach wymieszany z ciekawością spowodował, że z wytrzeszczonymi oczami obserwowała między szczebelkami dalsze wydarzenia. Maszyna krótką serią wystrzałów powaliła pozostałe owady. Spadły kolejno na ziemię.

Puf!

Puf!

Puf!

Rozbijały się o asfalt, zamieniając w potężną chmurę złocistego kurzu. Kłęby rozrastały się, coraz bardziej rozchodziły na boki i... Tylko nie to! Zmierzały również w ich stronę! To przecież jak burza piaskowa! Eliza krzyknęła przerażona, ale nie zdołała się ruszyć. Nagle coś szarpnęło ją za ramię. Przekręciła głowę. Garlicki z nadludzką siłą i prędkością zaciągnął ją i Jagę w najbliższy zaułek. Skulili się razem, a wampir dodatkowo osłonił je plecami. Pomimo to Eliza czuła drobinki, drażniące odsłoniętą skórę. Zasypie ich żywcem! Nie, lepiej o tym nie myśleć. Wdech i wydech. Ignorowała cisnące się do oczu łzy. Wreszcie pęd powietrza zelżał na tyle, żeby mogli się podnieść. Zakryli dłońmi twarze, by nie nawdychać się pyłu, który stopniowo opadał. Wrócili na ulicę. Niezwykłe wytwory zniknęły i wyglądała niemalże zwyczajnie. Garlicki zebrał garść pozostałości po obłoku, obwąchał i wsypał do kolejnego woreczka strunowego. Porównał z wcześniejszym znaleziskiem. W jego oczach Eliza dostrzegła błysk zrozumienia. Najwyraźniej wpadł na jakiś trop.

– A to... Khem! – Eliza odkaślnęła. – A to co miało niby być?! Roboty to raczej science fiction. Jakoś nie mi pasują do magicznych stworzeń słowiańskich.

– Ma panna rację, zupełnie nie pasują, mam już jednak swoje podejrzenia – oznajmił Garlicki, ale nie podzielił się nimi.

– Hi, hi, hi! Jakie głupki!

Złośliwe śmiechy zapiszczały w uszach Elizy. Wzdrygnęła się. Dłuższą chwilę penetrowała wzrokiem otoczenie, ale nie zlokalizowała źródła dźwięków. Nim zapytała inspektorów, czy również je słyszeli, przy wylocie ulicy pojawił się olbrzym. Szturchnęła Jagę w bok i pokazała go placem. Znajdował się tak blisko! Dziwne, że wcześniej go nie zauważyli... Przy takich gabarytach bez trudu dało się go dostrzec z daleka. Z coraz większego daleka, bo stawiał potężne, długie kroki, szybko oddalając się od pracowników Instytutu Absurdu. Aleks i Jaga popatrzyli na siebie znacząco, a potem jednomyślnie dali sygnał do biegu. Eliza obiecała się słuchać, więc mimo wewnętrznego sprzeciwu podążyła za nimi. Olbrzym szybko się przemieszczał, ale zatrzymywał się co jakiś czas, głównie po to, by zajrzeć do okien kolejnych budynków niby do domków dla lalek. Dogonili go dopiero przy słynnym dworcu kolejowym w kształcie chlebaka, teraz bajkowo podświetlonym. Olbrzym, mimo swojej wagi, zgrabnie zeskoczył z wiaduktu i oparł się potężnymi dłońmi o budynek. Przyglądał się temu, co kryło się za szklaną fasadą. Jaga najlepiej знаła teren, więc pokierowała resztę na betonowe schody, które prowadziły w dół, na perony. Kręciło się tam sporo ludzi wysiadających lub czekających na pociągi, nieświadomych obecności giganta. Po krótkim slalomie między pasażerami i samochodami pracownicy Instytutu

Absurdu dostali się w pobliże dworca. Eliza zadrżała, widząc z bliska ogromną kreaturę. Schowała się za plecami inspektorów.

– Te, olbrzym! – krzyknęła wiedźma i zaczęła wymachiwać rękami, ale słabo szło jej przykuwanie uwagi potwora.

Eliza aż zaniemówiła. Co ta Jaga wyprawiała? Tak prowokować olbrzymia?! Cóż za odwaga. Żeby nie nazwać tego głupotą...

– To nie było zbyt uprzejme zawołanie – zauważył Garlicki, ale Jaga zignorowała upomnienie i ponownie wrzasnęła:

– TU JESTEM, OLBRZYMIE!!!

Gigant odwrócił głowę. Tak wyglądały olbrzymy? Eliza zaniemówiła. Co jak co, ale nie spodziewała się zobaczyć przeciętnego faceta przed sześćdziesiątką, jakich dziennie mijało się dziesiątki, tylko przeskalowanego do monstrualnych rozmiarów. I te przeredzające się, przyprószone siwizną włosy, tworzące zakola, okulary z grubym szkłem, perkaty nos, a pod nim okazały, ciemny wąs! Gdzie poźółkłe, ostre zęby? Gdzie sina skóra? Gdzie nienawistne spojrzenie? Gdzie maczuga?! A może to były tylko stereotypy filmów i książek...

– Nie wiedziałam, że olbrzymy wyglądają tak zwyczajnie – zagadnęła Jagę, lekko zawstydzona brakiem wiedzy.

– To nie olbrzym, to Put Głupi Jak But!

– Kto? – zapytała zbita z tropu.

– Janusz Put, mój dawny, wredny nauczyciel matematyki z podstawówki. Brr! Do dziś czasem śni mi się tabliczka mnożenia.

– Naigrawanie się z pedagogów jest nader nieeleganckim zachowaniem – upomniał Jagę Garlicki, przeciągając sylaby.

– Niektórzy sobie na to zasługują! A on musiał w końcu zaleźć komuś porządnie za skórę, żeby takiego psikusa mu zrobić. – Jaga umilkła na moment. Przygryzała wargę i mrużyła oczy, przyglądając się olbrzymowi, a potem dodała: – Hmm... To może być jakiś eliksir powiększający. Poczekajcie! Zaraz to załatwię. – Otworzyła torbę i przez chwilę w niej grzebała. Wyciągnęła z niej wymyślny flakonik zawierający mlecznobiały, gęsty płyn. – To takie proste antidotum i powinno sobie poradzić z większością zwykłych uroków – wytłumaczyła, napotykać pytający wzrok Elizy.

Machnęła energicznie ręką i wypuściła butelkę. Brzdęk!

Szkoło rozbiło się na plecach gigantycznego nauczyciela. Płyn ściekał powoli. Eliza wpatrywała się w napięciu i czekała, aż odczaruje mężczyznę. Rzeczywiście, coś zaczęło się dziać – Janusz zachwiał się i... Rozsypał w pył, tak samo jak wyczarowane przez wróżkę kwiaty czy ustrzelone motyle. Na ziemi obok wiaty przystankowej została po nim spora ilość złotego proszku. Wiatr powoli rozdmuchiwał usypany pagórek.

– Jaguś, zamierzałaś pomóc nieszczęśnikowi czy odplacić mu zawiązką za doznane krzywdy? – zapytał zaczepnie Garlicki. Pokręcił wymownie głową i ponownie zebrał trochę materiału do badań.

– Yyy... No nie tak to miało wyglądać – przyznała wiedźma, pocierając szyję.

– Ho, ho, ho, ale dno!

Jaga zmrużyła oczy i z kwaśną miną rozglądała się dokoła. Garlicki uniósł głowę i Eliza podążyła za jego wzrokiem. Po dachu dworca ześlizgiwała się grupa kilkunastu stworków. Z daleka przypominały Elizie dziwaczne koty poruszające się na tylnych łapach i tylko podpierające przednimi. Wbiegły między pracowników Instytutu Absurdu. Nim zdążyła zareagować i odskoczyć, kilka z nich zdołało ją przewrócić. Inny pokazał wampirowi język, gdy ten spudłował i nie zdołał go złapać. Jednak większa ich część po prostu zwijała się ze śmiechu, gdy najdrobniejszy z nich przedrzeźniał wiedźmę i udawał, że rzuca magicznym eliksirem, a największy odgrywał rolę rozpadającego się olbrzyma Janusza.

– He, he, he! To było dobre! – zapiszczał kolejny, a jego nieprzyjemny rechot łądząco przypominał te, które wcześniej naśmiewały się z inspektorów.

– Ha, ha, ha! Co za idiotka! – dodał drugi o równie irytującym głosie.

Jaga natychmiast sięgnęła do torebki, zapewne po któryś z eliksirów, a na ten ruch stworki uciekły w popłochu.

– Jeszcze nam tu chochlików brakowało – wycedziła przez zęby.

– Chochliki i piasek... Tak, to zaczyna nabierać sensu – mamrotał Garlicki, pomagając wstać Elizie.

Stażystka spojrzała na niego błędnym wzrokiem i wybąkała podziękowania, a potem powtórzyła w myślach jego słowa i zapytała:

– Panie Aleksie, wie pan już, co tu się dzieje?

– Nie teraz. Nie ma na to czasu. Potem wam wyjaśnię. Za mną! Łapcie je! – polecił.

Garlicki rzucił się w stronę umykających chochlików, a Jaga równie szybko dołączyła do pościgu. Eliza ocknęła się i też wystartowała. Przebierała nogami najszybciej, jak tylko mogła, by ich dogonić, ale długo zostawała w tyle. Obserwowała za to, jak chochliki coraz bardziej się oddalały i umykały inspektorom. Z łatwością skakały na znaczne odległości, zupełnie jak kangury! Przewyższały szybkością i zwinnością nawet wampira. Zniknęły pod mostem dworcowym. Garlicki zatrzymał się przy nim i czujnie lustrował otoczenie. Jaga dobiegła do niego i przyłączyła się do poszukiwań. Na końcu doczłapała Eliza. Zgięła się wpół, by złapać oddech. Podniosła głowę i wtedy dostrzegła szereg błyskających złowieszczo ślepi w cieniu pod przesłaniem. Głos utkwiał jej w gardle, więc wskazała je palcem. Garlicki odwrócił się, a wtedy chochliki zeskoczyły im

na głowy, szarpały i targały za włosy. Eliza furczała i wymachiwała rękami, starając się je przegonić. Dość miała już małych, wrednych kreatur, które rozwalają jej fryzurę! Podniosła się z ziemi i zaklęła. Znow nie udało się żadnego złapać. Chochliki uciekały jednymi ze schodów prowadzących na most, przeskakując po głowach oszołomionych ludzi. Garlicki dał znać drużynie, by pobiegli za nimi. Eliza podwinęła rękawy bluzki i poprawiła wpadające do oczu włosy. Nie podaruje im tego!

Omijali schodzących pasażerów i wydostali się na most. Chochliki odjeżdżały w przeciwną stronę niż centrum miasta na dachu pędzącego samochodu dostawczego. Do Elizy dotarł ich niepohamowany śmiech. Hultaje! Spojrzała na inspektorów.

– Lecimy za nimi – zdecydował Garlicki, a Eliza jęknęła.

Dziękowała w myślach, że tym razem zamiast biec, poruszali się tylko szybszym krokiem. I tak odczuwała lekkie napięcie łydek. Strach pomyśleć, co by było, gdyby jednak włożyła sandały zamiast adidasów! Po kilku minutach natrafili na stado dzikich zwierząt spacerujących środkiem chodnika. Wyglądały jak ofiary przedszkolaków uzbrojonych w artykuły plastyczne. Na przodzie dostojnie kroczyła żyrafa, która zamiast łat miała na skórze kolorowe, pastelowe kleksy zrobione farbami akwarelowymi. Obok niej wesoło brykała zebra o fluorescencyjnych paskach zamiast tych tradycyjnie czarnych. Eliza pisnęła, gdy pod jej nogami zaczęły pełzać mieniące się brokatem żaby i ropuchy. Uważała, żeby na żadną nie nadepnąć, choć podejrzewała, że po prostu rozsypałyby się jak poprzednie dziwadła.

– Blee! Fuj, ale one są okropne! – jęczała pod nosem Jaga i wzdrygała się co chwilę, jakby dostała gęsiej skórki.

– Ale że te urocze świecidełka? – zapytała Eliza.

Wiedźma nie odpowiedziała, ale Garlicki nachylił się do Elizy i wyjaśnił konspiracyjnym szeptem:

– Batrachofobia.

– Co?

– Żabowstręt, panno Elizo.

– Serio, wiedźma, która boi się żab? – odparła równie cicho.

– Słyszałam to! To, że się ich boję, nie oznacza, że was w takie nie zamienię! – rzuciła groźnie Jaga.

– Dobrze, już dobrze. – Aleks uniósł dłonie, ale dodał ściszym głosem: – Wstydlive schorzenie dla wiedźmy. Nieuleczalne.

Nieźle wkurzona Jaga zgniatała ciężkimi butami płazy, przerabiając je na złoty proszek. Eliza podziwiała ją za to, jak usilnie powstrzymywała się, żeby nie

odpowiedzieć czegoś złośliwego wampirowi. Widocznie nie pochwałała tego, że wypaplał jej sekret.

– Naprawdę niesamowite są te zwierzaki, mam rację? Raczej nie uciekły z zoo – zmieniła temat Eliza, a Jaga popatrzyła na nią z wdzięcznością.

Pomiędzy nich powskakiwały różnobarwne mały o futrze przypominającym fakturą włóczkę. Wdrapywały się na latarnie i huśtały na lampach, a nieco dalej dreptały cztery zielone słonie, którym na ogonach ktoś zawiązał kokardy zrobione z bibuły.

– Nie, zoo jest trochę w inną stronę – odparła. – Wydaje mi się, że zmierzają do Parku Kasprowicza.

– Idziemy za nimi – zdecydował Garlicki. – Coś czuję, że chochliki też się tam pokażą.

Zgodnie z przewidywaniami Jagi zwierzęta rozbiegły się po parku. Garlicki nie chciał się rozdzielać – całe szczęście, bo jedynie w towarzystwie starszych kolegów Eliza czuła się w miarę bezpiecznie. Wybrali główną ścieżkę, na której zalegało najwięcej śladów ze złotego piachu, delikatnie skrzących się w świetle parkowych latarni. Nigdzie nie dostrzegali zwierząt. Czyżby już się rozsypały? Garlicki wydawał się zupełnie tym nie przejmować. Dyskretnie pokazał dziewczynom wypatrzoną między drzewami zgraję chochlików. Psociły, wygłupiały się i dewastowały spory plac zabaw. Inspektor rozejrzał się wokoło i przemknął na boisko do tenisa znajdujące się naprzeciwko placu. Jednym silnym pociągnięciem zerwał siatkę ze słupków i związał w prowizoryczną łąpkę.

– Zaczekajcie tutaj, drogie panie – polecił i bezszelestnie zakradł się w pobliże placu zabaw.

Eliza obserwowała w napięciu, jak bierze rozpęd i z niesamowitą prędkością narzuca siatkę na grasujące w piaskownicy chochliki. Uniósł ją do góry. W środku szamotała się niewielka grupka. Pozostałe co prawda uciekły z piskiem, ale pozostawiły swoich towarzyszy na łasce lub niełasce wampira.

– Chodźmy mu pomóc. – Jaga klepnęła Elizę w ramię.

Zatrzymały się obok Garlickiego, który wybrał już jednego chochlika i wyciągnął z pułapki. Rozzłoszczony stworek wydzierał się, wołając o pomoc. Eliza przyjrzała się mu lepiej. Nie był większy niż przeciętny kocur, ale im dłużej się wpatrywała, tym mniej go przypominał. Nigdy nie widziała, by którykolwiek prawdziwy kot uśmiechał się tak szeroko i złośliwie. Jeszcze większy niepokój budziły ogromne, jadowicie zielone ślepia, jednak najbardziej rzucały się w oczy nieproporcjonalnie większe od reszty ciała tylne łapy. Pewnie dzięki nim potrafił tak wysoko i daleko skakać. Chochlik nie przestawał jazgotać. Próbował też kopnąć inspektora, ale ten przezornie trzymał go tak, żeby nie znaleźć się w zasięgu jego nóg.

– Silentium! To wasza sprawka? Mów prędko! – rozkazał Aleks.

– Hi, hi, hi! Nic nie powiem ci! – odkrzyknął tak głośnym i skrzekliwym głosem, że Eliza musiała zatkać uszy.

– Hu, hu, hu! Nie mów mu! – wołały złośliwie pozostałe chochliki szamoczące się w siatce.

– He, he, he! Nie zmusicie mnie!

– Wybaczą panie – zwrócił się do koleżanek Garlicki i zawarczał, ukazując ostre, długie kły. W nikłym, sztucznym świetle błysnęły oczy jak u dzikiego kota polującego na sawannie.

Chochliki zamarły równocześnie jak na znak. Zjeżyły grzbiety i położyły po sobie szpiczaste uszy. Nie wiedziały, że wampir nie pijał krwi, więc nie stanowił dla nich prawdziwego zagrożenia. Eliza i z tą wiedzą spieszyła się nie mniej od nich. Zdenerwowany Garlicki nie należał do najmiłszych widoków.

Pojmany momentalnie stał się bardziej rozmowny.

– Hu, hu, hu! Ukradliśmy trochę piachu!

– Ha, ha, ha! Od Piaskowego Dziadka! – dodał inny.

– Ho, ho, ho! Dosypaliśmy go!

– Mówcie bez tych rymowanych śmiechów! – zażądał zniecierpliwiony inspektor.

Eliza jeszcze nie widziała go w groźnym i stanowczym wydaniu. Do tej pory nie mogła mu odmówić opanowania, a z jego elegancją i wysoką kulturą osobistą zapominało się, że w żadnym wypadku nie przestawał być wampirem.

– Ukradliśmy piasek Piaskowego Dziadka. Dosypaliśmy go do piaskownic na placach zabaw w całym mieście! Nie jedz nas! – błagały chochliki.

Niesłychane! Piaskowy Dziadek istniał! Stąd się brał złoty pył, na który wszędzie natrafiali. Jakie proste i oczywiste rozwiązanie zagadki.

– Skandal! Jesteśmy z Instytutu Absurdu. Wiecie, co wam za to grozi? – wtrąciła się Jaga.

– Ha, ha, ha! Przednia zabawa! – oznajmił chochlik z grupy, której udało się wcześniej zwać przed pułapką. Sprawiał wrażenie niezwykle pewnego siebie i nieprzejętego oskarżeniami wiedźmy.

– He, he, he! I co nam zrobicie?

Drugi z niezłapanych chochlików podskoczył do nich. Pokazał kilka zapisanych i opieczętowanych kartek, które trzymał w drobniejszych od tylnych, ale zręcznych przednich łapkach. Garlicki wziął dokumenty i zaczął je dokładnie studiować. Eliza zerknęła mu przez ramię i doczytała, że przedłożono mu przepustki i zezwolenia, każde opatrzone fioletową pieczęcią Instytutu Absurdu.

Chochlik z grymasem samozadowolenia założył na piersi łapki.

– Ho, ho, ho! Ale wam głupio!

Niczym niezrażony wampir uśmiechnął się do niego przebiegle, aż samej Elizie ciarki przebiegły po plecach. Mogła przestać się obawiać o dalszy rozwój sytuacji. Miała przed sobą osobę, która właśnie zamierzała wyciągnąć asa z rękawa.

Garlicki postukał palcem w pustą rubryczkę.

– Przepustka jest niepodbita w jednym miejscu, przekroczyliście nielegalnie granicę.

– Ha, ha, ha? – Chochlik niemal wbił różowy nosek w papier. – Na to wygląda?

Odkrycie Garlickiego sprawiło, że chochliki wyraźnie opuścił dobry humor. Niepewnie zerkwały na siebie z oklapniętymi uszami i wytrzeszczonymi ślepiami.

– A pozwolenie na psocenie i dokonywanie zniszczeń w kwocie do trzydziestu tysięcy euro jest od pół roku nieważne – kontynuował inspektor. – Od stycznia obowiązują nowe progi i należało złożyć wniosek ponownie. Co więcej, każdą planowaną psotę należy poprzedzić zgłoszeniem, zawierającym informację, gdzie i kiedy zostanie dokonana oraz ile szacunkowo będą wynosiły koszty napraw. Podsumowując, są tu państwo nielegalnie i bez możliwości pokrycia szkód z Funduszu Maskowania Obecności Istot Magicznych. Muszą państwo szybko uzupełnić dokumenty, bo w przeciwnym wypadku dostaną państwo status nielegalnego imigranta i zostaną deportowani.

Aleks odwinął siatkę, żeby wypuścić pochwyconych.

– Hy, hy, hy! Już zmykamy! – zawołały przerażone, ale wyraźnie zobowiązane stworki.

– Wypuściłeś je – westchnęła z żalem Jaga, gdy ostatnie chochliki zniknęły im z oczu.

– Chochliki to dziedzina Morasa. Niech sam pilnuje swoich spraw – poinformował wampir.

– Ale i tak nieźle ich pan nastraszył. Sama prawie się nabrałam. Dobrze, że te chochliki nie wiedziały o pańskiej diecie...

– Serio, Elizka? – Jaga wyglądała na wyjątkowo zawiedzioną. – Uwierzyłaś w tę bajeczkę?

– Yyy...

– Aleks żartował z weganizmem. – Jaga klepnęła w plecy wampira, który miał wyjątkowo zmieszana minę. – Wampiry, owszem, mają zakaz spożywania ludzkiej krwi, ale piją specjalny czerwony eliksir. To taki zamiennik wymyślony przez wiedźmę Miłochnę z Staroboru dla swojej córki, która padła ofiarą seryjnego wampirotwórcy jakieś sto lat temu.

– Czyli to w kieliszku to nie wino, tylko syntetyk – podsumowała Eliza i musiała zrobić wyjątkowo oburzoną minę, bo Garlicki chrząknął zmieszany.

– Najmocniej przepraszam, panno Elizo. Nie sądziłem, że tak bezkrytycznie uwierzy panna w moją opowiastkę. Zakładałem, że doszukała się w niej panna dowcipu, zawołowanej satyry.

Świetnie! Eliza spuściła smętnie głowę. Garlicki właśnie ją przeprosił, ale równocześnie wykazał jej łatwowierność i bezmyślność. Jak mogła uwierzyć, że wystarczyło mu picie wina? Mało tego! Myśl, że mogłaby się wpasować między inspektorów, to największy absurd ze wszystkich! Jeszcze bardziej się skuliła, słysząc zanoszącą się śmiechem Jagę.

– Głowa do góry! To przecież normalne, że się nabiera nowego pracownika, a ty jesteś taka naiwna, Elizka.

– Uhm... To o co tak właściwie chodziło z tymi chochlikami? – wypaliła Eliza, wykorzystując pierwszy pretekst, na jaki wpadła, do zmiany tematu.

Garlicki wyprostował się, a jego twarz błyskawicznie przybrała wyraz pełnego profesjonalizmu.

– Tak, jak podejrzewałem, wszystko rozbiło się o magiczny piasek w piaskownicach. Niechybnie dzieci się nim bawiły, a nocą piasek ożywił ich sny i koszmary. Rano dzieci się budziły, dlatego te wytwory zniknęły i gubiłaś ich ślad, Jago. Panno Elizo, będzie mieć panna kolejny raport do przygotowania.

– O, cholera! Koszmar o gigantycznym Pucie Głupim Bucie. Biedny dzieciak. Te kreatury naprawdę nie mają serca. Mogłeś ich nie wypuszczać!

– Brr! Nie chciałabym mieć takich snów – przyznała Eliza, ale zastanowiło ją coś innego i wyraziła to na głos. – A dlaczego nas nie uspił ten piasek?

– Ponieważ działa wyłącznie na dzieci, panno Elizo – wyjaśnił Garlicki. – Całe szczęście! I bez tego będziemy zajęci przywracaniem ładu.

– Nie przypuszczałabym, że mamy aż tak rozwiniętą biurokrację. Te wszystkie pozwolenia i wnioski... Nigdy bym nie pomyślała, że fantastyczny świat może być tak uregulowany.

– Taki mamy klimat. Może się to wydawać przesadą, ale pozwala na zgodne funkcjonowanie... – Urwał i zwrócił się z troską do wiedźmy, która wyglądała na zupełnie wyłączonej z rozmowy: – Jaguś, o co chodzi?

Eliza spojrzała z przejęciem na koleżankę, która mrużyła kocie oczy, przygryzała wargi i kręciła na boki głową, jakby czegoś szukając.

– Ktoś w pobliżu używa pieruńsko nieciekawej magii – odparła po chwili Jaga. – Chyba wiem już gdzie.

– Jaga! – zawołała Eliza i chciała za nią pobiec, ale Garlicki ją przytrzymał.

– Nie przeszkadzajmy jej, panno Elizo. Szuka źródła mocy. Będziemy za nią podążać w odpowiedniej odległości.

Ruszyli za Jagą. Wiedźma chwilę kręciła się po parku, ale ostatecznie go opuściła. Przebiegła przez ulicę, nie patrząc nawet, czy coś jedzie, i zatrzymała

się przed wysokim murem otaczającym budynek, który Eliza wzięła za szpital. Przesuwała się wzdłuż ogrodzenia i szczegółowo je badała. Nagle stanęła w miejscu i przywołała ich.

– I jak? Znalazłaś coś? – dopytywał Garlicki.

– Strzępy kłutwy w powietrzu. Ktoś tu przed chwilą zniknął ludzi, ale spóźniliśmy się.

– Tak jak tych ostatnich? I tego Artura z Wrocławia?

– Tak, Elizko. Dokładnie tak samo.

– Drogie panie, zaczekajcie tu na mnie, w porządku?

Eliza jeszcze nie otworzyła ust, by odpowiedzieć Garlickiemu, a on już dobiegał do wylotu ulicy. Zatrzymał się i rozejrzał wokół. Skreślił w lewo i zniknął im z oczu na dłuższą chwilę. Wrócił po niecałych dwudziestu minutach. Jego niewyraźna mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Ktokolwiek to był, niestety uciekł – oznajmił ponuro, a Jaga burknęła:

– Do czasu!

– Jak chcesz go znaleźć, Jaguś? Założę się o załatwienie spraw wodnika Miecia do końca roku, że nie wróci w to samo miejsce. Każde kolejne zniknięcie następuje w zupełnie innej lokalizacji.

– No wiem...

– Jestem zdania, że po pierwsze należy znaleźć motyw. Pozwoli nam przewidzieć kolejny ruch porywacza i będziemy w stanie go uprzedzić.

– To sobie przewiduj, jak jesteś taki sprytny, Aleks!

Inspektorzy nie przerywali wymiany zdań i snucia pomysłów na znalezienie sprawcy, ale Eliza przestała się temu przysłuchiwać. Całą jej uwagę skupiła mała, biała myszka, która precyzyjnie się pod bramą wjazdową na teren szpitala. Czyżby to kolejny wytwór ze snu jakiegoś dziecka? Eliza śledziła wzrokiem, jak mysz przemyka wzdłuż muru i znika za rogiem. W oddali zamigotało złote światło. Eliza podeszła w tamtą stronę. To mienił się niewielki kopiec usypany z magicznego piasku. Schyliła się, żeby go zebrać. Nie mogła przecież pozwolić, żeby trafił w przypadkowe ręce. Jeszcze narobiłby im kolejnych kłopotów! Zagarniała piasek, gdy jej palce natrafiły na coś więcej. Ktoś ukrył w piasku skrawek papieru. Podniosła go i skierowała tak, by oświetlał go blask latarni.

– Pan P. – odczytała.

Odwróciła karteczkę, ale nie napisano na niej niczego więcej. Wróciła do inspektorów i podzieliła się swoim znaleziskiem.

– Doskonale, panno Elizko! – pochwalił Garlicki i stażystka omal nie uniosła się nad ziemię z dumy.

Może wcale nie była takim najgorszym pracownikiem? Może jednak się nadawała? „Może kiedyś jeszcze będzie ze mnie inspektorka!”, pomyślała i sama

się zdziwiła, że przyszło jej to do głowy.

– Kim jest Pan P.? To jakaś wizytówka jak u zbrodniarzy, tak? Droczy się z nami? To ma być wyzwanie dla Instytutu czy co? – wściekała się Jaga. Nietrudno było zgadnąć, jak musiała się czuć. Być tak blisko rozwikłania tajemniczej klątwy, która coraz bardziej dawała się im we znaki, i spóźnić się dosłownie o sekundy...

– Pan P.? Zastanówmy się... Czy znamy jakiegoś Pana P.? – rozmyślał na głos wampir, pocierając skronie.

– Może Piotruś Pan? – Eliza podzieliła się z nimi pierwszą myślą, na jaką wpadła. Zamiast wyrazić uznanie dla jej błyskotliwości, Jaga i Garlicki usilnie próbowali się nie roześmiać, ale kiepsko im to wychodziło.

– Panno Elizo, przecież to tylko postać z literatury.

– Ja się cały czas uczę – przypomniawszy, nie kryjąc zawodu w głosie. Jak mogli nabijać się z jej pomysłu! Chciała tylko pomóc. – Cały czas się czegoś uczę. Skąd mam wiedzieć, co jest postacią z książki, a co istnieje naprawdę?

– Racja – przyznała ugodowo Jaga. – Załóżmy nawet, że Piotruś Pan istnieje. Dlaczego znikaliby nam ludzie w Polsce?

– Może nie znika, ale zabiera do Nibylandii, bo mają dość dorosłego życia? – zasugerowała Eliza. Przecież jej teoria miała sens! Wszystko układało się w logiczną całość, prawda? Jeszcze bardziej nieprzekonane i rozbawione miny inspektorów ewidentnie świadczyły, że poza nią nikt tak nie uważał.

– Oj, Elizka! Ty to masz jednak bujną wyobraźnię! – Jaga uśmiechnęła się i objęła ją ramieniem.

– Nic tu więcej nie zdziałamy. Koniec na dziś – zdecydował Garlicki.

Niezbyt precyzyjne określenie Instytutowi Absurdu, gdzie chciało się być przeniesionym, mogło się okazać poważnym w skutkach błędem, o czym inspektorzy najwyraźniej zapomnieli uprzedzić Elizę. Poprosiła w myślach budynek, by podrzucił ją do mieszkania Kościejowej i gdy otworzyła wrota, trafiła na wycieraczkę przed wejściem. Ech! Pacnęła się w czoło. Powinna wrócić do środka i pomyśleć o swoim pokoju. Odwróciła się, ale za późno – Garlicki życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi. Eliza ponownie westchnęła. Po omacku znalazła włącznik i zapaliła światło. Odczekała chwilę i przywołała Instytut, ale nigdzie nie dostrzegła fioletowej poświaty. Tym razem jej nie posłuchał. Wspaniale! Nie pozostało jej nic innego, jak spędzenie nocy na klatce schodowej. Chyba że cudem zabrała ze sobą klucze. Spakowała je? Trzy pionowe zmarszczki przecięły środek jej czoła, ale nie potrafiła sobie przypomnieć. Niedobrze... Nie

mogła przecież zadzwonić, Kościejowa urwałaby jej głowę. Eliza sięgnęła do torebki. Natrafiła na telefon, paczkę chusteczek, pomadkę ochronną i coś zimnego, metalowego. Zabrzęczało, gdy spróbowała to pochwycić. O, tak! Była uratowana! Jak najciszej mogła wyciągnęła klucze i powoli nacisnęła klamkę. Drzwi zaskrzypiały cicho, gdy pchnęła do środka skrzydło. Nie odważyła się włączyć lampy w korytarzu. By nie wpaść na wieszak czy buty, pomagała sobie słabym światłem ekranu telefonu. Dotarła do salonu. Właścicielka mieszkania jak na złość drzemała w fotelu przed telewizorem, więc Eliza stłumiła nerwowe cmokanie. Jak najciszej próbowała przemknąć obok. Znajdowała się mniej więcej w połowie drogi do swojego pokoju, prawie pewna, że uda jej się tam dostać niepostrzeżenie, gdy Kościejowa klasnęła w dłonie. Zapaliła się stojąca w rogu pomieszczenia lampa z paskudnym, pudroworóżowym abażurem z frędzlami. Serce Elizy podskoczyło w klatce piersiowej, wykonało skomplikowaną sekwencję figur akrobatycznych i powróciło na swoje miejsce. Staruszka wstała ociężale. Jej triumfująca mina mówiła sama za siebie. Specjalnie została w salonie, żeby nakryć Elizę! Co za ciekawska kobieta! Mało tego, nie przestawała kręcić głową, mamrocząc pod nosem coś o zbyt późnym wracaniu do domu, włóczącej się po nocach młodzieży, dawnych lepszych czasach i braku szacunku do starszych.

– Dobranoc, pani Kościejowa – mruknęła Eliza.

Naprawdę musiała znaleźć inne mieszkanie. A do tego czasu bardziej uważać, jeśli nie chciała się głupio tłumaczyć albo jeszcze gorzej – zdradzić ze swoją niezwykłą pracą. Poczłapała do swojego pokoju, rzuciła torbę na krzesło i położyła się w ubraniach na łóżku. Przeżyła! Miała za sobą swoją pierwszą misję. I to udaną! Resztki adrenaliny wciąż krążyły po jej organizmie, a ciało drżało od buzujących emocji. Odruchowo sięgnęła po telefon, ale w ostatnim przyływie świadomości powstrzymała się przed napisaniem do przyjaciółki. Na śmierć zapomniała o klauzuli! Z nikim nie mogła podzielić się sukcesem. Potrzebowała jakiegoś magicznego znajomego do pogaduszek... Rany, co za durny pomysł! Chociaż z drugiej strony...

Była pewna, że nie zdoła już tej nocy zasnąć. Zbyt wiele myśli przekrzykiwało się w głowie. Trafiła jej się najlepsza praca na świecie! Ale jak miałyby teraz wrócić do monotonnego przepisywania raportów i opisywania spraw, kiedy uczestniczenie w nich osobiście, mimo pewnego niebezpieczeństwa, dostarczało tylu wrażeń? Może inspektorzy pozwolą jej jeszcze kiedyś im towarzyszyć? Tylko świadomość, że znów w pobliżu Elizy ktoś zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach i znajdowała się o krok od złapania osoby za to odpowiedzialnej, budziła niemożliwy do przegonienia niepokój. Co się stało z zaginionymi? Żyją?

Będzie więcej ofiar? Czy mając strzępek informacji, uda się rozwiązać zagadkę?
Kim jesteś, Panie P.?

Zadzwoił budzik. Eliza po omacku zlokalizowała telefon i wyłączyła go. Przekręciła się na drugi bok. Poleży jeszcze pięć minut... Alarm ponownie wyrwał ją ze snu. Podniosła się gwałtownie, aż zakręciło jej się w głowie, przetarła oczy i sprawdziła wyświetlacz. Musiała niechcący przełączyć dziesięciominutową drzemkę. Całe szczęście, bo na pewno nie obudziłaby się sama. Ziewnęła potężnie. Nie była pewna, jak wytrzyma w pracy – oczy same jej się zamykały, a pod powiekami jak na ironię czuła piasek. Dobrze, że fantomowy, a nie ten magiczny. Podniosła się z łóżka i ze zdziwieniem odnotowała, że ma na sobie piżamę. Musiała jednak znaleźć wczoraj odrobinę sił, by się przebrać.

Zjadła śniadanie, przygotowała się do wyjścia i przywołała wrota do Instytutu Absurdu. W środku niemal natychmiast została porwana przez Jagę. Mimo ciemnych ubrań, które codziennie nosiła, wiedźma jaśniała tego dnia zapalem. Wcisnęła Elizie do ręki znaleziony wczoraj skrawek papieru.

– Schowaj na razie do torby – poleciała krótko. – W końcu to ty go znalazłaś. – Uśmiechnęła się sugestywnie, ale Eliza nie potrafiła się skupić na tyle, by odgadnąć, do czego i czy w ogóle nawiązywała. – I nie stój tak. Chodź szybko!

– Gdzie idzie-e-e-emy? – zapytała Eliza, nieudolnie tłumiąc ziewnięcie.

– Jak to, gdzie? Do dyrektora! Trzeba zdać raport. Nałapiasz sobie punktów.

– Naprawdę?

– Pewnie! W końcu świetnie sobie wczoraj poradziłaś!

Serio? Eliza uniosła brwi. Co niby takiego zrobiła? Owszem, znalazła świstek z podpisem, ale to tyle. No i przecież wyśmiano jej hipotezę o Piotrusiu Panie... Ale skoro chcieli przypisać jej część zasług, to przecież nie będzie się wyklócać – zwłaszcza że Jaga nie wyglądała, jakby zamierzała dać jej na to czas. Zaciągnęła ją pod gabinet i nie zwracając sobie głowy czymś tak banalnym jak pukanie, wparowała do środka. Eliza nieśmiało wsunęła się za nią. Odwzajemniła przyjazny uśmiech siedzącego za biurkiem Bernarda Kruka, przy którym stał już Garlicki, gotowy do złożenia raportu.

– O! Skoro Jaga i panna Eliza już są, to mogę zaczynać.

Zaczął streszczać nocną misję, a Bernard Kruk słuchał w skupieniu, głaszcząc się po brodzie. Po każdym usłyszonym zdaniu marszczył coraz bardziej brwi. Pod koniec opowieści Garlickiego prawie połączyły się w jedną kreskę.

– Podsumowując. – Garlicki wyprostował się jeszcze bardziej. – Ustaliliśmy, że chochliki migrowały z Wielkiej Brytanii, a po drodze do Polski okradły w Niemczech Piaskuna z jego magicznego piasku i wysypały go na placach zabaw w Poznaniu. Stąd wzięły się te surrealistyczne wytwory.

– Oj! Oj! Ojoj! Te paskudne, paskudne chochliki! – zawołał oburzony dyrektor. – Można się było spodziewać, że będą z nimi same problemy. Wiecie, jaki numer wywinęły w Londynie pięć tygodni temu? Ukradły pelerynę-niewidkę i zarzuciły ją na niebieską budkę policyjną, a potem ściągnęły, i tak kilkukrotnie, wydając przy tym dźwięki przypominające wycie syreny. Na szczęście tamtejszemu Instytutowi udało się przekonać londyńczyków, że to tylko efekty specjalne, by promować jakiś serial o kosmicie z wiertarką czy jakoś tak.

Eliza zacisnęła mocno zęby, żeby się nie roześmiać. Chochliki wędrownie miały oryginalne poczucie humoru, musiała im to przyznać. O ile zabawniej by było, gdyby Instytut Absurdu wydawał specyficzne dźwięki w trakcie przenoszenia się z miejsca na miejsce!

– Nie doszłoby do tego, gdyby Wiktor dopilnował kwestii formalnych ich pobytu. Zbyt lekkomyślnie traktuje swoje obowiązki i pობлаża innym – dodał Kruk.

– Przecież to nie jego wina! – zawołała natychmiast Jaga. – Moras jest, jaki jest, ale nikt nie przewidziałby tego, co zrobiły chochliki. Sama dałam się im zaskoczyć.

No proszę! Mogli sobie dogryzać w najlepsze, ale w razie potrzeby jedno kryło drugie. Eliza pokiwała z uznaniem głową. Nie wątpiła, że w analogicznej sytuacji wilkołak stanąłby w obronie wiedźmy.

– Dobrze wiesz, Jaguś, że przydałby mu się kubeł zimnej wody na głowę. Żarty żartami, ale nawet w Instytucie Absurdu należy poważnie podchodzić do tematu. – Garlicki zamilkł, widząc, że wiedźma próbuje zasztyletować go wzrokiem. Wzniósł oczy ku sufitowi, ale dodał: – Cóż, w tym przypadku faktycznie niefortunnie się zdarzyło i nie można mieć do Wiktora pretensji. Jeśli istnieje taka potrzeba, mogę z nim porozmawiać i uczulić na tego typu sytuacje w przyszłości.

– Dobrze, dobrze. Ale to potem. Najpierw pomyślmy, jak to wszystko naprawić. Hmm, trzeba będzie się podszyc pod spółdzielnie oraz wspólnoty mieszkaniowe i zamówić wymianę piasku we wszystkich piaskownicach w mieście. Straszne koszty! Straszne! – Dyrektor poluzował krawat w stokrotki i zwrócił się do stażystki: – Stąd się właśnie bierze dziura budżetowa, panno Elizo. Kolejne nieprzewidziane wydatki, których nie można ujawnić z racji tajemnego działania Instytutu. Niedobrze, niedobrze, niedobrze... Będę musiał porozmawiać z Grażynką na temat funduszy. – Wyglądał na przerażonego tym zadaniem. – Gałgan, zapisz proszę, żebym obdzwonił jutro kopalnie piasku.

Siedzący w kącie za biurkiem gargulec dyrektora ocknął się z drzemki. Zbliżył się, czemu towarzyszyły odgłosy przypominające mielenie zboża kołem młyńskim, i sięgnął po kalendarz stojący na biurku. Złapał długopis w długie,

spiczaste pazury i naskrobał notatkę. Eliza jak zahipnotyzowana śledziła wzrokiem jego ruchy.

– Elizka!

Podskoczyła, złapała się za szyję i spojrzała z wyrzutem na Jagę.

– Ty się tak nie zamyślaj, tylko pochwal swoim znaleziskiem! – Wiedźma złapała ją za ramiona i wysunęła do przodu, żeby znalazła się na wprost dyrektora.

– Och, racja! – Sięgnęła do torby i wyciągnęła skrawek pergaminu z podpisem domniemanego porywacza. – To leżało pod kupką piasku w miejscu, gdzie Jaga wyczuła działanie klątwy.

– Tej klątwy – dodała wiedźma i posłała zebrany wymowne spojrzenie.

Bernard Kruk odebrał od Elizy pergamin. Długo przyglądał się mu i oglądał pod różnymi kątami, ale w końcu przyznał się, że nie ma pojęcia, kto mógł to zostawić. Wiadomością o kolejnym zniknięciu przez tajemniczą klątwę wydawał się bardziej załamany niż kosztami naprawy szkód wyrządzonymi przez chochliki. Zadzwoił po Aldonę Ostrzyżek, a gdy ta się pojawiła, streścił jej całą historię. Naczelniczka równie intensywnie sprawdzała strzępek papieru. Krzywiła się coraz mocniej, jakby współmiernie do narastającego zdenerwowania, aż Eliza dostała gęsiej skórki.

– Nie, nic z tego. Bardzo podejrzana sprawa – wyznała w końcu Strzyga, ale zrobiła to w sposób świadczący o tym, że źle znosiła porażkę.

– Tak, bardzo podejrzana. Bardzo, bardzo! Nie podoba mi się to. Oj, ani trochę mi się to nie podoba. Nie, nie, nie! – Dyrektor złożył dłonie, oparł na nich brodę i westchnął. – No cóż. Dziękuję, panno Elizo. Może pani wracać do pracy. Aleks, Jaga, zostańcie na chwilę.

Stażystka również podziękowała i udała się do wyjścia, ale gdy przechodziła obok naczelniczki, ta zwróciła się do niej:

– Dobra robota, Żaczek.

Nie wyczuwając ani odrobiny sarkazmu, Eliza zatrzymała się i otworzyła szeroko usta. Chyba pierwszy raz Strzyga powiedziała jej coś miłego! Wstąpiła w nią nowa wiara w siebie. Może jednak pasowała do tego zwariowanego miejsca? Jakby na potwierdzenie tej myśli, Jaga wyszeptała jej na ucho:

– Widzisz? Super sobie radzisz.

Odprowdziła ją do wyjścia i zamknęła drzwi. Eliza udała się do biura inspektorów. Ledwo przekroczyła próg i od razu spostrzegła czekającą na nią niespodziankę na biurku. Nie była to jednak nagroda za udaną akcję – chyba że w ten sposób można było określić ogromny stos papierów do przepisania. Przecież zajmie jej to wieki! Maszyna do pisania może tego nie wytrzymać! Eliza jęknęła i odgarnęła włosy do tyłu. Zerwała przyczepioną na wierzchu karteczkę,

na której Strzyga napisała: „Pilne!!! Na wczoraj!”. Ech... Czyli tyle warte są tu pochwały!

Sprawa nr III

Zawily zwój i audyt

Praca w Instytucie Absurdu dostarczyła Elizie Żaczek wielu okazji do formułowania kolejnych śmiałych tez, praw czy paradoksów. Jeden z nich dotyczył zasady obowiązywania stałego zestawu przyziemnych zwyczajów niezależnie od stopnia nietypowości przybytku. Codziennie, gdy już każdy z inspektorów dotarł na miejsce i ogarnął swoje stanowisko, następował poranny rytuał parzenia kaw i herbat, znany z bodaj każdego biura. Tego dnia przypadła kolej Elizy, żeby pójść po wodę. Zostawiła na krześle torbę, sięgnęła po stojący na szafce w kącie czajnik bezprzewodowy i z ociąganiem wyszła na korytarz. Skierowała się w stronę pomieszczenia socjalnego. Zapowiadało się, że jak na standardy absurdalnej pracy znów nie będzie dziś robić nic naprawdę ciekawego. Po pierwszej prawdziwej misji, w dodatku nocnej, wcześniejsze obawy o życie i zdrowe zmysły gdzieś wyparowały i obecnie chętnie udałaby się na kolejne wyjścia z inspektorami. Niestety, chociaż chwalono ją, że spisała się całkiem nieźle jak na świeżaka, nie dostała kolejnych propozycji. Nie wychylała się ani nie domagała tego, żeby ją ze sobą zabierali. Posłusznie wykonywała zlecane prace, polegające głównie na przepisywaniu tony papierów. Czekwała, aż sami poproszą ją o pomoc w terenie. Zastanawiała się czasem, skąd ta zmiana nastawienia – czyżby wpadła w pułapkę podobną do uzależnienia od adrenaliny? Ciekawe, co by powiedzieli na to rodzice! Gdyby tylko wiedzieli, co wyprawiała w Instytucie Absurdu i z czym przychodziło się tu zmierzyć, dostaliby zawału. W tym momencie najbardziej interesowało ich, czy córka nie głoduje i czy nie szlaja się nocami. W tej kwestii również musiała przemilczeć kilka spraw. Przecież nie mogła odpowiedzieć: „Spoko, mamó. Jak już się szlajam nocą, to wyłącznie w towarzystwie wampira, który mnie obroni!”.

Wróciła z napełnionym do maksymalnego poziomu czajnikiem. Kiedy pierwszy raz zobaczyła, że działa bez zarzutu, zapytała Feliksa, jak to możliwe. Wyjaśnił jej, że na nieskomplikowane urządzenia elektryczne magia nie wpływała na tyle, by zakłócać ich pracę.

– To tylko durna grzałka. Podgrzewa wodę i już – powiedział wtedy dosadnie.

Nie zarzuciła Instytutowi braku logiki czy wybiórczości w działaniu, wręcz przeciwnie – odczuwała tylko wdzięczność. Przy tych wszystkich starociach, które zastępowały im nowoczesny sprzęt, mógł się przecież uprzeć na to, by czerpali wodę w studni i gotowali nad paleniskiem.

Po kilku minutach woda zawrzała i czajnik wyłączył się. Eliza poszła zalać inspektorom napoje. Zabawne, że każdy z nich miał odmienne upodobania, jakby jeszcze bardziej chcieli się od siebie różnić. Jedynie Oskar Hochman, którego kilka dni temu mogła w końcu poznać, nie przyłączał się do codziennego obrządku inspektorów. Jako specjalista od Magicznych Miejsc przeważnie pracował na świeżym powietrzu, nadzorując tereny administrowane przez

Instytut Absurdu, rozlokowane po całym kraju. Przychodził do biura najwcześniej i oprócz map zabierał ze sobą na wyjście zwykłą wodę.

Eliza najpierw podeszła do Jagi. Inspektorka pośpiesznie wsypała łyżeczkę kawy rozpuszczalnej do garnuszka przypominającego kształtem kociołek.

– Już! Wystarczy, dzięki.

Odrobina wrzątku, który wlała Eliza, ledwie wystarczyła na przygotowanie espresso. Resztę kociołka wiedźma uzupełniła do pełna mlekiem, co dawało jakąś dziwną wersję latte. Niektórzy ludzie pili kawę z mlekiem, a najwyraźniej Jaga piła mleko z kawą. Maja odebrała od Elizy czajnik. Sama wolała się obsłużyć. Codziennie przygotowywała napary z różnych ziółek, ale obojętnie którego by nie wybrała, nie pachniało zachęcająco. Używała do tego specjalnego imbryczka i zaparzacza, a wykonywane przez nią czynności przypominały prawdziwą ceremonię.

– Ja podziękuję, panno Elizo – powiedział jak zwykle Garlicki, chociaż Eliza nawet nie zamierzała do niego podchodzić.

Nie pijał niczego innego niż czerwony eliksir, nazywany w żartach sokiem pomidorowym, którego butelkę zawsze trzymał przy sobie. Zarumieniła się, gdy przypomniała sobie, jak łatwo uwierzyła w jego weganizm. Pokręciła głową i skryła piekące policzki pod opadającymi na twarz włosami. Zbliżyła się do Morasa, który miał już przygotowany ogromny kubek z nadrukowanym napisem „Pracownik miesiąca” na tle księżycy w pełni i wyjącego wilka.

– Dzięki, Elizaczkule!

Intensywny aromat zakręcił Elizę w nosie i rozszedł się po biurze. Moras uwielbiał niesamowicie mocną, sypaną kawę, którą sączył cały dzień. Został jej jeszcze Feliks, który wolał zwykłą, czarną herbatę dobrego gatunku, przygotowaną w porcelanowej, idealnie białej filiżance. Zajęty, chyba nie zauważył, że Eliza do niego podeszła.

– Już? Wystarczy? – spytała, gdy woda niemal dosięgnęła brzegów filiżanki.

– Mhm.... Tak, tak... Dzięki – odparł automatycznie, nie sprawdzając, co dokładnie zrobiła.

Po przyjsciu do biura od razu rzucił się na akta, które wczoraj przyniosła mu z archiwum. Waga sprawy Pana P. przekonała ją do złożenia możliwie najkrótszej wizyty duchowi i poproszenia Trefnisa o niezbędne dokumenty. Znaleziona w Poznaniu karteczka stanowiła pierwszy poważny ślad, który rzucał światło na sprawę zaginięć i potwierdził wcześniejsze przypuszczenia – nie można było ich traktować jako przypadkowe. Musiał istnieć wspólny mianownik. Czym prędzej należało go odkryć! Feliks chętnie podjął się tego zadania. Przeglądał każdy papier, który mógł zawierać jakiegokolwiek przydatne informacje, ale niestety do

tej pory nie znalazł niczego konkretnego. Nigdzie nie natrafił na żadną wzmiankę o tajemniczym Panu P. Sprawa wciąż nie posuwała się do przodu.

Eliza ledwie zdążyła zalać swoją herbatę owocową – któregoś dnia Maja bardzo uprzejmie starała się jej wyjaśnić, że torebki ekspresowe to nie najlepsza jakość – gdy do środka wpadł Garbus, gargulec Strzygi.

– Ty, Elizka, pani Aldona prosi do siebie – powiedział, powstrzymując ziewanie.

Jak na ironię, pracowitej i dobrze zorganizowanej naczelniczce trafił się chyba najbardziej leniwy i opieszawy pomocnik. Oby jej za taką nie uznała! Pędem pobiegła do gabinetu. Strzyga nie była sama, towarzyszył jej jakiś chłopak. I to całkiem zwyczajny. Hmm... Zbyt zwyczajny jak na możliwości Instytutu Absurdu! Proste jeansy, niewyróżniająca się koszulka z logiem Gwiazdnych Wojen...

– Dzień dobry, Żaczek. – Strzyga natychmiast zauważyła jej zainteresowanie i dodała: – Marcel Kruk, inspektor Osobliwych Obiektów. Eliza Żaczek, nowa stażystka. Poznajcie się.

– Cześć – odpowiedzieli równocześnie i podali sobie ręce.

Zupełnie zwyczajny! Może stopień zdziwienia pracowników zależał od stażu pracy? Skoro Marcel pracował tu krócej niż reszta, być może nie zdążył tak ześwirować, żeby dało się to zobaczyć od razu? Ciekawe, kiedy ją samą Instytut przerobi na cudaczkę...

– Marcel wrócił dziś z urlopu. Dyrektor poprosił, żeby ktoś mu pomógł z zaległościami. Pomyślałam, że się nadasz.

– Oczywiście!

No tak, Marcel był bratankiem dyrektora! Jak mogła o tym zapomnieć? Przechyliła głowę. Czy byli do siebie podobni z wyglądu? Chłopak wydawał się niższy i chudszy od Bernarda Kruka. Jednak obaj mieli niemal identyczne, brązowe, przenikliwe oczy, a nad nimi gęste brwi. Dyrektor potrafił je marszczyć w taki sposób, że nadawały mu wyraz twarzy, jak gdyby się nad czymś gorączkowo zastanawiał. Marcel zrobił bliźniaczą minę.

– Podczas mojej nieobecności nagromadziło się trochę przedmiotów do zinwentaryzowania – dopowiedział, wzruszając ramionami.

Osobliwe objekty. Ta nazwa intrygowała i przerażała jednocześnie. Eliza zacisnęła usta. Powinna się przecież cieszyć z otrzymanego zadania, zawsze to jakaś odmiana, a dopiero co narzekała na siedzenie z nosem w papierach. Poza tym jako najmłodsza z zespołu nie miała tu za wielu rówieśników. Inspektorzy byli od niej przynajmniej z dziesięć lat starsi, oprócz Garlickiego, który jako wampir był dekadę starszy od jakichś dwustu lat. No i nowy kolega wydawał się

całkiem sympatyczny – chociaż jako bratanek takiej ważnej osoby mógł okazać się zarozumiały albo trzymać innych na dystans.

– To może przejdziemy do biblioteki? – zapytał i uśmiechnął się tak ujmująco, że Eliza ochoczo pokiwała głową.

Wspięli się na czwarte piętro i zajrzeli do biblioteki. Wewnątrz zastali tylko Feliksa siedzącego na jednym z foteli i jak zwykle obłożonego wieżami z książek i dokumentów. Wybrali stolik położony najdalej od niego, przy którym czekało już kilka sporych kartonów wypełnionych po brzegi najróżniejszymi przedmiotami codziennego użytku. Niespecjalnie wyglądały na magiczne, ale nie bez powodu określano je osobliwymi. Marcel zniknął gdzieś na chwilę i wrócił z dwiema filiżankami herbaty.

– O, dziękuję! A tak właściwie to dlaczego nie skorzystamy z magazynu? – Eliza pozwoliła sobie na odrobinę uszczypliwości, ciekawa reakcji nowego kolegi.

Marcel zabawnie się speszył. Odstawił naczynia na stolik.

– Eee... No, tu będziemy mieć więcej miejsca. Poza tym tamta miejscówka należy bardziej do Morasa.

Ładnie! Zwalił na niego cały bałagan. Chociaż Moras pewnie by się go nie wyparł. Kontrolowany chaos – czy nie tak mówił o stosie nieuporządkowanych dokumentów na swoim biurku? Znaczna część z nich nosiła brązowe ślady, odciski kubka z kawą...

– Słyszałem, że twoja pierwsza misja świetnie ci poszła. – Marcel zmienił pośpiesznie temat.

Niesamowite, jak szybko rozchodziły się tu plotki! Wszyscy zawsze o wszystkim wiedzieli. No, prawie zawsze i prawie o wszystkim – jeszcze nie przezwiał jej Elizaczką.

– Na początku nie chciałam myśleć o tym, żeby iść z Jagą i panem Alekssem, ale mnie zmusili. A potem, sama nie wiem kiedy, po prostu się wkręciłam – przyznała.

– Zaczekaj, aż cię wyślą z Morasem. Cały dzień będzie się ociągał, odwalisz za niego robotę, a na koniec to sobie przypisze zasługi. – Zabrzmiało, jakby mówił z doświadczenia. – A tak w ogóle to jak ci się podoba Instytut?

– Szczerze? Sama nie wiem. Jest cudowny i przerażający jednocześnie. Chyba coraz bardziej się wpasowuję. Chociaż na początku czułam się jak trybik dodany na siłę do sprawnie działającej maszyny, o którym nikt nie wiedział, do czego miał służyć i czy w ogóle był potrzebny.

– Nie mów, że inspektorzy dali ci coś takiego odczuć!

– Nie! Traktują mnie po koleżeńsku. Myślę, że to właśnie ich towarzystwo ułatwiło mi przystosowanie się. Aż zapominam, że połowa z nich to nie ludzie. –

Zaśmiała się krótko. – Ale nadal nie mogę uwierzyć, że dyrektor mi zaufał i zatrudnił bez żadnego testu.

– To Instytut Absurdu, czego się spodziewałaś? Ale faktycznie, stryjek ma dość niefrasobliwe podejście do zatrudniania nowych osób. Oczywiście nie bierz tego do siebie – dodał szybko.

– No, dzięki!

– Ciszej! Gdzie wy jesteście? W barze czy bibliotece?! – upomniał ich oburzony Feliks.

Eliza zaczerwieniła się i wybąkała niemrawe przeprosiny. O tym, że również korzystał z biblioteki, też zupełnie zapomniała.

– Tylko rozmawiamy – odparł Marcel.

– To rozmawiajcie ciszej. A jak coś ci się nie podoba, to spadaj do swojej rupieciarni. Tam się możecie wydzierać, ile wlezie.

Eliza posłała Marcelowi wymowne spojrzenie i zgodnie zamilkli. Nie było sensu denerwować Feliksa. Należała się mu odrobina wyrozumiałości. Nic dziwnego, że siedział podirytowany, skoro wciąż nie udawało mu się rozpracować Pana P. Eliza widziała, jak męczył się i główkował nad kolejnymi dokumentami. Nie zapowiadało się, że prędko wpadnie na rozwiązanie zagadki.

– Zabierzmy się lepiej za pracę – szepnęła. – Co tu masz?

– Och! Same wspaniałe rzeczy! Zobaczysz!

– Pssst! – Feliks ponownie obdarzył ich pełnym nagany spojrzeniem.

Marcel wyciągnął z pierwszego pudła brulion w kratkę oznaczony „Inwentaryzacja”. W środku nie brakowało odręcznie uzupełnianych tabelki dzielonych na lata, a następnie miesiące. Inspektor Osobliwych Obiektów znalazł stronę z lipcem, a Eliza przesuwiała wzrokiem po wcześniej wpisanych pozycjach. Kolekcja magicznych pierścieni, obłożonych najgorszymi znanymi klątwami, zaczarowany flet, dziesięć par siedmiomilowych butów, w tym para siedmiomilowych szpilek, kryształowa kula i dwa kije samobije. Marcel zapisywał nazwę obiektu, materiał, z jakiego został wykonany, magiczną właściwość oraz to, w jaki sposób trafił do Instytutu Absurdu.

– W kolejce do wpisania czeka nas całe pudło pełne zarekwizowanych latających wycieraczek. – Marcel przesunął bliżej największy karton.

– Latające wycieraczki?

Eliza zajrzała do środka. Ponad tuzin plecionych mat zwinięto w rulony, które związane razem paskiem, jakby miały uciec. Wpatrując się w nie dłużej, można było odnieść wrażenie, że rzeczywiście lekko drżały.

– Aha. To taki polski odpowiednik latających dywanów. Niestety zawodzi w użyciu i nie uzyskał atestu, więc zarówno produkcja, jak i korzystanie zostały zakazane. Kilka miesięcy temu jeden kłobuk odwiedzający kolegę nieopatrznie

stanął na takiej wycieraczce, a ta uciekła mu spod nóg. Omal nie spadł ze schodów.

– A to, co to takiego? I jak to działa?

Wskazała na drugie pudło wypełnione dziwaczными wersjami urządzeń, z których zwykle korzystano na co dzień. Na ich szczycie leżał przedmiot przypominający połączony kieszonkowy zegarek na łańcuszku. Nie wydawał się jednak wykonany z metalu czy innego ciała stałego – cały czas falował niczym półpłynna materia. Podobne znajdowały się na obrazie Salvadora Dalego!

– Nie ruszaj – ostrzegł ją. – To naginacz czasu.

– Naginacz? W sensie, że taki wehikuł czasu? Przenosi w przyszłość, tak? – zgadywała.

Coś w postawie chłopaka sprawiało, że bez trudu dało się zauważyć jego fascynację pracą. Pod tym względem był zupełnie jak stryjek. Eliza bez trudu dostrzegła w zachowaniu Marcela pewne wspólne cechy z dyrektorem, ale nie mogłaby go uznać za aż tak zwariowanego i roztrzepanego jak Bernard Kruk. W przeciwieństwie do niego Marcel najwyraźniej potrafił zapanować nad ekscytacją, bo przemówił rzeczowym tonem:

– Pewien rybak złowił złotą rybkę i poprosił ją o możliwość cofnięcia fatalnej decyzji ożenku z pazerną kobietą. Rybka spełniła życzenie, ofiarowując mu ten przedmiot. Uradowany natychmiast go wypróbował, ale okazało się, że działa, hmm... Mało efektywnie. Potrafi przestawić czas zaledwie o kilkanaście sekund do przodu lub tyłu. Wiesz, złote rybki mają krótką pamięć i ta wada niestety przeniosła się na urządzenie.

– Co za głupota! A niby do czego mogłoby się to w takim razie przydać?

– Może i nie ma za dużo zastosowań, ale coś zawsze da się wymyślić.

– Jasne – zgodziła się dla świętego spokoju, ale Marcel musiał to wyczuć.

– Może gdybym... Uhm... – zawiesił głos i rozejrzał się bezradnie dookoła. – No dobrze. Pokażę ci.

Nacisnął urządzenie i złapał jedną z filiżanek. Natychmiast zniknęła w jego dłoniach i pojawiła się równie szybko na stole przed Feliksem. Podstawka przez chwilę drżała na blacie, ale zaraz się uspokoiła. Następnie Marcel sięgnął po drugie naczynie, ale to – zamiast znaleźć się obok pierwszego – wylądowało kilka centymetrów bliżej, już poza krawędzią blatu. Najwyraźniej zabrakło dodatkowej sekundy do idealnego przeskoku w czasie. Filiżanka chwilę wisiała w powietrzu, po czym spadła i stłukła się, rozlewając swoją zawartość po podłodze.

– Coś ci nie wyszły popisy – zaśmiał się Feliks i wrócił do przeglądania dokumentów.

Marcel przeczesał ciemnobrązowe włosy, jeszcze bardziej burząc rozczapierzoną fryzurę i podrapał się z tyłu głowy. Podeszedł do połuczonej porcelany, pochylił się i złapał za jeden z większych fragmentów, ten z uszkiem. Przetawiał coś w urządzeniu i w tym samym momencie pozostałe kawałki poderwały się z podłogi, połączyły się z brzękiem, aż utworzyły na nowo całą filiżankę, białą i prostą, z delikatną złotą wstęgą na krawędzi. Wewnątrz ponownie znajdowała się herbata.

– Gorąca – stwierdziła ze zdumieniem Eliza, widząc unoszącą się parę.

– Proszę. – Podał jej naczynko.

– Mam pić herbatę z podłogi?

– Nie, nie. To nie jest ta sama herbata. Znaczący się, to jest ta sama herbata, ale zanim wylądowała na podłodze. Wiesz, możesz ją... Ehm... Trudno to wyjaśnić. – Zmieszał się. – Może zrobię ci następną?

Kilka minut później usiedli przy stoliku z nowymi napojami i zabrali się do pracy. Marcel sprawdzał zawartość pudeł, wyciągał z nich kolejno magiczne obiekty, chwilę oglądał każdy z nich, a następnie dyktował Elizie, co powinna wpisać do tabelki.

– A tak właściwie to co studiujesz? – zagadnęła, kończąc notatkę o obrusie, który co prawda sam nakrywał się do obiadu, ale ten składał się z niejadalnych potraw.

– Och, archeologię. Pomyślałem, że przyda mi się.

– I jak ci się udaje pogodzić to z pracą?

– Normalnie. To stryjek mnie zachęcał, żeby iść na studia. Jeśli o to chodzi, to nie musisz się niczym przejmować. Nikt nie będzie robił problemów, wszyscy są tu wyrozumiali i ci pomogą.

– Wszyscy? – zapytała sceptycznie.

– Tak, Strzyga też. – Posłał jej znaczące spojrzenie. Bez trudu załapał, do czego nawiązywała. – Może jest trochę chłodna w obyciu, ale przejmuję się dobrem Instytutu. Ale muszę przyznać, że od samego początku nie dawała mi żadnych forów, chociaż jestem rodziną dyrektora.

– A jak tu trafiłeś?

– Przypadkowo – odpowiedział dokładnie to samo, co ona kiedyś Garlickiemu.

– Serio? To tak jak ja!

– Serio. Roztrzepany stryjek zostawił u nas laskę i po prostu za nim poszedłem, żeby mu ją oddać. Ale zamiast wyjść na pole, trafiłem tutaj i tak jakoś zostałem. Długo nie zdawałem sobie sprawy, gdzie tak naprawdę pracuje stryjek, ale gdy to wyszło na jaw, to bardzo mi to do niego pasowało. W żadnej innej pracy nie sprawdzałyby się tak dobrze.

– A pani Lusia to kim jest? – wypaliła Eliza z pytaniem, którym sama siebie zaskoczyła.

Wszystkowiedzącą sekretarkę z całą pewnością mogła uznać za najciekawszego pracownika w kadrze, a jej prawdziwe personalia i oblicze (niemożliwe, żeby była tylko zwykłym człowiekiem!) nurtowały Elizę od czasu wycieczki po Instytucie Absurdu. Do tej pory nie odważyła się jednak nikogo o to zapytać, ale z Marcelem tak swobodnie jej się rozmawiało... No i jako bratanek dyrektora powinien wiedzieć takie rzeczy, prawda?

– No sekretarką i kadrową – odparł skonfundowany Marcel.

– To wiem, ale tak naprawdę?

Westchnął i wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Sięgnął po trzecie z pudeł, które było puste w środku, i postawił je na blacie.

– A jak ma na nazwisko? – naciskała dalej Eliza.

– Nikt nie wie. Może Jan Sulima by wiedział? Chociaż nie, nie wydaje mi się.

– A na imię? Lusia to chyba zdrobnienie, prawda? Lucyna, Ludwika, Łucja?

– Chyba nawet stryjek tego nie wie. Po prostu pani Lusia. Od zawsze pani Lusia. Lepiej w to nie wnikać – dodał tonem ucinającym dyskusję.

Mogła się spodziewać, że niczego z niego nie wyciągnie. Ha! Przydałyby jej się studia dziennikarskie, może wtedy lepiej by jej poszło. Poddała się i zmieniła temat.

– To gdzie twoim zdaniem pracował pan Bernard, zanim dowiedział się o Instytucie?

– W teatrze – przyznał i oboje zachichotali, a chłopak omal nie złamał zaczarowanego ołówka, który właśnie testował.

– A ja myślałam, że to rodzinny biznes!

Roześmiał się i pokręcił głową, a Eliza zawiesiła spojrzenie na jego lewym policzku, gdzie zawsze wtedy, gdy chłopak się uśmiechał, pokazywał się uroczy dołeczek.

– Czyli nie dostaniesz w spadku posady dyrektora?

– Niestety. Instytut sam wybiera tego, kto ma stać na jego czele. A żeby zostać dyrektorem, trzeba mieć to coś. Nie każdy się nadaje. – Odsunął na bok brulion i nachylił się w jej stronę. – Myślę, że Aleks miałby ochotę objąć po stryjkę stanowisko – powiedział to śmiertelnie poważnie.

– Pan Aleks?

Zmarszczyła czoło. Czy naturalnym następcą nie powinna być raczej Strzyga?

– Och, nie daj się zwieść jego galanterii. Ma ambicje i lubi się rządzić. Myślę, że on...

– Macie zamiar dalej tak plotkować? Tu się pracuje! – Feliks z trzaskiem zamknął książkę.

Schowali się za postawionym na stoliku pudłem i stłumili śmiechy, gdy w bibliotece rozniósł się wymowny jęk inspektora Dziwnych Dokumentów. Elizie udało się w nim rozszyfrować coś o dziecinadzie i braku szacunku do miejsca. Instytut Absurdu chyba się z tym nie zgadzał, bo nie poczuła najmniejszych drgań czy choćby jednych trzaskających drzwi.

– Pokażę ci coś ekstra – zaczął Marcel, a potem umilkł i pokręcił głową. – Chociaż trudno w tym przypadku mówić o pokazaniu. Złóż ręce i wyciągnij je w moją stronę.

Sięgnął do pustego kartonu i nic z niego nie wyjął, choć ułożenie jego dłoni sugerowałoby, że jednak coś w nich trzyma. Pisnęła, gdy poczuła, że położył jej coś zimnego na rękach. Przesunęła kciukiem po niewidzialnej powierzchni. Co za dziwne uczucie! Mózg wariował, bo wyczuwała zmysłem dotyku, że ścisła w rękach naczynie, ale oczy nie mogły go wypatrzyć. Ciekawe, czy jeśliby je upuściła, to usłyszałyby, że się rozbiło?

– To cukiernica – wyjaśnił Marcel. – Podobno jest złota i ozdobiona szlachetnymi kamieniami.

– Jak może być złota, jak jest niewidzialna?

Wyczuwała pod palcami wypukłości, które mogły być klejnotami... Ale jak można rozpoznać niewidzialny kolor? Albo materiał?

– A ty dalej szukasz tu logiki?

– Ach! No tak. Magia.

Przewróciła oczami, a Marcel przytaknął.

– Szkoda, że nadal nie odnaleźliśmy niewidzialnych sztucców. Mielibyśmy komplet. Cały niewidzialny serwis do kawy wraz z zastawą stołową dla dwunastu osób. Dzieło życia utalentowanego, władającego magią rzemieślnika. Dawniej krążyło mnóstwo legend o nim i jego wytworach. Dziś większość jest już zapomniana, jednak część przetrwała ukryta w podświadomości, dlatego nawet zwyczajne dzieci bawią się w jedzenie i picie na niby, udając, że mają w rękach naczynia.

– Zaraz! – Przypomniała sobie o wszystkich podwieczorkach odgrywanych razem z koleżankami z przedszkola, lalkami oraz misiami. – Przecież ja też się tak bawiłam. Nie wkręcasz mnie?

Marcel szykował się do odpowiedzi, gdy z hukiem trzasnęły drzwi i do środka wpadła rozemocjonowana Jaga. Eliza podskoczyła na krześle. Nagłe wpadanie to chyba znak rozpoznawczy wiedźm. Brakowało jeszcze wybuchu Feliksa i... Nie zawiódł. Podniósł się gwałtownie z miejsca, aż przekrzywiły się mu okulary na nosie, i wymierzył oskarżycielsko palcem w Jagę.

– Koszmar! Nie dadzą w spokoju pracować! No co się dzieje? Pali się?!

Wiedźma pokręciła głową, wzięła głęboki wdech, wypuściła ze świstem powietrze, a potem odpowiedziała spokojnym, ale i poważnym tonem:

– NIKT przyjeżdża.

– Chyba nikt nie przyjeżdża – poprawiła ją Eliza, wyraźnie akcentując słowo „nie”, i odstawiła niewidzialną cukierniczkę na stół.

– No właśnie, że przyjeżdża – poprawiła wciąż tym samym ponurym głosem Jaga.

– Ale kto? – Eliza spoglądała bezradnie na inspektorów. Cudownie! Znowu czegoś nie rozumiała.

– Nie kto, tylko co. NIKT – wyjaśnił znużony Feliks.

– Ale co to ten nikt?

– Niesamowity Inspektorat Kontrolerów Tajnych – objaśnił Marcel, a dziewczyna nie powstrzymała się i parsknęła ubawiona.

Ach, więc magiczne urzędy również miały nad sobą inne jednostki je kontrolujące! I w dodatku ta śmieszna nazwa! Nie, nie mogła być prawdziwa. Pewnie znów ją w coś wrabiają. Myślą, że jest aż tak naiwna?

– Aha, jasne. Strasznie głupi skrót.

– Bo nasz to niby lepszy. – Jaga roześmiała się i pokręciła głową.

Ale o co jej chodziło? Eliza przygryzła wargę. Biorąc pod uwagę specyfikę pracy, tę całą magiczną otoczkę i wszystkie dziwy i dziwadła, nazywali się przecież dosyć prosto i konkretnie.

– IA. Instytut Absurdu – wyrecytowała.

– Nie, pełna nazwa. – Marcel wyglądał na szczerze rozbawionego. Miał minę osoby wtajemniczonej w jakiś sekret.

– Polski Instytut Przypadków Absur... – Urwała. – Dobra, macie rację.

– To już chyba rozumiesz, dlaczego wolimy używać krótszej nazwy.

– Pewnie, Marcelku, bo w przeciwnym razie można by powiedzieć, że wszyscy pracujemy w pi...

– Nie, Jaguś, nie kończ tego! – Feliks w ostatniej chwili przeszkodził koleżance.

– Jak sobie chcesz. W każdym razie czujcie się ostrzeżeni. Od jutra zaczną sprawdzanie. Strzyga kazała przypomnieć, że jeśli coś będzie nie tak, to osobiście nas oskóruje, łby pourywa i usmaży w oleju. W dowolnej kolejności.

Posłała im figlarne spojrzenie i wyszła.

– O co chodzi z tą kontrolą? Powinnam coś zrobić albo jakoś się przyszykować? – zapytała z przejęciem Eliza.

Marcel otworzył usta, ale nim udzielił odpowiedzi, wtrącił się Feliks:

– Nie masz powodu do zmartwień. Sam pilnuję, by wszystko zgadzało się w papierach. To będzie taka rutynowa kontrola i na pewno dostaniemy dobrą

ocenę. Dużo się uśmiechaj, nie odzywaj bez pytania, a jak zapytają, to chwal warunki pracy i przełożonych. To tyle.

Popatrzyła niepewnie na Marcela, ale ten tylko machnął ręką, jakby nawet nie zamierzał spierać się z Feliksem.

– Chodź, wracamy do pracy. Mam jeszcze jedną fajną rzecz, która może ci się spodobać. I przydać – dodał i spojrzał na nią z łobuzerskim błyskiem w oku.

Zajęła swój fotel, a Marcel wyszedł z biblioteki i zniknął na chwilę w magazynie. Wrócił z przewieszonym przez ramię skórzanym, lekko zakurzonym futerałem. Zdjął ze stolika karton z niewidzialną zastawą i postawił go na ziemi, a na środku blatu położył przyniesiony przedmiot. Odpiął guzik i uchylił wieko. Wewnątrz znajdował się stary aparat fotograficzny o dwóch obiektywach umiejscowionych jeden nad drugim, które przypominały Elizie głowę i korpus bałwanka. Marcel wyjął urządzenie i postawił przed nią. Mogła teraz dostrzec, że z jednego z boków wystawała mała srebrna korbka, a z drugiego kilka pokręteł różnej wielkości.

– To magiczna lustrzanka dwuobiektywowa.

– Magiczna?

– Tak, pozwala na robienie zdjęć magicznym miejscom, rzeczom i istotom. Zwykle aparaty ich nie zarejestrują.

– To dlatego moje zdjęcia nie wychodziły!

Wyciągnęła telefon, ale Instytut Absurdu oczywiście zakłócał jego działanie i chwilę trwało, nim udało jej się otworzyć galerię zdjęć. Pokazała Marcelowi nieudane ujęcie Garlickiego i moli książkowych. Chłopak obejrzał je i pokiwał głową.

– O tym właśnie mówiłem. Telefonem nic nie zdasz, ale jeśli chcesz robić zdjęcia na misjach, to mogę ci wypożyczyć lustrzankę.

– Naprawdę?! Dzięki! A czy wywołane zdjęcia będą się ruszać? – zapytała i poruszyła wymownie brwiami, a Marcel zaprzeczył, tłumiąc śmiech. – To jak to działa?

– Już tłumaczę! Górny obiektyw służy do ustawiania ostrości, dolny natomiast naświetla błonę filmową. – Otworzył przykrywkę na wierzchu aparatu. – Tu masz wizjer, którym kadrujesz zdjęcie. Tu ustawiasz wielkość przysłony obiektywu. – Przysunął się bliżej Elizy, by mogła zerknąć przez okienko. Obiektyw skierował na zamyślonego Feliksa. Jednym z bocznych pokręteł ustawił ostrość obrazu. – Żeby je zrobić, musisz najpierw tutaj nastawić czas otwarcia migawki. Tą małą dźwignią ją napinasz, a tym przyciskiem wyzwalasz. – Nacisnął wystający guziczek, a z urządzenia ulotniła się wąska smużka srebrzystego, skrzącego się dymu. – I gotowe. Teraz korbką przesuwasz błonę na następne zdjęcie, a to okienko pokazuje, ile ich już wykonałaś.

Eliza nachyliła się jeszcze bardziej nad aparatem i prawie stuknęła głową z Marcellem. Przesunęła się szybko nieco w bok. Przez okienko dostrzegła cyfrę jeden.

– W sumie zmieści się ich dwanaście, ale w magazynie mam jeszcze zapasy nieużywanych rolek, jak coś – dodał. – No i może nie jest szybki w obsłudze, wymaga wykonania trochę więcej czynności w porównaniu ze współczesnymi, ale ma w sobie coś niesamowitego...

– A komu nim robiłeś fotki, Młody? Boginkom, syrenkom, seksownym krasnoludziom?

Podskoczyli oboje i równocześnie spojrzeli na wchodzącego do biblioteki Morasa, dźwigającego stertę pudeł związanych ze sobą mocną linką.

– Tobie – odpowiedział mu Marcel. – Jak zasypiasz nad dokumentami, zamiast się brać do pracy.

W uszach zagrzmiał im tubalny śmiech Wiktora. Poprawił uchwyt, gdy przesyłkaomal nie wyslizgnęła mu się z rąk. Mięśnie ramion uwypukliły się. Pakunki musiały naprawdę sporo ważyć. Niesamowite, że przytargał je tutaj, wciąż trzymał i nie wyglądało to na specjalny wysiłek. Na jego miejscu Feliks czy Marcel z pewnością zostaliby przygniecenii. Właściwie nie powinno dziwić, że wilkołak miał więcej siły od przeciętnego człowieka. W dodatku spostrzegł, że Eliza zbyt intensywnie i zbyt długo mu się przygląda, bo wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu i mrugnął do niej.

– Sprytnie, Elizaczku! Bardzo sprytnie. Widzę, że zarzuciłaś sieci na bratanka dyrektora. Masz rację! Pnij się po szczeblach kariery, chwila, moment i naczelniczką zostaniesz!

Zapowietrzyła się. Oby tylko się nie zarumieniła! Niestety już czuła, jak zaczynają jej płonąć czubki uszu. Dlaczego dobre riposty nigdy nie formowały się same w odpowiednim momencie? Na pewno w środku nocy, kiedy nie będzie mogła zasnąć, przyjdzie jej do głowy idealna odpowiedź.

– Co? Żal ci, że sam na to nie wpadłeś? – Marcel założył ręce za głowę i odchylił się na fotelu. – Sorry, ale faceci mnie nie interesują, tym bardziej wilkołaki.

– Ciszej, błagam – syknął Feliks. – I proszę mi już oddać moje książki.

– Chwila, chwila. Podziwiam teraz, jak nam się Młody rozbestwił! Rycerzyk się znalazł.

– Do usług!

– Te mądrości to z książek wyczytujesz? To macie kolejną dostawę. – Postawił przesyłkę obok stolika Feliksa, który podziękował mu za fatygę, czego Wiktor chyba nawet nie zarejestrował. – A jak tam sesja, Młody? Ponoć ledwo, ledwo.

Marcel opuścił ręce i teraz smętnie zwisały wzdłuż tułowia.

– Bez przesady. Jakoś dałem radę – mruknął, a Moras zarechotał.

– Taa, jasne! Pamiętaj, Elizaczkę, zawsze możesz wrócić do nas na dół, jak cię zanudzą erudyci – wypowiedział ostatnie słowo wyjątkowo kąśliwie.

– Nie przejmuj się gadaniem Morasa – pocieszył ją Marcel po tym, jak wilkołak zostawił ich samych w bibliotece.

– Wiem, wiem. Zdążyłam się przyzwyczaić.

Odetchnęła głęboko i zerknęła przez ramię na Feliksa, który zabrał się za rozpakowywanie przesyłki. Marcel podniósł się z miejsca i dał jej znać, by podeszli bliżej. Pochylili się razem nad otwartymi już pudłami. Między styropianem ułożono owinięte folią bąbelkową księgi najróżniejszych gabarytów. Feliks wyciągał je kolejno, rozwijał, oglądał i odhaczał na liście. Odkładał je na przysunięty do stolika metalowy regał na kółkach. Każdy następny wolumin wyglądał na bardziej wiekowy od poprzedniego. Eliza oglądała je z zapartym tchem. Nawet nie odważyła się zapytać, czy by nie pomóc w rozpakowywaniu. Czuła, że nie pozwoliłby jej dotknąć nawet jednego. Przy sprawdzaniu zawartości ostatniego pudła Feliks wydał zduszony okrzyk i zerwał się z fotela, omal nie wywracając Marcela i Elizy. Mamrotał coś pod nosem jak w transie i wymachiwał na wszystkie strony bogato zdobionym futerałem o cylindrycznym kształcie.

– Coś się stało? – zapytała Eliza.

– Jest pusty! – Wskazał na opakowanie. Wyglądał na przerażonego.

– A co powinno w nim być?

– Magiczny zwój wiedzy mistrza Twardowskiego! Fragment z jego zaginionego skarbu! Podobno zna odpowiedź na każde pytanie...

– Może zapomnieli go zapakować? – zasugerowała.

– Nie. Nie sądzę, że wysłaliby nam pusty futerał.

– Kto taki?

– Szwedzi – odpowiedział lakonicznie, jakby to wszystko wyjaśniało, ale potem dodał: – Tamtejszy Instytut udaremnił nielegalną aukcję, na której wystawiono zrabowany przed wiekami zwój wraz z pokaźną kolekcją tajemnych ksiąg Sędziwoja, również skradzionych. W ramach dobrej współpracy zgodzili się nam je oddać. Ulokowali przesyłkę na promie płynącym do Gdańska, skąd odebrał ją Moras. Zwój musiał zginąć gdzieś po drodze.

– Może podczas rozładunku?

– Jak znam Morasa, to pewnie on go gdzieś zgubił! – Feliks uderzył tubą o blat stołu.

– Jesteś pewien, że tu go nie ma? – zainteresował się zaniepokojony Marcel.

– Tak, chyba tak.

– Chyba? Sprawdź ponownie.

Pomogli mu jeszcze raz przeszukać pudła przyniesione przez Morasa, a potem odłożone na regał książki. Kolekcja liczyła sporo pozycji, ale w miarę przeglądania stawało się oczywiste, że nie znajdą w niej brakującego zwoju. Twarz Feliksa zrobiła się upiornie blada. Przytrzymał się stolika i poluzował zawiązaną pod szyją muszkę.

– W porządku? – spytała z troską Eliza.

– Ehm, tak. Wdech i wydech – mówił sam do siebie, nerwowo poprawiając okulary. – Normalnie aż tak bym się nie przejmował, bo zwój prędzej czy później się znajdzie. Ale kontrola jest jutro! Trzeba go szybko znaleźć, bo nie będzie się zgadzał stan faktyczny z dokumentacją i NIKT karę nam dowali. NIKT nie może się dowiedzieć, że go nie ma. I się nie dowie! – Feliks wyszedł z biblioteki, nie oglądając się na nich.

Ruszyli za inspektorem, który schodził na trzecie piętro. Jeszcze na schodach coraz głośniej złorzeczył na Morasa, najwyraźniej przekonany, że to on zgubił po drodze zwój. Wilkołak nawet nie wychylił nosa z biura, ale odkrzyknął na cały głos, że dostarczył przesyłkę w komplecie. Feliks ewidentnie nie dawał mu wiary, bo odwrócił się do Elizy i Marcela z wycelowanym w nich palcem wskazującym i powiedział:

– Przejdziemy wspólnie tę samą trasę, którą przebył Moras. Na pewno gdzieś to upuścił! Na pewno...

Przytaknęli dla spokoju. Wspólnie sprawdzali każdy kąt Instytutu Absurdu, również niedorzeczne miejsca jak parapety, ściany pod obrazami, kącik za popiersiem Sobierada czy stół z broszurkami – bezskutecznie. Gdy z pustymi rękoma dotarli do drzwi wejściowych, Feliks oparł się o nie czołem.

– A niech to! – Stuknął głową, aż Eliza się wzdrygnęła. – Musiał wypaść, zanim paczka trafiła do Instytutu. Obyśmy znaleźli go w Gdańsku! To jakiś koszmar! Strzyga mnie rozszarpie i posoli rany!

– Hej! Nie ma co się załamywać, będziemy szukać dalej. – Marcel poklepał kolegę po plecach i Feliks nieco się rozchmurzył.

– Tak, dokładnie. Na pewno znajdziemy zwój. – Jednak zaraz chyba zwątpił w to, co powiedział, i przyglądał im się z żalną miną. – Nie mamy za dużo czasu. Jutro musi się znaleźć, zanim NIKT się zorientuje. Marcel, Eliza, pomożecie, prawda?

– Jasne! – potwierdzili jednomyślnie.

– Świetnie. I tak nie macie nic ciekawego do roboty.

Eliza chciała zaprotestować, ale w porę zerknęła na Marcela, który dyskretnie pokręcił głową. Miał rację, w tych okolicznościach nie było warto się spierać.

– To jak teraz odszukamy ten zwój? – zapytała zamiast tego.

– Znajdziemy go przy osobie, która niespodziewanie stała się wybitnie mądra!

Salę konferencyjną wysprzątano na błysk. Co więcej, zamalowano na biało ślady po krasnalach. Eliza nie zdziwiłaby się, gdyby okna zasłonięte nieprzepuszczającymi światła słonecznego kotarami umyto dla zasady. Wokół stołu zgromadziła się kadra Instytutu Absurdu, ubrana odświętnie, dumnie wyprostowana i z twarzami, na których malowało się oczekiwanie. Byli zupełnie jak uczniowie stojący na baczność podczas apelu na rozpoczęcie roku szkolnego. Żałowała, że Alicja nie może tu być razem z nią. Zawsze potrafiła rozbawić Elizę uszczypliwymi komentarzami o wakacyjnych fryzurach i opaleniźnie koleżanek czy o przysypiających podczas przedłużających się przemów nauczycielach. I nikt przecież nie wystawiał ocen pierwszego dnia... Uśmiech szybko spęzł z oblicza stażystki. Atmosfera gęstniała z minuty na minutę.

– Mam wrażenie, że mogłabym pokroić stres wiszący w powietrzu i sprzedawać na kilogramy – szepnęła do stojącego obok Marcela.

– Ale czy ktoś chciałby to kupić? – odparł równie cicho. Rozejrzał się po sali i zmarszczył czoło. – Stryjek się denerwuje.

Bernard Kruk schował gdzieś swój zwyczajowy luz. Zupełnie niepodobnie do siebie trwał w całkowitym milczeniu i poważnej zadumie, co chwilę poprawiając spinki do mankietów. Obok niego stał zawsze perfekcyjnie wyglądający Garlicki.

– Aleks założył jeszcze bielszą koszulę niż zwykle. O ile to w ogóle możliwe – skomentowała.

– No gdyby nie przyciemnione okna, to można by było dostać ślepoty śnieżnej.

– Mam wrażenie, że jego loczki nieco bardziej się kręca.

– Przestań – upomniał ją cicho Marcel. – Nie rozśmieszaj mnie. Zachowujemy powagę – dodał, omal nie parszcząc śmiechem.

Inspektorki również się wystroiły. Stażystka pierwszy raz widziała Jagę w sukience. Co prawda w czarnej i ozdobionej ćwiekami, ale sukience. Do tej pory wiedźma przeważnie wybierała podarte jeansy. Maja z gracją nosiła koronę uplecioną z włosów, w którą powtykała chabry i maki. Przy nich stał Moras, który swoim zwyczajem kreował się na luzaka, jednak zdradzało go nerwowe zaciskanie i rozprostowywanie palców na poręczy krzesła.

– Nawet Grażka się pojawiła – zauważyła ze zdziwieniem Eliza.

– Faktycznie, tak rzadko opuszcza swoje segregatorowe królestwo... Ale wygląda dziwnie bez papierosa w ustach.

Wokół twarzy pani Wąs brakowało kłębow dymu, które przeplatałyby się z kłębami puszystych, natapirowanych włosów ufarbowanych na kolor wypłowiałej oberżyny.

– Nie ma chyba tylko Jana Sulimy – skomentowała. Nie żeby żałowała braku obecności ducha.

Rozejrzała się dla pewności. Przypadkowe natknięcie się na niego czy wręcz przeniknięcie przez niematerialną formę bez wątpienia nie należało do najprzyjemniejszych przeżyć. I nie musiała tego sprawdzać na sobie.

– On już w swoim życiu po życiu przetrwał tyle audytów, że ten mógł sobie podarować – odparł wesoło Marcel, ale zaraz spoważniał. – Idą.

Grupa kontrolerów NIKT-u, licząca około tuzina osób, weszła do środka. Dyrektor powitał ich wylewnie, posyłając dokoła ciepłe uśmiechy, którymi wyraźnie próbował przykryć niepokój. Kontrolerzy zachowywali się równie uprzejmie, ale z dystansem i odpowiadali Bernardowi Krukowi sztywnymi grzecznościami. Ewidentnie nie mieli zamiaru się z nim spoufalać. Cóż, to miała być czysto służbowa wizyta.

– Ale dziwaki – podsumowała cicho Eliza.

– KTOŚ – szepnął jej na ucho Marcel.

– Hm?

– Kontroler Tajny Odkrywania Ściemy. Takim tytułem się posługują.

Zatrzymała dla siebie komentarz odnośnie do cudacznej nazwy. Przynajmniej mieli normalny skrót... Prezentowali się za to dość niepozornie. Gdyby nie prestiż stanowiska, pewnie nikogo by nie wystraszyli. Wszyscy wyjątkowo niscy i chudzi. Czy na kontrolerów wybierano wyłącznie niewysokie osoby? A może Ktosie stanowili odrębny gatunek? Otulały ich identyczne czarne, długie płaszcze, które powiewały złowrogo, nawet gdy się nie poruszali. Na głowie nosili zabawne meloniki. Gdy ściągnęli odzież wierzchnią i zawiesili ją na wieszaku, zaprezentowali również ciemne garnitury i idealnie wypastowane buty. Na gołych głowach mieli garstki śmiesznie zaczesanych włosów, a pod nosami perfekcyjnie przystrzyżone wąsiki.

– Wyglądają jak pracownicy domu pogrzebowego.

– Trochę tak... – przyznał Marcel.

– Zastanawiam się, czy Feliks ma podobne grobowe skojarzenia. – Eliza zerknęła na skupioną twarz mężczyzny, która nie wyrażała żadnych uczuć.

– Na jego miejscu bym miał.

Zwój, mimo wysiłków całej trójki, nadal nie został odnaleziony, ale inspektor stał wyprostowany jak struna, jakby nie działo się nic złego. Kontrolerzy po kolei witali się z pracownikami, a kiedy jeden z nich podszedł do Feliksa, ten zaśmiał się trochę sztucznie. Eliza przygryzła wargę i opuściła powieki, spoglądając na nich spod rzęs. Czy KTOŚ coś wyczuł? Chyba nie... Chociaż zmrużył czujnie oczy, zanim poszedł dalej. Jeszcze kilku kolejnych pracowników i... Tak, w końcu nadeszła jej kolej na oficjalne powitanie. Oby nie zauważyli jej

zdeenerwowania i tego, że z całych sił starała się wypaść jak najlepiej. Założyła ulubioną sukienkę, której głęboki, szmaragdowy kolor kontrastował z włosami i sprawiał, że piwne oczy wydawały się bardziej zielone niż jasnobrązowe. Przywitała się, przedstawiła i podała swoje stanowisko. Kiwnęli głową i sekundę później stali już przed Marcelem, któremu zadali kilka krótkich pytań. Uff! Widocznie zwykłej stażystce nie zamierzali poświęcać za wiele uwagi. Miała za to okazję, by przyjrzeć się Ktosiom z bliska, każdemu z osobna. Dostrzegła, że mieli własne, odmienne rysy twarzy i różnili się od siebie, ale w grupie wszyscy zlewali się w jedno. Bezosobowa, obiektywna nadrzędna jednostka. Przystanęli na chwilę przy Strzydze, która przesadnie długo wygładzała elegancką garsonkę, a spodnie w kant wyprasowała bardziej pieczołowicie niż zwykle, jednak brakowało w jej zachowaniu zwyczajowej pewności siebie. Czyżby Strzyga wcale nie była taka idealna? Pani Lusia chyba jako jedyna szczerze nic sobie nie robiła z towarzystwa Ktosiów. Przyniosła im kawę i ciasteczka na srebrnej tacy, kołysząc uwodzicielsko biodrami. Żartowała sobie z nimi i kokietowała, a mile połączani kontrolerzy otaczali ją chmarą i lgnęli do niej, gdy nie przestawała się do nich wdzięczyc.

– Zaraz zaśpiewa i odtańczą słynną scenę z *Mężczyźni wolą blondynki*. Widziałas ten film? – zagaił szeptem Marcel.

– Tak, pani Lusia idealnie odegrałaby Marilyn Monroe. Brakuje tylko diamentów i czerwonych schodów – odparła cicho. Obcisła sukienka w kolorze fukcji z ogromną kokardą z tyłu wywoływała oczywiste skojarzenia.

– Szkoda, że kontrolerzy pasują raczej na krasnoludków.

Eliza nie zdołała się opanować i parsknęła śmiechem pod nosem.

– Co tak panią rozbawiło, jeśli mogę wiedzieć? – zapytał stojący najbliżej kontroler, mrozącym krew w żyłach basem zupełnie do niego niepasującym.

Eliza w panice próbowała znaleźć sensowne usprawiedliwienie swojego zachowania. Domyślił się, że go obgadywała? Uraziła go?!

– Nic, nic! Uhm, zakrztusiłam się.

– Ach, tak! – Zabrzmiało, jakby wyciągnął zupełnie odmienne wnioski. – Rozumiem... – zawiesił teatralnie głos i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes oraz zgrabne pióro wieczne. Otworzył notatnik zamaszystym ruchem i zaczął coś skrzętnie w nim zapisywać.

Po prostu wspaniale! Eliza zacisnęła za plecami pięści. Audyt dopiero co się zaczął, a już stała się powodem jakiejś oceny.

– Przepraszam – bąknął Marcel.

Odwróciła się w jego stronę z pytającą miną. Dopiero po chwili zorientowała się, że ktoś przyciąga ją wzrokiem. Podniosła głowę. Aldona Ostrzyżek patrzyła na nią z dezaprobatą. Jeszcze lepiej! Co za wpadka! Naczelniczka ją zamorduje,

oskóruje, czy co tam innego wymyśli... Eliza spuściła głowę. Usłyszała jeszcze, jak KTOŚ wymruczał do siebie, że podejrzewa u niej astmę albo nerwicę. Cudownie!

Na całe szczęście wszelkie przywitania zakończyły się i Eliza wraz z inspektorami mogli przejść do swojego biura. Trzech kontrolerów natychmiast ruszyło za nimi, a pozostali rozpierzchli się po całym budynku, zapewne w celu wyniuchania jakiegokolwiek nieprawidłowości. „Ciekawe, ile znajdą?”, pomyślała stażystka. Kadra Instytutu Absurdu mocno się postarała, by utrudnić im to zadanie. Biuro wyglądało jak nie ich biuro – każde stanowisko pracy oślepiało idealną czystością, nawet Moras został wczoraj dłużej i żalił się rano, że do późnych godzin sprzątał swój stół po tym, jak Strzyga stwierdziła, że takiego syfu dawno nie widziała. Zabawne, bo morasowy bajzel w formie niezmiennej Eliza podziwiała od samego początku stażu i do tej pory jakoś nie przeszkadzał naczelniczce. Większa część rozwalających się dokumentów, nie tylko tych z biurka Morasa, nagle znalazła swoje miejsca w teczkach i szafach. Może Ktosie nie wyczują, że to wszystko zostało zrobione na pokaz. „Właściwie co to za kontrola, skoro dyrekcja wcześniej wiedziała, że się odbędzie? Schowano trupy do szafy, popsikano odświeżaczem i teraz wszyscy udawali, że pachniało fiołkami”, przeszło przez myśl dziewczynie.

Dwójka Ktosiów krążyła po pomieszczeniu. Przyglądali się pracy inspektorów i intensywnie notowali coś w swoich kajecikach. Marcel odpisywał na zaległe pisma i co chwilę zerkał na nich niepewnym wzrokiem. Jaga otworzyła szafę, w której trzymała eliksiry, i udawała, że je układa, chociaż zrobiła to już wczoraj. Najwyraźniej chciała się pochwalić swoim porządkiem i profesjonalizmem. Oburzona Maja, po pouczeniu przez jednego z kontrolerów, że to niedopuszczalne, aby zaczarowana muchołówka przebywała z nimi w pomieszczeniu, zabrała Narcysia na górę do oranżerii. Eliza była pewna, że po kontroli przyniesie go z powrotem. Nawet Oskar wyjątkowo nie udał się w teren, tylko siedział za biurkiem. Dziś nie przypominał Elizie ogromnego i zarośniętego Włóczykija – znikły spodnie i kurtka w kolorze khaki oraz ciężkie trapery, a długą, ciemnobrązową brodę, w której często zawieruszała mu się jakaś gałązka, liść lub inny paproch, elegancko wyczesał i wygładził. Ubrany w prosty garnitur, dokonywał wpisów na temat magicznych miejsc w specjalnie założonych w tym celu księgach. Chyba tylko Garlicki zachowywał prawdziwy spokój lub nie dawał po sobie poznać zdenerwowania – sortował pisma otrzymane przez Strzygę i przydzielał je poszczególnym inspektorom.

Trzeci z Ktosiów cały czas sterczał nad Elizą. To musiał być ten sam osobnik, który wcześniej ją spisał. Był niewielkiego wzrostu, ale i tak odczuwała, że w pewnym sensie góruje nad nią, ignorując przy tym ideę przestrzeni osobistej.

Siedziała zgarbiona, wpatrzona w kartkę, a plecy bolały ją coraz mocniej. KTOŚ jeszcze bardziej pochylił się w jej stronę i patrzył jej na ręce, gdy wstukowała kolejne litery na maszynie. Z sekundy na sekundę coraz mocniej się denerwowała i w efekcie popełniła głupi błąd w jednym zdaniu. Kontroler jakby tylko na to czekał. Momentalnie odwrócił się tyłem, zamasyżyście skreślając coś w swoim notatniku i kręcąc wymownie głową. Elizie zdawało się, że mamrotał coś o niekompetencji i sztywnych, niezgrabnych palcach.

– Coś nie tak? – zapytała drżącym głosem.

– Proszę kontynuować i nie zwracać na mnie uwagi. A najlepiej to proszę się zachowywać, jakby w ogóle mnie tu nie było – odparł oschle.

– Łatwo powiedzieć...

Co za KTOŚ! Perfidnie jej się uczeplił! Odetchnęła głęboko i poprawiła na krześle. Skupiła wzrok na guzikach, ale wszystko na nic – popełniała kolejne błędy, a im więcej i częściej się zdarzały, tym szerszy stawał się uśmiech pod wąsikiem kontrolera. Miała ochotę rzucić w niego maszyną do pisania. Może w końcu by to zrobiła, gdyby do biura nie wszedł Feliks. Przeszedł nonszalanckim krokiem obok pozostałej dwójki Ktosiów, uśmiechając się do nich sztucznie.

– Marcel, Eliza! Jest dla was zadanie w bibliotece. Trzeba uporządkować nowe książki – powiedział przekonująco, jakby zupełnie ignorując fakt, że sam wcześniej zdążył je posegregować.

Wstała z ogromną ulgą i niemal radośnie wyfrunęła z biura. Nie będzie musiała przebywać dłużej ze złowieszczymi Ktosiami! Marcel wyszedł za nią i zamknął dokładnie drzwi oraz sprawdził pozostałe wejścia. Feliks rozejrzał się na boki, zerkając, czy nikt nie nadchodził korytarzem i odciągnął ich na bok.

– Sprawdziliśmy wczoraj z Oskarem Terminal Promowy Westerplatte, ale nie znaleźliśmy żadnego śladu po zwoju. Ktoś musiał go znaleźć przed nami – zamilkł, niby robiąc dramatyczną pauzę. – Ale nic się nie martwcie! Mam listę gdańszczan, którzy nagle podejrzenie zmądrzeli.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni ładnie złożoną kartkę. Po pierwszym dreszczyku ekscytacji Elizę ogarnęło zniechęcenie, gdy zorientowała się, że zapisano ją drobnym jak mak pismem. Ile tu mogło być nazwisk i adresów?

– Skąd masz taką listę? – spytała bez ogródek.

– Mam swoje sposoby – odparł triumfalnie.

– Taaa, chyba Strzyga – podsumował Marcel.

Czy istniało cokolwiek, czego ta kobieta nie umiała załatwić? Eliza zerknęła z zaciekawieniem na Feliksa, ale ten tylko wzruszył ramionami i dodał:

– Musimy sprawdzić te adresy po kolei i zobaczyć, czy gdzieś nie ma zwoju. Marcel, wiesz czego nam trzeba? Och, nie patrz tak na mnie!

Marcel rzeczywiście nieco się zachmurzył. Eliza nie rozumiała, o co dokładnie prosił go Feliks, więc przyglądała się raz jednemu, raz drugiemu, czekając na jakieś wyjaśnienie.

– Stryjkowi się to nie spodoba.

– Szef o niczym nie musi wiedzieć. Wchodzisz w to? Sam nie dam rady się włamać.

– Co?! Będziemy się włamywać?! – krzyknęła Eliza, a inspektorzy posłali jej karcące spojrzenia. – Przepraszam – dodała szeptem i rozejrzała się dookoła, ale na całe szczęście chyba nie zaalarmowała żadnego z Ktosiów.

– Jeśli Marcel weźmie ze sobą cudoklucz, to technicznie rzecz biorąc, nie będzie to włamanie... Nie, to dalej będzie włamanie, ale nie mamy wyjścia.

– Cudoklucz?

– Klucz, który otwiera każdy zamek – wyjaśnił odruchowo Marcel, ale zdawał się nieobecny duchem.

– Jak w tym głupim powiedzeniu? Tak myślałam. I użyjemy go, by sprawdzić mieszkania podejrzanych... To w ogóle legalne, Marcel?

– Nie bardzo. Nie powinniśmy używać tego klucza w taki sposób, ale... Cholera! Ten zwój to poważna sprawa.

– Będę ci wisiał przysługę – nęcił Feliks.

– Mhm... Nie podoba mi się to i lepiej, żeby NIKT nas nie złapał.

– Nikt nas nie złapie, będziemy uważać.

Feliks wbijał błagalne spojrzenie w Marcela, ale ten na niego nie patrzył, tylko sunął palcem po ramie ogromnego obrazu przedstawiającego tańczące na polanie rusałki, zdrapując z niej grubą warstwę kurzu. To będą się włamywać czy nie? Eliza z wrażenia wstrzymała oddech.

– No dobra – powiedział w końcu Marcel. – Ale jak coś nie wypali, to będzie twoja wina. Jesteś starszy stażem.

– Jasne, zgoda, tylko weź ten klucz.

– Zapraszam do magazynu.

Do magazynu? Eliza mimowolnie otworzyła szerzej oczy. Jak można trzymać tak niesamowite i niebezpieczne przedmioty w całkowitym nieładzie, w miejscu, gdzie każdy mógł wejść i je zabrać? Marcel musiał odgadnąć myśli Elizy, bo odchrząknął zmieszany i unikając jej wzroku, ruszył w stronę magazynu. Uchylił nieznacznie drzwi i wsunął się do środka. Eliza i Feliks popatrzyli na siebie znacząco i pchnęli skrzydło. Marcel odwrócił się, a na jego twarzy pojawił się wyraz paniki. Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał całym sobą zakryć bałagan albo odwrócić od niego uwagę, jednak zupełnie mu to nie wyszło.

– Ekhm... Przed urlopem to tu czyściej było.

Feliks przewrócił oczami, jakby ani trochę nie wierzył w słowa chłopaka.

– No to już wiemy, co będzie najgorzej ocenione przez NIKT.

Eliza pokręciła głową. No tak, nie było najmniejszych szans, żeby zdążyć posprzątać tak zapuszczony magazyn przed kontrolą.

– Jak ty chcesz tu cokolwiek znaleźć? – zapytała spokojnie.

– Bez obaw, wszystko jest na swoim miejscu.

– Aha. Oczywiście – dodał cierpko Feliks.

– Zobaczycie.

Pomimo zapewnień Marcel dłuższą chwilę szukał klucza. Znalazł go pod stertą pustych pudeł, ukrytego w niewielkiej, drewnianej skrzynce zamkniętej na kłódkę. Przekręcił trzy pierścienie z cyferkami, ustawiając szyfr, i otworzył skrzyneczkę. Eliza westchnęła z rozczarowaniem na widok zwykłego, srebrnego klucza na łańcuszku. Co prawda ozdobny i ładnie się błyszczał, ale co w nim cudownego? Zaraz...

– To klucz z pieczęci Instytutu!

– Mhm, ostatnie dzieło Sobierada – potwierdził Marcel.

– Dzieło Sobierada... – powtórzyła pod nosem.

– Bezumnego, założyciela Instytutu – wtrącił Feliks ze skwaszoną miną.

– To wiem – obruszyła się, że uznał ją za aż taką ignorantkę. – Po prostu nie wiedziałam, że stworzył coś jeszcze.

Feliks nadał twarzy wyraz uprzejmego zdziwienia.

– Doprawdy, Elizo, czy nikt ci jeszcze nie opowiedział historii tego miejsca?

Pokręciła głową, a mężczyzna wzniósł oczu ku niebu.

– Jak zwykle... Ech! Jak będę mieć chwilę, czyli najpewniej na emeryturze, chętnie ci opowiem. Przypomnij mi tylko.

– Ja mogę... – zaczął Marcel, ale Feliks zgasił go wzrokiem. No tak. To inspektor Dziwnych Dokumentów był tutaj specem od historii, a tę o Instytucie Absurdu jak najbardziej powinna poznać, skoro miała się tu do czegokolwiek przydać.

– Jasne! Dzięki, Feliksie.

Inspektorzy skierowali się już do wyjścia z magazynu, gdy Elizie przypomniało się coś jeszcze. Przecież sama mogła skorzystać z nietuzinkowego urzędnika.

– Marcel, a mogłabym zabrać ten aparat, który mi pokazywałeś wczoraj? Może uda mi się zrobić kilka zdjęć.

– O, nie! – burknął Feliks, nawet nie odwracając się w jej stronę. – Nie będzie na to czasu.

Marcel jednak zupełnie nie przejął się uwagą kolegi. Podszedł do jednego z regałów i z górnej półki zdjął futerał z urządzeniem, a potem przekazał Elizie, która zawiesiła je na szyi. Przygotowani i wyposażeni zbiegli do wrót, a gdy

Feliks je otworzył, natychmiast dotarł do ich nozdrzy charakterystyczny nadmorski zapach słonej wody i ryb. W uszach zabrzmiał krzyk mew i mieszanina różnych głosów. Eliza zatrzymała się w progu. Budynek unosił się nad kanałem, więc Marcel musiał pomóc jej zeskoczyć na betonowe wybrzeże, szczelnie wypełnione kramami z pamiątkami i stojącymi przy nich turystami. Instytut Absurdu zniknął, odsłaniając zacumowany wycieczkowy statek wzorowany na pirackim okręcie. Jedna z mew siedzących na maszcie sfrunęła, przeleciała tuż nad ich głowami i usiadła Feliksowi na ramieniu, po czym skubnęła go w lewe ucho. Może w ten sposób nagoniała pasażerów? Mogła być tresowana, bo na jej szyi ktoś zawiesił rzemyk z przywiązaną muszelką. Inspektor warknął i odgonił nachalne ptaszysko. Eliza śledziła mewę wzrokiem, aż ta zniknęła za wypatrzonym w oddali zabytkowym żurawiem.

– Durne mewy – sapnął inspektor. – Chodźcie tędy.

Poprowadził ich wzdłuż brzegu do łukowatego przejścia w ścianie budynku. Z przytwierdzonej obok tabliczki informacyjnej Eliza dowiedziała się, że przechodzi przez Bramę Mariacką. Po drugiej stronie znalazła się na wąskiej, brukowanej uliczce, która przez ogrom najróżniejszych straganów oraz szereg mocno wysuniętych, kamiennych schodków prowadzących do wysokich kamienic sprawiała wrażenie jeszcze ciaśniejszej.

– Byłaś już tutaj? – zapytał Marcel.

– Nie. Na wakacje jeździłam przeważnie do Świnoujścia albo Kołobrzegu. Tato ma jakąś starą, upierdliwą ciotkę w Gdańsku... A może w Gdyni? W każdym razie niespecjalnie chciał odwiedzać Trójmiasto, by przypadkiem jej nie spotkać i nie słuchać wymądrzania się na każdy temat. Może to ona ma od dawna zwój?

– Ha! Być może. Ale w takim razie chętnie poopowiadam ci o tym miejscu, jeśli chcesz. Znajdujemy się na ulicy Mariackiej. Pod koniec drugiej wojny światowej niemal w całości została zniszczona. Te wszystkie kamienice to rekonstrukcje. A tam – wskazał ręką na wprost – jest Bazylika Mariacka. Poza tym to miejsce znane jest z ogromnej liczby warsztatów i sklepików oferujących wyroby z bursztynami.

– Tu jest cudownie! – zawołała z zachwytem Eliza.

Nie mogła się powstrzymać, by nie zajrzeć na każde stoisko. Przy jednym z nich wypatrzyła misternie wykonane kolczyki, cudowne! Misja misją, ale chyba może sprawić sobie jedną małą pamiątkę, prawda? Zerknęła na cenę i zmieniła zdanie. „Będą zlewać się z włosami. A poza tym mam sporo par. Może nie tak pięknych, finezyjnych, bursztynowych, ale nie potrzebuję kolejnych”, pomyślała. Ostatni raz spojrzała na biżuterię, a potem na metkę, by się upewnić w swoim postanowieniu.

– Wiesz, w starożytności uważano, że bursztyn zapewnia młodość i piękno... – zaczął Marcel, ale nie dokończył, bo wyrósł przed nimi Feliks z gniewną miną i założonymi na piersi rękami.

– To nie wycieczka! To poważna misja, od której zależy przyszłość Instytutu.

– Chyba trochę wyolbrzymiasz!

– Tak? A kto się przejmował cudokluczem? Nie ma czasu na takie bzdury, skupcie się! I za mną!

Zatrzymali się na schodkach prowadzących do wejścia do jednej z kamienic. Marcel złapał za łańcuszek i wyciągnął spod koszulki zabrany z magazynu klucz. Gdy zbliżył go do dziurki w zamku, końcówka cudoklucza zadrżała. Zaczęła się wydłużać, rozszerzać, pojawiły się też nowe wypustki, a istniejące zanikły. Jeszcze zanim Marcel wsunął i przekręcił klucz, Eliza nie miała wątpliwości, że zmieniony kształt będzie pasował do otworu. Mimo to wciąż wpatrywała się ze zszokowaną miną w otwarte drzwi. Marcel uśmiechnął się do niej i machnął ręką.

– Panie przodem.

Spojrzała na niego z przekąsem. Niby dlaczego miała pierwsza się włamywać? To nie był jej pomysł!

– Ruchy, ruchy! Nie mamy czasu! – dodał Feliks.

Starala się zignorować ucisk w żołądku. Z trudem oderwała stopę od podłoża, ale wciąż nie przekroczyła progu mieszkania. W Instytucie Absurdu, owszem, panowały inne zasady, ale czy praca w nim przyzwalała na łamanie tego zwyczajnego prawa? Rozterki przerwał Feliks, który delikatnie popchnął Elizę do środka. Wewnątrz na szczęście nikogo nie zastali.

– Kto tu mieszka? – zapytała Feliksa.

– Jakaś staruszka, która wygrała wczoraj trudny teleturniej z wiedzy ogólnej.

– I myślisz, że to zasługa zwoju?

– Zaraz się przekonamy.

Zadrżała na myśl o szperaniu w cudzych rzeczach. Feliks najwyraźniej nie miał takich oporów, bo zabrał się za dokładne sprawdzanie pokoi. Robił to na tyle ostrożnie, by nie zostawiać żadnych śladów. Pomagał mu Marcel. Nie znaleźli zguby, ale spora liczba naukowych książek w domu kobiety przekonywała, że to w odcytnaniu tkwił sekret wygranej. Jeśli tak miało wyglądać ich śledztwo, to Eliza powątpiewała w jego sukces.

– Cóż, byłoby naiwne sądzić, że trafimy na zwój za pierwszym podejściem – zauważył niezbyt optymistycznie Feliks.

– Przecież to potrwa lata. Nie zdążymy do końca audytu – jęknął Marcel, zaglądając w listę przygotowaną przez Strzygę.

– Nie mamy wyjścia. Musimy sprawdzić następny adres. To kawałek stąd, trzeba będzie pojechać tramwajem.

– Tramwajem? Dlaczego nie możemy wykorzystać Instytutu, by nas przeniósł na drugi koniec miasta? – zdziwiła się Eliza, a Feliks prychnął.

– To nie taksówka! Poza tym nie chcemy przecież natknąć się na kontrolerów.

Wyszli po cichu z budynku, a Marcel zamknął drzwi cudokluczem. Szybkim tempem przemaszerowali przez wąskie uliczki Starówki i zatrzymali się dopiero na przystanku tramwajowym o śmiesznej nazwie.

– Dlaczego Żabi Kruk? – zapytała Eliza.

– Och, to wiąże się z legendą. Pewien flisak, Wojciech Kruk, zakochał się w Róży, córce bogatego kupca gdańskiego, ale był biedny, więc ojciec dziewczyny nie zgadzał się na ślub. Wojciech ciężko pracował i gdy uzbierał trochę pieniędzy, chciał poprosić dziewczynę o rękę. Ta jednak, zamiast zabrać go do swojego ojca, poszła z nim na bal. Na balu pojawił się tajemniczy jegomość i porwał Różę do niekończącego się tańca. Wojciech domyślił się, że to sam diabeł ją zauroczył, i zdemaskował przybysza. Ten jednak zamienił go w kruką, a dziewczynę porwał. Wojciech polecił ratować ukochaną, ale zahaczył o wieżę kościoła Mariackiego i spadł do bajora, gdzie zaopiekowały się nim żaby. To one pomogły mu przechytrzyć diabła i odzyskać Różę. Podobno żabie bajoro znajdowało się gdzieś tutaj. Stąd nazwa przystanku.

– A ten Wojciech Kruk to twoja rodzina? – dopytywała szczerze zaciekawiona.

– Raczej zbieżność nazwisk. Krukowie od wieków mieszkają w Krakowie. Chociaż naszym protoplastą był prawdopodobnie sam król Krak. – Wypiął dumnie pierś. – Imię zostało źle odczytane, powinno się go nazywać król Kruk.

– Och! A Kraków to Kruków?

– Właśnie.

– Wiesz co? – przeszkodził im Feliks. – Wstydziłbyś się tak bajerować dziewczynę. Wystarczy, że Aleks opowiada bzdury o swoim pochodzeniu.

Eliza zachichotała, gdy Marcel się speszył, podrapał nerwowo kark i mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

– O, właśnie! Dlaczego wtedy powiedziałaś, że Aleks nie jest hrabią?

– Bo nie jest. Według moich szczegółowych badań. – Feliks zamilkł na chwilę zmieszany, kiedy zorientował się, że wyszło na jaw, do czego się mimochodem przyznał. – Był zwykłym mieszczaninem. Zamożnym, to prawda, bo miał własną drukarnię w Lublinie, ale to tyle. Dopiero po śmierci, jak został wampirem, zaczął zdobywać pozycję. Oczywiście, nigdy się do tego nie przyzna, bo nie pasowałoby to do jego image'u. Chodźcie, dziewiątka przyjechała.

– To kogo mamy teraz? – zagadnął Marcel, gdy cała trójka wpakowała się już do tramwaju.

– Zobaczmy... – Feliks wyciągnął z kieszeni listę. – Gdańsk, morze możliwości – mruknął ironicznie, gdy przejeżdżał po niej chudym palcem. – O, mam! Musimy włamać się do jednego z akademików. Student zagrożony z kilkunastu przedmiotów, który rzutem na taśmę zaliczył je wszystkie na sesji poprawkowej. Brzmi optymistycznie, co?

Wzruszyli ramionami, a Feliks prychnął i machnął na nich ręką. W ciszy przejechali kilka przystanków i wysiedli niedaleko Uniwersytetu Medycznego. Marcel wyciągnął telefon i wstukał podany przez Feliksa adres domu studenckiego. Trasa pokierowała ich przez Zielony Park, a następnie brukowanymi uliczkami z wiekowymi budynkami o zabawnych dachach, aż do miasteczka studenckiego otoczonego zielenią. Przy wijących się alejkach stały klockowate, identyczne budynki. Chwilę kręcili się po okolicy, nim znaleźli właściwy. Niezauważeni dzięki magii Instytutu Absurdu weszli do akademika, przemknęli przez klatkę schodową i odszukali właściwy pokój. Znowu niezawodny okazał się klucz Marcela. Po cichu wsunęli się do środka. Eliza od razu spostrzegła chłopaka śpiącego w brudnej, skotłowanej pościeli.

– Nie przejmuj się nim. – Marcel zerknął na niego. – Jest totalnie ścięty. Nie obudzi się zbyt szybko.

– To tak wyglądają uroki studenckiego życia? – zapytała, przewracając oczami.

– A co ty myślałaś? Jednego razu mój kolega z kierunku...

– No, już, już! Nie gadać! Szukamy zwoju! – pogonił ich szeptem Feliks.

W pokoju panował okropny zaduch i wyczuwało się odór alkoholu. Przez potworny bałagan panujący w tym miejscu sprawdzali je ponad godzinę. Na darmo. Tutaj również nie natrafili na zwój. Zamiast tego w koszu pod biurkiem Eliza wypatrzyła inny rodzaj zawiniątek.

– Student miał do pomocy alternatywne zwoje. – Pokazała chłopakom stos ściąg.

– Najwyraźniej. – Feliks skrzywił się, a potem ponownie przejrzał listę. – Ale zostało jeszcze parę uczniów do sprawdzenia. To musi być któryś z nich!

Eliza pokręciła głową, a widząc to, Marcel parsknął pod nosem. Widocznie dopadły go równie pesymistyczne myśli. Jeśli nawet zwój znajdował się w którymś z domów studenckich, to nie było szans, by znaleźć go do końca dnia pracy. Feliks zdawał się jednak tego nie dostrzegać. Zaciągnął ich do kolejnego pokoju, a potem jeszcze jednego i jeszcze jednego... Minuty mijały, gdy sprawdzali pozostałe nazwiska z listy, ale wychodziło na to, że nikt nie pomagał sobie na sesji magicznym zwojem. Eliza zawiesiła smętnie głowę. Nie ma szans, nie znajdą go na czas. Zamiast dalszych poszukiwań Feliks powinien pomyśleć

nad tym, jak się wytłumaczyć Ktosiom. Ciekawe, co w tym czasie robili? Przetrzepali już bibliotekę? Znaleźli pusty futerał?

– Cóż – mruknął ledwo zrozumiałe Feliks. – To chyba nie tu. Ale mam kolejne pewne miejsce! – dodał już wyraźniej.

Złapali następną tramwaj, tym razem zmierzający w stronę Obrońców Wybrzeża. Po drodze Eliza przyglądała się śmiesznemu, nedorzecznemu długiemu budynkowi, który Marcel nazwał falowcem. Kolejna podejrzana osoba, młoda naukowczyni, napisała wybitny artykuł. Mieszkała w okolicy, ale w zniszczonym bloku, czego inspektorzy nie przewidzieli. Zamknięte drzwi klatki schodowej miały uszkodzony otwór zamka i do środka można się było dostać jedynie wystukując kod na domofonie.

– Cholera! Jak teraz wejdziemy? – zaklął Marcel, wpatrując się bezradnie w cudoklucz.

– Nie mam pojęcia. Może zaczekamy, aż ktoś będzie wychodził?

Eliza zamrugała kilkakrotnie. Nie do wiary! Żartowali sobie z niej czy naprawdę nie potrafili znaleźć rozwiązania? Dlaczego tak banalny pomysł nie przyszedł im do głowy? Nacisnęła pierwszy lepszy guzik i odchrząknęła kilka razy.

– Halo?! – zabrzmiało niezbyt uprzejme zapytanie.

– Dzień dobry, gazownia. Odczyt liczników – powiedziała, obniżając głos.

– Aaa! Tak, dobrze – odpowiedział głos z domofonu i usłyszeli charakterystyczny dźwięk otwierania drzwi.

Marcel zagwizdał i popatrzył na Elizę z uznaniem. Niestety jej pomysłowość na niewiele się przydała – pomimo gruntownego przetrzepania mieszkania nie znaleźli zwoju ani niczego, co mogłoby im pomóc w poszukiwaniach. Feliks zdołał za to ustalić, że sukces kobiety wynikał ze splagiatowania zagranicznej publikacji.

– Ile jeszcze zostało miejsc do sprawdzenia? – Eliza nie kryła znużenia nieudanymi poszukiwaniami.

– Całkiem sporo, dlatego nie ociągaj się! – Feliks pogonił ich do wyjścia. – Ktosie pewnie nie próżnują!

– Poszedłbym na plażę popływać – westchnął z rozmarzeniem Marcel.

– Nie jesteśmy na wakacjach! – Feliks pacnął go w ramię zwiniętą w rulon listą podejrzanych.

– Gorąco jest...

Chłopak ściągnął flanelową koszulę w kratę i został w białym T-shircie. Moment nieuwagi inspektora wykorzystała zbłąkana mewa, która złapała w dziób odłożony na murek cudoklucz i odfrunęła z nim. Przez chwilę

inspektorzy i stażystka stali w całkowitym osłupieniu, nim pierwszy ocknął się okradziony.

- No, super! Nie dość, że nie znaleźliśmy zwoju, to teraz jeszcze to!
- Nie gadaj tyle – sapnął Feliks – tylko łap ją!
- Zobaczcie, przystanęła na tamtej ławce!

Eliza wskazała na ptaszysko, które kręciło łbem i chwaliło się swoją zdobyczą. Pobiegli w tamtą stronę, ale ledwie się zbliżyli, a mewa odleciała kawałek dalej. Wyglądała, jakby na nich czekała, ale ponownie uciekła, gdy podeszli zbyt blisko.

- Chyba nas dokądś prowadzi – stwierdził przytomnie Marcel.
- Też o tym pomyślałem. Za nią!

Przez dobre pół godziny ścigali mewę przez osiedle, a potem całkiem spory teren zielony. Ptaszysko, jakby zgodnie z życzeniem Marcela, wyprowadziło ich na plażę i skierowało się w stronę molo. By do niego dotrzeć, kluczyli między opalającymi się wczasowiczami. Wypatrywali mewy-złodziejki, co wśród dziesiątek jej podobnych stanowiło niemałe wyzwanie. Znaleźli ją na dolnym poziomie konstrukcji, gdzie siedziała na poręczy. W dziobie cały czas trzymała skradziony cudoklucz. Po cichu zbiegli do niej po schodach. Eliza pociągnęła Marcela za rękę i wskazała na szyję ptaka – wisiała tam przyczepiona do rzemyka muszelka.

- To ta sama mewa, która zaczepiła Feliksa na wybrzeżu – wyjaśniła.
- Co? Skąd wiesz?
- Zawieszka.
- Taś, taś, taś. Dobra mewo, oddaj klucz – poprosił Feliks.

Skradał się bardzo powoli, żeby nie spłoszyć zwierzęcia. Mewa obserwowała go, przekręcając ciekawsko łbem. Gdy mężczyzna miał ją na wyciągnięcie ręki, wypluła klucz do wody, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie! – krzyknęli chóralnie.

Położyli się na deskach i wychylili maksymalnie do przodu, żeby spojrzeć w toń. Niczego nie dało się w niej wypatrzyć. Klucz mógł opaść na dno nieopodal molo albo zostać porwany przez prąd i płynąć w nieznaną... Do Szwecji? Może tamtejsi inspektorzy znów będą na tyle mili, że zwrócą zgubę?

Plusk!

Nie zdążyli się odsunąć i obryzgała ich potężna fala. Tuż pod ich głowami wynurzyła się z niej dziewczyna o niesamowicie pięknej twarzy i delikatnie błękitnej karnacji. Jej włosy również miały niespotykaną granatową barwę, a przez długość i lekki skręt przypominały falujące morze. Nieco mętna, spieniona woda nie ukrywała, że zamiast nóg miała długi, rybi ogon o połyskujących srebrem łuskach. Syrenka! Eliza wstrzymała oddech

i pochłaniała wzrokiem niesamowity widok. Zawsze chciała być syrenką! Dotknęła aparatu, ale zawahała się i opuściła rękę. Robienie zdjęć obcej magicznej istocie jak małpce w zoo mogło nie zostać pozytywnie odebrane.

Syrena uśmiechnęła się tajemniczo. Wyciągnęła nad powierzchnię rękę, na której natychmiast przysiadła złośliwa mewa.

– Dziękuję, Hildziu. Nie będziesz mi na razie potrzebna – powiedziała cichym, przyjemnie szumiącym głosem i pogłaskała ptaszysko pod dziobem.

Mewa wzbiła się w powietrze i odleciała w stronę brzegu.

– Na imię mi Bryza. Jesteście z Instytutu Absurdu, prawda? – spytała syrenka i oddała Marcelowi klucz.

Chłopak musiał się mocno po niego wychylić.

– Tak – potwierdził.

– Nie zgubiliście czegoś jeszcze innego? – Bryza uśmiechnęła się przebiegle.

– Chcesz powiedzieć, że znaleźliście zwój Twardowskiego? – zawołał z przejęciem Feliks.

Uśmiech syrenki pogłębił się, a jej turkusowe oczy błysnęły zaczepnie.

– To po co się włamywaliśmy?! – zawołała z irytacją Eliza.

– Ehm... – Feliks popatrzył na nią zmieszany i odchrząknął krótko. – Nie czas teraz na roztrząsanie nieistotnych spraw.

– To co, płyniecie ze mną po zwój?

W głosie Bryzy dało się wychwycić zniecierpliwienie. Bawiła się od niechcienia okazałym naszyjnikiem z bursztynu, muszelek i masy perłowej, który ledwie przykrywał jej nagie piersi. Najwyraźniej prawdziwe syrenki nie nosiły stanika ze skorupki małży jak Disneyowska Arielka. Feliks chyba nie zwrócił na to uwagi, ale Eliza przyłapała Marcela na tym, jak wzrok kilka razy uciekał mu w tamte rejony. Mężczyźni!

– Ja nie umiem pływać – skłamała, licząc, że inspektorzy sami zanurkują, a ona zaczeka na nich na brzegu.

– Nie musisz – odparła krótko Bryza.

– Ach, tak. Oczywiście, że nie muszę – westchnęła zrezygnowana. – Ale strój mam nieodpowiedni!

– To też nie będzie przeszkodą.

– No, to skaczemy!

Nie zdążyła się sprzeciwić, gdy Feliks złapał ją i Marcela za rękę. Próbowwała jeszcze wyrwać się, zaprzeć nogami o deski mołu, ale zbyt mocno ją trzymał. Ostatnim, co zanotowała, było głośne pluśnięcie, gdy uderzyła nogami o powierzchnię wody. Potem nastąpiła cisza.

Gdyby syrenka od razu powiedziała Elizie, że wytworzy wokół nich ogromny, magiczny bąbel powietrza, który dodatkowo oplecie długiemi wodorostami i zaprzęgnie do niego parę morświnów na wzór niedorzecznej, disneyowskiej karocy, to może nie wzbraniałaby się aż tak bardzo przed wycieczką pod wodę. Żyli, nikt nie utonął. Wydawać się mogło, że nietypowy środek transportu miał same zalety. Eliza nie zmoczyła ubrań, nie musiała też sama pływać czy w inny sposób się wysilać. I chociaż bąbel nie wyglądał na szczególnie bezpieczny, to mimo lekkich turbulencji, gdy przepływali przez silniejsze morskie prądy, nie pękł. Przezroczysta ścianka oddzielająca ich od hektolitrow słojej wody okazała się wystarczająco wytrzymała. Całkowicie uspokojona Eliza swobodnie podziwiała podwodne krajobrazy. Niemal rozplaszczała nos o powierzchnię „przedniej szyby”, nie mogąc oderwać wzroku od pojawiających się nowych, nieznanym widoków, ławic różnorodnych ryb czy kilku zabłąkanych meduz, które uciekały przed ich „karocą”. Bryza płynęła przed nimi. Poruszała się niezwykle szybko i zgrabnie, a Eliza śledziła wzrokiem jej zjawiskowy ogon, lekko połyskujący w rozproszonym świetle.

– Eliza, zobacz! Foki! – Marcel wskazał palcem przed siebie.

– Gdzie?! – Kręciła głową na wszystkie strony. – Ojej! Jakie słodkie!

Sięgnęła po aparat. Chwilę męczyła się z ustawieniami, zanim udało jej się uchwycić odpływające zwierzęta. Bąbel wypełniła smużka srebrzystego dymu, gdy nacisnęła przycisk zwalniający migawkę, i Feliks odkaszlnął sugestywnie. Schowała aparat do futerału. Podróż zdawała się nie kończyć. Od kilku minut Eliza odnosiła wrażenie, że zanurzają się coraz bardziej i dociera do nich coraz mniej światła słonecznego. W końcu zapanowała niemal całkowita ciemność i niewiele mogła już spostrzec. Odsunęła się do tyłu i zadygotała. Grubość warstwy wody nad głową mogła przerażać.

– Oskar mówił, że prawie zawsze tak się tu dostaje. – Marcel poklepał ją po ramieniu. – Feliks, czy ty masz chorobę morską?

– Oczywiście, że nie – odparł milczący całą drogę i nieco zielony na twarzy inspektor.

Dopiero po dłuższym czasie, być może w samym sercu Bałtyku, do ich oczu dotarła delikatna, złocista poświata, a Bryza skierowała karocę w jej stronę. Eliza zmrużyła oczy i zachłysnęła się. Przed oczami miała widok nie z tej ziemi. Poświata zyskiwała na intensywności i przed nimi rosło podwodne miasto. Jego centrum stanowił majestatyczny pałac wybudowany z bursztynu o różnym odcieniu, od jasnożółtego do brunatnego. Budowla górowała nad pozostałymi zabudowaniami i zachwycała skomplikowaną formą łączących się ze sobą wież i wieżyczek, arkad oraz smukłych kolumn podtrzymujących kopulaste dachy, a jednocześnie przytłaczała nadmiarem najróżniejszych zdobień, również

wykonanych z tego cennego kruszcu. Samo miasto, choć znacznie skromniejsze, prezentowało się równie wspaniale. Eliza widziała zbudowane z różnokolorowych kamieni, różnokształtnych muszelek czy kawałków zmurszałego drewna chatki, otoczone niewielkimi ogrodami, w których uprawiano jakieś dziwaczne, falujące zielska.

Na spotkanie wyszli im mieszkańcy – syreny i syreni o nagich torsach oraz wielobarwnych rybich ogonach. Witali się ochoczo z Bryzą, ale na gości spoglądali nieufnym wzrokiem. Jedyne syreniątko machały im nieśmiało. Niektóre z nich, tak jak ludzkie dzieci, pod pływały i zaglądały ciekawsko do środka „pojazdu”, nim zaniepokojone matki i ojcowie nie odciągnęły ich na bezpieczną odległość.

– Oczom nie wierzę. Normalnie jak u Arielki! – zawołała uradowana Eliza.

– Na twoim miejscu lepiej bym nie wspominał o Disneyu – ostrzegł Feliks. – Syrenom nie bardzo podobał się ten film. Uznali, że to cukierkowy, nierealistyczny, do bólu komercyjny gniot.

– Szkoda, ja tam zawsze lubiałam Małą Syrenkę – odrzekła niepoczyszona.

– O Andersenie lepiej też nie przypominać – dodał Marcel. – Na niego również są cięci, bo wykreował jedną z nich na jakąś idiotkę, co głowę... Znaczący ogon dla człowieka straciła.

– Dobra, będę pamiętać!

Niewiarygodne, że czasem można sobie nie zdawać sprawy, jak wbrew pozorom błahe rzeczy mogły razić inne grupy.

– Świetnie, bo nie chcielibyśmy, żeby się na nas obrazili i stanęli okoniem!

Zachichotała i spojrzała na Marcela, zastanawiając się, czy celowo użył takiego określenia.

– Racja, w końcu jesteśmy tylko małe płotki – odpowiedziała, podejmując grę słowną.

– Powiedziałbym nawet, że zwykle leszcze.

– Coś ty! Jesteście inspektorami, grube ryby z was. A ja? Głupia flądra-stażystka – przyznała ze smutkiem.

– Bez przesady, widać, że czujesz się w Instytucie jak ryba w wodzie.

– Dzięki. Ten bąbel mógłby być w sumie większy, bo stoimy tu ściśnięci jak śledzie w beczce.

– Przykro mi, ale na razie nie możemy dać szczupaka – skwitował Marcel, używając kolejnego rybiego porównania, a Feliks w końcu nie wytrzymał i prychnął z irytacją.

– Proszę was, zachowujcie się jak na gości przystało! Te suchary nikogo nie bawią – upomniał ich kwaśno, trzymając się za brzuch.

Morświny kierowane przez Bryzę majestatycznie przepływały przez środek podwodnego miasta. Zmierzały prosto do pałacu. Mijali kolejne, coraz okazalsze budynki, a ich mieszkańcy wyglądali z zaciekawieniem z okien, a raczej kształtem zbliżonych do owalu otworów w ścianach. U bram muru obronnego, utworzonego ze zlepionych ze sobą muszli, czekała dwójka strażników-mieczników. Na widok bąblowej karocy skrzyżowali długie i ostre jak szpada szpice, tarasując przejście. Bryza podpłynęła bliżej i chwilę z nimi rozmawiała. Zapewne wyjaśniła, że prowadzi oczekiwanych gości z Instytutu Absurdu, bo straż wpuściła ich do środka. Zaczarowana karoca przepłynęła dalej przez rozległy, reprezentacyjny dziedziniec. Na jego środku stała fontanna, która naturalnie zamiast wody, bo byłoby to absolutnie bezsensowne, wypuszczała kolorowe grupy bąbelków. Wokół niej poustawiano rzeźby przedstawiające Neptuna i jakąś morską piękność.

– Te posągi kobiety... Kto to? – zapytała Eliza.

– Jurata, władczyni Bałtyku.

Wrota prowadzące do samego pałacu, strzeżone przez kolejną parę mieczników, w całości wykonano z bursztynu pokrytego płaskorzeźbami przedstawiającymi podwodne scenki rodzajowe. Odrzwia otworzyły się powoli i zassały bąbel do wnętrza. Bryza odwiązała morświny i pożegnała się z inspektorami w obszernym holu, przekazując ich pod opiekę olbrzymiemu krabowi o dość ekscentrycznie pomalowanej skorupie – fioletowej w zielone cętki i dodatkowo wysadzanej bursztynami.

– Tosław – przedstawił się i wykonał zabawny ukłon, niemal szorując aparatem gębowym o dno. – Herold Ich Wysokości. Zaraz zaprowadzę państwa do sali tronowej, ale najpierw... – Wykonał skomplikowany gest szczypcami, co w połączeniu z jego wyniosłym i nieco klekotliwym tonem dało komiczny efekt. – Objaśnię panujące tu zasady. Po pierwsze, żadnych zdjęć.

Eliza westchnęła z rozczarowaniem. To po co zabierała aparat, który ważył wcale niemało? Żeby nie mieć na pamiątkę nawet jednego niezwykłego zdjęcia? Miała nadzieję, że chociaż foki udało jej się ładnie uchwycić. Roztarła szyję, bo urządzenie jakby nagle zrobiło się cięższe, i niechętnie kiwnęła głową na znak, że akceptuje zakaz.

– No więc dobrze. Zgodnie z protokołem królewskim do miłościwie nam panujących należy zwracać się „Wasza Wysokość”. Ale! Nie odzywamy się jako pierwsi. Czekamy, aż najpierw zrobią to Ich Wysokości. Wtedy też na przywitanie panie powinny dygnąć, o, tak! – Krab zwrócił się w stronę Elizy i zaprezentował pozę. – Natomiast panowie w ten sposób się uklonić. Pod żadnym pozorem nie podchodzimy do Ich Wysokości, a tym bardziej nie dotykamy, nie podajemy ręki, płetwy czy innego odnóża, chyba że nas o to

wyraźnie poproszą. Ach! I niech państwo pamiętają, aby nie wspominać o przegranym zakładzie z Minerwą. Pan Neptun bardzo tego nie lubi – dodał na koniec, po czym zaprowadził ich po szerokich, spiralnych schodach do sali tronowej i zaanonsował przybycie:

– Inspektor Feliks Lange, inspektor Marcel Kruk oraz stażystka Eliza Żaczek z Instytutu Absurdu. Dostąpiliście państwo ogromnego zaszczytu audiencji u Królowej Juraty, władczyni Morza Bałtyckiego oraz wszelkiego podwodnego życia, Pani na Bursztynowym Zamku oraz jej małżonka, Neptuna, sławy Rzymu, boga wód i trzęsień ziemi, króla mórz i oceanów.

Jeszcze przez chwilę krab Tosław wychwalał swoich władców. W tym czasie Eliza, starając się nie rzucać za bardzo w oczy, rozglądała się dyskretnie po sali tronowej. Pod nogami widziała mozaikę wykonaną z kawałków bursztynu, która przedstawiała Juratę w różnych pozach, otoczoną przez faunę i florę Bałtyku. Najwyraźniej arcydzieło pochodziło jeszcze sprzed neptunowych czasów. Nad sobą miała sklepienie, na którym artysta kontynuował podmorską opowieść. Szerokie pomieszczenie wznosiły rzędy masywnych kolumn, kierujące wzrok w stronę dwóch tronów ze złota umieszczonych na podwyższeniu. Za nimi znajdowała się ściana niemal w całości pokryta kunsztowną sztukaterią. Elizie zakręciło się w głowie na widok takiej ilości bogactw. Z bocznych wejść do sali wpłynęło kilku syrenów-gwardzistów dzierżących w prawych rękach harpuny. Zatrzymali się przed tronami i wyprostowali na baczność. Eliza cofnęła się na ich widok i omal nie wpadła na Marcela. „Jak się będą dobrze zachowywać, to chyba nic im nie zrobią? Nie nadzieję na harpuny jak szaszłyki?”, pomyślała i wzdrygnęła się, pozbywając się złych myśli, gdy w sali pojawiła się Jurata – jeszcze piękniejsza, niż przedstawiały to jej posągi na dziedzińcu. Długie, rozpuszczone, złote włosy unosiły się powabnie i falowały mimo oszczędnych ruchów władczyni. Eliza spodziewała się, że będzie ubrana w sukienkę wykonaną z bursztynu, ale białobłękitny strój, który ją zdobił, wyglądał jak utkany z fal i morskiej piany. Zasiadła na większym tronie, a obok niej miejsce zajął Neptun. Przyjął nonszalancką pozę, ale z nieprzyjazną, zasepioną miną i ścisł w prawej ręce potężnym trójzębem mimo wszystko wzbudzał strach i posłuch. Eliza przypomiwała sobie jego podobiznę na fontannie w Gdańsku, którą przelotnie widziała po drodze. Artysta trochę go postarzył, ale za to uwydatnił mu bardziej mięśnie.

– Dlaczego Neptun jest mężem Juraty? Przecież to rzymski bóg mórz – zagadnęła szeptem inspektorów.

– Poznał Juratę, kiedy ta spędzała wakacje na południu i popłynął za nią do Bałtyku. Widocznie miał dość spierania się o Adriatyk z Posejdonem i skorzystał

z okazji, by być samodzielnym królem – wyjaśnił półgębkiem Feliks, który odzyskał nieco kolorów na twarzy, gdy bąbel przestał się poruszać.

– Ale czy jest znowu taki samodzielny? Słyszałem, że Jurata to go raczej pod pantoflem trzyma – napomknął bardzo cicho Marcel tak, że ledwie go usłyszała.

Stłumiła chichot. Gdyby taki komentarz dotarł do uszu obgadawanego, szybko by ich stąd pogonił albo zrobił coś jeszcze gorszego.

– Spójrz w tamtą stronę, Elizo. W rogu sali tronowej, na tym fikuśnym stojaku w kształcie pary splątanych węgorzy, stoi solniczka, źródło niewyczerpanych zasobów soli. Dzięki niej Bałtyk jest słony.

– Łał! To miejsce jest obłędne! Gdybym tylko miała ogon...

– Po tygodniu by ci się znudziło. Z Instytutem zwiedzisz jeszcze mnóstwo ciekawszych miejsc – przekonywał Marcel z pewnością w głosie.

– Ciekawszych niż dno morskie? To chyba Księżyc. To nie tam czasem wylądował Twardowski?

– Według legendy – wtrącił się Feliks. – To, co wiadomo na pewno, to że jednego dnia zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach. Ale za to nasz zwój zaraz się znajdzie.

Jakby na zawołanie Jurata machnęła z gracją ręką, a bąbel natychmiast zbliżył się przed oblicze pary królewskiej. Eliza odetchnęła głęboko. Serce nadal kołatało jak zwariowane. Zaraz, jak brzmiały zasady Tosława? Wszystkie zaczęły jej się mieszać ze sobą. Najlepiej będzie, jeśli po prostu spróbuje zachowywać się najgrzeczniej, jak potrafi.

– Czas rozpocząć negocjacje – skomentował inspektor Dziwnych Dokumentów, poprawiając okulary.

Eliza przyjrzała mu się czujnie. Wykonał dostojny ukłon, zginając się głęboko w pasie. Razem z Marcelem natychmiast powtórzyli po nim gest. Wyprostowała się i stłumiła chęć pacnięcia się w czoło. Przecież Tosław pokazywał, że panie powinny inaczej dygnąć. No świetnie, wyszła na prostaczkę. Uniosła głowę, gdy wyczuła na sobie nieprzyjazne spojrzenie Neptuna. Na pewno pomyślał o niej najgorzej. A może tak jej się tylko zdawało? Władca mórz patrzył tym samym zachmurzonym wzrokiem na wszystkich zgromadzonych w Sali, bez wyjątku. No, prawie bez wyjątku. Jedynie Juracie przeznaczał czulszy wyraz twarzy.

– Witajcie, moi drodzy – przywitała ich królowa, a jej małżonek nie raczył choćby skinąć głową, ale patrzył wprost na nich nieodgadnionym wzrokiem. – Rozumiem, że Bryza wyjaśniła, dlaczego wezwałam was do siebie?

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Jeśli mogę zadać nurtujące mnie pytanie – urwał Feliks, a gdy Jurata wyraziła zgodę krótkim gestem, dokończył: – Jak to się stało, że zwój Twardowskiego znalazł się na dnie Bałtyku?

– Ktoś go tu wrzucił – odparł milcząco do tej pory Neptun i popatrzył na Feliksa, jakby ten miał problemy z logicznym myśleniem.

– Mój małżonek chciał powiedzieć, że według naszych obliczeń zwój został wrzucony do wody przedwczoraj, praktycznie na samym środku morza. Jedno z naszych poddanych go znalazło i dostarczyło do pałacu. – Jurata uśmiechnęła się przepraszająco, nadrabiając uprzejmościami nieprzyjemne usposobienie Neptuna.

– Niesłychane! – zawołał szczerze zszokowany inspektor.

– To znaczy, że zrobił to ktoś na promie! Skąd wiedział o zwoju i dlaczego wyrzucił tylko to? – zastanawiał się na głos Marcel.

– Przykro mi, ale tego nie wiemy – odpowiedziała królowa, a jej mąż jedynie wzruszył lekceważąco ramionami.

– Rozumiem, to już nasza działka, żeby wziąć to pod lupę – odparł uprzejmie Feliks. – Pozwalam sobie mieć skromną nadzieję, iż Wasze Wysokości zdają sobie sprawę, jak wielkim weselem dla Instytutu byłoby uzyskanie tegoż zwoju.

Karkołomne popisy językowe Feliksa rozbawiły nie tylko Elizę. Przyłapała Marcela na tym, że przygryza wargi, żeby się nie zaśmiać. Nawet Garlicki nie używał takiego przesadnego słownictwa.

– Naturalnie, w ramach dobrej współpracy, jesteśmy skłonni oddać wam zwój... – zaczęła królowa.

– Ale nie za darmo – dokończył za nią władca mórz, a jego ton sugerował, że niemało będzie ich to kosztować.

– Oczywiście, Instytut jest przygotowany na takie wypadki i jesteśmy w stanie...

Rozgorączkowany Feliks umilkł, gdy Neptun, wyraźnie znudzony jego tłumaczeniami, uniósł dłoń.

– Instytut o nas nie dba – warknął, obdarzając gości pogardliwym spojrzeniem. – Ludzie coraz bardziej zaśmiecają to morze i nikt z tym nic nie robi. Skandal! Nie wspominając o niebezpiecznych wrakach tankowców zalegających na dnie. A te limity połowu? Żałosne! I tak za dużo ryb się łowi. Populacja dorsza to kpina!

Najwyraźniej Neptun w końcu miał okazję do niepohamowanego narzekania i chętnie z niej korzystał. Eliza zdecydowanie wołała, gdy milczał i tylko posyłał groźne spojrzenia. Nowy kierunek rozmowy niespecjalnie jej się podobał i zapewne tak samo uważali inspektorzy. Wyczuwała ich napięcie. Niedobrze, niedobrze...

– Poza tym przebieg gazociągu mi nie pasuje. – Pokazał ręką na okno widokowe, przez które w oddali dostrzegła sieć rur. – Wielkie, paskudne żelastwo

tuż przy moim pałacu. Kto by chciał cały dzień patrzeć na coś takiego?! Psuje mi estetykę i podwodną panoramę. Nikt mnie o zdanie nie pytał, gdy to montowali.

Zgodziła się z nim w myślach. Nie wyglądało to najciekawiej. Chyba nikt nie chciałby, żeby jego urokliwe, sielskie otoczenie przerobiono na krajobraz industrialny?

– Kochanie, nie gorączkuj się tak, bo znowu jakiś sztorm wywołasz. Pamiętasz swój ostatni wybuch? – uspokajała go Jurata, a on tylko coś niewyraźnie odburknął.

Feliks wyglądał na załamanego. Spoglądał panicznym wzrokiem to na Marcela, to na Elizę, jakby liczył, że którekolwiek z nich wpadnie na pomysł ratujący dzień. Nie wiadomo, jak zakończyłyby się negocjacje, gdyby nie pojawił się Oskar. Swoją posturą przypominał stojącego na tylnych nogach niedźwiedzia, więc jego bąbel dorównywał rozmiarom temu, w którym znajdowali się Eliza i inspektorzy. Ukłonił się z wielką gracją, co przy jego gabarytach robiło naprawdę ogromne wrażenie. Równie mocno imponował jego spokój i obeznanie z zasadami, ale jako inspektor Magicznych Miejsc prawdopodobnie znał ten pałac jak własną kieszeń.

– Oskar! Skąd wiedziałeś, że tu będziemy? – zagadnął Marcel.

– Mewa – wyjaśnił lakonicznie, ale to wystarczyło.

– Nie odwiedzasz nas tak często jak dawniej, Oskarze – zauważyła Jurata, a w jej wypowiedzi dało się słyszeć wyraźną przyganę.

– Wasza Wysokość raczy wybaczyć, nadmiar pracy.

– Oczywiście – wtrącił kpiąco Neptun.

Małżonka upomniała go wzrokiem.

– Nowych miejsc przybywa, a przecież każdemu trzeba poświęcić chwilkę – dodał Oskar.

– Dobra, dobra. Powiedzmy, że to kupuję – rzucił na odczepnego Neptun. – A ty czemu się nic nie odzywasz? – zwrócił się do Elizy.

Momentalnie zaczęła się pocić. Rozglądała się nieporadnie, szukając wzrokiem pomocy u kolegów. Dlaczego nie została na tym przeklętym molo?! I co powinna powiedzieć? Nie może tak milczeć w nieskończoność...

– Ja?! – wypaliła, a Feliks szturchnął ją w bok. – Ekhm... Znaczy... Ja, Wasza Wysokość? – poprawiła się.

– Tak, ty – westchnął Neptun z dezaprobatą. – Masz coś ciekawego do dodania?

Co mogłaby odpowiedzieć władcy tak, żeby go nie urazić? Przeszłowała z nogi na nogę, gdy gorączkowo zastanawiała się, jak pomóc drużynie. Kończył jej się czas, a Neptun wyglądał na coraz bardziej zniecierpliwionego.

– No i? Odpowiedz mi w końcu?

Mimowolnie zadrżała, gdy zauważyła, że poruszył dłonią, w której trzymał trójząb.

– Myślałam o tym paskudnym gazociągu i... Dlaczego by go jakoś nie udekorować albo przysłonić? To w końcu taki akwedukt, ale na gaz. Jest potrzebny, co nie oznacza, że musi być brzydki...

Zamilkła, gdy zdało jej się, że stojący obok Feliks zaczął dygotać ze zdenerwowania. Czyżby powiedziała coś nie tak? Chyba nie obraziła władców mórz? Uniosła nieznacznie wzrok. Neptun zrobił zaskoczoną minę, a potem zmarszczył brwi i podrapał się po głowie. Jurata poprawiła się na tronie i spojrzała pytająco na męża. Eliza przełknęła głośno ślinę.

– Myślę, że znalazłyby się na to oszczędności! – wypalił Oskar, nie pozostawiając zbyt wiele czasu do namysłu królewskiej parze. – Poza tym udało mi się pozyskać nowe środki na fundusz remontowy i myślę, że w końcu Bursztynowy Pałac doczekałby się długo odkładanej i bardzo potrzebnej renowacji – przekonywał.

Królowa poruszyła się ledwo zauważalnie, ale w jej oczach błysnęło zaintrygowanie. Czyżby propozycja Oskara zrobiła na niej dobre wrażenie? Na pewno taki pałac był drogi w utrzymaniu.

– Cóż, muszę przyznać, że to kusząca oferta. Jeśli tak stawiacie sprawę, to zgadzam się na wydanie zwoju Twardowskiego – oznajmiła po krótkim namyśle.

A jednak Marcel miał rację, Neptuna trzymano pod pantoflem! Eliza zaśmiała się w duchu. Jurata w ogóle nie skonsultowała swojej decyzji z małżonkiem.

– Doskonale! – wykrzyknął uradowany Feliks.

Jurata klasnęła w dłonie i do sali tronowej wpadł Tosław. Dostojnym jak na kraba krokiem zbliżał się w stronę pracowników Instytutu Absurdu. W szczypcach trzymał sporych rozmiarów połówkę muszli małży, a na niej spoczywał zwinięty w rulon pergamin barwy kości słoniowej. Feliks stanął na palcach i zacisnął dłonie. Cały drżał. Oby z ekscytacji nie rozwalił im bąbla! Eliza cofnęła się i wstrzymała oddech, gdy przednie odnóża skorupiaka przeszły przez ścianę pojazdu, ale nie uczyniły jej żadnej szkody. Feliks szybko złapał za zwój i przycisnął go do piersi.

– Pokaż! – Marcel szturchnął go w ramię.

Mężczyzna rozluźnił uścisk i uniosł dłonie nieco do góry, by lepiej zaprezentować zgubę. Eliza nie musiała dotykać zwoju, na co pewnie i tak nie dostałaby zgody, aby zauważyć, że wcale nie zmókł! Nie został też w żaden sposób uszkodzony. Mimo to nie zrobił na niej szczególnego wrażenia, zwłaszcza w porównaniu z bogato zdobionym futerałem. Zwyczajny pergamin zwinięty w rulon, który po rozwinięciu mógłby mieć format zbliżony do arkusza A3.

– Dziękujemy, Wasze Wysokości! – zawołał Feliks i znów się uklonił. – Wybaczcie nam, ale musimy zanieść zwój na miejsce.

– Żegnamy. – Neptun obdarzył ich wyjątkowo cierpką miną.

– Ja jeszcze zostanę – odparł Oskar. – Mam do obgadania kilka spraw z Królową Juratą, a potem kilka miejsc do zobaczenia.

– Jak tam chcesz. My wracamy.

Feliks zmrużył powieki, a Instytut Absurdu kolejny raz zaskoczył Elizę, materializując się na dnie morza. Odetchnęła z ulgą na widok znajomych wrót. W bąblu powoli zaczynało brakować powietrza. Kto wie, czy starczyłoby im na podróż powrotną. Wejście otworzyło się i bąbel wdarł się do środka. Gdy tylko przekroczyli próg, drzwi zatrzasnęły się. Jakim cudem woda nie wdarła się razem z nimi? Eliza nie zdążyła zapytać inspektorów, bo bańka pękła, uwalniając całą trójkę. Feliks wylądował na podłodze, ale wciąż tulił do piersi odzyskany zwój Twardowskiego. Marcel, który upadł obok, podniósł się, odetchnął pełną piersią i potarł skronie. Eliza również czuła się skołowana nagłą zmianą otoczenia. Oparła się na łokciach, odchyliła do tyłu głowę i przymknęła powieki.

– Nie czas na objanie! – pogonił ich Feliks. – Szybko, do biblioteki. Może NIKT jeszcze nie zorientował się, że czegoś brakowało!

Na nieszczęście już na pierwszym piętrze z daleka zauważyli jednego z kontrolerów. Kierował się w stronę wejścia do sekretariatu, ale najwyraźniej zaalarmowany ich szaleńczym biegiem zmienił zdanie i teraz zmierzał w ich kierunku. Eliza chciała pacnąć się w czoło. Przecież ich zachowanie wcale a wcale nie było podejrzane. Liczyła, że może Marcel wpadnie na dobrą bajkę, w którą uwierzy KTOŚ. Jej nic wystarczająco przekonującego nie przychodziło do głowy. Zerknęła na inspektorów, ale ich miny nie prezentowały się zbyt ciekawie.

– Panie Ferdynandzie!

Z sekretariatu wybiegła pani Lusja. Rozejrzała się czujnie po korytarzu. Poprawiła loki opadające jej na twarz i posłała pracownikom uspokajający uśmiech. Czyli Ktosiowie mieli imiona. I to całkiem ciekawe.

– Panie Ferdynandzie! – zawołała jednym ze swoich najbardziej jedwabistych tonów. – Zapomniał pan sprawdzić jeszcze jedną małą szufladkę.

Przedstawiciel NIKT-u odwrócił się do pani Lusi. Od razu zaczęła go zagadywać, a za plecami dyskretnie machnęła na nich ręką. Mieli wolną drogę! Eliza spojrzała na sekretarkę z podziwem. Kim była ta kobieta?! Być może nigdy się nie dowie, ale mogłaby przysiąc, że bez niej wszyscy by tu zginęli.

Wpadli jak burza do biblioteki, a Feliks dosłownie rzucił się na schowany pod jednym z foteli futerał. Szybko włożył do niego zwój, a potem odłożył na stół, gdzie znajdowała się reszta księgozbioru z przesyłki. Kiwnął na Elizę oraz

Marcela palcem i wskazał, żeby usiedli przy stolikach. Stażystka zajęła najbliższy fotel i zgarnęła pierwszą książkę, jaką miała przed sobą. Nie interesowała się specjalnie hodowlą przemysłową ropuch, ale włożyła cały wysiłek w udawanie, że dokładnie studiuje wybraną lekturę i to od dłuższego czasu. Zdążyli w ostatnim momencie. Chwilę później usłyszeli krótkie pukanie i do środka wszedł Ferdynand. A może inny KTOŚ?

– O! Właśnie! – Kontroler od razu podszedł do stołu i wyciągnął listę. – Właśnie chciałem się dowiedzieć, co się stało ze zwojem Twardowskiego. – Pokazał zakreśloną na czerwono brakującą pozycję.

Pot niemal potokiem spływał po czole Feliksa. Inspektor przetaił go wyciągniętą z kieszeni marynarki chusteczką w grochy, a następnie sięgnął po futerał. Wyjął zwój i pokazał go kontrolerowi.

– Ależ wszystko jest w najlepszym porządku – zapewnił, ale KTOŚ poprosił, aby rozwinąć pergamin, więc Feliks pośpiesznie spełnił polecenie i dodał: – Po prostu jeszcze chciałem sprawdzić, czy jest na pewno autentyczny... Ehm... No, w każdym razie nic się nie zgubiło!

– Pozwoli pan, że sam to ocenię.

Kontroler dokładnie sprawdzał przedmiot, jakby doszukując się jakiegoś fałszerstwa. Eliza zaciskała za plecami kciuki, gdy obserwowała, jak jego brwi unoszą się coraz wyżej i niemal znikają pod rondem melonika. Chrząknął i posłał pracownikom Instytutu Absurdu nieodgadnione spojrzenie, ale wykreślił wcześniejszą uwagę.

– No dobrze. Mam jeszcze pytanie do pana Kruka. – Człowieczek wyciągnął notes i popatrzył na zaskoczonego Marcela, który drgnął i niemal poderwał się z miejsca. – Tuż przed rozpoczęciem kontroli otrzymaliśmy niepokojące zgłoszenie od wiedźmy Smysławy. Stwierdziła, że latająca miotła, którą przekazał jej Instytut Absurdu w ramach akcji wymiany starych modeli na nowe, jest używana, niesprawna i nadaje się tylko do, tu zacytuję, zmiatania gnoju w oborze.

– Uduszę tę starą, czepialską wariatkę! – Marcel ze złości zacisnął dłonie na poręczy fotela.

– Słucham? – zapytał uprzejmie zdziwiony kontroler, a chłopak zmieszał się, gdy uświadomił sobie swój wybuch.

– Miotła nówka, nieśmigana! Cacuszko, każda wiedźma by taką chciała – tłumaczył się. – Mogę pokazać wszystkie certyfikaty i atesty. Chyba każdy wie, jaka Smysława jest, hm... Specyficzna.

KTOŚ odkaszlnął i pokiwał ze zrozumieniem głową. Zabawne. Jego usta, ledwo widoczne spod okazałych wąsów, wykrzywiły się w coś na kształt solidaryzującego uśmiechu. Chyba nie wszystkie wiedźmy zachowywały się

równie sympatycznie, co Jaga, która przecież też nie przebierała w słowach. Eliza była ciekawa, kim jest ta cała Smysława i czy kiedyś ją pozna. Spojrzała ze współczuciem na przejętego Marcela. Czy to tylko kwestia czasu, aż sama natrafi na niewdzięcznego petenta?

– Doskonale! – Kontroler skreślił jeszcze kilka zdań w notesie. – Skoro mamy już to wyjaśnione, możemy wystawić państwu COŚ.

– Coś? – zapytała cicho siedzącego przy niej Marcela, a on wyszeptał jej do ucha rozwinięcie skrótu:

– Całościowa Ocena Śledztwa.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała, przewracając oczami. – Kolejna durna nazwa do kompletu.

– Zdecydowanie niestabilność emocjonalna – wymamrotał kontroler, zerkając na stażystkę, i dokonał kolejnego wpisu.

Świetnie, usłyszał ją! Mogła się tego spodziewać. Z opuszczoną głową śledziła wzrokiem człowieczka. Długo lustrował bibliotekę, drapiąc się przy tym po nosie końcówką pióra. Udało się go nabrać? A może wciąż coś podejrzewał? W końcu chrząknął, posłał im wymuszony uśmiech i wyszedł bez pożegnania. Inspektorzy odetchnęli z ulgą tak głośno, że Eliza obawiała się, czy KTOSÓ tego nie usłyszał i zaraz nie wróci.

– Dobra, pokazuj ten zwój – zawołał wyraźnie zaintrygowany Marcel.

– O, tak! W końcu poszliśmy za nim na samo dno – zażartowała Eliza.

Feliks wyciągnął skądś kałamarz i gęsie pióro. Zrobił miejsce na stole, by rozwinąć pergamin. We trójkę rozlokowali się wokół blatu i pochylili się nad nim. Eliza potarła brodę. Nie widziała w zwoju nic niezwykłego – wydawał się zwyczajnym, gładkim, niezapisanym kawałkiem papieru. Odskoczyła do tyłu, kiedy w prawym dolnym rogu pojawił się niewielki, ozdobny znak zapytania. Podskakiwał niczym dziecko na drążku pogo. Zatrzymał się mniej więcej na środku arkusza, a obok niego wyskoczył dymek zawierający zdanie: „Witaj, wygląda na to, że potrzebujesz pomocy!”.

– Nie, nie potrzebujemy pomocy. – Zirytowany Feliks przegonił stalówką pytajnik. – Masz, Marcel. Zapytaj o coś.

Marcel przejął pióro od Feliksa i nabazgrolił prośbę o rozwinięcie liczby Pi. Gdy tylko postawił kropkę, cała powierzchnia zwoju pokryła się rzędami cyfr. Dopiero w ostatniej linijce ujrzeli informację o braku miejsca na dalsze obliczenia.

– Serio, Marcel? To nie kalkulator! Teraz ja.

Feliks zabrał mu pióro. Podniósł zwój i kilka razy strzepnął w powietrzu. Przy każdym ruchu cyfry stawały się coraz bledsze, aż w końcu papier znów był

idealnie czysty. Ponownie pojawił się ten sam znak. Zerkał zza krawędzi i tym razem spytał: „W czym mogę pomóc?”.

– Spadaj stąd! – Feliks znów dźgnął go piórem i urażony pytajnik uciekł. – Patrzcie na to.

Otworzył jedną z ksiąg i zaczął przepisywać na zwój pierwszy akapit. Specjalnie popełniał błędy. Pergamin zareagował natychmiast, podkreślając czerwonym wężykiem źle zapisane wyrazy. Gdzieniegdzie, przy naprawdę ordynarnych ortografach, wyskoczyły czerwone, oburzone wykrzykniki.

– Widzicie? Fajny bajer, co?

Eliza zmarszczyła brwi, ale nie odważyła się napomknąć o edytorach tekstu dysponujących podobnymi funkcjami. Usatysfakcjonowany inspektor przekazał jej pióro. Zanurzyła końcówkę w kałamarzu. Zawahała się. O co by tu zapytać? O panią Lusię? Lepiej nie. Jeszcze Feliks i Marcel mogliby to źle zinterpretować. To powinno być coś ogólnego... Nieco drżącą ręką zapytała o najbardziej absurdalną rzecz, jaka jej przyszła na myśl.

– Masz naprawdę ładne pismo, zwłaszcza że używasz lewej ręki – pochwalił Marcel.

– Dzięki!

– Jaki jest sens życia? – odczytał Feliks. – Cóż za filozoficzne rozważanie.

Zwój długo myślał i Eliza uznała, że pytanie jednak przerosło jego możliwości. Nagle w centrum zaczął formować się dziwny symbol. Jak na zawołanie wszyscy nachylili się jeszcze bardziej, a Marcel niechcący przewrócił kałamarz i wylał na stół atrament. Plama przyciągana przez zwój popłynęła szerokim strumieniem na jego środek i łącząc się z wcześniejszym znakiem, ułożyła w coś na kształt liczby sto trzydzieści siedem. Eliza zmrużyła oczy. Coś świtało jej w głowie. Gdzieś już widziała tę liczbę. Chyba. Ale gdzie? I dlaczego taka odpowiedź miałaby cokolwiek wyjaśniać?

– Sto trzydzieści siedem? – Marcel podrapał się po karku. – Gdyby to było czterdzieści dwa, to jeszcze bym wyłapał nawiązanie. O co tu chodzi...

– Nie wiem, ale mógłbyś trochę uważać!

Wyraźnie zirytowany Feliks podniósł pergamin, żeby znowu go wyczyścić, co przez sporą ilość wylanego tuszu trwało trochę dłużej niż ostatnio. Już zamierzał go odłożyć z powrotem, gdy krzyknął przerażony, poprawił okulary i przyciągnął do siebie lewy dolny róg papieru.

– Jasny gwint!

Rozłożył zwój na stole tak, aby tym razem widzieli jego tylną część. Wskazał długim palcem to, co go wprowadziło w osłupienie. Wszyscy zamarli w długiej, niezręcznej ciszy, jakby żadne z nich nie miało odwagi pierwsze się odezwać. Po kilku sekundach i głębszym oddechu Eliza zdobyła się na to, by odpiąć futerał,

nastawić aparat i wykonać zdjęcie. Oby wyszło! Bo widok znajomego podpisu, który ostatnimi czasy najpewniej śnił się każdemu z inspektorów po nocach, zmroził jej krew w żyłach i sprawił, że rozważała najczarniejsze scenariusze. Co to wszystko znaczyło? Czy groziło im niebezpieczeństwo? I najważniejsze – dlaczego na spodniej stronie zwoju ktoś się podpisał jako Pan P.?

Sprawa nr IV

W objęciach natury

Delikatne, choć nieco zakłócone trzeszczeniem dźwięki fortepianu układały się w melancholijną melodię. Eliza usłyszała ją już na korytarzu przed biurem inspektorów. Kolejny nokturn? Chyba tak, ale tego jeszcze nie знаła. Marcel na pewno chciał dobrze, gdy odkrył, że zapomniana przez lata, pokryta kurzem drewniana skrzynka na szczycie jednego z regałów to wciąż dobrze działający gramofon na korbkę. Przytachał go z magazynu, aby umilić wszystkim pracę relaksującą muzyką, ale nie przewidział, że starszy wiekiem i rangą Garlicki natychmiast przywłaszczy sobie sprzęt. Wampir przyniósł kilka winyli ze swojej kolekcji i od tamtej pory znosili chyba najsmutniejsze utwory, jakie oferowała muzyka poważna. Gdyby chociaż przeplatał je skocznymi walcami czy wesołymi sonatami... Powtarzające się jak zdarta płyta smętne melodie wybrzmiewały w biurze na okrągło, a Garlicki niby mimochodem dzielił się muzyczną wiedzą, niezrażony obojętnością słuchaczy. Nawet próbując skupić uwagę na czymś innym, Eliza nauczyła się kilku pojęć. Ciekawe, czy kiedykolwiek przydadzą jej się do czegoś? Pokręciła głową i przeszła przez swoje drzwi do środka.

Garlicki siedział za biurkiem, a obok niego stał Feliks. Rozmawiali żywiołowo, ale miny mieli dość nieciekawe.

– Dzień dobry, panno Elizo! – przywitał się wampir z uśmiechem, dostrzegłszy ją natychmiast po wejściu. – Na początek dobra wiadomość. Nareszcie przyszła ocena z NIKT-u. Pozytywna!

Sięgnął po leżący na biurku certyfikat. Rozwinął go i wskazał na wielką czerwoną pieczęć w prawym dolnym rogu. Odcisnięte w jej centrum litery układały się w napis: „COŚ”. Ha! A jednak nie zaważyła im oceny! Może pozytywny wynik chociaż na chwilę poprawi im humor? Kolejny znaleziony autograf Pana P. wywołał ogromne poruszenie w całym Instytucie Absurdu i przez kilka następnych dni nie mówiło się o niczym innym. Nic dziwnego – kimkolwiek był Pan P., pozwalał sobie na coraz więcej, a nikt nie lubił, jak się go wodziło za nos.

– Super, to jest coś! – zażartowała Eliza, ale spoważniała, gdy zorientowała się, że uśmiech Garlickiego nie obejmuje oczu, a Feliks wygląda na bardziej naburmuszonego niż zazwyczaj. – A zła wiadomość?

Nie odpowiedzieli na pytanie, więc dodała:

– Bo zabrzmiało, jakby była jakaś zła.

Inspektorzy wyraźnie się zmieszali. Feliks odchrząknął nerwowo i zerknął na przełożonego, który kiwnął mu głową.

– Mamy informację, że w gdańskim porcie zniknęli dwaj rybacy. Z kolei w jednym z okolicznych kurortów zaginęło dziecko, które przyjechało na zieloną szkołę

– Jaga twierdzi, że wszystkie trzy zniknięcia wystąpiły najprawdopodobniej w tym samym czasie i w takim samym magicznym, niewyjaśnionym stylu jak we wcześniejszych przypadkach – dodał Garlicki.

– Czyli to jednak Pan P. wrzucił zwój do morza – podsumowała gorzko Eliza. – I porwał kolejne osoby?

Naiwnie oszukiwała się, że zwój mógł przejść przez ręce Pana P. dużo wcześniej, stąd jego podpis, a złodziejem był ktoś zupełnie inny, niezwiązany z klątwą. Niestety, musiała przyznać, że natknęli się na wzmiankę o Panu P. nie przez przypadek. Ale dlaczego? Chciał ich zmylić? Przestraszyć? Zagrać na nosie?

– Taaa... Na to by wychodziło. – Feliks westchnął bezradnie. – Dla pewności zabrałem świstek z Poznania i zwój Twardowskiego do zaprzyjaźnionego grafologa. Potwierdzi nam, czy oba podpisy należą do tej samej osoby. Zapytałem również zwój o to, kim jest Pan P., ale niestety nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Wszystkowiedzący pergamin milczał w tak poważnej sprawie?! Ciekawe! Eliza skrzywiła się. Miał znać odpowiedź na każde pytanie! Chyba że... Chyba że wiedział, ale z jakiegoś powodu nie mógł powiedzieć? Czyżby magiczny dokument obawiał się Pana P.? Tajemniczy przeciwnik zdawał się groźny. Śledził inspektorów? A może mścił się na Instytucie Absurdu? Nie wiadomo było, w jaki sposób wybierał ofiary, które zdawały się nie mieć ze sobą nic wspólnego, ani kim, do jasnej ciasnej, był ten człowiek. O ile w ogóle był człowiekiem...

– Wygląda na to, że klątwa zaczyna wymykać się spod kontroli – mruknął wampir szykujący się do rozdzielania pism dla poszczególnych inspektorów. – Dyrekcji coraz trudniej przychodzi tuszowanie jej efektów.

Feliks pokiwał głową.

– Szczęście w nieszczęściu, że Pan P. wybierał do tej pory miasta odległe od siebie i nie zostawiał prawie żadnych śladów, pomijając prowokacyjne wizytówki dla nas. Policja jeszcze się nie zorientowała, że ostatnie zaginięcia w kraju mogą być ze sobą połączone.

TRZASK!

Eliza wzdrygnęła się, gdy usłyszała odgłos głośnego szorowania. Rozejrzała się i uspokoiła oddech. To nie Pan P. zaczął się na nich, ale igła ześlizgnęła się z płyty winylowej, przerywając melancholijną muzykę. Garlicki zacmokał niezadowolony i poprawił ramię gramofonu. Nowe, gwałtowne i pełne pasji dźwięki rozbrzmiały w pomieszczeniu.

– Ach! *Etiuda rewolucyjna!* – zawołał rozmarzony Garlicki. – Proszę się wsłuchać w te emocje, w ten ból. Wie panna Eliza, miałem szczęście poznać Fryderyka w Paryżu...

– I może jeszcze udzielić mu paru wskazówek na temat gry? – zapytał uśmiechający się cierpko Feliks.

Pod wpływem sceptycznego spojrzenia kolegi Garlicki zabawnie się zapowietrzył. Odkaszał kilka razy, chcąc pewnie zapewnić sobie więcej czasu do namysłu nad odpowiedzią. Eliza zastygła w oczekiwaniu na soczystą ripostę, a może i dalszą wymianę werbalnych ciosów między inspektorami, ale musiała obejść się smakiem, bo Aleks zamiast odgryźć się Feliksowi, zawołał:

– O! Dzień dobry, panno Maju. Dobrze, że już panna jest!

Odwrócił się w stronę drzwi. Feliks, który teraz mógł podziwiać plecy przełożonego, przewrócił oczami i poczłapał do swojego biurka. Wampir miał zarówno szczęście, jak i nieprawdopodobnie znakomity słuch. Nie tylko muzyczny. Eliza nigdy nie słyszała, kiedy Maja wchodziła do biura. Gdy chciała, stąpała cichutko pomimo tego, że nosiła buty na wysokim obcasie.

– Dzień dobry wszystkim – odparła rusałka.

– Nasz ulubiony wodnik znów narzeka na jakość wód w swojej studni. Twierdzi, że to na pewno diabelskie glony, i koniecznie chce, by khm... Panna się zajęła sprawą.

Maja zbladła i wyglądała, jakby się czymś zatrula. Garlicki spojrzał na nią ze współczuciem.

– Proszę najpierw spróbować odpisać mu coś na odczepnego.

Przekazał jej kilka zamoczonych kartek. Zanim przygarbiona Maja, powłócząc nogami, doniosła je do biurka, ściekające krople wody utworzyły kilka kałuż na podłodze.

– Ech! Jeszcze muszę pomyśleć, komu wcisnąć pisma od wiedźmy Smysławy. – Wampir pokręcił zrezygnowany głową. – Zarzuca nam wszelkie najgorsze zbrodnie świata. – Wskazał na stos brudnych i pogniecionych listów. – Feliks?

– O, nie! Nie mam z nią nic wspólnego. Poza tym ja... – urwał i podrapał się po karku. – Obiecałem Elizie, że opowiem jej o historii Instytutu. Właśnie! Chodź, Elizo. Nigdy nie znajdę na to czasu, więc równie dobrze mogę zrobić to teraz – dodał tonem sugerującym, że wszystko byłoby lepsze niż zajmowanie się sprawami owej wiedźmy.

– Dobrze, sam się nią zajmę – westchnął wampir i wpisał swoje inicjały w górnym rogu pisma.

Eliza posłała mu pokrzepiający uśmiech. Zabrała z szuflady kilka czystych kartek oraz długopis i usiadła przy wolnym krześle przy biurku Feliksa. Inspektor, mamrocząc pod nosem coś o pozostawionych samym sobie stażystom i konieczność odpowiedniego wprowadzenia nowego pracownika do pracy, wyciągał z regału za sobą kolejne grube tomiszczą, które układał przed nią jeden

na drugim. Wieża rosła, a Eliza przekrzywiła głowę, by odczytywać kolejne tytuły: *Legendarne prawdy i prawdziwe legendy*, *Początki magii na ziemiach polskich*, *Nieformalna biografia Sobierada Bezumnego*, *Siedemset lat Instytutu Absurdu*, *Problematyka słowiańskich stworów i demonów w Polsce...* Cóż za tytuły! I ona miała to wszystko przeczytać? Nie zdąży do końca roku! Feliks musiał zwrócić uwagę na jej przerażoną minę i domyślić się, czego się obawiała, bo przejechał smukłym palcem po kolorowych znacznikach. Odetchnęła z ulgą i wygodniej usadowiła się na krześle, a mężczyzna sięgnął po jedną z ksiąg i otworzył na zaznaczonej stronie. Wewnątrz znajdowała się czarno-biała rycina i kilka akapitów drobnego jak mak pisma. Eliza pochyliła się nad obrazkiem przedstawiającym mężczyznę w workowatym stroju, zasłaniającego własną pierś sporego węża ze skrzydłami, syczącego na rozwścieczony tłum z widłami.

– To Sobierad Bezumny – wyjaśnił Feliks. – Przedstawiono go podczas obrony zbłąkanego żmija przed atakiem mieszkańców Krakowa. Nie przepadali zbytnio za smokowatymi stworzeniami. Delikatnie mówiąc. Tutaj... – Otworzył inną księgę i wskazał rycinę, na której Sobierad rozmawia z grupą wychudzonych i trupio bladych mężczyzn w łachmanach. – Wysłuchuje skarg prześladowanych upiorów. A tu... – Przekartkował księgę do kolejnego znacznika. – Pomaga wiedźmom naprawić podziurawiony przez łowców czarownic kocioł. Według podań to właśnie tego typu sytuacje i rosnąca niechęć zwykłych ludzi do magii i wszystkiego, co z nią związane, skłoniły Bezumnego do poszukiwania sposobu, by pomóc wszelkim magicznym istotom funkcjonować, jeśli nie w zgodzie, to chociaż niezauważonym w szarej rzeczywistości.

Tyle mniej więcej Eliza pamiętała z pierwszej rozmowy z Bernardem Krukiem. Tym miał się zajmować Instytut Absurdu. Pilnować, by magiczny świat pozostał ukryty przed niepożądanym wzrokiem. Do tej pory nie zastanawiała się jednak, w jakich okolicznościach powstał sam budynek. W jej życiu różne urzędy i instytucje po prostu od zawsze funkcjonowały w tle i zajmowały się swoimi dziedzinami, aż pojawiała się konieczność, by skorzystać z ich usług i przykładowo wyrobić dowód osobisty czy paszport. Cóż, skoro magia istniała, musiał się znaleźć i odpowiedni do tego organ. Czarodziejskie miejsca, stworzenia czy obiekty wymagały opieki, a wiedźmy i magowie z pewnością mieli swoje potrzeby...

– Czy wiedźmy i magowie mają swój magiczny PESEL? – wypowiedziała na głos pytanie, które niespodziewanie przyszło jej do głowy.

Skrzypnęło, gdy Feliks odchylił się do tyłu na krześle. Spojrzał na Elizę.

– Też pomysł! Było zobaczyć, ile problemów miał NIKT, gdy wprowadzali obowiązkową rejestrację zaczarowanych środków transportu. Poza tym już widzę, jak Smysława daje sobie wcisnąć jakiś numererek. – Chrząknął, przygarbił

się lekko i szybko rzucił jeszcze okiem na drzwi, sprawdzając, czy aby na pewno ktoś nie wchodzi, nim zaskrzeczał: – A co mnie tu nadają cyferki jak jakiemu niewolnikowi, a?!

Musiał wyjątkowo dobrze odegrać wiedźmę, bo Garlicki z przerażeniem w oczach uniósł głowę nad pisma, wzdrygnął się i wyraził miną, jak bardzo rozczarował się dziecinnym zachowaniem kolegi. Elizie również nie było do śmiechu. Wzdłuż kręgosłupa nadal odczuwała przebiegające ciarki. Mogłaby przysiąc, że gdzieś już słyszała podobnie nieprzyjemny głos. Oby nigdy więcej nie musiała! Może jej się poszczęści i przez cały okres stażu nie będzie miała styczności z wiedźmą Smysławą.

– Dobrze, wróćmy do tematu – wymamrotał Feliks z lekko zaróżowionymi policzkami, unikając nagannego spojrzenia Garlickiego.

– Jasne. To w jaki sposób Sobierad zbudował Instytut?

– Ach! To dopiero opowieść.

Zatarł ręce i sięgnął po jeszcze inną księgę.

Otworzył wydane przed kilkunastoma latami *Siedemset lat Instytutu Absurdu*. Eliza zdążyła tylko rzucić okiem na krótki wstęp informujący o powstaniu publikacji z okazji okrągłej rocznicy założenia instytucji, bo Feliks przewertował kilka stron, aż znalazł zdjęcie jednego z krakowskich wzgórz. Zgodnie z umieszczonym niżej podpisem, to na nim Sobierad Bezumny wybudował Instytut Absurdu. Rycina na drugiej stronie przedstawiała pierwotny wygląd budynku, niemal zupełnie nieprzypominający obecnego. Widocznie na przestrzeni wieków musiał ulec niejednokrotnym przebudowom czy przeróbkom zgodnym z ówczesnymi stylami architektonicznymi. Nic dziwnego, że doczekał się tak absurdalnej bryły. Jedynie fioletowy barwnik użyty do pomalowania ścian na rycinie świadczył, że o ile forma elewacji przybierała nowe kształty, o tyle charakterystyczny kolor budynku pozostawał niezmienny.

– Zgodnie z przekazami Sobierad uznał, że magicznym istotom potrzebna jest organizacja, do której będą mogły zgłosić się po pomoc. Zrzeszył więc kilkunastu przedstawicieli okolicznych magicznych istot, którzy mieli zająć się oferowaniem wsparcia, sam zaś został ich przewodniczącym i pierwszym dyrektorem Instytutu Absurdu, na budowę którego przeznaczył praktycznie wszelkie zgromadzone dobra. Budynek powstał w Krakowie, ale szybko okazało się, że pomoc potrzebna jest na terenie całego kraju. Mógł więc wybudować kilkanaście kolejnych Instytutów, na co nie miał środków, albo... – Feliks znacząco zawiesił głos i przewrócił stronę.

Na kolejnej rycinie Eliza mogła teraz podziwiać, jak dokonywała się pierwsza przebudowa budynku i w miejscu prostych drewnianych wrót powstają te

magiczne, pełne zdobień i zwieńczone maskaronem Malwinką, które tak dobrze już znała.

– Sprawić, że to Instytut będzie w stanie dotrzeć do każdego potrzebującego – dokończył inspektor i poruszył wymownie brwiami. – Dość szybko wyszło jednak na jaw, że niezwykle budynek miał swoją osobowość i coś do powiedzenia w temacie przemieszczania się, co udowadniał na każdym kroku. Instytut jest bardzo taktowny, Elizo, więc nie wprosi się w miejsce, w którym nie jest mile widziany, a niektóre sprawy wymagały przecież, by w takie miejsce się stawić. Sobierad stanął przed kolejnym problemem, który również sprytnie rozwiązał. – Odwrócił stronę, ale Eliza dobrze wiedziała, co zobaczy, i nie zdziwiła się, gdy napotkała wzrokiem rycinę przedstawiającą stary klucz. – Stworzył cudoklucz, którego działanie też już mogłaś poznać. Co zabawne, jedyne drzwi, których cudoklucz nie jest w stanie otworzyć, to wrota do Instytutu. Instytut sam bowiem wybiera, kogo chce do siebie wpuścić.

Pomyślała o sobie i kolejny raz zdziwiła się, że w ogóle tu trafiła. Dlaczego? Nie istniała bardziej kompetentna, obeznana z magicznym światem osoba do pomocy inspektorom?

– No to ciekawie przeprowadza selekcję... Auć! – syknęła i złapała się za łydkę.

Odgięta dębowa klepka, która musiała ją uderzyć, wróciła na swoje miejsce. Eliza ze spuszczonego na kwintę nosem roztarła bolące miejsce.

– Ech, jeszcze długa nauka przed tobą. – Feliks pokręcił z politowaniem głową. – Co chwilę udaje ci się zdenerwować Instytut. Zastanów się, zanim coś powiesz, dobrze ci radzę. No! Ale teraz pokażę ci kilku najważniejszych dyrektorów i dyrektorek. Szczególnie ostatnia, wiedźma Bolemira, przysłużyła się...

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Moras. W przeciwieństwie do Mai nigdy nie przejmował się wytwarzanym przez siebie hałasem. Eliza podejrzewała nawet, że specjalnie powodował go więcej, niż był zmuszony, jakby nie chciał, by ktokolwiek przegapił jego wejście. Szkoda, że nie zdołał zagłuszyć gramofonu, który teraz wygrywał *Marsz żałobny*.

– Cześć wszystkim! – zawołał donośnie.

– Może troszkę ciszej? – burknął Feliks. – Przerwałeś nam w ważnym momencie. – Wrócił do przeglądania portretów w *Siedmiuset latach Instytutu Absurdu*, ale zamknął księgę i pokręcił głową. – Ech, straciłem wątek. Dokończymy następnym razem, Elizo.

– Dobrze, dziękuję za dzisiaj.

– Stare książki – prychnął wilkołak. – Też mi ważne sprawy. Ja mam naprawdę ważną, tylko potrzebuję Pszczółki. – Rozejrzał się po biurze. – Jesteś! Cudownie!

Wiesz już, że jakiś bluszcz czy inny badziew – w tym momencie Maja zrobiła urażoną minę – zaczął wariować i mi moje miasto zarasta?

– W jakim sensie zarasta? – dopytywała wyraźnie zaniepokojona.

– No wiesz. Tak aż do przesady. Całe ogrody są tym upierdzielone. W niektórych miejscach tak bardzo wybujał, że powoli obrasta już domy.

– Ojej! A co na to mieszkańcy?

– Słyszałem, że na razie tłumaczą to sobie wyjątkowo korzystnymi warunkami pogodowymi... Ale w każdej chwili mogą zacząć coś podejrzywać.

Korzystne? Te upały i susza? Zabawne, jak ludzie w idiotyczny sposób próbowali racjonalizować nieprawdopodobne zdarzenia! Eliza uśmiechnęła się delikatnie, ale szybko spoważniała. Do niedawna sama tak robiła. Zanim trafiła do Instytutu Absurdu, nie dostrzegała czarów, a dziwne zdarzenia tłumaczyła przewidzeniem, iluzjami, żartami, nieznanym nauce zjawiskiem... Najwyraźniej po przejściu na absurdalną stronę życia nabierało się zupełnie innego spojrzenia na rzeczywistość.

– Nie, co robią z bluszczem? – Maja uszczegółowiła pytanie.

– A co mają robić? Wyrrywają, chlastają i takie tam... – Urwał wypowiedź, gdy dziewczyna zbladła i zadrzała. Zrobił gest, jakby chciał się pacnąć w czoło, ale zmienił zdanie i poprawił idealnie ułożone włosy. – Khm... A to nie czasem Leszy znowu szaleje? Coś ostatnio słyszałem, jak na niego narzekałaś – zmienił szybko temat.

Maja przymknęła oczy i kiwnęła głową.

– Tak. Nie wiem, co się dzieje, ale ostatnio ma sporo problemów ze szkółką. Co rusz wychodzą jakieś nieprawidłowości. Nie chce mi się jednak wierzyć, że sprzedałby zwykłym ludziom czarodziejskie rośliny.

– Wszędzie bałagan – mruknął Feliks.

– Cóż, cokolwiek się dzieje, koniecznie muszę się tam udać i to sprawdzić – postanowiła rusalka i zwróciła się do Morasa: – Masz listę tych ogrodów?

– No nie. Kto by to spamiętał? – Podrapał się po karku i popatrzył na nią bezradnie.

– Panno Maju, pozwoli panna, że pomogę – zaoferował Garlicki, przerywając sortowanie pism. – Nie mam nic istotnego w planach na dzisiaj i pomyślałem, że się pannie przydam. Mógłbym wykorzystać swoją szybkość i przejść się po całym mieście. Na bieżąco będę pannie wysyłać adresy ze zwariowaną roślinnością.

– Och, dziękuję! Bardzo mi to ułatwi pracę.

„A w biurze choć na chwilę zapanuje cisza”, rozmarzyła się Eliza. Tylko wyjdą i zdejmie igłę z płyty. Zasłużyli na odrobinę spokoju. Może podczas nieobecności Garlickiego któryś z pozostałych w Instytucie Absurdu inspektorów

odważy się schować gramofon w najdalsze czeluści piwnicy? Moras mógłby się na to zdobyć. Musi go podpuścić. A gdyby zrzucić gramofon do dziury w archiwum? Ciekawe, jak długo by spadał!

– Elizo? Jeśli nie masz nic pilnego, to tak sobie pomyślałam, że mogłabyś mi towarzyszyć – wypaliła Maja, a wyrwana z zamyślenia Eliza drgnęła.

W pierwszej chwili miała ochotę zerwać się z krzesła. W końcu doczekała się kolejnej misji! Opadła jednak z powrotem na miejsce i ochłonęła. Czy dziwaczny bluszcz nie okaże się czasem krwiożerczym zielskiem chcącym ją udusić? Ledwo znosiła towarzystwo samolubnego Narcysia. Jak miała sobie poradzić z bardziej wymagającymi egzemplarzami magicznej fauny? Powinna odpuścić. Pewnie jeszcze nieraz ją gdzieś zabiorą, prawda? Już szukała w głowie dobrej wymówki, ale nie mogła się skupić pod wpływem wpatrujących się w nią dużych, soczyście zielonych oczu Mai. Zupełnie jak u małego, słodkiego kociaka. Ech! Eliza poddała się, nie miała siły jej odmówić. Dlaczego Maja nie wykorzystywała swojego uroku na Morasie? Na pewno by jej się nie oparł.

– Jasne, bardzo chętnie.

– Świetnie! Już się cieszę. Zobaczysz, jak szybko się uwiniemy. Wiktorze? Może mógłbyś sobie przypomnieć i wskazać nam te miejsca, gdzie widziałeś bluszcz?

– Pewnie, Pszczółko! Zaraz zaznaczę je na mapie.

Eliza dostrzegła cień zawodu na twarzy rusalki. Zupełnie nie o taką pomoc jej chodziło... Co za niedomyślny wilkołak!

– A co będziesz papier marnował – zagadnęła z lekką uszczypliwością Eliza. – Lepiej poszedłbyś z nami. Chyba najlepiej znasz to miasto, tak? – dodała na wszelki wypadek.

Maja uroczo się speszyła. Przygryzła wargę, splotła za plecami ręce i chyba skrzyżowała palce na szczęście. Eliza opanowała usta wyginające się do uśmiechu i z neutralną miną spojrzała wyczekująco na Morasa, ale ten milczał.

– Co ty na to? Chyba nie pękasz? – rzuciła zadziornie, licząc, że w ten sposób na pewno sprowokuje go do zgody.

Tylko co ją do tego podkusiło? Nie powinna się wtrącać w ich sprawy. Z drugiej strony, stać beczynnym i przyglądać się, jak ta dwójka nie potrafi się odnaleźć... Koszmarnie frustrujące! Nic się chyba nie stanie, jak delikatnie naprowadzi ich na to, że idealnie do siebie pasują. Po prostu na przeszkodzie stała nieśmiałość Mai i ślepotą Morasa, które mogłaby im pomóc przezwyciężyć podczas misji.

– Nigdy! – Popatrzył na nią z komicznie poważnym wyrazem twarzy i mrugnął. – Ale tym razem muszę odmówić. Sorki, mam pilną sprawę. Nielegalna hodowla gryfów do zamknięcia – wyjaśnił ku rozczarowaniu Elizy.

Nie mniejszy zawód dostrzegła u Mai, choć rusałka dzielnie próbowała nie dać go po sobie poznać i szybko podjęła temat:

– Och, to zawsze jest straszny widok. Te wszystkie poprzerastane pazury i skołtuniona sierść – powiedziała rozgoryczona. – Jak można robić coś takiego?!

Eliza również posmutniała. Wyobrażała sobie, że gryfy musiały być pięknymi i dumnymi stworzeniami. Jakie to przykre, że los nie oszczędzał również fantastycznych zwierząt.

– Kasa – wyjaśnił dobitnie Moras. – Pseudohodowle magicznych zwierząt wyrastają ostatnio jak grzyby po deszczu. No cóż... Innym razem, Elizaczku.

– W takim razie poproszę tę mapę – powiedział Garlicki już przyodziany w trencz i owinięty szalem.

Moras wyciągnął z szafy plan Białegostoku i zaznaczył czerwonym flamastrem kilka lokalizacji.

– Sprawdzę je i potwierdzę. – Garlicki schował złożoną mapkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Eliza wybiegła z biura.

– To ja lecę po aparat!

Jeśli miała zmierzyć się z dziwacznym zielskiem i dać się pożreć, przynajmniej to uwieczni!

– Dobrze, spotkamy się przy wrotach! – zawołała za nią Maja.

Eliza dopadła do magazynu. Przeszła przez stosy pudeł chybotające się przy każdym jej ruchu i ściągnęła z półki skórzany futerał. Wyjęła z niego aparat i zawiesiła go na szyi, po czym schodami zbiegła do wyjścia. Garlickiego już nie było, ale Maja wciąż na nią czekała.

– Pan Aleks udał się pierwszy, by odnaleźć wszystkie miejsca zaatakowane przez bluszcz. My dołączymy do niego później, ale najpierw się przygotujemy – powiedziała z błyskiem w oku.

Wrota Instytutu Absurdu otworzyły się i odsłoniły wnętrze mieszkania Mai znajdującego się w Rzeszowie. Po zobaczeniu jej pracowni na strychu Eliza spodziewała się, że niewielkie lokum rusałki będzie najbardziej zielonym miejscem, jakie widziała, ale i tak rzeczywistość ją zaskoczyła. Do każdego pomieszczenia wciśnięto ile tylko się dało różnych kratownic i kwietników zawalonych doniczkami, ogromnych donic stojących bezpośrednio na podłodze albo mniejszych, zawieszonych pod sufitem, z których zwisały pędy pokryte liśćmi lub kwiatami. Parapety w całości zasłaniały niewielkie doniczki z siewkami w różnym stadium rozwoju. Maja okazała się na tyle rozsądna, żeby nie uprawiać dziwadeł poza Instytutem Absurdu, i wszystkie rośliny, które trzymała w mieszkaniu, wyglądały na zwyczajne fikusy, paprocie, aloesy czy przepięknie kwitnące storczyki. Jakby tej zieleni nie wystarczało, na ścianach

dominowały soczyste, wiosenne kolory. Również meble i inne dodatki utrzymano w radosnych barwach, a wszelkie obrusy, zasłony i inne tekstylia miały kwiatowe wzory.

– Mieszkaś tu sama? – spytała zaciekawiona Eliza. Nie spostrzegła śladów obecności kogokolwiek mniej zwariowanego na punkcie roślin niż jej koleżanka.

– Tak, ale tato mieszka niedaleko z macochą i przyrodnym rodzeństwem.

– A twoja mama?

– Och, mieszka trochę dalej. W lesie – uzupełniła, gdy Eliza spojrzała na nią pytająco. – Nie mam z nią zbyt dobrego kontaktu. Wiesz, to taki wolny duch. – Przewróciła wymownie oczami. – Jak wszystkie zresztą. Taka ich natura.

– Wybacz, nie chciałam być wścibska.

Eliza posłała jej przepaszającą minę. Nie przyszło jej na myśl, że najwyraźniej rusałki miały ambiwalentny stosunek do potomstwa. Ale przecież nie poznała żadnej stuprocentowej, a Maja nie różniła się zbyt wiele od zwykłych dziewczyn. Całe szczęście, że nie wyglądała na urażoną nietaktownym pytaniem.

– Nie, nie. Nic nie szkodzi. Rozgość się, a ja zaraz wrócę.

Wskazała Elizie miejsce na kanapie, a na stoliku kawowym postawiła szklanekę z intensywnie zielonym napojem i wyszła do innego pokoju. Eliza poczęstowała się sokiem. Nie rozpoznała smaku owoców, ale napój był pyszny. Zdążyła wypić całość, zanim Maja pojawiła się ponownie. Zamieniła wcześniej noszoną wielowarstwową, tiulową spódnicę na jeansowe ogrodniczki. Na głowę włożyła słomkowy kapelusz z tasiemką, a na nogi różowe kalosze ze wzorem w truskawki. Najwidoczniej ich akcja wymagała odpowiedniego podejścia i przebrania.

– Będziemy udawać inspekcję roślin – wyjaśniła, wkładając na drobne dłonie robocze rękawiczki w prawdopodobnie najmniejszym dostępnym rozmiarze. – Potem ci wytłumaczę, co będziemy mówić mieszkańcom, żeby nas wpuścili i pozwolili zająć się problemem.

Podła Elizie plakietkę do zawieszenia na szyi. Zza plastikowej osłonki wyglądała zapisana drobnym maczkiem karta opatrzona wielką, zieloną pieczęcią z nazwą: Brygada Lustrwania Elementów Flory.

– BLEF? I to przejdzie? – spytała powątpiewająco Eliza. Zdążyła się już kilka razy przekonać, że ludzie ignorowali absurdy dziejące się wokół, ale czy byłiby aż tak naiwni?

– Oczywiście! – zapewniła inspektorka takim tonem, jakby chciała dać dziewczynie do zrozumienia, że to nie będzie jej pierwszy raz. – Tobie też zaraz coś znajdę, Elizo. Myślę, że będę mieć jakieś pasujące ubrania. Wolisz motylki czy ananasy?

Jeszcze w mieszkaniu Mai odebrały od Garlickiego pierwszą wiadomość z adresem do sprawdzenia. Przywołały wrota do Instytutu Absurdu i od razu po przybyciu do stolicy województwa podlaskiego udały się pod wskazane miejsce. Maszerowały zwyczajną ulicą w południowej części miasta, przy której stały niewyróżniające się domy jednorodzinne o kształcie kostki. Każdy z budynków otaczał niewielki ogród, gdzie królowały dość rozrośnięte rośliny, jakby ludzie nie zawracali sobie głowy przycinaniem czy formowaniem ich, jednak już z daleka dało się spostrzec, że działo się tu coś nietypowego. Jeden z ogrodów wyróżniał się znacznie bardziej nieokiełznaną aranżacją. Aż miało się wrażenie, że zieleń rosła w oczach! Gdzeniegdzie wychodziła już przez siatkę ogrodzenia i anektowała chodnik. Od razu skierowały się w tamtą stronę. W centrum potwornie zarośniętego bluszczem ogrodu krzątała się kobieta, próbująca wyplewić rozrastające się w szalonym tempie zielsko. Jej zmagania pozostawały bezcelowe.

Maja załamała rękę.

– Och, on nie powinien trafić w niepowołane ręce. Biedactwo! Ci ludzie nie potrafią się nim zająć!

Biedactwo? Też coś! Eliza objęła się ramionami i wbiła wzrok w ziemię. A ona nie była biedactwem? Również miała się z czym borykać. Co rusz walczyła z chęcią, by poprawić ogrodniczki pożyczone od Mai. Okazały się trochę za ciasne i wpijały jej się w krok. Fioletowe kalosze w różowe motyle również mogłyby być większe o rozmiar. Cisnęły ją w duże palce, które musiała podwijać. Przeszła z nogi na nogę.

– Wkraczamy, Maju? – zapytała błagalnym tonem.

– Tak – odparła zdecydowanie. – Przepraszam panią bardzo! – zawołała, a gdy kobieta podniosła się, dodała: – Maja Wawrzynek, Brygada Lustrowania Elementów Flory. – Zamachała fałszywą plakietką.

– Czego? – odparła białostoczanka niemilo i oparła się na motyczce.

– Ostatnimi czasy otrzymujemy mnóstwo niepokojących zgłoszeń na temat przemytu ogrodniczego. Podejrzewamy, że zostały pani sprzedane sadzonki genetycznie modyfikowanego bluszczu – zmyślała Maja, a kobieta z początkowo nieufnej zamieniła się w wyraźnie zainteresowaną.

– Laboga! – zawołała. – Myślałam, że to zwykły bluszcz. Chciałam, by mi trochę zarósł chwasty pod iglakami, ale nie aż tak! Rady sobie z nim dać nie mogę!

– To spiszek – wyjaśniła rusałka rzeczowym tonem, a oczy kobiety otwierały się coraz szerzej z przerażenia. – Nielegalnie importowany bluszcz. Z Ameryki!

– Pełen metali ciężkich, ściąga sygnał 5G – dodała Eliza, gdy poniosła ją fantazja.

Przesadziła z rewelacjami? Chyba nie. Bacznie obserwowała reakcję kobiety, która złapała się za głowę i kręciła nią w zdumieniu. Ha! Maja miała rację. To naprawdę było łatwe!

– I panie przyszły to zabrać? – spytała z nadzieją.

– Oczywiście, to nasz obowiązek – zapewniła z powagą Maja. Ani na chwilę nie wypadła z roli.

– Proszę, proszę. Zapraszam! Co to za szkodliwe badziewie teraz sprzedają. Wszystkich chcą nas wytruć!

– Proszę jeszcze powiedzieć, skąd pani miała sadzonki?

Maja wyciągnęła już notes i ołówek, ale zamyślona kobieta pokręciła bezradnie głową.

– No nie pamiętam. Ja to dużo roślin kupuję w różnych miejscach. W szkółkach, marketach, na targu. Ale żeby takie rzeczy tam sprzedawać? Nie do wiary!

Otworzyła z trudem furtkę, bo bluszcz wrastał już w zawiasy, i wpuściła Elizę oraz Maję na teren posesji. Nie przestawała zasypywać ich przy tym kolejnymi teoriami spiskowymi. Z każdą chwilą i kolejnym wypowiedzianym przez nią słowem Eliza czuła coraz większe zażenowanie, dlatego odetchnęła z ulgą, gdy zgodnie z prośbą Mai właścicielka poprowadziła je do miejsca, gdzie mniej więcej posadzono felerne sadzonki.

– To ja tu panie zostawię, dobrze? Nie jestem chyba potrzebna.

Wyraźnie bała się przebywać w otoczeniu diabelskiego bluszczu. Unikała stawiania stóp na jego pędach, co z uwagi na zaatakowaną powierzchnię było niemal nieosiągalne.

– Tak, my się tym zajmiemy – zapewniła Maja, a gdy właścicielka schowała się na tarasie i stamtąd obserwowała ich poczynania, dodała: – Widzisz, mówiłam ci, że łatwo pójdzie.

– Skąd wiedziałaś, że to kupi?

Eliza poprawiła słomkowy kapelusz. Akurat za niego była ogromnie wdzięczna Mai, bo skutecznie chronił przed upałem, który dokuczał mimo porannych godzin.

– Znam się na ludziach – odparła tajemniczo. – A to na pewno robota Leszego. – Wskazała na bluszcz. – Co też on najlepszego zrobił? – Westchnęła i pokręciła głową, a następnie wyciągnęła z torby spryskiwacz.

Eliza chciała pójść w jej ślady, ale najpierw złapała za aparat, przekręciła odpowiednio pokręta tak, jak ją uczył Marcel, i wykonała zdjęcie bluszczowej katastrofie. Maja wstrząsnęła kilka razy butelką i pokazała Elizie, jak opanować

rozrost roślin. Stażystka naciskała dyszę spryskiwacza, obficie rosząc zieloną połąć porastającą ścieżkę z betonowych puzzli, ledwie spod niej widocznych. Pod wpływem eliksiru listki i pędy zaczęły się błyskawicznie kurczyć, wręcz znikać z oczu. Eliza zlustrowała stan zarośniętego ogrodu i jęknęła w duchu. Zielonego dziadostwa, jakby to powiedział Moras, pojawiło się już na tyle dużo, że pomimo tego, że miały odpowiednią broń, mordowanie się z nim mogło zająć im sporo czasu. Zabrała się ostro do pracy, a nietypowe zajęcie pochłonęło ją na tyle, że dopiero po chwili usłyszała dzwonienie telefonu. Pośpiesznie otworzyła torbę. To pewnie Garlicki chciał im podać kolejną lokalizację! Niestety myliła się. Zamarła, gdy zobaczyła na wyświetlaczu, kto dzwonił. Zawahała się, ale odebrała.

– Cześć, mamó. Nie mogę za bardzo rozmawiać. W pracy jestem – wyjaśniła, licząc, że w ten sposób szybko zakończy rozmowę.

Za żadne skarby świata nie chciała, by matka usłyszała, że coś dziwnego działo się w tle. Musiała się mieć na baczności! Co by to było, gdyby matka zaczęła się domyślać, że jej córka wcale nie pracowała w zwyczajnym biurze?

– Cześć, kochanie. Nie chciałam przeszkadzać. Tak dzwonię, żeby sprawdzić, co tam u ciebie.

Mhm, to wybrała nie najlepszy moment na pogaduszki. Eliza przełożyła telefon do lewej ręki, a w prawą złapała spryskiwacz i psiknęła w pełzający w jej stronę pęd. Magiczny bluszcz miał coś w rodzaju świadomości, bo wszystko wskazywało na to, że zdawał sobie sprawę, co mu robiono, i walczył z agresorem na swój sposób. Dziewczyny musiały co chwilę opryskiwać gumki, bo pędy owijały się ciasno wokół nich w szaleńczym tempie, aż nie dało się oderwać nóg od podłoża.

– Wszystko w porządku. Właśnie... Właśnie próbuję wyplenić błędy w jednym tekście. Zadzwoń wieczorem, dobrze?

Nieporadnie manewrowała między zarastającym grządkę zielskiem z opryskiwaczem w jednej ręce i telefonem w drugiej, starając się nie upuścić żadnej z rzeczy. Bluszcz mógłby nie zechcieć jej tego oddać.

– Oj, przecież nie musisz być taka zasadnicza. Możesz chyba zrobić sobie krótką przerwę w pracy, to w końcu tylko staż. Dawno się nie odzywałaś. Nie znajdziesz chociaż chwilki, by porozmawiać z matką? – zapytała niby żartobliwym tonem, ale Eliza wyczuwała jej rozczarowanie.

– Wiesz, mamó, jak to jest. Trzeba się z dobrej strony pokazać. Zawalczyć o swoje. Jeszcze pomyślą, że mi nie zależy – paplała, chcąc ją udobruchać i starając się przy tym ukryć zaskoczenie na widok poczyńań Mai.

Gdy Eliza była zajęta rozmową, Maja przywołała drzwi do Instytutu Absurdu i wrzuciła do środka worek z pierwszymi wykopanymi sadzonkami. Grządki

wokół wrót skąpało delikatne fioletowe światło, a maskaron Malwinka zerkała ze zwieńczenia portalu na uwijającą się jak pszczołka Maję. Zwykli ludzie nie dostrzegali magii, ale co ze znikającymi w niebycie workami? Czy właścicielka ogrodu mogła to zobaczyć z tarasu? Eliza odetchnęła z ulgą, widząc, że stała tyłem do nich i podlewała surfinie.

– Nie mam teraz za bardzo czasu, bo... – Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mama wykorzystała chwilę jej zawahania.

– No tak. Duże miasto, nowi znajomi i starzy rodzice idą w odstawkę.

– Oj, mamo! Przecież wiesz, że to nieprawda – zapewniała gorąco. – Myślę, że mogłabym przyjechać na następny weekend, co? Porozmawiamy sobie, nadrobimy zaległości.

– Mhm... No dobrze. To nie przeszkadzam już. Pracuj, pracuj.

Eliza westchnęła i rozłączyła się, a nieco ponad pół godziny później przetarła spocone czoło i kark, po czym spojrzała z dumą na skończoną robotę. Płatanina pędów bluszczu skurczyła się do rozmiarów kilku małych sadzonek, które Maja wykopała starannie i schowała do płóciennego worka. Następnie wyciągnęła z torby woreczek nasion i wrzuciła jedno do prędko wykopanego dołka. Zagrzebała je z czułością i podlała innym specyfikiem, ustawiając się tak, by zasłonić widok właścicielce posesji. Nasionko błyskawicznie wykiełkowało, ale rozrastało się dalej. Wytwarzało kolejne pędy pokrywane się liśćmi i kolcami. Po kilku sekundach dorosły już krzew obsypał się mnóstwem pąków, z czego połowa rozkwitła w ogromne, szczelnie wypełnione karminowymi płatkami kwiaty.

– Gotowe! – zawołała do kobiety, która natychmiast do nich podbiegła i zaczęła ciekawsko rozglądać się po grządce. – Bezglutenowa róża. Posadziliśmy ją w ramach rekompensaty za poniesione straty moralne. – Maja wskazała na roślinę.

– Och, jaka cudna! Dziękuję!

Kobieta wyglądała na całkowicie zadowoloną. Ale zaraz! Nie zorientowała się, że przecież nie przyniosły ze sobą żadnych sadzonek. I to jeszcze takich dużych. Eliza odchyliła plakietkę i zerknęła na pieczętkę BLEF-u. Nie, to nie mogło być takie proste!

– Gdyby to było jedno miejsce, to pomyślałabym, że ktoś wykopał nieodpowiednią sadzonkę z lasu – rozmyślała na głos Maja, gdy wyszły z terenu kolejnej zgłoszonej przez wampira posesji. – I wcale bym go nie żałowała. Nie wolno wykopywać żadnych roślin z lasu! Pamiętaj, Elizo!

– Tak, wiem.

W tej części Białegostoku Garlicki wypatrył jeszcze pięć innych miejsc opanowanych przez bluszcz. Wszędzie zastały niemal identyczną sytuację. Na szczęście coraz szybciej i skuteczniej radziły sobie z pnączami.

– Gdyby to były różne rośliny, to pomyślałabym, że ktoś rozpylił eliksir na przyśpieszenie porostu albo ludzie dobrali się do nieodpowiednich odżywek. Ale w każdym ogrodzie jest to samo. Obawiam się, że ktoś tu gdzieś sprzedaje magiczny bluszcz Leszego. Nie chcę wierzyć, że on sam zachowałby się tak nieodpowiedzialnie.

– Ale po co ktoś miałby sprzedawać go zwykłym ludziom? – zapytała Eliza. – Serio ktoś chciałby zarabiać na tak pokrętnym biznesie?

– Och, sama nie wiem. Może jakiś miłośnik przyrody, który uznał, że mamy wokół za dużo betonowych placów? I miałby rację! – Maja umilkła na chwilę i nieco się spieszyła. – Nie zrozum mnie źle. Nie pochwalam takich metod działania.

– No jasne.

Dotarły do wejścia na teren Pałacu Branickich. Garlicki wysłał im tylko krótką informację, by przyjrzeć się ogrodnikom. Pięknie zdobiona brama przypominała nieco kształtem łuk triumfalny. Wieńczył ją złoty gryf trzymający w szponach tarczę. Przeszły przez nią i znalazły się na początku długiej alei, która prowadziła wprost do pałacu. Po jej obu stronach znajdowały się otoczone równo przystrzyżonymi trawnikami podłużne zbiorniki wodne z fontannami na środku. Już z daleka zabytkowa rezydencja o bogato zdobionej fasadzie prezentowała się okazale, ale niestety Elizie nie dane było ją zwiedzić czy przyjrzeć się z bliska. Maja oznajmiła, że muszą obejść pałac i dotrzeć do znajdujących się na jego tyłach ogrodów. Te zachwyciły Elizę równie mocno. Królowała symetria i po obu stronach szerokiej, żwirowej ścieżki utworzono kilka geometrycznych rabat wypełnionych różnorodną, kwitnącą roślinnością posadzoną w taki sposób, żeby kompozycja stworzyła ornamentalne wzory. Krawędzie każdej rabaty podkreślono nisko strzyżonymi żywopłotami. Wzdłuż ścieżki, w równych odstępach poustawiano kamienne rzeźby, które przypominały greckie posągi i przedstawiały postacie mitologiczne. Eliza zauważyła też cztery kamienne zbiorniki z wodotryskami. Gdy dziewczyny znalazły się w ich pobliżu, unoszące się w powietrzu kropelki wody przyjemnie je ochłodziły. Zerknęła na Maję, chcąc zobaczyć, jakie wrażenie wywołało na niej to bajkowe miejsce.

– Barokowe wymysły. – Rusałka pokręciła z dezaprobatą głową.

– Nie podoba ci się?

Dziwne. Przecież było tu tak zielono! Tak spokojnie... A wokół pełno kwiatów i fruujących nad nimi owadów.

– Oj! Po prostu wolę, jak jest dziko i zieleń rośnie swobodnie. Tu rośliny wyglądają jak posadzone za karę.

Eliza przyjrzała się ponownie skomplikowanym wzorom z kwiatów. Maja miała rację. Dzikość zdecydowanie nie pasowała do ogrodu, choć jeśli rzeczywiście trafił tu magiczny bluszcz, szybko mogłoby się to zmienić. Obecnie przypominał małe dzieło sztuki, a porządek i harmonia zapewniały Elizę, że nic się na nią nie rzuci, żadne złowrogie pędy. Z pewnością dbanie o rośliny, ich formowanie i odchwaszczanie wymagało ogromnego nakładu czasu i pracy. Nic zatem dziwnego, że przy jednej z prostokątnych rabat natrafiły na kilku ogrodników. To ich musiał mieć na myśli Garlicki. Za nimi stały wózki załadowane paletami wypełnionymi doniczkami z sadzonkami. Maja wystartowała w ich stronę i Eliza z trudem zdołała ją dogonić.

– Stać! Brygada Lustrowania Elementów Flory! Proszę mi pokazać te sadzonki! – zagrzmiała inspektorka.

Oszołomieni pracownicy nawet się z nią nie spierali. Zadrżeli i odsunęli się od wózków na bezpieczną odległość. Co wstąpiło w Maję? Przypominała lwicę broniącą młodych. Eliza pomyślała, że trzeba zapamiętać, żeby nigdy nie wchodzić w drogę rusałce, gdy będzie chodziło o jej ukochane rośliny.

– Jeśli mają panowie coś innego do roboty, to proszę się tym teraz zająć – powiedziała stanowczo, a Elizie wyszeptła na ucho: – Pilnuj ich, żeby nie widzieli, co robię. Zajmę się bluszczem.

– Taa, nie ma sprawy – stęknęła stażystka w odpowiedzi.

Ciekawe, jak miałyby to niby zrobić? Śledziła wzrokiem pracowników zajętych wykopywaniem dołków pod sadzonki, które w tym czasie przeglądała Maja. Na większość roślin jedynie rzuciła okiem, ale przy jednym wózku zatrzymała się na dłużej i wskazała dyskretnie paletę, gdzie stały najmniejsze doniczki. Eliza z daleka widziała, że rósł w nich bluszcz, który zaczynał już przerastać pojemniki. Niczego nieświadomi panowie nie zauważyli jeszcze, co działo się za ich plecami. Maja ukradkiem opryskiwała sadzonki, wyciągała z pojemników i chowała do torby. Następnie do doniczek wkładała nasionka i podlewała specyfikiem na gwałtowny porost, a młode rośliny wręcz wystrzeliwały z ziemi tuż pod nosami niczego nieświadomych ogrodników. Wystarczyłoby, żeby któryś się odwrócił, i... Eliza zaplotła dłonie za plecami, by ukryć ich drżenie. Musiała w jakiś sposób utrzymać uwagę mężczyzn z dala od zmagania rusałki. Przełknęła ślinę, mając nadzieję, że dzięki temu zabrzmi pewniej.

– A co to za kwiat?

Wskazała na roślinę przypominającą wyrośniętą, różową stokrotkę. Panowie popatrzyli na siebie nawzajem.

– Jeżówka purpurowa – odezwał się w końcu jeden z nich. – Myślałem, że pracownicy takiej ważnej jednostki znajdują się na roślinach.

Zdziwienie, jakie dało się wyłapać w jego głosie, sprawiło, że drobny pot skropił się na jej skroniach.

– Naturalnie. Sprawdzałam panów czujność – wyjaśniła pośpiesznie i omal nie pacnęła się w czoło.

Głupia! Mogła wymyślić coś innego, a tak... Zdemaskowała BLEF? Wykrzywiła usta w pozornie nonszalanckim uśmiechu, jakby to mogło dodać jej pewności siebie. Pracownicy nie wydawali się przekonani. Czyżby zaczęli coś podejrzać? Spojrzała niecierpliwie na Maję. Jeśli rusałka szybko nie skończy podmiany sadzonek, to znajdą się w tarapatkach. Na szczęście Maja mrugnęła uspokajająco. Wszystkie rośliny w doniczkach prezentowały się cudownie zwyczajnie, żadnych wijących się nadmiernie pędów. Zdążyła nawet pozbyć się worka z zarekwirowanym bluszczem i wywołać wrota do Instytutu Absurdu.

– Fałszywy alarm. – Maja wskazała na wózek z doniczkami. – Wszystko się zgadza. Mogą panowie sadzić.

Odgarnęła włosy z ramion i pomachała im, a ogrodnicy wyszczerzyli zęby w głupawym uśmiechu i najzwyczajniej w świecie wrócili do pracy. Inspektorka odciągnęła Elizę kawałek dalej i pokazała etykietkę, którą znalazła przy jednej sadzonce. Z przodu widniało zdjęcie ukazujące w przybliżeniu pęd z kilkoma charakterystycznie wycinanymi, żyłkowymi liśćmi oraz nazwą rośliny. Bluszcz pospolity. Doprawdy? Eliza pokręciła głową. Na drugiej stronie znalazła adres centrum ogrodniczego. Odpaliła wyszukiwarkę w telefonie i wyświetliła to miejsce na mapie. Znajdowało się na obrzeżach Białegostoku.

– Magiczny bluszcz sprzedawany jako pospolity. Skandal! Skąd oni mają takie rośliny?! – prychnęła Maja, wymachując z oburzeniem etykietą. – Jakim prawem sprzedają je zwykłym ludziom?!

– Możemy sprawdzić to centrum.

– Koniecznie!

Rusałka naprawdę zdenerwowała się całą sytuacją. Eliza pierwszy raz widziała ją tak wkurzoną.

– Ale to nie wszystko. Trzeba ustalić źródło pochodzenia sadzonek. Najbliżej taki materiał ma Leszy. Och! Tylko dlaczego sprzedał magiczne sadzonki do zwykłego sklepu ogrodniczego?!

W odpowiedzi Eliza wzruszyła ramionami. Rozpracowywanie motywacji duchów lasu było poza jej możliwościami.

– No nic. Wyjaśnimy to. Najpierw załatwimy pozostałe adresy, potem zobaczymy to centrum, a na koniec złożymy wizytę Leszemu. Niech się

tłumaczy, co za bałagan ma pod nosem. – Maja oparła dłonie na biodrach w wojowniczej pozie.

Telefon Elizy zawibrował. Otworzyła nową wiadomość.

– A pan Aleks właśnie wysłał kolejny adres – powiedziała po jej odczytaniu.

Trasa wyszukana w aplikacji zaprowadziła je na wąską uliczkę Koszykową, wzdłuż której wznosiły się stare, drewniane domy. Ta część Białegostoku, w bliskim sąsiedztwie centrum, zdawała się wyjęta z zupełnie innego miejsca i epoki. Otoczone niewysokimi płotami dwupiętrowe budynki o spadzistych dachach przypominały chatki z bajek. Eliza nie zdziwiłaby się, gdyby z któregoś wyszła im na spotkanie Baba Jaga albo Jaś i Małgosia. Sporo z domków nie dotrwało do dzisiejszych czasów w najlepszym stanie i mimo niewątpliwego uroku wyglądały, jakby miały się zaraz rozsypać. Dlaczego jeszcze nikt ich nie odnowił? Eliza pokręciła z niezadowoleniem głową i znieruchomiła. Ogromna, zielona plama przyciągnęła jej wzrok. Odwróciła się w tamtą stronę. Jedna z posesji prawie w całości powlekała się bluszczową okrywą. Eliza szturchnęła Maję i wskazała poszukiwany przez nie adres. Od razu podeszły bliżej. W ogrodzie, w samym centrum płaczących się ze sobą pędów, dostrzegły około czterdziestoletniego mężczyznę w ubraniu roboczym i goglach ochronnych. Poustawiał wokół siebie najróżniejszy sprzęt ogrodniczy, którego część zasłaniały już błyszczące, klapowane listki, i próbował opryskiwać bluszcz drażniącym nos środkiem chemicznym. Niestety jego działania nie przynosiły żadnych efektów.

– Jejku, jest gorzej, niż myślałam... – Maja poprawiła plakietkę, wzięła głęboki oddech i zawołała: – Dzień dobry! Brygada Lustrwania Elementów Flory, przyszłyśmy pomóc.

Pędy bluszczu pokryły już niemal wszystko. Narastały warstwowo, wręcz tworząc formy przestrzenne. Widok mógł się skojarzyć ze scenerią do Tarzana. Ogromna masa zieleni nie dawała się opanować, a ścieżka, którą wydeptał właściciel posesji, żeby dojść do furtki, zdążyła zarosnąć, nim odezwał się do pracownic Instytutu Absurdu:

– Proszę mi powiedzieć, co to za cholerstwo?!

Mężczyzna, na wpół bezradnym, na wpół zdenerwowanym ruchem ręki ogarnął swoje włosy i przyglądał się dziewczynom intensywnie, jakby opłakany stan ogrodu był ich winą. Maja skrzywiła się nieznacznie przy słowie „cholerstwo”, ale zaraz przywołała na twarz minę wyrażającą pełny profesjonalizm.

– To szybko rosnący kambodżański bluszcz – wyjaśniła rzeczowo.

– Z pradawnej dżungli – dodała Eliza i zacisnęła zęby, żeby się nie roześmiać.

Zerknęła na mężczyznę spod przymkniętych powiek i zmieszała się, a uśmiech spełził z jej twarzy. Wcale nie wyglądał na przekonanego. Podobnie sceptyczną minę widywała u swojego taty, gdy zapewniała go, że na pewno posprząta swój pokój później czy nie zapomni wynieść śmieci. Dlaczego magia absurdu nie zadziałała tak, jak w przypadku poprzedniej poszkodowanej osoby?

– Doprawdy? Nie słyszałem o takiej roślinie. – Zmarszczył czoło i przyglądał się im spod byka.

– To bardzo rzadki gatunek. Bardzo ekspansywny. Najwyraźniej gleba mu sprzyja albo pogoda odpowiada. Piękny dziś dzień – kontynuowała Maja, ale mężczyzna prychnął.

– Przecież w Kambodży panuje inny klimat. Temperatura wyższa, wilgoć większa. U nas jest zupełnie inaczej – odparł przytomnie.

Eliza zerknęła niepewnie na Maję. Z nim chyba nie pójdzie im tak łatwo...

– Widocznie się uodpornił – zasugerowała nieco napastliwym tonem, którego nie udało jej się opanować.

– Właśnie! Niektóre rośliny mają zdumiewającą umiejętność przystosowania się do zmiennych warunków.

Wychwyciła pewną nerwowość w głosie Mai. Sama poczuła się jak najgłupsza kłamczucha, próbująca sprzedać najgorszej jakości kłamstwo. To nie mogło się dłużej udawać. Ktoś w końcu musiał wykpić ich bzdurne wyjaśnienia.

– Nie wydaje mi się – odburknął mężczyzna i założył ręce na piersi.

– Mhm, najwyraźniej trafił nam się wyjątkowo rzadki osobnik sceptycznie myślący – wymamrotała Maja pod nosem, potwierdzając obawy Elizy. – Och! Nie cierpię tego robić – dodała półgłosem.

Eliza nie zdążyła zapytać, co Maja miała dokładnie na myśli, bo ta już rozwiązywała tasiemki kapelusza, a następnie go zdjęła i zarzuciła głową. Długie, jasne i lśniące włosy, niczym w reklamie szamponu, zafalowały na wietrze, choć nie dało się wyczuć żadnych podmuchów. Ba! Gorące powietrze wręcz stało w miejscu. A Maja... Eliza znieruchomiała w stanie ciężkiego oszołomienia. Maja też była gorąca! Zawsze słodka i niewinna, teraz zuchwale olśniewała urodą, co nie uszło uwadze mężczyzny. Nie wydawał się już ani trochę zirytowany. Pochłaniał wzrokiem rusałkę uwodzicielsko odgarniającą włosy i przechylającą kusząco szyję. Z drobnym nosem umorusanym ziemią, w roboczych rękawiczkach i jeansowych ogrodniczkach musiała wyglądać na tyle uroczo, że zaczął się obleśnie ślinić. Ale Maja nie poprzestała na tym. Zmrużyła oczy i zatrzepotała rzęsami. Przygryzła dolną wargę, schowała ręce za plecy i wyprężyła się do przodu, balansując na stopach. Mężczyzna natychmiast złapał za płot, nie zwracając uwagi na dźgające go w brzuch sztachety, i wychylił tak bardzo w stronę rusałki, że nieomal wypadł na chodnik. Ze świstem wypuścił

powietrze. Pożerał ją wzrokiem, zupełnie nie zdając sobie sprawy albo nie przejmując się tym, jak nieprzyzwoicie wyglądało to z boku. Eliza wzdrygnęła się, ale zdusiła chęć ucieczki. Nie mogła zostawić koleżanki samej.

– No, no, no, ale ze mnie trzpiotka. – Maja machnęła dłonią i zachichotała jak stereotypowa blondynka z infantylnych komedii romantycznych. – Ojejku, jej! Czyżbym coś pokręciła z tymi głupimi sadzonkami? Chyba się pan na mnie nie gniewa?

Pochyliła głowę i popatrzyła na mężczyznę spod wachlarza czarnych, podkreślonych rzęs.

– Ależ nie! Naturalnie, że nie. Jak mógłbym się gniewać! – zapewniał gorąco, taksując ją lubieżnym wzrokiem.

– Ale czy to naprawdę aż takie ważne, co to za sadzonki?

– Nie, nie! No pewnie, że nie.

Ha! Cóż za diametralna zmiana zdania! Eliza otworzyła szerzej oczy ze zdumienia, gdy zrozumiała, jak łatwo Maja mogła omotać mężczyznę. Całkowicie zatonął w jej wdziękach! Strach pomyśleć, co potrafiły zdziałać stuprocentowe rusałki. Wampirzy wdzięk Garlickiego czy urok nieokrzesanego Morasa przy takim talencie były niczym. Pod wpływem rusałczego czaru właściciel ogrodu zdawał się nie myśleć racjonalnie, zupełnie jakby stracił władzę nad umysłem. Eliza podejrzewała, że mogłaby przywołać Instytut Absurdu, pokazać mu Trefnisię czy ducha Sulimę, a i tak nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. Niepozorna Maja dysponowała naprawdę potężnym orężem.

– Są ciekawsze rzeczy do roboty, prawda? – spytała kusząco rusałka, przeciągając sylaby.

– Tak. Są. Tak.

– To co? Możemy wziąć się do dzieła? – Westchnęła cicho i mrugnęła do niego.

Nawet z tej odległości dało się słyszeć, jak głośno przełknął ślinę.

– Oczywiście, jestem gotowy.

– Och! Nie, pan usiądzie i zaczeka. Ja się wszystkim zajmę.

Wskazała na porośniętą ławkę, ledwie widoczną spod bluszczu. Mężczyzna od razu podbiegł w tamtą stronę i usiadł wyprostowany jak pilny uczeń na lekcji. Nie przeszkadzało mu nawet wszędobylskie zielsko. Kilka pędów powoli wspinało się już po jego nogach. Gdyby Maja wykorzystała swoją moc na Morasie, już dawno miałyby go podobnie owiniętego wokół palca. Leżałby u jej stóp i skomlałby jak, cóż, pies. Chyba że na wilkołaki nie działał taki urok...

Co jest?! Eliza chciała ruszyć za Mają, ale nie mogła unieść stopy. No tak... Spojrzała w dół i ujrzała, jak jej buty powoli pochłania magiczny bluszcz. Cudownie, wystarczyła chwila zamyślenia! Wyciągnęła z torebki opryskiwacz.

Klapowane, skórzaste listki zadrżały wściekle. Nie przejęła się tym, tylko wycelowała w nie dyszę i nacisnęła spust. Pędy kurczyły się i wycofywały. Była wolna! Otarła pot z czoła, poprawiła słomkowy kapelusz oraz wgryzający się w szyję pasek od aparatu i stanęła przy Mai.

Pracowały w szaleńczym tempie, żeby jak najszybciej skończyć z bluszczem i opuścić ogród, którego właściciel dostał małego rozumu. Nie pozwalał się więcej odsyłać na ławkę. Cały czas nadskakiwał Mai, a to przynosząc parasol ogrodowy i rozkładając go nad dziewczyną, żeby osłonić ją od słońca, a to opowiadając anegdoty ze swojego życia, które skupiały się na ukazaniu jego rzekomych zalet. Nie odpuszczał też żadnej sposobności, aby skomplementować rusałkę, która zgrabnie ukrócała jego zapędy. Eliza nie była w stanie ukryć zażenowania i krzywiła się za każdym razem, gdy do nich podchodził. Maja również wyglądała na zmęczoną natarczywą atencją.

Odprężyły się dopiero wtedy, gdy wszystkie sadzonki skurczyły się do zwyczajnych rozmiarów. Pośpiesznie je wykopały, załadowały do worków i korzystając z okazji, że mężczyzna poszedł po wachlarz i zimne napoje, uciekły z jego posesji.

– Pani Maju! Proszę zaczekać! Dałaby mi pani numer telefonu. W razie, gdyby bluszcz wrócił.

Obejrzały się za siebie. Cholera! Zdążył wybiec za nimi na chodnik. Eliza jeszcze nigdy nie widziała na twarzy Mai takiego przerażenia, a sama pewnie nie wyglądała lepiej. Mężczyzna omal nie upadł, gdy gwałtownie otworzył bramkę. Wyglądało to komicznie i najpewniej roześmiałyby się, gdyby tylko nie czuła tak wielkiego niepokoju. Przycisnęła mocniej torbę do boku.

– Zapewniam pana, że nie wróci – powiedziała Maja, nie odwracając się nawet w jego stronę. – Postarałyśmy się o to.

– Ale ja mam jeszcze mnóstwo innych ciekawych roślin. – Podbiegł i złapał ją za rękę. – Nimi też trzeba się zaopiekować. Pokażę pani – nalegał, ale dziewczyna wyszarpnęła się z jego objęć. W dłoniach została mu brudna rękawica Mai, którą przycisnął do piersi. – Proszę mnie nie zostawiać. Umrę z tęsknoty!

Odrzucony mężczyzna otrząsnął się i zrobił kilka kroków w ich stronę. Maja pisnęła. Panicznym wzrokiem rozglądała się wokół, poszukując pomocy. Eliza zmarszczyła brwi. Nadszedł czas, by i ona zaczęła działać! Wyobraziła sobie wrota do Instytutu Absurdu. Fioletowa poświata zabarwiła jej oblicze. Gdy tylko ujrzała ich zarys, złapała rusałkę za rękę i uciekła z nią do środka. Pośpiesznie zatrzasnęła drzwi, modląc się, żeby budynek jak najszybciej się przeniósł. Odetchnęła. Chyba się udało...

– Co to było?! – Zdyszana oparła się plecami o ścianę pod tablicą informacyjną.

Maja zmieszała się wyraźnie. Dorzuciła worek do sterty pozostałych i spojrzała na nią przeprasza jąco.

– Chyba trochę przesadziłam z siłą uroku, ale bałam się, że słabszy nie zadziała na takiego opornego gościa.

– Zadziałało aż za bardzo. Mam nadzieję, że nie będzie niczego pamiętał?

Drzenie głosu zdradziło niepokój Elizy. Pokazała postronnej osobie Instytut Absurdu! Powinna się szykować na opieprz od Strzygi? Albo wylanie z roboty? Delikatny uśmiech Mai zdołał ją uspokoić.

– Nie, nie. Urok niedługo przestanie działać i ocknie się z czymś w rodzaju kaca.

– Całe szczęście! Trochę to wymknęło się spod kontroli, ale taka umiejętność to jest coś!

– Ależ nie wiesz, o czym mówisz... – Maja pokręciła głową i wzdrygnęła się.

– Uhm... A ten urok to działa tylko na zwykłych ludzi czy na magiczne istoty również? – zapytała niby od niechcena, ale sceptyczny uśmiech Mai uświadomił ją, że bez problemu rozgryzła, do czego nawiązywała stażystka.

– Na wilkołaki również – poprawiła cierpliwie Elizę. – Nie żebym próbowała – dodała pośpiesznie wyraźnie zarumieniona. – To by było niewłaściwe.

No tak. Nic dziwnego. Afekt właściciela ogrodu, choć równie namiętny, co niepokojący, nie był jego prawdziwym uczuciem. Został mu narzucony urokiem. Trudno uznać mieszanie komuś w głowie za coś dobrego, zwłaszcza jeśli nie chodzi o ratowanie Białegostoku przed pogrążeniem się w magicznym bluszczu, ale o prywatne cele matrymonialne. Brrr! Nikt nigdy nie powinien być zmuszony do czegoś wbrew sobie, Moras również. Nawet przy całym swym irytującym stylu bycia i niedostrzeganiu uczuć Mai.

– Masz rację, przepraszam.

– W porządku. To gdzie teraz?

Eliza napisała wiadomość do Garlickiego z pytaniem, gdzie mają się teraz udać, i po chwili dostała odpowiedź. Podeszła do wrót Instytutu Absurdu i powtarzając w myślach otrzymany adres, otworzyła je. Znalazła się dokładnie naprzeciwko nowej willi, wybudowanej na sporej podmiejskiej działce. Nic nie sprawiało wrażenia, żeby cokolwiek absurdalnego się tu działo. Zerknęła za siebie i wyłapała zdecydowany wzrok Mai. Rusałka minęła ją i zbiegła po schodach na ulicę. Eliza wzruszyła ramionami i dołączyła do koleżanki. Instytut Absurdu rozpląnął się. Rozejrzała się dookoła, ale nie dostrzegła nikogo kręcącego się w pobliżu. Dziwne. Maja nacisnęła dzwonek znajdujący się przy furtce. Czekwały dłuższą chwilę, ale nic się nie wydarzyło.

- Nic tu po nas. Nikogo nie ma. Bluszczu chyba też nie – oceniła Eliza.
- Ale brama wjazdowa jest uchylona...

Maja spojrzała niepewnie na stażystkę, jakby szukała w niej aprobaty dla swojego niewypowiedzianego na głos pomysłu. Eliza opuściła wzrok, złapała za kosmyk włosów wymykający się z upięcia i bacznie przyglądała się końcówkom.

- Mhm... – mruknęła jedynie.

Nie przypuszczała, że w tak krótkim odstępie czasu znów będzie musiała włąmywać się na teren prywatnej posesji.

- Wchodzimy, Elizo. Pan Aleks nie wysłałby nas tu bez powodu!

Nie czekając na odpowiedź, Maja wślizgnęła się do środka. Eliza jęknęła w duchu i ruszyła za nią. Oby magia absurdu zadziałała i nikt z sąsiadów nie zadzwonił na policję! Ostrożnie stawiała krok za krokiem i wypatrywała psów obronnych, które mogłyby ją zagryźć. W tym czasie Maja dokładnie sprawdzała każdy skrawek zieleni. Ozdobne drzewka posadzone symetrycznie, kilka różanych krzewów, donice z surfiniami, ale nigdzie ani śladu magicznego bluszczu. Całe szczęście! Krwiożercze psy również ich nie dopadły i nie włączył się żaden alarm. Mogła odetchnąć z ulgą i skłonić Maję do opuszczenia terenu, ale została uciszona gestem, nim zdołała cokolwiek powiedzieć. Maja dała jej znać, by skierowały się na tyły budynku. Tutaj również wszystko wyglądało najnormalniej w świecie. Ogród był idealnie zadbane, trawnik nisko skoszony, rabaty pyszniły się roślinami o kwiatach w najróżniejszych kolorach, żywopłoty zostały przycięte jak od linijki, a poszczególne krzewy ukształtowane w fantazyjne formy.

Jedynym elementem niepasującym do układanki okazał się sam Garlicki. Czekał na nie w cieniu rozłożystego drzewa. Siedział w nonszalanckiej pozie, oparty o gruby pień, z rękami założonymi za głowę i przymkniętymi powiekami. Fedora, okulary przeciwsłoneczne i złożony szal leżały odłożone przy jego boku. Brakowało mu tylko książki na kolanach i wyglądałby jak dziewiętnastowieczny poeta! Eliza zganiła się za chwilowe rozmarzenie. Ale tak, gdyby miała odrobinę talentu plastycznego, pewnie namalowałyby tę scenę. Ustawił się idealnie, jak na pokaz. Zaraz! Rozejrzała się nerwowo wokół i sprawdziła, czy z wychodzących na ogród okien ktoś ich przypadkiem nie obserwował.

- Spokojnie, panno Elizo, nikogo tu nie ma – powiedział Garlicki, choć wciąż nie otworzył oczu. Czyżby wyczuł je swoim wampirzym zmysłem? – Założyłem, że właściciele mogą być o tej porze w pracy.

Uspokojona kiwnęła głową i podeszła bliżej. Masywne konary, tworzące potężną koronę szczelnie wypełnioną tysiącem liści, skutecznie osłaniały przed żarzącym słońcem i oferowały odrobinę wytchnienia od upału. Eliza zdjęła słomkowy kapelusz i przetarła chusteczką moką twarz. Chętnie położyłaby się

obok na trawie i zrelaksowała po ciężkiej pracy. Zasłużyła! Jednak Maja, która zdecydowanie nie przysłała tu na odpoczynek, zapytała bez zbędnych wstępów:

– A co z bluszczem, panie Aleksie?

– Musiał być niedawno posadzony. Dopiero zaczynał się rozrastać. Mam go tutaj.

Podniósł się i otrzepał spodnie, a z kieszeni płaszcza wyciągnął wykopaną sadzonkę owiniętą w jedwabną chusteczką z wyszytymi złotą nicią inicjałami „A.H.G.” Rozwinął zawiniątko i magiczny bluszcz, jakby tylko na to czekając, wystrzelił pędami, próbując owinać się wokół rękawiczki i rękawa wampira.

– Cóż to za diabelstwo! – zawołał, starając się zderzyć z siebie liściaste macki.

Solidna porcja specyfiku autorstwa Jagi ostudziła mordercze zapędy zielska. Maja schowała opryskiwacz i odebrała sadzonkę, którą natychmiast wrzuciła do worka. Eliza wypuściła ze świstem wstrzymywane powietrze. Dość tej frapującej flory!

– Czy to już? Znalazł pan wszystkie zaatakowane miejsca? – spytała z nadzieją.

– Jak najbardziej, panno Elizo. Mogę z czystym sumieniem oznajmić, że udało mi się wypatrzyć każdą, najmniejszą sadzonkę. Co do joty. Co więcej, znalazłem przy tym to.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza identyczną etykietę, jaką znalazły przy roślinach w ogrodzie Pałacu Branickich. Maja sięgnęła po nią i chwilę studiowała, a początkowo gładkie czoło marszczyło się coraz bardziej. Eliza zerknęła przez jej ramię, żeby odczytać adres.

– Hmm, czyli wszystkie pochodzą z tego samego centrum...

– Na to wygląda – przyznała Maja. – Zaraz się tam udamy, tylko muszę zrobić coś jeszcze.

Wyciągnęła z torby płócienny woreczek i chwilę siłowała się ze sznurkiem, którym był związany. Zbyt mocno pociągnęła za jeden z końców i worek rozdarł się, a nasiona przypominające wielkością ziarenka grochu rozsypały się po trawniku wokół niej.

– Jejku! Najmocniej pana przepraszam! – zawołała zdenerwowana i natychmiast schyliła się, by je pozbierać.

Przepraszam? Ale kogo i za co? Eliza czegoś tu nie rozumiała. Jeszcze bardziej ogłupiała i złapała się za głowę, gdy Garlicki śmignął obok niej i ruszył w stronę rusałki, nie bacząc na palące słońce. Doskoczył do miejsca, gdzie upadły nasiona. Podnosił je kolejno i liczył pod nosem. Maja natychmiast przerwała zbieranie i szybko zdjęła kapelusz, aby osłonić wampira przed promieniami. Mimo jej wysiłków słońce dosięgało skóry Garlickiego i w niektórych miejscach na twarzy powstały czerwone plamy, które wciąż się rozrastały. Eliza zamruła. Przeklęła

własną opieszałość. Złapała za leżący na trawie szal złożony w kostkę, rozwinęła go i ustawiła się tak, by zapewnić wampirowi jak najwięcej cienia. Chwilę trwało, nim uporał się z wyciąganiem nasion spomiędzy źdźbeł trawy, ale gdy skończył, błyskawicznie uciekł pod drzewo.

– Co za dzień! Sto trzydzieści siedem – powiedział i oddał Mai woreczek.

– Bardzo boli, panie Aleksie? – zapytała z przejęciem Eliza, słysząc lekkie syczenie, gdy dotykał oparzeń.

– Drobiazg. – Machnął lekceważąco ręką. – Proszę się mną nie przejmować, panno Elizo. Słońce trochę mnie przyrumieniło, ale to nic poważnego. Bywało gorzej.

– Co się właściwie stało?

– Wampiry uwielbiają liczyć – wyjaśniła Maja. – Nie mogą się powstrzymać. Zwłaszcza przy takich drobnych rzeczach jak ziarna.

– Paskudny nawyk – przyznał i owinał się szczelnie szalem, a potem założył kapelusz i okulary.

– A nie da się go jakoś pozbyć czy ograniczyć?

– Pracuję nad tym, panno Elizo, ale pewne przywary nie tak łatwo wyplenić jak magiczny bluszcz. Ech!

– Och! Właśnie! Bluszcz! Trzeba im go zrekompensować!

Tym razem Maja ostrożniej sięgnęła do worka, wybrała kilka nasion i zasiała w przygotowanym miejscu pod drzewem. Podlała je eliksirem, a z ziemi wystrzeliły pędy pnąca, które Elizie zapewne będzie się śniło po nocach. Zatrzymały jednak wzrost po osiągnięciu kilkunastu centymetrów i stworzyły zieloną okrywę, która jeszcze bardziej, o ile to możliwe, upiększyła już i tak wspaniały ogród.

Palety z doniczkami, w których rósł magiczny bluszcz, wystawiono na zewnątrz centrum ogrodniczego. Zupełnie na wyciągnięcie ręki! Każdy z okolicznych mieszkańców mógł je bez problemu kupić. Maja musiała pomyśleć o czymś podobnym, bo złapała się za głowę, a potem opuściła ręce i prychnęła jak rozdrażniona kotka. Sprawdzała kolejno sadzonki i wszystko wskazywało na to, że każda z nich opatrzona była etykietą wskazującą, że to pospolity bluszcz. Wredne zielsko wyglądało na uśpione, jakby tylko czekało, aż ktoś posadzi je w swoim ogrodzie, żeby dopiero wtedy mogło pokazać, co naprawdę potrafi. Szczęśliwie wszystkie miejsca w paletach wciąż pozostawały wypełnione, więc nikt nie zdążył nabyć roślin z nowej dostawy. Mieli szansę je unieszkodliwić, nim narobiłyby od nowa bałaganu w Białymstoku. Maja poprosiła Elizę

i Garlickiego, aby stanęli na czatach, a sama zabrała się za opryskiwanie niebezpiecznych pnączy. Odwracanie uwagi od rusałki nie sprawiło Elizie żadnego kłopotu. Przychodzący na zakupy ludzie zdawali się nie widzieć niczego poza ekranami telefonów albo byli tak zabiegani i zajęci swoimi sprawami, że nie obchodziło ich nic poza czubkiem własnego nosa. Mimo to odetchnęła z ulgą, gdy rusałka schowała opryskiwacz i oznajmiła, że skończyła pracę, a przynajmniej jeden z jej etapów. Pozostawał im kolejny problem do rozwiązania – musieli ustalić, kto podmienił sadzonki, kto oszukał poprzednich klientów centrum ogrodniczego i dlaczego. Przypadek czy celowe działanie? Eliza nie potrafiła stwierdzić, która z opcji wydawała się bardziej prawdopodobna. Przysunęła zdjęcie rośliny z etykiety do jednego z listków. Identyczne! Magicznego bluszczu nie dało się odróżnić od zwykłego, przynajmniej takiemu laikowi jak ona. Każdy by się pomylił, ale chyba nie Leszy? Jeśli faktycznie sadzonki pochodziły z jego szkółki. Ale w jakim celu sprzedawałby do zwykłego sklepu magiczne rośliny i ryzykował ujawnieniem absurdalnego świata? Hmm... Gdyby chochliki wędrowne przebywały w Białymstoku, uznałaby to za ich kolejny dowcip. Jakie inne zastosowanie, oprócz wywołania kompletnego chaosu w mieście, mógł mieć taki bluszcz?

– To co robimy dalej? – zagała Eliza, gdy żadne z inspektorów nie paliło się, by zaproponować plan działania.

Maja wbiła spojrzenie w jaskrawo zielony szyld zawieszony nad centrum.

– Trzeba ustalić, skąd są te sadzonki. Niemożliwe, żeby sami coś takiego wyhodowali. Wchodzimy – zarządziła.

Drzwi otworzyły się przed nimi i do nozdrzy Elizy dotarło nieco stęchłe powietrze i zapach ziemi wymieszanej ze środkami chemicznymi. Maja od razu odszukała wzrokiem kasy i wystartowała w tamtym kierunku. Wkurzona rusałka to dopiero widok! Przy jedynym czynnym stanowisku siedział jasnowłosy chłopak, którego Eliza uznała za niewiele starszego od siebie. Pewnie jakiś dorabiający student. Kończył właśnie kasować ozdoby ceramiczne wybrane przez pulchną kobietę, która następnie pakowała je do torby. Eliza obserwowała, jak ładują w niej trzy przasne krasnale, przesyłająca całusy żaba w złotej koronie i na koniec coś, co przypominało nieudanego, zezowatego dalmatyńczyka. Okropności! Kobieta pożegnała się i odeszła, odsłaniając czekającą na wprost kasjera Maję.

– Dzień dobry – zagadnęła ta wesoło, gdy zerknął w ich stronę, zatrzymując dłużej wzrok na ubiorze Garlickiego.

– Mhm, dzień dobry – odpowiedział ostrożnie, chyba biorąc ich za czubków.

Eliza przesunęła się lekko w bok, udając, że podziwia stojak z sekatorami i nie ma nic wspólnego z osobliwą dwójką inspektorów.

– Khm, khm! – Wampir uderzył się kilka razy w pierś. – Paskudne przeziębienie.

Chłopak przezornie odsunął się na krześle.

– Przepraszam bardzo. Kto jest dostawcą tych sadzonek? – Maja podała mu etykietkę.

– Zaraz pani powiem – odpowiedział kasjer i wystukał kod na komputerze. – O! Dziwne... Brak danych. Ale może kierownik będzie wiedział coś więcej. Wezwać?

– Bardzo proszę.

Chłopak z wyczuwalną ulgą zadzwonił po przełożonego. Może zakładał, że w ten sposób uda mu się szybko pozbyć dziwacznych klientów? Po kilkunastu sekundach z zaplecza wyszedł mężczyzna w średnim wieku, uśmiechający się do nich równie szeroko, co sztucznie, jakby jakimś cudem przewidywał, że zamierza stawić czoło konfliktowym konsumentom i musi zachować pełen profesjonalizm.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, BLEF. – Maja machnęła mu przed nosem plakietką. – Potrzebuję ustalić dostawcę... Tego.

Kierownik odebrał od niej etykietę bluszczu pospolitego. Obrócił ją w dłoni i zmarszczył brwi. Spojrzał na kalosze Mai, przetarte jeansowe ogrodniczki i słomkowy kapelusz, a bruzdy na jego czole pogłębiły się.

– BLEF? Nigdy nie słyszałem. Coś u nas kontrolujecie? Ma pani jakieś wezwanie albo upoważnienie?

Rusałka przygryzła wargę. Zrobiła krok do tyłu, gdy mężczyzna oparł dłonie na biodrach i nachylił się w jej stronę z niecierpliwą miną. Odgłos uderzających o ziemię opakowań z odżywkami dla storczyków przerwał napiętą sytuację. Zerknęli w stronę kas, by zobaczyć pośpiesznie układającego pudełka kasjera, który obserwował scenę z niemalym zainteresowaniem. Maja wykorzystwała zamieszanie. Wzięła głęboki oddech i przeczesła włosy.

– Ach te papiery! – Zachichotała i dotknęła subtelnie ramienia mężczyzny. – Gdzieś na pewno je mam w torebce. Zaraz je znajdę. Może pan mógłby w tym czasie poszukać informacji o dostawcy?

Znów próbowała wykorzystać swoją moc! Eliza pokręciła z uznaniem głową, jednak kierownik pozostał niewzruszony. Jego twarz nie wyrażała już uprzejmego zainteresowania, tylko zirytowanie. Odsunął się, a ręka Mai zawisła w powietrzu.

– Nie, nie mógłbym.

Maja nie ustawała w próbach i wdzięczyła się dalej, posyłając coraz to nowsze, zalotne spojrzenia, ale cel jej starań wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego,

a Eliza odniosła wrażenie, że najchętniej uciekłyby stąd w podskokach. Czyżby urok rusałki nie zadziałał tym razem?

– Ach! No tak. – Maja pacnęła się w czoło. – To taka sytuacja. Nie pomyślałam o tym. Panie Aleksie, a może pan mógłby przekonać...

Nie zdążyła dokończyć prośby, bo wampir natychmiast jej przerwał oburzony:

– Po moim trupie, panno Maju!

– Ale nie tak, tylko po wampirzemu – poprosiła miękko. – W innym przypadku chyba będziemy musieli ściągnąć tu samego właściciela centrum, żeby się czegoś dowiedzieć. O ile woli kobiety.

Wampir skapitulował.

– O czym państwo w ogóle rozmawiają? To jakiś żart? Wybaczą państwo, ale...

Kierownik zamilkł, gdy tylko Garlicki stanął na wprost niego i spojrzał mu w oczy.

– Kto jest dostawcą sadzonek bluszczu? – rozległ się spokojny, rzeczowy ton Garlickiego.

Eliza pierwszy raz mogła w pełnej krasie obserwować działanie wampirzego uroku. Choć nie stanowiła jego celu, czuła się niemal tak samo zahipnotyzowana jak kierownik. Nie odrywał wzroku, nawet nie mrugnął ani razu, tylko tępo wpatrywał się w wampira. Czas zwolnił. Ucichły odgłosy kręcących się po centrum klientów. Stażystka wstrzymała oddech, gdy mężczyzna w końcu otworzył usta, i zacisnęła dłonie w pięści w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Leszek Borowiec – wyjął nieobecny głos kierownik.

– Co on najlepszego zrobił! – huknęła Maja.

Musiła być naprawdę zdenerwowana, gdyż nie mogła ustać w miejscu. Spacerowała od półki z mieszankami traw do regału z narzędziami ogrodniczymi i z powrotem, a swój firmowy, bezszelestny, taneczny krok zamieniła na ciężkie stąpanie. Gdyby miała na nogach zielone, zamszowe czółenka, które nosiła na co dzień, by dodać sobie wzrostu, pewnie usłyszeliby nerwowy odgłos stukania obcasami. Musiał im wystarczyć złowieszczy plask kaloszy, by wiedzieć, że to, czego się dowiedziała, nie oznaczało nic dobrego.

– Znamy go?

– Tak, to Leszy, panno Elizo. Używa tego pseudonimu w kontaktach ze zwykłymi ludźmi.

– Mugolami? – zażartowała i chociaż Maja już opanowała wybuch złości i zdołała się nawet lekko uśmiechnąć, Garlicki spojrzał na nią karcąco, więc dodała pokornie: – Dobrze, przepraszam. Już jestem poważna.

– Wyśmienicie! Nie czas na wygłupy.

Wampirzy urok osłabł, gdy tylko Garlicki zerwał kontakt wzrokowy, ale kierownik wciąż wyglądał na oszołomionego, jakby się zgubił.

– Co to... Co ja... Co się tu dzieje?

– Nic takiego. – Maja zatrzymała się w miejscu i zerknęła przez szklane drzwi na stojące na zewnątrz palety. – Kupuję wszystkie sadzonki! Tylko proszę ich nie pakować. Poradzę sobie.

– O-oczywiście...

Kierownik jeszcze przez chwilę przerzucał zdezorientowane spojrzenie to na Garlickiego, to na Maję, w końcu skinął na kasjera i omal nie wpadając na Elizę, podreptał z powrotem na zaplecze. Stażystka wzruszyła ramionami, a chłopak pokręcił z niedowierzaniem głową, ale pochylił się nad kasą i nabił wskazane produkty. Maja podeszła do niego i zapłaciła, po czym z wyraźną ulgą opuściła centrum.

– Panno Elizo, my również idziemy.

Unieszkodliwione sadzonki czekały na nich na zewnątrz tak, jak je zostawili. Maja przywołała wrota do Instytutu Absurdu i na chwilę ich zostawiła, by odszukać ostatnie pisma od Leszego. Podczas jej nieobecności Garlicki i Eliza ukradkiem wrzucali do holu kolejne spakowane paczki pełne doniczek z magicznym bluszczem. Eliza przestała liczyć, ile tego w sumie było, ale zastanawiała się, co Maja z nimi robi. Przecież ich wszystkich nie pomieści w oranżerii... Oby tylko nie zarosły całego budynku! Złapała za kolejny karton, ale zaskoczył ją jego ciężar. Wyślizgnął jej się z dłoni i gdy próbowała go ponownie pochwycić, ostrą krawędzią jednej z wystających doniczek skaleczyła kciuk. Z rozcięcia poleciało kilka kropel krwi.

– Auć!

Pudło spadło z hukiem na ziemię, ale szczęśliwie ominęło jej stopy.

– Coś się stało, panno Elizo?

– Nic takiego. – Pochwaliła się skaleczeniem. – Niezdara ze mnie. Rozcięłam sobie palec donicz... – urwała. –

O nie!

Zamarła w bezruchu, gdy Garlicki upuścił gwałtownie ostatnie pudło z sadzonkami. Odwrócił się i zrobił kilka kroków w jej kierunku. Dzieliło ich tylko kilkadziesiąt centymetrów. Przełknęła ślinę na widok tego, jak poruszał nozdrzami niczym drapieżnik, który zwęszył trop ofiary. Bała się drgnąć czy choć minimalnie przekrzywić głowę. Zezowała, żeby sprawdzić, jak daleko stoi od drzwi do centrum. Zdaży dobiec? Zdaży się tam schować? Nie, nie miała szans. Wampir zaraz się na nią rzuci i wyssie do ostatniej kropli. Gdzie się podziała Maja? Nikt jej nie uratuje! To koniec... Pisnęła, gdy Garlicki uniósł rękę, ale wsunął ją za pazuchę płaszcza i wyjął niewielką buteleczkę czerwonego

eliksiru. Wypił do dna. Odwrócił głowę w bok i szczelnie zatkał nos szalikiem, jakby coś go obrzydziło.

– Och, przepraszam najmocniej! – jęknął nieco niewyraźnie. – Co za pechowy dzień! Wybacz panna moje skandaliczne zachowanie. Najpierw te ziarna, a teraz to! Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Mam nadzieję, że nie przestraszyłem zbyt panny? – zapytał skruszony.

– Eee... Nie. No skąd!

Skinął głową, schylił się po pudło i zniknął za drzwiami Instytutu Absurdu. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na głęboki oddech. Wytarła spocone ręce o spodnie, uważając, by nie pobrudzić się krwią. Zerknęła do torebki, ale jak na złość znalazła tylko puste opakowanie po chusteczkach. Świetnie!

– Dobrze, że Jaga o nas myśli.

Eliza drgnęła. Z półprzezroczystych schodków Instytutu Absurdu zbiegła Maja.

– Pan Aleks mi wszystko powiedział – dodała i pokazała jej trzymany w rękach flakonik.

Ostrożnie złapała ją za dłoń i połała obficie skaleczenie zieloną miksturą przypominającą płyn do płukania jamy ustnej. Zaszczypało, a nieciekawy zapach przywodził na myśl korytarz szpitalny albo gabinet dentystyczny. Cienka, czerwona kreska wciąż była widoczna na kciuku, ale rana się zasklepiła i przestała krwawić.

– Teraz możemy złożyć wizytę Leszemu.

– Drogie panie, wygląda na to, że oszczędzimy sobie fatygi.

Garlicki zatrzymał się we wrotach. Wzrok miał skierowany w punkt za ich plecami, nieco powyżej ich głów. Odwróciły się. Tuż za nimi stał dziwaczny starzec o niesamowicie bladej skórze. Długa, siwa broda plątała się mu między nogami. Garbił się, ale i tak przewyższał każdego z nich. Ubrany niczym gajowy z baśni o Czerwonym Kapturku przypominał Elizie Oskara. A raczej tak mógłby wyglądać dziadek Hochmana. Starzec wykonał kolejny krok w ich stronę, ale zatrzymał się z paskudnie skrzywioną miną. Sięgnął ręką do lewej łydki, tuż nad wysoką cholewą trzewika i podrapał się kilkukrotnie.

Odgłos skrobienia przyprowadził Elizę o ciarki. Nachyliła się do Mai.

– Kto to? Czy to...

– Leszy – potwierdziła Maja.

– Instytut Absurdu jak zawsze na posterunku! Witam, witam. – Głęboki, basowy głos zadudnił w uszach Elizy, ale mimo to zdołała wychwycić w nim nieco zdenerwowania. – A tej małej to nie znam.

Opuściła głowę, próbując ukryć pod rondem słomkowego kapelusza speszenie.

– Nasza zdolna stażystka, panna Eliza – zaprezentował z dumą Garlicki, jakby chciał wynagrodzić jej wcześniejszą sytuację.

– Dzień dobry – przywitała się krótko. Co więcej wypadało odpowiedzieć takiej osobie?

– Dzień dobry, dzień dobry! Zawsze miło powitać nowych...

– Panie Leszy, zacznę bez zbędnych wstępów. Jesteśmy tu z powodu pańskich sadzonek bluszczu.

Maja wyciągnęła z torby długopis i notes, a Eliza gwałtownie wciągnęła powietrze. Pierwszy raz była świadkiem, jak rusałka weszła komuś w słowo.

– Tak, domyśliłem się tego. Gdy tylko zorientowałem się, że coś jest nie tak, natychmiast przybyłem to sprawdzić. Naprawdę nie wiem, jak one tu trafiły. Podejrzewam, że mam kreta w szkółce.

Kret w szkółce? Eliza nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Opanowała się, gdy dotarło do niej, że stoi naprzeciw potężnego ducha lasu. Spodziewała się nagany z jego strony, ale to Garlicki chrząknął wymownie. Udało mu się w tym przekazać całe swoje rozczarowanie jej postawą. Nie zdziwiłaby się, gdyby za okularami przeciwsłonecznymi gromił ją spojrzeniem. Coś takiego! Chyba zapomniał już o swojej wcześniejszej słabości. Udała, że nie rozumiała upomnienia, zwłaszcza że Leszy nie wyglądał wcale na zezłoszczonego. Również krótko zachichotał, a niski, donośny śmiech rozniósł się echem i spłoszył stado wron z pobliskich drzew.

– Faktycznie, dość zabawny dobór słów. No, ale rozumiecie, co mam na myśli. Coś jest nie tak. Pani Maju, może rzuci pani okiem na szkółkę? Ja tak bardzo doceniam pani profesjonalizm. Wyjaśnię na miejscu, co się dokładnie stało.

– Bardzo chętnie, panie Leszy. Myślę, że wspólnie uda nam się wszystko wyjaśnić.

– W takim razie zapraszam państwa do siebie.

– Doskonale, możemy zaproponować panu przeprawę Instytutem – zaoferował Garlicki.

Leszy zmieszał się, patrząc na nich niepewnie przez dłuższą chwilę. W końcu poskrobał się po głowie, a dźwięk skojarzył się Elizie z drapaniem niedźwiedziej pazurów o korę.

– Emmm... Dziękuję bardzo za propozycję, ale niestety nie skorzystam. Pani Lusia się na mnie pogniewała i lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będę się tam pokazywał.

Zakłopotana Maja opuściła wzrok, przyglądając się czubkom kaloszy, a na ustach Garlickiego igrał lekki uśmiezek. Eliza zmrużyła oczy. Ciekawe, co takiego Leszy zrobił pani Lusi, że się na niego obraziła? Nigdy nie widziała jej choćby odrobinę zdenerwowanej. Nikt jednak nie palił się do wyjaśnień,

a Garlicki wręcz pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że nie wyciągnie z niego żadnych pikantnych szczegółów.

– Zabierzcie się ze mną. Złapcie się za... Za... Za cokolwiek.

Duch lasu obrócił się do nich tyłem i nadstawił plecy. Inspektorzy chwycili go za kołnierz kamizelki wystający spomiędzy skołtunionych włosów, więc Eliza poszła za ich przykładem. Teleportują się prosto na teren szkółki? Chciała o to zapytać, ale Leszy wykonał pierwszy krok i niespodziewanie pojawili się kilkadziesiąt metrów dalej. Ich głowy znalazły się na wysokości koron pobliskich drzew, a nogi zamajtały w powietrzu. Leszy dorównywał teraz wzrostem olbrzymowi. Poruszał się nienaturalnie szybko, stawiał dalekosiężne, dudniące kroki, od których trzęsła się ziemia. W mgnieniu oka pokonali połowę województwa podlaskiego. Zwolnił dopiero, gdy znaleźli się przed linią lasu. Gdy Leszy wkroczył do środka, coś się zmieniło w jego posturze i ruchach, a nieco szorstki strój gajowego zaczął porastać gładkim włosiem, przekształcając się w obszerne, długie futro. Eliza miała wrażenie, że zamiast kamizelki trzymała się teraz grzbietu niedźwiedzia. Na głowie, w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zielony kapelusz z piórkiem, wyrosło tak okazałe i rozwidlone poroże jelenia, że aż dziwiła się, że nie zahacza o wystające gałęzie. W im wyższy drzewostan wchodzili, tym bardziej Leszy zwiększał swój wzrost, jakby dopasowywał się do otoczenia.

Przystanął na chwilę przy powalonym buku. Postawił stopę na pniu i podrapał się po nodze. Czas jakby zwolnił w puszczy i Leszy nie zamierzał się już spieszyć, tylko obcować z naturą. Ruszył, ale zdecydowanie wolniej. Może chciał się pochwalić swoją domeną? Albo dać im chwilę oddechu? Słońce przysłonięte masywnymi koronami drzew nie dokuczało i Eliza cieszyła się przyjemnym chłodem. Tylko gałązki przyodziane w liście lub igły smagały od czasu do czasu plecy ducha lasu i ją oraz inspektorów przy okazji. Urokliwa podróż coraz bardziej dawała się we znaki, a zalety osobliwego środka transportu przyćmiewane były przez niewygodę. Bolały ją mięśnie ramion nieprzywykłe do tego typu wysiłku, palce, które kurczowo zaciskała na futrze, zaczynały drętwieć, i gdy Leszy gwałtownie skreślił między grupę wiekowych dębów, nie zdołała dłużej się utrzymać i puściła jedną rękę. Tylko nie to! Serce waliło jej jak oszalałe, wymachiwała energicznie nogami, ale nie dawała rady się nimi odbić. Zacisnęła mocno zęby i z ogromnym wysiłkiem podciągnęła się, próbując ponownie złapać Leszego. Spocona dłoń chwyciła za kępki futra, ale te wyslizgnęły się. Momentalnie pociemniało jej przed oczami. Spadnie! I to z wysokości kilku metrów wprost na pokrytą połamanymi konarami ściółkę! Już widziała, jak nabija się niczym szaszłyk na jedną z gałęzi z ostro obłamanym końcem.

– Panno Elizo!

Zdławiła krzyk, gdy poczuła mocne szarpnięcie. Garlicki zdążył złapać ją za rękę. Cóż za niesamowity refleks! Zareagował szybciej, niż dotarło do niej, że powinna zawołać o pomoc. Z lekkością wciągnął ją na grzbiet Leszego, jakby ważyła nie więcej niż piórko, i pomógł ponownie się zaczepić. Przywarła do pleców ducha lasu. Nie mogła przestać trząść się jak osika.

– Wszystko w porządku, Elizka?

Maja odwróciła się do niej. Jako jedyna trzymała się z gracją. Wyglądała, jakby nic innego nie robiła, tylko podróżowała w taki sposób.

– T-tak! – pisnęła żałośnie stażystka. – Prz-przepraszam...

– Ależ nie ma za co. Najważniejsze, że nic się pannie nie stało. Jest panna naprawdę dzielna.

– Dziękuję, jesteśmy kwita – powiedziała i popatrzyła na Garlickiego z wdzięcznością, gdy uspokoiła oddech.

– Niezmiernie mi miło.

– A daleko jeszcze? – spytała roztrzęsionym głosem, wtulając się mocniej w futro.

– Już niedaleko – uspokoiła ją Maja.

Musiała mieć rację, bo Leszy nagle przyspieszył, jakby już chciał się znaleźć na terenie szkółki. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, co przed chwilą się wydarzyło. Eliza przezornie poprawiła chwyt.

– Dobra, to jakoś to zniosę.

– Cóż, ja również nie czuję się zbyt komfortowo, panno Elizo. Nigdy bym nie przypuszczał, że przebędę cały las na plecach biegnącego stwora.

– Ha! No tak. Przeważnie to działa w drugą stronę.

Garlicki najpierw popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem zrobił zdegustowaną minę. Zrozumiał, do czego nawiązywała.

– Och, panno Elizo! Proszę mi więcej nie wspominać o tej aberracji – odparł zmęczonym głosem.

– Mhm... Czyli ten płaszcz to nie dlatego, że świeci pan brokatem w słońcu?

– Zdecydowanie nie! – oznajmił kategorycznie. – Sama panna widziała.

– Tak... A zamienia się pan w nietoperza?

Na wpół rozbawiona, na wpół zniecierpliwiona mina Garlickiego wystarczyła jej za odpowiedź.

– No dobrze... A ta moc? – kontynuowała. – Pan też nie lubi z niej korzystać jak Maja? Dlatego nie zauroczył pan tych chochlików wędrownych?

– To nie tak, panno Elizo. Wampirzy urok, no cóż, działa tylko na ludzi.

Zdołała zapanować nad wzdrygnięciem się. W końcu to ludzka krew stanowiła wampirzą dietę... Chochliki odczuwały respekt przed drapieżnikiem, ale zwykli

ludzie nie mieli z wampirem żadnych szans. Kierownik również.

Chciała zadać kolejne pytanie, ale nim zebrała myśli, duch lasu zatrzymał się gwałtownie. Parsknął i przywalił ręką w pień drzewa. Zatrzęsło się i zaskrzypiało złowieszczo, ale nie złamało się. Kilka gałązek spadło im na głowy. Eliza wydała zduszony okrzyk, gdy osunęła się kilka centymetrów niżej. Tym razem Garlicki błyskawicznie ją przytrzymał. Usłyszała warkot. To Leszy tak wściekle warczał? Nie... Brzmiało zbyt mechanicznie, jak silnik spalinowy. Wychyliła się w stronę źródła hałasu i w oddali między drzewami zauważyła ciężki sprzęt ładujący i wywożący kłody. Widok setek wyciętych i powalonych drzew oraz pozostałych po nich pniaków przerażał.

– Banda baranów! – zaklął siarczyście Leszy i poczuła, jak napiął mięśnie.

Sowa, która siedziała na gałęzi tuż nad Elizą, zahukała, jakby zgadzała się z duchem lasu. Ten znów prychnął, ale minął miejsce wyrębu i skierował w gęstsze zadrzewienia. Eliza kręciła głową na wszystkie strony, chłonąc unikatowe widoki. Lasy, w których do tej pory bywała, nie przypominały dzikiej puszczy. Tutaj nie rosły w rzędach równej wielkości drzewa, ale wysokie, niskie, stare i młode, różnych gatunków, form i pokrojów mieszały się ze sobą. Na ziemi leżało mnóstwo rozkładającego się drewna. Duch lasu omijał porośnięte grubą warstwą mchu ogromne pnie i konary, które zwały się na ziemię. Na powywracanych, połamanych i uschniętych drzewach wyrastało kolejne pokolenie. Wokół nich rozbrzmiewał świergot ptaków mieszający się z brzęczeniem owadów i cichym szumem wody, jakby gdzieś niedaleko przepływał strumyk. Z oddali dolatywał rytmiczny stukot dzięcioła. Eliza rozglądała się na boki, ale nie spostrzegła go. Wdychała rześkie powietrze o upajającym zapachu – mieszaniny woni żywicy, wilgotnej ziemi i roślin oraz butwiejących drzew.

– Wkraczamy do rezerwatu ścisłego – zadudnił Leszy. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Przystanęli przy potężnym, wiekowym dębie. Eliza zadarła głowę. Rozłożyste i powykręcane konary rozchodziły się na cztery strony świata. Wyrastały z pnia przypominającego kształtem olbrzymią beczkę, w której przy samej ziemi ział czernią otwór rozmiaru przeciętnego człowieka. Leszy sięgnął ręką do tyłu, ściągnął pracowników Instytutu Absurdu ze swoich pleców i postawił delikatnie na ziemi. Na ich oczach kurczył się i zmieniał postać. Po chwili znów przypominał gajowego. Schylił się, by poprawić jęzor trzewika i podrapał goleń przysłoniętą cholewą.

– No, kochani, chodźcie za mną.

– Taaa... Coś czułam, że trzeba będzie tam wejść – jęknęła Eliza, obejmując się ramionami.

– Tylko proszę bez żadnych zdjęć – dodał Leszy, gdy zauważył, że Eliza odruchowo sięgała po zawieszony na szyi aparat. – Dziękuję.

Duch lasu przygarbił się, by zmieścić się do wnętrza pnia. Garlicki przepuścił dziewczyny, które weszły zupełnie wyprostowane, a sam tylko schylił głowę. W środku drzewo było puste. Ścisnęli się razem. Leszy przejechał palcem po dziwnym, spiralnym symbolu wyżłobionym w drewnie tuż przy otworze. Błysnął słabym, zielonym światłem. Eliza ze strachem obserwowała, jak kora rozrasta się i zamyka wejście. Maja i Garlicki stali niewzruszeni, więc stłamsiła chęć ucieczki. Pozostała już tylko wąska szczelina, a gdy i ona zniknęła, zrobiło się zupełnie ciemno. Drzewo zatrzęsało się i Eliza zadrżała. Z zewnątrz docierało do niej przygłuszone skrzypienie gałęzi. Symbol zaświecił na chwilę bladą zielenią i szczelina otworzyła się ponownie. Oszołomiona zrobiła krok do tyłu. Co to za czary?! Nie widziała już wcześniejszego fragmentu lasu, tylko polanę, po której krzątało się sporo ludzi i dziwnych, skrzatopodobnych stworków o wzroście dziecka.

– To taka drzewna winda? – zapytała, a Leszy wybuchnął gromkim śmiechem.

– No coś w tym stylu. Zapraszam!

Machnął ręką, wskazując teren szkółki, gdzie jego pracownicy pchali wózki z sadzonkami, taczki z kompostem, taszczyli worki z nawozami i pudła z etykietami. Uwijali się niczym świetnie zorganizowane mrówki. W oddali Eliza widziała rozległą plantację drzewek i jeszcze więcej kręcących się przy nich leśnych duszków. Po lewej stronie drzewa-windy stało kilka szklarni. Przez szkło wypatrzyła rosnące tam dziwaczne sadzonki. Kawałek dalej leniwie skubał trawę...

– Żubr! – krzyknęła na widok kręcącego się w pobliżu zwierzęcia. – Tam przechadza się najprawdziwszy żubr. Nie zaatakuj nas?

– Klemko? – Leszy machnął niedbale ręką. – Nigdy w życiu! To straszny pieszczoł. Zawołać go?

– Nie! Nie mamy tyle czasu, prawda? – zawołała szybko, gdy kątem oka zauważyła, że Maja chyba miała ochotę przywitać się z bykiem.

– Również jestem zdania, że powinniśmy przejść do meritum – zgodził się z nią Garlicki.

– W takim razie najpierw pokażę państwu pewną rzecz w szkółce, a potem porozmawiamy w moim biurze.

Przechodzili za Leszym pomiędzy kolejnymi zagonami, wypełnionymi donicami w najróżniejszych rozmiarach. W tych mniejszych rosły drobne byliny, w większych różnorodne krzewy, a w olbrzymich, sięgających Elizie do pasa, całkiem spore drzewka. Choć żadna z roślin nie wydawała się groźna, a wręcz wyglądały na zupełnie zwyczajne, na wszelki wypadek trzymała się od nich

z daleka. Potknęła się o rozłożone na ziemi węże nawadniające, gdy chciała ominąć wystającą gałąź jednego z klonów, ale zdołała się nie wywrócić. Garlicki i Maja, którzy czujnie rozglądali się po terenie, chyba nawet nie zauważyli jej niezgrabności. Przynajmniej raz nie wyszła na totalną ciamajdę. Nie chciała też zostać uznana za niegrzeczną, dlatego pilnowała, by przesadnie nie gapić się na pracowników. Kątem oka nie dostrzegła jednak dwóch takich samych leśnych duszków, choć wygląd każdego wiązał się z lasem i nawiązywał do fauny lub flory. Jeden zamiast włosów wyhodował czuprynę przypominającą pęczek sosnowych igieł i gdzieś tam wystawały mu z niej szyszki, inny miał niebieskawy odcień cery, a na głowie czapkę przypominającą ogromną borówkę. Stojącą obok niego koleżankę wyróżniały bursztynowe oczy i sterczące nad nimi w miejscu brwi pióra. Eliza z żalem musnęła aparat. Alicja byłaby zachwycona zdjęciem. Uwielbiała sowy. Przeklęta klauzula tajności...

Leszy zatrzymał się dopiero przy jednym z ostatnich poletek, na którym ustawiono sadzonki bluszczu. Na ich widok Eliza mimowolnie się wzdrygnęła.

– Tu trzymamy bluszcz pospolity, a tam – wskazał na oddalone szklarnie – hodujemy magiczne odpowiedniki. Nie ma mowy o pomyłce – dodał bardziej do siebie. – Pilnujemy, by zwykłe i magiczne rośliny nie mieszały się ze sobą.

Rzeczywiście, odległość między dwoma miejscami była spora. Dwa przeciwne krańce szkółki. Eliza obróciła się powoli wokół własnej osi, lustrując uważnie otoczenie. Z oddalonej szklarni wyjechał wózek wypełniony wijącymi się paprociami i skręcił w lewo, poza teren szkółki. Zwykłe rośliny ładowano na przyczepy i wywożono alejką prowadzącą do wyjścia po prawej. Dwa osobne wyjazdy. Dwie osobne trasy. Nawet stroje pracowników odróżniały się kolorem. Zielony na część zwykłą i fioletowy na magiczną. „Nie ma mowy o pomyłce”, powtarzała w myślach słowa Leszego. Czyżby rzeczywiście ktoś celowo wysłał magiczny bluszcz do Białegostoku? Ktoś, kto kopał pod Leszym dołki? Przygryzła wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Szkoda, że nie towarzyszył im Marcel. Na pewno doceniłby jej tok myślenia.

Dłuższą ciszę przerwał Garlicki.

– Sądzę, że zobaczyliśmy wystarczająco dużo.

– No to zapraszam do biura.

Mijali te same zagony, wracając w pobliże dębu-windy. Za nim stał niewielki budynek przypominający drewniany domek letniskowy. Eliza zmusiła się, by przejść obok żubra, który wylegiwał się pod dębem, i szybko czmychnęła do środka. Wewnątrz znajdowało się całkiem przestronne pomieszczenie. Spodziewała się bałaganu na miarę chaosu w puszczy, ale każda rzecz zdawała się znajdować na swoim miejscu – z wyjątkiem niewielkiej sterty pudeł na środku.

– O, przepraszam. – Leszy przesunął kartony bliżej ściany. – Świeża przesyłka. Nasiona od zaprzyjaźnionego satyra. Jeszcze nie zdążyłem przejrzeć.

Zasunął żaluzje i zapalił światło, by Garlicki mógł zdjąć kapelusz i okulary, a potem wskazał im fotele. Sam zasiadł za masywnym biurkiem. Złapał za rączkę stojącego na nim dzwonka i zadzwonił krótko, a po chwili do środka wszedł duszek lasu z wiankiem niezapominajek na głowie. Na tacy wykonanej z plastra pnia niósł im napoje. Postawił ją na stoliku.

– Orzeźwiająca źródłana woda dla pań i czerwony eliksir dla pana.

– Dziękujemy, Modraszku – odparł Leszy.

Na widok pełnej szklanki Elizie przypomniało się, jak bardzo zaschło jej w gardle. Nie przejmując się zbytnio dobrymi manierami, jednym haustem wypija wszystko. Garlicki westchnął, ale nie upomniał jej na głos. W tym czasie Leszy otwierał po kolei szuflady, wyciągając z nich dokumenty. Ze stertą plików podszedł do Mai. Inspektorka dłuższą chwilę wczytywała się w treść, a Garlicki podążał za jej wzrokiem.

– Pani Maju, sama pani widzi. To nie moja wina. Ktoś pomylił partie – tłumaczył się zaaferowany. – Zostały źle oznaczone i zamiast pospolitego do centrum ogrodniczego pojechał magiczny bluszcz. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Nie sprzedajemy magicznych roślin zwykłym centrom ogrodniczym. Pierwszy raz doszło do takiej pomyłki. Sami państwo widzieli, że pilnujemy, by rośliny się ze sobą nie mieszały.

– A po co panu taki bluszcz? – wtrąciła się Eliza.

– Hoduję go na własne potrzeby. Do szybszego porostania puszczy.

– Panie Leszy – zaczął Garlicki, pocierając dłońmi nos. – Myśli pan, że ta podmiana była celowa, dobrze rozumiem?

Leszy wciągnął ze świstem powietrze i głośno wypuścił.

– No tak. Zaczynam podejrzewać, że ktoś mnie sabotuje. Zbyt dużo niefortunnych rzeczy wydarzyło się ostatnio. – Przetarł czoło zmęczonym ruchem. – Jak nigdy dotąd...

– Wysłał pan do nas pismo w sprawie zaginięcia nawozów – przypomniała Maja.

– Tak, ale to nie wszystko. Od jakiegoś miesiąca mamy niewiarygodnego pecha w szkółce. A to sprzęt się gubi, a to spryskiwacze do podlewania sadzonek się zapchały. Ostatnio cała partia zawilców przez pomyłkę poszła na kompost.

– Podejrzewa pan kogoś? – dopytywała rusalka.

Leszy podrapał się po brodzie. Skrzywił się i schylił, by poprawić wiązanie w bucie.

– Nie bardzo – przyznał po chwili. – Mam zaufanie do swoich pracowników i nie mogę uwierzyć, że któryś z nich mógłby... – Zamilkł i pokręcił wymownie

głową.

– Panno Elizo, jak panna uważa, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić?

Wyrwana do odpowiedzi drgnęła. Garlicki, Maja, a nawet Leszy obserwowali ją w skupieniu. Oparła brodę na dłoni i udała, że się namyśla, choć w głowie miała pustkę. Że też wampirowi wzięło się na testy! Była stażystką od przepisywania dokumentów, a nie jakimś detektywem!

– Myślę, że mógłby pan porozmawiać z każdym pracownikiem. – Założyła ręce na piersi i popatrzyła na niego wyzywająco. – Wyciągnąć z nich prawdę.

Kąciki ust Garlickiego zadrżały w maskowanym uśmiechu.

– Mógłbym. Panie Leszy, co pan na to?

– Myślałem o tym, ale nie miałem serca. Nie chciałem, by wyszło, że posądzam swoich pracowników o zdradę. Będę bardzo wdzięczny, jeśli wyręczycie mnie z tego przykrego obowiązku.

Garlicki skinął głową, a Leszy powtórzył po nim ruch. Następnie zawołał Modraszka. Wyciągnął z szuflady listę pracowników i poprosił duszka, by wzywał ich kolejno do biura. Wampir podniósł się z miejsca i stanął w rogu pomieszczenia. Kilka minut później drzwi otworzyły się, wpuszczając odrobinę światła, a z nią jasnowłosą dziewczynę. Zwiewnie przemknęła do wnętrza i zatrzymała się na środku pomieszczenia. Okrągłe i zielone jak dwa denka butelek oczy wpatrywały się zdziwione w pracowników Instytutu Absurdu. Twarz jak u porcelanowej lalki przypominała Elizie Maję, więc założyła, że wezwana mogła mieć coś wspólnego z rusalkami. Wampir ruszył w jej stronę, a ona zadrżała pod jego czujnym wzrokiem.

– Na początek proszę mi wyjaś... – Urwał, gdy zatrzymał się przy biurku. Przechylił głowę. Pionowa zmarszczka przecięła blade, gładkie czoło. – Dziękuję, może pani iść – dodał, nie patrząc na dziewczynę. Wciąż nie spuszczał wzroku z ducha lasu.

Dygnęła i pośpiesznie opuściła pomieszczenie.

– Niesłychane! Już wie pan, że to nie Miodunka? – Leszy zdawał się odczuwać ulgę.

– Powiem więcej, już wiem, kto za to wszystko odpowiada. – Długi palec wampira zatrzymał się na wysokości buta Leszego.

– Ja?! Wypraszam sobie! Przecież mówiłem, że ja nigdy...

– Nie pan, panie Leszy, ale to, co się do pana przyczepiło. – Wskazał na ciemny, nieforemny kształt, ledwie widoczny zza wysokiej cholewki buta. – Przytargał pan skądś Biedę. Niezwłocznie należy jej się pozbyć, bo sprowadzi jeszcze więcej nieszczęść.

Zbliżył się do Leszego i błyskawicznym ruchem złapał za wystający zza cholewki strzęp cienia. Szarpnął kilka razy, aż udało mu się wyciągnąć na

wierzch przebrzydłe dziwadło. Eliza wydała zdziwiony okrzyk i zakryła dłońmi usta. Preraźliwie wychudzona Bieda rozciągnęła się do ludzkiego rozmiaru, ale nie pozwalała, by oderwano ją w całości. Poszarpane łachmany, upodabniające ją do stracha na wróble, łopotąły przy każdym ruchu. Śmiertelnie blada cera i kontrastujące z nią krwiste oczy... Już to wystarczyło, żeby Eliza ukradkiem zaczęła się cofać, aż poczuła plecami ścianę.

– Bieda w mojej szkółce?! Co ty sobie wyobrażasz! Nikt cię tu nie chce. Wynocha! – huknął Leszy.

Bieda zatrzęsała się, ale wcale nie zamierzała puszczać. Leszy prychnął wściekle. Wczepił palce w jej ramię i próbował ją oderwać, ale upiórzyca oplotła się wokół niego jeszcze mocniej.

– Nigdzie nie idę. Tu mi dobrze – zawołała złowrogim, zawodzącym głosem.

Garlicki ruszył z pomocą. Złapał ją za fraki i szarpał co siłą, a Bieda piszczała, ale nie dawała się odczepić.

Eliza przywarła do Mai, próbując się za nią schować.

– C-co to za bieda?

– Demon. Przyczepia się do kogoś i sprowadza na niego nieszczęścia, aż go wykończy.

– N-no, t-to jak się jej pozbędziemy?

Biedny Leszy nie mógł już złapać tchu, tak mocno był ściskany. Eliza wcale nie słabiej przytrzymywała się Mai.

– Najprościej to podstępnie złapać i podrzucić komuś innemu – wyjaśniała cierpliwie Maja, próbując się wyswobodzić z oplatających ją rąk Elizy. Chyba nawet magiczny bluszcz zachowywał się bardziej powściągliwie.

– T-to znaczy, że m-musi się przyssać do kogoś innego?

– Niestety tak. Trzeba na nią uważać.

Garlicki wspomógł Leszego i wspólnie wyszarpnęli upiórzycę, ale wyslizgnęła im się z rąk. Rzuciła się po całym pomieszczeniu – Eliza jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt, ciągnąc za sobą Maję – wywracała meble, rozrywała na strzępy papiery i tłukła naczynia. Purpurowy na twarzy Leszy rzucił się na nią. Kilka razy umknęła przed jego łapami, ale za którymś razem zdołał uchwycić strzęp ubrania. Pociągnął Biedę do siebie, unieruchomił w swoich ramionach i przemaszerował tak do drzwi. Wypchnął ją za nie i oparł się plecami o skrzydło. Nie minęła chwila, gdy przez szparę w oknie zaczął się przeciskać do środka bezkształtny cień. Spłynął na dębowy parkiet i przybrał formę bladolicy staruszki.

– Kto przygarnie taką biedną Biedę? – zawodziła.

– Wynoś się z mojej szkółki, bo popamiętasz!

– Panie Leszy, spokojnie – powiedział stanowczo Garlicki. – Zaraz ją pochwycimy. Panno Maju, panno Elizo, proszę nam pomóc.

Maja wyszarpnęła się z objęć Elizy i podbiegła do nich. W półkolu zaczęli się na Biedę, ale ta przefrunęła nad ich głowami. Wczepiła się długimi pazurami w deski na suficie. Osamotniona Eliza schowała się za biurkiem Leszego.

– Ja jej nie chcę. Ja już mam swoją biedę. Jestem biedną prawie-studentką!

– Panno Elizo! – Dobiegł ją upominający ton Garlickiego. – Proszę przestać histeryzować.

Jak miała nie histeryzować?! Chochliki czy olbrzym nawet w połowie tak jej nie przerażały. Zachciało jej się wyjść na misję z inspektorami... „Ugh! Ale dam radę! Muszę tylko puścić się tego biurka...”, pomyślała, uspokoiła oddech i podniosła się, ale gdy zobaczyła, jak Bieda wciąż próbuje dorwać się do buta Leszego, opuściła ją cała odwaga i ponownie przykucnęła. Nie, tak nie można! Przecież nie była tchórzem. Zebrała się w sobie i wstała. Dostrzegła Garlickiego, który trzymał za plecami jeden z wywróconych przez Biedę kartonów. Niczym polujący kocur skradał się w stronę demonicy. Gdy zobaczył, że Eliza się mu przypatruje, posłał jej wymowne spojrzenie. Załapała, do czego jej potrzebował.

– Och! Ach! Jak mi się powodzi! – zawołała teatralnie. – Jak mi się wszystko udaje!

– Taaak?

Bieda straciła zainteresowanie Leszym i popatrzyła z fascynacją na Elizę.

Dziewczyna zadygotała pod wpływem przeszywających ją na wylot czerwonych oczu. Głośno przełknęła ślinę. Jak się powiedziało A...

– Jaka ja jestem bogata! – kusiła dalej.

Bieda wyszczerzyła szpiczaste zęby i oblesnie się oblizwała. Ugięła kolana i odbiła się od ziemi, wyskakując w stronę dziewczyny. Eliza stanęła pewniej w miejscu, choć najchętniej przywołałaby wrota do Instytutu Absurdu i schowała na samym dnie archiwum. Nawet obecność Sulimy by jej nie przeszkadzała!

Na widok groteskowo wykrzywionej twarzy zmierzającej w jej stronę Biedy ręce pokryły jej się gęsią skórą. Zamknęła oczy. Odrobinę pomogło. Otworzyła je dopiero, gdy usłyszała huk. Zobaczyła Garlickiego próbującego zamknąć karton, z którego Bieda starała się uwolnić. Leszy i Maja pomagali upchnąć ją do środka. Gdy w końcu im się to udało, szybko zakleili szczelnie pudło taśmą klejącą.

– Doskonała robota, panno Elizo. Panno Maju, również dziękuję za pomoc. Należy teraz zakopać ją z dala od szkółki, nim się uwolni – przypomniał Garlicki i podał Leszemu karton.

– Już ja wiem, gdzie! – Duch lasu z wojowniczą miną wymachiwał wolną ręką.

Eliza za nic nie mogła powstrzymać pojawiającego się na jej twarzy uśmiechu. Zauważyła podobny, a nawet szerszy, u Mai. Leszy na pewno miał na myśli mijane przez nich miejsce wycinki i kręcących się tam ludzi. Jego kolejne słowa zdawały się potwierdzać te przypuszczenia.

– Bieda tym, którzy niszczą moją puszcę! – zawołał z pasją.

– Ehm, przepraszam?

Nawet nie zauważyli, kiedy do środka wszedł kolejny duszek lasu. Przez rude włosy i sterczące trójkątne uszy przypominał Elizie lisa. Wpatrywał się niepewnie w swojego pracodawcę, miętoląc w dłoniach puszystą kitę wyrastającą z otworu w zielonych spodenkach.

– O co chodzi, Guciu? – zainteresował się Leszy, gdy już nieco ochłonął, wciąż mocno ściskając pudło z Biedą.

– Przed chwilą dostałem informację, że magiczny bluszcz znów wariuje w centrum Białegostoku.

Instytut Absurdu wyrzucił ich w rynku naprzeciwko ratusza. Za ich plecami jednostajnie pluskała fontanna. Teren niemal w całości został wybrukowany i Eliza czujnie wypatrywała wśród szarości szalejącej zieleni. Przesuwała spojrzeniem po ustawionych wokół donicach wypełnionych nasadzeniami czy latarniach, na których zawieszono kwiatowe konstrukcje. Garlicki musnął jej ramię i wskazał na niewielki placyk schowany między bocznymi skrzydłami ratusza. Spomiędzy granitowych płyt wyrastała spora ilość magicznego bluszczu. Wił się i wyciągał we wszystkie strony. W pobliżu kręciło się kilkanaście osób. Część z nich spacerowała, część gdzieś się spieszyła i – niestety – część przystawała i robiła zdjęcia zielonej katastrofie.

– Ojej! Jak mogliśmy przeoczyć tyle bluszczu?! – zawołała rozpaczliwie Maja.

– Spokojnie, panno Maju, zaraz się tym zajmiemy. Panie wybaczą, udam się na mały rekonesans. Ktoś musi przekonać tych ludzi, że niczego ciekawego tutaj nie ma, nim ściągną jeszcze więcej uwagi. – Garlicki mrugnął do nich porozumiewawczo.

Podchodził po kolei do każdego z przechodniów znajdujących się w sąsiedztwie placu. Nawet z dzielącej ich odległości Eliza uznała, że po krótkiej rozmowie z wampirem wyglądali jak zahipnotyzowani.

– No, to do roboty, Elizko!

Maja otworzyła torbę i wyciągnęła spryskiwacz. Znieruchomiała, gdy usłyszały za sobą echo ciężko stawianych kroków. Odwróciły się z ociąganiem.

Za nimi stała dwójka strażników miejskich. Najwyraźniej ktoś już zdążył donieść, że coś dziwnego działo się w centrum miasta.

– Och! Dawno nie miałam takiej sytuacji, by tak często z tego korzystać – wymamrotała pod nosem rusałka i podeszła do mężczyzny ponętym krokiem.

Początkowo zaniepokojeni i zaintrygowani wydarzeniami w rynku funkcjonariusze błyskawicznie stracili animusz pod wpływem rusałczego czaru. Eliza odetchnęła z ulgą. A potem drugi raz. Jak to dobrze, że nie była mężczyzną i moce Mai ani żadnej rusałki nie mogły na nią zadziałać. Jako zwykły człowiek mogła się jedynie obawiać wampirzego uroku, ale... Nie, pan Aleks chyba nie ośmieliłby się. Zdjęła kapelusz i poprawiła niesforne włosy opadające jej na oczy. Spojrzała na bluszcz do zlikwidowania i zamarła. Coś tu nie pasowało... Spostrzegła szerokie schody prowadzące do ratusza. Stamtąd miałyby lepszy widok. Nie chciała przebiegać przez szalejący bluszcz, więc dostała się na jedną z bocznych ramp. Na szczycie wzrok przykuwała widoczna w tle wieża bazyliki, Eliza spojrzała więc niżej. Maja, pozbywszy się służb, zaczęła opryskiwać zielsko. Specyfik jeszcze nie zaczął działać, wciąż można było wyraźnie odszyfrować, w co dokładnie układały się pędy. Powstrzymując drzenie rąk, Eliza sięgnęła po aparat, nastawiła go i zrobiła kilka zdjęć. Otoczyły ją smużki srebrnego dymu.

Garlicki musiał wyczuć jej niepokój albo w inny sposób zorientować się, że coś się stało. Jednym susem znalazł się przy niej. Nie czekając na to, aż się odezwie, Eliza wskazała na plac wymownym ruchem ręki.

– Panno Maju, proszę, zostaw to na chwilę i chodź do nas – zawołał z wymuszonym spokojem.

Maja wspięła się po schodkach i stanęła przy nich. Dopiero teraz mogła zobaczyć, że to nie był przypadkowo rozrastający się bluszcz. Ktoś go posadził tak, by utworzył ogromny, zielony podpis „Pan P.”.

– Zrobiła panna zdjęcie? – zapytał Elizę, a gdy potwierdziła, ponownie zwrócił się do Mai. – Proszę okiełznać to zielsko.

Wciąż nieco błada Maja bez słowa kiwnęła głową. Zbiegła na plac ze specyfikiem w ręku i dokończyła oprysk.

– I co teraz zrobimy, panie Aleksie? Z Panem P.?

– Sam chciałbym to wiedzieć, panno Elizo. – Wampir westchnął i rozłożył bezradnie ręce. – O! Chyba wszystkie sadzonki już się skurczyły. Chodźmy pomóc pannie Mai.

Niespełna kwadrans później udali się do Instytutu Absurdu z pełnymi workami. W holu natrafili na Wiktora, który również wrócił niedawno ze swojej misji i czekał na nich, żeby przekazać Garlickiemu, by jak najszybciej stawił się u Strzygi. Poważna mina wilkołaka sugerowała, że chodziło o coś istotnego, ale

nie chciał nic więcej powiedzieć, gdy Garlicki zostawił ich bez słowa. Zaoferował za to pomoc przy przenoszeniu worków do oranżerii i niemal wszystkie zarzucił na raz na plecy. Biodrem pchnął wahadłowe drzwi oddzielające hol od klatki schodowej. Eliza popatrzyła znacząco na rumieńce na twarzy Mai. Rusałka spuściła głowę, by ukryć je pod kurtyną jasnych włosów, i złapała za jeden z ostatnich worków, które zostały na podłodze. Eliza stłumiła śmiech i sięgnęła po kolejny. Przystanęła dopiero na schodach między drugim a trzecim piętrem, słysząc miarowy odgłos kroków. Zerknęła na korytarz i omal nie upuściła worka na widok maszerującej w jej stronę Strzygi.

– Żaczek, chodź na chwilę. – Jej wypowiedź można było uznać niemal za prośbę.

Eliza przełknęła ślinę. Oparła worek z sadzonkami o ścianę, wytarła spoczone dłonie o boki ogrodniczek i ruszyła za naczelniczką. O co jej mogło chodzić? Przecież ostatnio dobrze sobie radziła w pracy. Chyba...

Strzyga zamknęła za nią drzwi do gabinetu i wskazała miejsce na krześle.

– Przed chwilą Aleks poinformował mnie o twoim odkryciu w Białymstoku. Nie jedynym dzisiaj – urwała cierpko i sięgnęła do szuflady biurka. Wyjęła z niej bardzo długie, śnieżnobiałe pióro. Podała je Elizie i poleciała gestem, by mu się przyjrzała.

Stażystka przejechała palcem wzdłuż lotki, czując jej aksamitną miękkość. Jak duże musiało być ptaszysko, które mogło je zgubić? Gigantyczny łabędź? Obróciła je i omal nie upuściła na ziemię.

– No nie! – wykrzyknęła.

Gargulec Garbus zachrapał głośniejsz w kącie, ale nie obudził się. Eliza zmrużyła oczy i przysunęła znalezisko pod światło lampki biurkowej. Na spodniej stronie beczelnie widniał czarny podpis Pana P.

– To pióro pegaza – wyjaśniła Strzyga. – Wiktor odebrał dziś dwadzieścia osiem gryfów i siedem pegazów z nielegalnej hodowli. Przy jednym z nich znalazł właśnie to.

Eliza uniosła brew. Intensywnie przyglądała się podpisowi. Pan P. ich śledził, nie miała co do tego wątpliwości. Grał im na nosie. Ale zaraz! Nie mógł przecież przebywać w dwóch miejscach jednocześnie...

– Gdzie znajdowała się ta pseudohodowla? – spytała przytomnie.

– W niewielkiej miejscowości niedaleko Zielonej Góry.

Ton, a przede wszystkim kwaśny uśmiech Aldony zdradzały, że ją również zastanawiało, jakim cudem zdołał zostawić swoje ślady w tym samym czasie w tak różnych miejscach.

– Dlaczego pani mi to pokazuje?

Strzyga rozparła się wygodniej na fotelu i odchrząknęła krótko.

– Przyznam, że sama jestem zaskoczona, ale nawet się sprawdzasz w pracy. Nie wiem, czy to talent, intuicja, czy po prostu ślepe szczęście. – Wykrzywione usta sugerowały, że trzecią opcję uważała za najbardziej prawdopodobną. – Ale zdarza ci się wpaść na dobry trop. Dlatego chcę ci przydzielić specjalne zadanie – urwała.

Eliza nachyliła się do przodu z zaciśniętymi w pięści dłońmi opartymi o kolana. Czekwała na kolejne słowa naczelniczki.

– Zbadasz sprawę Pana P.

– Ja?! Sama?

– Tak. Myślę, że dasz sobie radę. Oczywiście nie oczekuję, że jutro przedstawisz mi jego pełen rysopis czy go zdemaskujesz. – Uśmiechnęła się z wyższością. – Chciałabym, byś przypatrzyła się dotychczasowym zaginięciom, przejrzała dokumenty i tak dalej. Może coś przeoczyliśmy? Może kręcimy się w kółko i potrzeba nam świeżego spojrzenia?

Twarz Elizy pojaśniała. Rozwiąże zagadkę Pana P.! Będzie niczym rasowy dziennikarz śledczy! A może w przyszłości faktycznie takim zostanie? Już widziała siebie wykrywającą machlojki, demaskującą afery, ujawniającą pogrzebaną głęboko prawdę. Sławną, zasłużoną, wielokrotnie nagradzaną...

– Żaczek, skup się.

Chłodny głos Strzygi brutalnie wyrwał ją z zamyślenia.

– Przepraszam. – Drgnęła przywołana do porządku. – Już wracam na ziemię.

– To dla ciebie szansa. Możesz się wykazać. Udowodnić, że zasługujesz na stałe zatrudnienie. – Zrobiła dramatyczną pauzę podkreślając wagę jej słów. – Chcesz tu dalej pracować, prawda?

– Tak! Bardzo! – oświadczyła Eliza, bez cienia zawahania w głosie.

– To wiedz, że to nie dyrektor ma tutaj ostatnie zdanie. Ja też za wiele nie mogę wskórać. Ba! Sam Instytut też ci nie pomoże. Jeśli Grażka stwierdzi, że nie znajdzie w budżecie funduszy na stałe wynagrodzenie kolejnego pracownika, to możesz się pożegnać z posadą. Musisz pokazać, że jest z ciebie pożytek i jesteś potrzebna, zrozumiano?

– Tak, oczywiście! – zapewniła gorąco, ale w duchu się zaśmiała. Oczywiście, że to Główna Księgowa tutaj rządziła. Możliwe, że na spółkę z panią Lusią. Ona również traktowała Instytut Absurdu jak swój własny folwark.

– A może masz już przemyślenia na temat tych zaginięć? – zapytała Strzyga.

Eliza zaprzeczyła ruchem głowy. Nie odważyła się podzielić z nią swoją teorią o Piotrusiu Panie. Pewnie wyśmiałaby ją jak Garlicki i Jaga, a może i odebrałaby dopiero co przydzieloną sprawę.

– No to do dzieła. Jakby co to cały Instytut jest do twojej dyspozycji.

– Dziękuję!

Okiełznała podniecenie na widok zniecierpliwionej miny Strzygi i wyszła z gabinetu, ale ledwie zdążyła zamknąć drzwi, osunęła się oniemiała na podłogę.

– O raju, zostanę dziennikarzem śledczym!

Wykładzina pod nią zafalowała. Podniosła się i przytrzymała drzwi, dziękując w myślach, że nie złapała bezmyślnie za klamkę i nie wpadła do środka, by zgarnąć kilka westchnień naczelniczki. Spojrzała pod nogi. Materiał nadal poruszał się rytmicznie, jakby Instytut Absurdu wskazywał jej drogę. Eliza ruszyła zgodnie ze wskazówkami. Trzymała się blisko ścian, a potem poręczy, gdy prowadziły ją na niższe poziomy. Obrazy na pierwszym piętrze przekręciły się nieznacznie w prawo i Eliza skręciła w tamtą stronę. Początkowo zakładała, że z jakiegoś powodu budynek prowadził ją do sekretariatu i pani Lusi, ale to drzwi do archiwum otworzyły się ze złowieszczym skrzypieniem. Miała tam wejść? No tak. Tam znajdowały się wszelkie dokumenty. Jeśli chciała znaleźć cokolwiek o Panu P., musiała przekonać się do towarzystwa ducha i spędzić z nim w jednym pomieszczeniu trochę czasu. Brr...

– Nie dziś, Instytucie. Mam najpierw inny trop do sprawdzenia.

– Coś panna mówiła? – zapytał wychodzący z archiwum Garlicki.

Cofnęła się zmieszana.

– Nie, nie. Strzy... – zamilkła, widząc unoszące się kąciki ust wampira, i natychmiast się poprawiła: – Pani Aldona przydzieliła mi zadanie rozszyfrowania tożsamości Pana P.

Oblicze Garlickiego wyrażało uprzejme zdziwienie, ale zmarszczone czoło zaraz się wygładziło.

– Doskonale. Na pewno da panna z siebie wszystko.

Przytaknęła. Nie miała zielonego pojęcia, jak tego dokona, ale znajdzie go. Już Instytut Absurdu w tym jej pomoże.

Sprawa nr V

Smog wawelski

Fioletowe światło zgasło i wrota do Instytutu Absurdu zniknęły za plecami Elizy. Przed sobą nie miała jednak kamieniczki przy Psich Budach, w której wynajmowała pokój u Kościejowej, gdzie zwyczajowo udalaby się po pracy, tylko budynek Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu. Zatarła ręce, poprawiła pasek torebki wbijający się w klatkę piersiową i zacisnęła usta w wąską kreskę. Pewnym krokiem weszła do środka. Tym razem natychmiast spostrzegła siedzącego za pulpitem portiera, który czytał jakąś gazetę i chyba nie przejmował się tym, co się wokół działo. Wzięła głęboki oddech i minęła go.

– Przepraszam panią! – zawołał. – Proszę do mnie.

Rozejrzała się na boki, ale nikt więcej nie przebywał w holu. Ewidentnie zwrócił się do niej. Zauważył ją. Oczywiście... Jak Garlicki to robił, że stawał się niewidzialny dla zwykłych ludzi?! Magia absurdu, też coś!

– Dzień dobry.

– Jeśli chce pani skorzystać z czytelnicy, to trzeba okazać kartę czytelnicy. A! I torebka musi zostać na dole.

Wskazał ręką na ścianę zapełnioną przez szafeczki zamykane na klucz. Eliza przestąpiła z nogi na nogę.

– Jeszcze jej nie mam. Dopiero w październiku będę stu...

– Może się pani zapisać już teraz, wystarczy wypełnić elektroniczny formularz – wytłumaczył cierpliwie. Spojrzał na zegarek. – Dziś już raczej nie zdążą, ale jutro karta byłaby do odbioru.

Dopiero jutro... Nie wytrzyma tyle czasu bez zaspokojenia ciekawości.

– Tak... Uhm... Starsza siostra czeka na mnie na górze – zmyśliła na poczekaniu, starając się opanować drżący głos. – Umówiliśmy się.

Sceptyczny wyraz twarzy mężczyzny momentalnie uświadomił ją, że zawałła. Och! Musiała wyglądać niesamowicie podejrzanie. Najwyraźniej nie potrafiła działać jak inspektorzy. Gdyby tylko miała dar Mai, potrafiła wpływać na każdego człowieka jak Garlicki albo chociaż miała luz Morasa czy pewność siebie Jagi.

– Przykro mi, ale nie mogę pani wpuścić – oznajmił stanowczo. – Proszę dać siostrze znać i poczekać na nią na dole.

– Tak. Cóż, dziękuję.

Obdarzyła go fałszywym uśmiechem i wyszła z budynku. Nie mogła się jednak tak szybko poddać. Musiała wymyślić sposób, by dostać się do czytelnicy. Nerwowo zbiegała i wbiegała po schodach budynku, ale nie pomogło jej to w zebraniu myśli, a w dodatku kilka spacerujących w pobliżu osób popatrzyło na nią z politowaniem. Świetnie, oni też ją widzieli!

– Instytucie! – zawołała z wyrzutem. – Przecież ja to robię dla twojego dobra! I to po godzinach. Mogłam teraz oglądać jakiś serial na Netfliksie... Proszę mnie

natychmiast zrobić niewidzialną! – Złapała się pod boki. Wciąż spacerowała przed wejściem, szurając butami po kamiennych płytach. – Dobra, najwyżej mnie stamtąd wyrzuca.

Ponownie weszła do środka. Przyłożyła dłonie do skroni, co miało ją uchronić przed możliwym kontaktem wzrokowym. Jakby to mogło w jakikolwiek sposób pomóc...

– Nikt mnie nie widzi. Nikt mnie nie widzi – mamrotała pod nosem. – Jestem niewidzialna... Jak ninja! Absurdalny ninja. To działa!

Tym razem portier nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Swobodnie przeszła przez cały hol i skierowała się do schodów prowadzących do czytelní. Gdyby sama nie była świadkiem ataku moli książkowych, nigdy by nie uwierzyła, że coś dziwnego wydarzyło się tutaj wcześniej. Pomieszczenie sprawiało wrażenie idealnie wysprzątanego. Wszystkie regały stały równo zapełnione książkami, które wcale nie wyglądały na podarte. Przecież mole doszczętnie zrujnowały to miejsce! Ciekawe, kto to wszystko ogarnął? Musiałaby zapytać Morasa albo Garlickiego. Ale skoro ktoś to uprzątnął, to czy zostało cokolwiek, co mógł pozostawić po sobie Pan P.? Być może stracili kolejną wskazówkę.

Eliza zdołała wyłapać już pewien wzór. Do tej pory Pan P. zostawiał wizytówki nawiązujące do charakteru zadań inspektorów. W Poznaniu ukrył ją w piasku, w Gdańsku bezczelnie podpisał się na zaginionym zwoju, w Białymstoku zrobił napis z pędów bluszczu, a w nielegalnej hodowli zostawił swój ślad na piórze pegaza. We Wrocławiu to musiało być coś związanego z książką! Może zostawił notatkę w którejś encyklopedii? Może gdzieś tu została? Ogarnęła wzrokiem czytelníę i dopadło ją lekkie zniechęcenie. Znajdowało się tu tyle pozycji, że w jedno popołudnie nie zdołałaby wszystkich przejrzeć. Chociaż z drugiej strony na wcześniejsze podpisy natrafiali całkiem przypadkiem, nie były specjalnie ukryte.

Swobodnym ruchem przechadzała się między stolikami. Z czytelní korzystały tylko trzy studentki. Jedna przeglądała jakiś album, a dwie pozostałe w szaleńczym tempie przygotowywały notatki, być może na niezaliczony egzamin. Odważyła się pomachać jednej z nich przed nosem, ale zupełnie ją zignorowała. Ale fajnie! Elizie zabłyszczały oczy. Mogłaby się niepostrzeżenie przedostać na koncert Beyonce albo w pobliże przystojnego celebryty, ograniczała ją tylko pomysłowość! No i dobra wola Instytutu Absurdu, który by na to pewnie nie pozwolił. Upomniała się w myślach za dekoncentrację i wróciła do poszukiwań.

Weszła między regały. Zastanawiała się, od jakiego działu zacząć sprawdzanie, gdy jedna z półek przykuła jej wzrok. Cofnęła się i omal nie wypuściła telefonu z rąk.

– O cholera!

Zatkała rękoma usta. Spojrzała za siebie. Na szczęście magia Instytutu Absurdu działała i nikt jej nie usłyszał. Wytarła spocone dłonie o spódnicę i zrobiła kilka zdjęć.

Nie pamiętała, jak dotarła do mieszkania Kościejowej. Pieszko. Przez park, a potem rynek. Chyba... Cud, że w tym roztrzęsieniu nie wpadła pod samochód, autobus albo tramwaj. Albo do Odry. Ręce nadal jej drżały, gdy podłączała telefon do laptopa, by zgrać zdjęcia. Przewornie je wydrukowała. Instytut Absurdu mógł jutro spłatać psikusy i sprawić, że nie wyświetlą się poprawnie na ekranie. Tylko niepotrzebnie by się zestresowała. Schowała wydruki do teczki, gdy zorientowała się, że przez spocone dłonie już zdążyła je nieco zmiąć. Najchętniej wysłałaby wiadomość do Garlickiego albo Jagi, ale nie chciała im przeszkadzać po pracy. Musiała wytrzymać do jutra. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, więc pośpiesznie zminimalizowała widok folderu ze zdjęciami i schowała teczkę do torby.

– A co tu Elwira ciekawego robi? – zagadnęła Kościejowa, jak zwykle wchodząca bez pukania do pokoju.

– Eliza – poprawiła po raz setny staruszkę, a ta po raz setny puściła to mimo uszu.

– Odpoczywa po pracy?

– Mhm...

– A obiad jadła?

– Jadła, jadła – skłamała od niechcenia.

Kościejowa nie wyglądała na przekonaną. Burknęła pod nosem coś o niemądrych, głodzących się dziewczynach i braku sił do pracy, ale ku uldze Elizy wyszła. Spokój nie trwał jednak długo, bo wróciła z talerzem pełnym pomidorowej, który postawiła na stoliku pod nosem dziewczyny.

– No, pałaszuje do czysta!

– Uhm... Dziękuję.

Złapała za łyżkę i podniosła do ust, ale gdy tylko staruszka wyszła z pokoju, opuściła z powrotem na talerz. Żołądek zawinął jej się w ciasny supeł i niczego nie dałaby rady przełknąć.

Telefon leżący obok na stole zawibrował. Eliza zerknęła na przychodzące powiadomienie i westchnęła. Jeszcze to... Alicja załatwiała kilka spraw we Wrocławiu i przed powrotem do domu chciała zobaczyć się z Elizą. Normalnie poleciałaby na spotkanie cała w skowronkach, w końcu dawno się nie widziały i tęskniła za przyjaciółką, ale po tym, co dziś zobaczyła w bibliotece, nie potrafiła odzyskać równowagi. Alą na pewno wyczułaby, że coś jest nie tak i Eliza jeszcze by się przed nią czymś zdradziła. Wysłała jej wymyśloną na poczekaniu

wymówkę, ale była tak kiepska, że Eliza zdziwiłaby się, gdyby nie zasiała ziarenka podejrzeń. Same problemy...

Następnego dnia po przekroczeniu wrót do Instytutu Absurdu od razu pobiegła na trzecie piętro, do biura inspektorów. Uznała, że najwyżej później wpadnie do pani Lusi podpisać listę obecności, były jakieś priorytety. Na dzień dobry przywitały ją płaczliwe dźwięki skrzypiec. Ach, więc dzisiaj w repertuarze mieli Wieniawskiego. Że też nikt dotąd nie odważył się zabrać Garlickiemu gramofonu! Chyba wszyscy mieli już dość jego zdartych płyt... No, może prawie wszyscy. Jeszcze w progu Eliza zauważyła na parapecie Narcysia – zdradziecka muchołówka kiwała się sennie w rytm melodii. A niech mu będzie. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

– Panie Aleksie! Panie Aleksie! Mam kolejną poszlakę w sprawie zaginięć! – zawołała od progu Eliza.

– Och, nie! Tylko niech panna nie mówi, że natrafiła na jakiś ślad Pana P.! – Garlicki przerwał sprawdzanie odpowiedzi na pisma patentów.

Podeksytowanie Elizy musiało być na tyle zaraźliwe, że nie do końca rozbudzony Moras ożywił się i również podszedł do biurka zastępcy naczelniczki. Eliza zyskała chwilę, żeby uspokoić oddech i zebrać myśli, nim wypaliła:

– Poszłam wczoraj do Biblioteki Uniwersyteckiej. Tej we Wrocławiu. Tam, gdzie te mole wariowały i potem ten student zaginał. Pomyślałam, że skoro wszędzie zostawia swoje wizytówki, znaczy Pan P., nie student, to tam też mógł to zrobić. Trochę się obawiałam, że mógł przepaść... Yyy... Ten podpis... Widziałam, jak te mole wszystko rozwalają i po prostu...

– Ha! Wiedziałem! – przerwał jej Moras.

Garlicki uciszył go gestem niemal idealnie zsynchronizowanym z rozpoczynającą się finałową częścią koncertu skrzypcowego.

– Tak, tak. Byłam wtedy w bibliotece. Chyba już wszyscy się domyślili. Nieważne. No więc poszłam tam z myślą, że pewnie nic nie znajdę po takim czasie. – Urwała, spoglądając z przejęciem raz na jednego, raz na drugiego inspektora. – Ale znalazłam to!

Rozłożyła na biurku wydruki. Przedstawiały różne ujęcia i zbliżenia regału, na którym znajdowały się encyklopedie i leksykony. Jednak żaden z zestawów nie został ułożony alfabetycznie, ale tak, by poszczególne tomy utworzyły napis „Pan P”. Drugie brakujące „P” zostały przerobione z „B” przez zamalowanie dolnych brzuszaków.

– Co za pieprzony gnojek! – Moras uderzył pięścią w blat, pozostawiając w nim lekkie wgłębienie. – Bezczelny sukinkot. Co za dziad! Jak ja go dorwę, to... Argh! – warknął przez zaciśnięte zęby.

Czekała, aż Garlicki wygłosi pouczającym tonem tyradę o nieodpowiednim wyrażaniu się i niszczeniu wyposażenia, ale widząc, jak marszczy gniewnie brwi i nos, stwierdziła, że chyba sam chciał użyć podobnych sformułowań. Dbałość o perfekcyjne maniery zwyciężyła i twarz wampira przybrała bardziej neutralny wyraz.

– Panno Elizo, naprawdę jestem pod ogromnym wrażeniem. – Popatrzył na nią z takim uznaniem, aż poczuła, jak momentalnie się rumieni. – Teraz, jak o tym myślę, to zawstydza mnie fakt, że sam nie pomyślałem, żeby sprawdzić czytelnię. Naprawdę doskonała robota!

– Uhm, dziękuję.

Założyła włosy za uszy. Najlepszy inspektor Instytutu Absurdu właśnie ją docenił! O, tak! Udowodni Strzydze, że nadaje się do tej pracy. Jeszcze odkryje tożsamość Pana P.! Jeszcze zostanie dziennikarzem! Ha! Szeroki uśmiech coraz wyraźniej rysował się na jej twarzy. Ale stop, nie mogła bujać w obłokach. Za wcześniej było na ogłaszanie sukcesu. Kolejna wskazówka to dopiero początek. Skupiła się, splotła dłonie i oparła o krawędź blatu, chcąc dodać sobie powagi. Pełny profesjonalizm!

Inspektorowie zamilkli pochyleni nad zdjęciami, więc przerwała narastającą ciszę pierwszym pytaniem, jakie przyszło jej do głowy:

– Tak właściwie to kto posprzątał bibliotekę?

Zawiesiła wzrok na wampirze w oczekiwaniu na odpowiedź, ale to Moras zaspokoił jej ciekawość.

– Gargulce – odpowiedział takim tonem, jakby to było coś zupełnie oczywistego. – Nawet książki pozszywały tak, że mucha nie siada. No chyba nie myślałaś, że zostawimy to tak rozpieńdzielone?

Natychmiast pokręciła głową. Oczywiście, że tak uważała, ale nie musiała się do tego przyznawać. Ciemnobrązowe oczy wilkołaka prześwieciły ją powątpiewającym spojrzeniem. Chrząknęła i pośpiesznie zmieniła temat.

– Czyli Pan P. musiał się tam zjawić później. Może w międzyczasie zniknął tego studenta? A potem zczekał, aż gargulce wysprzątają czytelnię i poprzekładał encyklopedie.

– Tak, to całkiem prawdopodobne, panno Elizo. Doprawdy nie mogę pojąć, co mu daje ta zabawa w kotka i myszkę. Chyba że to jego sztuczka, by odwrócić naszą uwagę. Pokazać nam to, co chce, byśmy widzieli, i tym samym ukryć przed nami prawdę... Zupełnie jak magik Coppellius oszukał Hoffmana.

Moras i Eliza popatrzyli na siebie skonfundowani. Garlicki spoglądał na nich wyczekująco, ale nie doczekawszy się zrozumienia, westchnął i pokręcił z politowaniem głową.

– Rozumiem, nie ta wrażliwość... – Zachmurzył się. Złapał za stylowe wieczne pióro pozostawione przy niezadeklarowanych pismach. Obracał je w zgrabnych palcach, a Eliza nie mogła oderwać wzroku od nieprzerwanego, hipnotyzującego ruchu. Po chwili podniósł głowę, a oczy błysnęły bystro. – Panno Elizo, pamięta panna ostatni ogród? Ten, w którym na panny czekałem. Powiedziałem wtedy, że właściciele najpewniej są w pracy, ale dotarła do nas informacja, że tak nie było. Cała rodzina zniknęła.

Eliza już chciała zapytać, czy miało to coś wspólnego z Panem P., ale Garlicki musiał się tego domyślić, bo dodał:

– Tak, klątwa Pana P. dała o sobie znać.

– A w pobliżu tej hodowli ktoś zniknął? – zwróciła się do Morasa.

– Nadal nie wiadomo. – Wzruszył ramionami. – Jaga sprawdzi to miejsce i nam powie.

– W porządku, Zaczek. – Strzyga oddała Elizie wydruki. – Pracuj dalej nad sprawą.

Srebrne pasma we włosach naczelniczki zaiskrzyły podczas wychylenia się w przód, a w ślad za nimi błysnęły jasne oczy. Skonsternowana Eliza zabrała teczkę i opuściła gabinet. Nie umiałyby stwierdzić, czy pozytywnie zaskoczyła przełożoną swoim odkryciem, czy nie zrobiła na niej specjalnego wrażenia. Cóż... Skoro Strzyga oszczędziła jej pochwał, sama je sobie dopowiedziała w myślach. Nieszczególnie poprawiło to humor, ale kiedyś w końcu zasłuży na jej prawdziwe uznanie.

Na schodach prowadzących na trzecie piętro natrafiła na Marcela. Trzymał w rękach plik wywołanych zdjęć.

– Cześć, Elizko! Właśnie cię szukałem.

– Cześć! To z mojego aparatu?

Kiwnął głową.

– To sobie zostawię, bo może się jeszcze przydać. – Mówiąc to, wyciągnął z kupki zdjęcie zabawnie zamyślonego Feliksa siedzącego w bibliotece. – Ale reszta jest twoja. I w razie czego założyłem nową kliszę.

– Dzięki!

– I jakbyś czegoś potrzebowała, to będę w magazynie – dodał i spojrzał na Elizę przelotnie.

– Jasne!

Splótł dłonie na karku i posłał jej lekki uśmiech, nim ruszył w głąb korytarza.

Zacisnęła palce na zdjęciach. Miała nadzieję, że może uda się z nich wyczytać coś więcej, coś, co początkowo przeoczyli tak jak encyklopedie we Wrocławiu. Weszła do biura i powiodła wzrokiem po mapie z zaznaczonymi przez Jagę zniknięciami. Spoglądający na nią ze zdjęć ludzie nic jej nie mówili, ale wyraz ich oczu zdawał się wołać o pomoc. Głupia wyobraźnia!

Przyszło jej do głowy, że chyba będzie musiała zastosować się do wskazówki Instytutu Absurdu i pójść do archiwum, ale wzdrygnęła się na samą myśl. Jeszcze nie dziś, jeszcze miała czas... Usiadła za biurkiem i rozłożyła na blacie wydruki oraz fotografie. Odłożyła na bok te zrobione fokom, a także te z rozrastającym się bluszczem, i ułożyła na środku zgromadzone dotychczas podpisy Pana P. Zwitek znaleziony w magicznym piasku, bazgroł na odwrocie zwoju Twardowskiego, posadzone w kształcie liter sadzonki Leszego i teraz encyklopedie z Biblioteki Uniwersyteckiej. Wpatrywała się w nie tępo przez dobrych kilka minut, czując narastającą frustrację. Była pewna, że nic więcej dziś nie wymyśli.

Westchnęła, a odgłos rozniósł się po pustym pomieszczeniu i zmieszał z cichą, smętną melodią wygrywaną przez osierocony gramofon. Pozostali inspektorzy prawdopodobnie działali w terenie, a Feliks pewnie znów przesiadywał w bibliotece. Również powinna zająć się czymś produktywnym. Czymś, co potrafiła robić, bo najwyraźniej chwilowo nie nadawała się do rozwiązania sprawy Pana P. Zwiesiła smętnie głowę nad maszyną do pisania i starając się ignorować muzykę – nie odważyłaby się ruszyć czy chociaż wyłączyć gramofonu – zabrała się do napisania raportu o sadzonkach Leszego. Zdążyła przygotować czyste kartki i poprawić marginesy, gdy biurko zadrżało, a urządzenie o mały włos nie zsunęło się z blatu na podłogę. Eliza rozejrzała się niepewnie po pomieszczeniu. Czyżby znowu zdenerwowała czymś budynek?

ŁUP!

ŁUP!

ŁUP!

Podniosła wzrok. Donośne tupanie dochodziło z korytarza. Czyżby wrócił Moras? Wtem prywatne drzwi Aleksandra Garlickiego otworzyły się z hukiem. Eliza uniosła brew w wyrazie uprzejmego zdziwienia, gdy do środka weszła starsza kobieta. Dziwna starsza kobieta. Chyba gdzieś ją już widziała, tylko gdzie? I kiedy? Siwe, nastroszone włosy wystawały jej spod pstrokatej chustki związanej na głowie, suknia w kolorze zgniłej zieleni została niezliczoną ilość razy połatana i pocerowana. Na niej miała założony poplamiony i w niektórych miejscach podarty fartuszek, który kiedyś musiał być biały. Z kieszeni fartuszka wystawał pęczek natki pietruszki – jedyna w miarę świeża rzecz. Staruszka rozejrzała się po biurze, a nie widząc nikogo innego, bez skrępowania skierowała się ku Elizie. Z impetem położyła brudną, przetartą gdzieś torbę na

biurku. Otworzyła ją i klnąc pod nosem, wyciągała z niej okropnie pobrudzone i pogniecione papiery. Przy każdym ruchu ze środka wysypywały się na blat kolejne porcje okruszków.

Igła ześlizgnęła się po płycie i w biurze rozbrzmiały rytmiczne dźwięki fortepianu, do których po chwili dołączyła doniosła melodia wygrywana przez skrzypce.

– Co to za straszna muzyka! Jak wy tu wytrzymujecie z tym rzępoleniem! – zawołała z oburzeniem staruszka.

Nieprzyjemny, piskliwy głos wciąż huczał Elizie w uszach, zagłuszając ulubionego poloneza Garlickiego. Dziewczyna wolałaby całymi dniami słuchać kolejnych utworów, niż choćby chwilę dłużej rozmawiać z przybyłą. Nic nie wskazywało jednak na to, by zamierzała wyjść w najbliższym czasie. Eliza odliczyła w myślach od pięciu w dół i z niemałym trudem uniosła kąciki ust w czymś zadowolająco zbliżonym do uśmiechu.

– Ekhm... Dzień dobry?

– Jaki tam dobry! Pilną sprawę mam, wy lenie i nieudaczniki!

Eliza odchyliła się na krześle. Ostro, będą kłopoty! A w pobliżu, jak na złość, nie było nikogo z bardziej kompetentnych pracowników. Wychyliła się i zerknęła niepewnie na Granita. Gargulec uchylił jedną powiekę i pokręcił wymownie głową, po czym z powrotem zapadł w sen. Widać tym razem nie miał zamiaru jej pomagać. „Instytucie Absurdu? Pomożesz?!”, myślała gorączkowo, przelatując spanikowanym wzrokiem po ścianach, podłodze i suficie, ale budynek pozostawał niewzruszony. Fantastycznie.

– To może zechce pani zaczekać na inspektorów, ja tu tylko...

– A co mnie przerywa! Niewychowana jaka czy co?!

Eliza mimowolnie skrzywiła się. Próba zbycia niegrzecznego petenta zakończona fiaskiem. Widać jeszcze wiele musiała się nauczyć. Może pani Lusia by pomogła? Eliza pośpiesznie rzuciła okiem na drzwi i obliczyła w myślach szansę na ucieczkę. Już miała się podnieść i zakomunikować, że udaje się po pomoc, ale wtedy staruszka znalazła poszukiwane pismo. Zamachała nim przed twarzą dziewczyny i z głośnym plaśnięciem położyła je na blacie. Żyłasta, pokryta plamami wątrobowymi ręka przesunęła papier pod nos Elizy. Stażystka pochyliła się i zobaczyła odpowiedź Garlickiego. Informował petentkę, że Instytut Absurdu nie zajmował się kwestią smogu, ale w przypadku wystąpienia nadnaturalnych zdarzeń obiecywał sprawdzić sytuację. Ha! Sprytnie. Ogólnikami i uprzejmościami próbował pozbyć się tematu.

– Toż to skandal! Takom staro, poczciwo wiedźmę spławić! Kiedy ja piszem, że smog jest, to jest! – Zamlaskała w taki sposób, że Eliza mogła podziwiać jej

wybrakowane uzębienie. Doliczyła się pięciu zębów, co jednego, to bardziej żółtego. – Tu u nas w Kurzonózkach czarno cały dzień, że...

– Gdzie?

– W KU-RZO-NÓŻ-KACH!!! – Kobieta wpatrywała się zdeglustowana w stażystkę, jakby tłumaczyła jej podstawowe rzeczy. – Co to za głupie gęsi tera zatrudniają?! To już bardziej ogarniętych nie było? Paczcie państwo, jaka degrengolada u tej młodzieży. O najstarszej wiosce wieżm w Polsce nie słyżwała! – Zagwizdała i złapała się pod boki. – Mój kurnik... O! Proszę bardzo! Znowu zdziwioną minę robi, a? Aż to durne dziewczę! Kurnik mówi się na chatkę na kurzej nóżce, niemoto – wysyczała, marszcząc garbaty nos. – No więc moja chatka liczy sobie już przeszło pińcset lat.

– I na pewno na taką wygląda – mruknęła Eliza.

Wieżma chyba nie doszukała się uszczypliwości, bo niczym niezrażona nie przestawała marudzić. Eliza skuliła się i zacisnęła pięści. Oparła je z całych sił na blacie, ignorując wbijające się w skórę okruszki. „Instytucie Absurdu, dlaczego nie reagujesz?! Może chociaż zrzucisz jej na głowę fragment oderwanego stropu, co?”, błagała w myślach.

– Ale o czym to ja tu.... A tak. Smog! Cały czas smog i smog, i smog, i smog, i smog. Każdego dnia smog i smog. Przecie lato jest. Zimo to bym jeszcze pojęła, że z kominków smrodzo. – Urwała i podrapała się spiczastym, brudnym paznokciem po brodzie, zahaczając kilka razy o ogromną brodawkę na jej środku. – Ażem w końcu zrozumiała, że to nie je smog.

Zapadła dramatyczna pauza. W pomieszczeniu jakby zrobiło się ciemniej, a w zwisającym z sufitu żyrandolu jedna z lamp przekrzywiła się i oświeciła twarz staruszki niczym reflektor aktora na deskach teatru. Cisza przeciągała się i coraz bardziej przytłaczała Elizę, więc stażystka zapytała elokwentnie:

– Yyy, nie?

– Nie, tylko smok. – Petentka powiedziała to takim tonem, jakby dokonała epokowego odkrycia. – Taki z „k” na końcu. Rozumie, co ja do niej mówię? Znaczy, o co się mnie rozchodzi?

Eliza zawyła w duchu. Dlaczego?! Dlaczego miała takiego pecha, że została sama w biurze akurat teraz? Niech któryś z inspektorów wreszcie przyjdzie i ją uratuje. Ktokolwiek! Nawet Strzyga. Trudno, przeboleje uwagi o swojej niekompetencji. A może Instytut Absurdu w końcu zareaguje? Jej modlitwy pozostawały niewysłuchane. Staruszka również czekała na odpowiedź, a pogłębiające się zmarszczki na twarzy świadczyły o rosnącym zniecierpliwieniu.

– Rozumie, rozumie... – potwierdziła dla spokoju Eliza.

– No! – Wiedźma tupnęła wojowniczo nogą. – To proszę mnie tu tera wysłuchać.

– Dobrze, ale ja naprawdę sugerowałabym poczekać, aż wróci ktoś bardziej kompetentny.

– A co mnie wygania, jak żem dopiero przyszła?! Co to ja głupia jaka?

Ze stresu, a i pewnie strachu, Eliza automatycznie potaknęła staruszce, nim dotarł do niej sens pytania.

– SŁUCHAM?!

Kobiecina złapała gwałtownie za torbę i szukając w niej czegoś na oślep, posyłała stażystce złowrogie spojrzenie, w którym można się było doszukać trzaskających piorunów. Zadźwięczało uderzające o siebie szkło. Flakoniki z eliksirami? Eliza przełknęła głośno ślinę. Gdyby tak mogła zapaść się pod ziemię albo chociaż biurko...

– O! Jest Jaga! – zawołała radośnie na widok wchodzącej do biura koleżanki. – Jaga, pozwól na chwilę, pani do ciebie.

Czarny jak smoła eliksir wylądował z powrotem w torbie, a Eliza odetchnęła z ulgą.

– Och! Dzień dobry, Jadziu. W końcu ktoś na poziomie – powiedziała wiedźma i odwróciła się do Elizy, by ta mogła zobaczyć przeznaczony dla niej pogardliwy grymas. – Jadziu, ty się tu marnujesz w tym przeklętym kołchozie!

Jaga nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się wymuszenie, a Elizę dopadły wyrzuty sumienia. Nie ma co, ładnie wrobiła koleżankę. Bezgłośnie wypowiedziała w jej stronę przeprosiny, a Jaga dyskretnie zamrugała w odpowiedzi. Uff, a więc zajmie się sprawą.

– Tak mnie tutaj wszyscy olewają – lamentowała dalej wiedźma – że się aż musiałam sama pofatygować. Muszę się poskarżyć na obsługę. – Pokiwała znacząco palcem. – Popacz, Jadziu, jak to się tera potwornie wiedźmy traktuje. Okropne czasy! Zero szacunku dla starszego.

Złapała inspektorę pod ramię i odciągnęła na bok. W dalszym ciągu nie przestawała głądzić i Eliza obawiała się, że nigdy sobie nie pójdzie. Znużona Jaga ograniczała się do cierpliwego przytakiwania i tylko dyskretnie wywracała oczami, tak by jedynie Eliza to widziała. Stażystka nie odważyła się choćby parsknąć śmiechem, obserwowała tylko czujnie staruszkę podczas zmiatania okruszków z biurka. Tyle ich rozsypała, że można by nimi wyżywić populację wrocławskich gołębi.

– Kto to był? – zapytała Jagę, gdy w miarę udobruchana petentka wreszcie raczyła opuścić biuro.

Inspektorka westchnęła, wykonała bliżej nieokreślony ruch ręką i klapnęła przy swoim biurku.

– Wiedźma Smysława – odpowiedziała po chwili.

– Aaa! Więc to jest ta słynna wiedźma, z której tak sobie żartujecie...

– Tak. Przykro mi, że musiałaś trafić na nią akurat, jak byłaś sama. Trzeba do niej mieć nerwy i odpowiednie podejście. – Pokręciła z westchnieniem głową i otworzyła szafkę z eliksirami. – Tylko proszę cię, nie oceniaj wszystkich wiedźm na jej podstawie – dodała, machając wyciągniętym przed chwilą flakonikiem. – To naprawdę... Specyficzna osoba.

– Tak, zauważyłam.

Ciekawe, czy Kościejowa nie była czasem wiedźmą? Nie, to byłoby zbyt oczywiste rozwiązanie, przecież wszystkie dziwaczne staruszki nie mogą być wiedźmami, prawda? Wzdrygnęła się, przypominając sobie grube, włochate rajtuzy, które Kościejowa każdego dnia rozwieszała do wyschnięcia nad wanną we wspólnej łazience, podczas gdy suche zakładała pod długą spódnicę, mimo że trwało dosyć upalne lato. Są na tym świecie absurdy, które nie śniły się inspektorom. O, kolejna złota myśl do kolekcji.

Inne zagadnienie zajęło jej umysł.

– Ej, Jaga? A tak właściwie to dlaczego mówimy do ciebie Jaga, a nie wiedźma Jadwiga?

– Bo na takie określenie trzeba sobie zasłużyć – wyjaśniła ze śmiechem. – Albo porządnie się zestarzeć – dodała cicho.

– Hmm, logiczne. To ja spróbuję zasłużyć na określenie „pracownik”.

Wyciągnęła notatki Mai dotyczące misji w Białymstoku i zabrała się za przygotowanie sprawozdania. Minęła ledwie chwila, kiedy jedne z drzwi prowadzących do biura otworzyły się z trzaskiem i Eliza znów podniosła głowę znad maszyny do pisania. Do środka wszedł Marcel, trzymający spore pudło wypełnione dziwnymi przedmiotami. Większa część z nich nie mieściła się wewnątrz i usypano je w chybotającą się piramidę. Chyba tylko dzięki temu, że fragmenty obiektów różnego kształtu i rozmiaru zazębiały się o siebie, cała konstrukcja do tej pory się nie rozleciała.

– Co tam masz? – spytała zaciekawiona.

– Chińszczyznę. – Na widok jej miny wyrażającej kompletny brak zrozumienia dodał: – Podrobione magiczne kule do wrózenia, różdżki, amulety i takie tam. Ktoś próbował to nielegalnie opchnąć. Dalej gra? – Wskazał głową na gramofon.

– Niestety – przyznały równocześnie.

– Jeszcze raz za to przepraszam. – Marcel posłał im spojrzenie zbitego psa.

Naprawdę wydawał się przejęty swoim niefortunnym pomysłem, a widząc jego zawstydzenie, Eliza nie mogła się na niego gniewać. Młody inspektor stęknął żałośnie i postawił karton na swoim biurku.

– Gdybym wiedział, że tak się to skończy, to nigdy bym go tu nie przyniósł. – Podszedł do biurka Garlickiego i zerknął na półkę z ustawionymi jak od linijki płytami winylowymi. – Czy jest tu cokolwiek nadającego się do słuchania? – Przesunął palcem po kolorowych kopertach i wyciągnął jedną na chybił-trafił. – O, to chyba dla ciebie, Elizka!

Pokazał jej okładkę z wizerunkiem Beethovena i spisem utworów.

– *Dla Elizy?* – zaśmiała się, widząc jeden z tytułów.

– Nie kojarzysz? Na pewno słyszałaś tę melodię. Kiedyś stryjek miał ją ustawioną jako dzwonek na telefonie. Puścić ci?

– Dobra, zostawcie to lepiej. – Jaga zerknęła z przestachem na drzwi, zapewne spodziewając się Garlickiego łapiącego ich na gorącym uczynku. – Mamy ciekawsze rzeczy na głowie – powiedziała z chytrym uśmieszkiem. – Smysława była.

Marcel wsunął płytę na miejsce i wzniósł zboląły wzrok ku górze.

– Jak ona przeszła przez panią Lusię? Ech! Instytut mógłby w końcu zadbać o nasze zdrowie psychiczne i jej tu więcej nie wpuszczać. Nawet nie podziękowała za nową miotłę! Trzy razy wymieniałem, zanim w końcu łaskawie zaakceptowała. Nie chcecie wiedzieć, jak mnie nazwała.

– Jak?

Znów odezwały się równocześnie, podchwyciły swoje spojrzenia i stłumiły chichot. Takie oświadczenie przecież tylko podsycalo ciekawość. Bezsprzecznie musiały się dowiedzieć prawdy.

Nie odpowiedział. Podrapał się po karku i unikając ich wzroku, udawał, że przegląda kolekcję płyt Garlickiego.

– No, jak?! – powtórzyła Jaga i tym razem w jej pytaniu pobrzmiwało wyraźne zniecierpliwienie.

– Kruczaciapa – odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Spontaniczny wybuch śmiechu dziewczyn musiał być słyszany w całym Instytucie Absurdu. Przez chwilę Eliza obawiała się, czy do biura nie wpadnie zaraz Strzyga, by je upomnieć, więc na wszelki wypadek schowała się za maszyną do pisania z notkami Mai w rękach.

– Na pewno powiedziała ciapa? – Jaga poruszyła sugestywnie brwiami, ale Marcel nie dał się podpuścić i zignorował wiedźmę. Machnęła ręką i litościwie zmieniła temat: – Teraz twierdzi, że smog w Kurzonózkach wywołuje smok wawelski. W sensie, że się budzi. Jego aktywność wzrasta i dlatego pojawiło się więcej dymu.

– To ten smok żyje? – Eliza przerwała wymianę zapisanego papieru na czysty. – Według legendy pękł.

– Coś ty! To tylko bajeczka, w którą mieli uwierzyć zwykli ludzie. Smoki od wieków są pod ochroną. Nie można ich pękać – wyjaśnił cierpliwie Marcel. – Dratewka w tylko sobie znany sposób otumaniał gada i bezpiecznie zamknął go w pieczarze. To była jedna z pierwszych tak wymagających logistycznie akcji w Polsce, zanim Instytut powstał w takim kształcie jak obecnie.

– We Wrocławiu też straszą smogiem – przypomniała sobie. – To tam też jest smok?

– Tak, smok breslauski – odpowiedział z całkowicie poważną miną.

– Serio?!

– Nie, no coś ty. Nie można całego syfu w powietrzu zwalać na smoki – uspokoiła Jaga.

– No ale co mają z tym wspólnego te całe Kurzonówki?

– To taka magiczna wieś pod Krakowem. Niestety. – Przewrócił wymownie oczami, a Elizie od razu zrobiło się go żal. Pewnie często natrafiał na wiedźmę Smysławę po pracy. – Hmm... I faktycznie trochę jakby ostatnio się zadymiło w mieście. Moras już wie? Będzie wniebowzięty.

– Co wiem?

Wywołany wilkołak z lasu zatrzymał się w progu i oparł o futrynę.

– Czeka cię fajowa misja. – Jaga wyszczerzyła się do niego. – Smysława była...

– O nie, nie, nie! – przerwał jej natychmiast, a Eliza stłumiła śmiech na widok równie przerażonej, co zniesmaczonej miny inspektora. – Wiedźmy to twoja działka. Ja nie zamierzam użerać się z tą...

– Nie przerywaj mi. Ponoć smok wawelski się budzi.

– Serio? – Przez moment wydawał się zszokowany, a potem szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy. – Ale ekstra!

– No, rzeczywiście bomba – rzuciła ironicznie Eliza.

– Trzeba sprawdzić, czy faktycznie ta jędra ma rację – dodał Marcel.

– Tak, tak. Niesamowite, że budzi się na mojej warcie. – Ruszył w stronę swojego stanowiska, ale potem jakby się rozmyślił i podszedł wyściskać Jagę. W swojej ekscytacji przypominał nieco dyrektora.

– No już, już. – Jaga pacnęła go w ramię i wyswobodziła się z uścisku.

– Śpi już prawie tysiąc lat. A teraz my go ululamy! – Klasnęła i zatarł ręce. – Trzeba się dobrze przygotować. Pojutrze moglibyśmy się udać do Krakowa. Marcel, piszesz się, nie? – Podbiegł do niego. – Weź tam jakieś swoje bibeloty do pomocy.

Wiktor niezgrabnymi ruchami poprzekładał część magicznych obiektów, niby czegoś szukając. Zirytowany Marcel odepchnął jego rękę, ale Moras zupełnie się tym nie przejął i dalej gmerał w pudle.

– Może Oskar też da radę i sobie w trójce zapołujemy? – Potarł brodę w zamyśleniu, a na jego twarzy wykwitł przebiegły uśmiech. – Elizaczek lubi smoki, to ją też weźmiemy.

– Co?! Wcale nie! Dlaczego ja?

Poderwała się z miejsca jak wyrwana do odpowiedzi i założyła ręce na piersi, spoglądając na wilkołaka spod byka.

– Bo będziesz mieć największą motywację, by nie doprowadzić do jego wybudzenia.

– To chyba tak nie działa – zauważyła przytomnie.

– Nie bój żaby.

– Ekhm! – Jaga odkaszlnęła sugestywnie.

– Sorki.

– Jeśli mnie weźmiecie, to ja też coś wezmę! Urlop na żądanie!

– Ha! – Moras łapą jak u niedźwiedzia rozczochrał fryzurę Elizy. – Stażyści nie mają takich praw. Czytałaś w ogóle regulamin?

No przecież nie przyzna się teraz, że tylko go przejrzała na szybko! Wyglądała grzywkę, gorączkowo rozmyślając nad wystarczająco silnym argumentem, by zostać w biurze.

– Tylko bym się wam pod nogami plątała. Poza tym, sam nie masz wystarczającej motywacji, by się nie obudził?

– Ja? Hmm... W sumie to mógłbym się z nim zmierzyć!

Napiął mięśnie ramion niczym rasowy kulturysta. Przestał się popisywać, gdy w biurze rozległo się wymowne parsknięcie.

– Nie przechwalaj się, cieniasie – skwitowała złośliwie wiedźma.

– O, ciebie też moglibyśmy wziąć, Jaguś. Na bank smok by cię nie...

– Co by mnie smok nie? Dokończ!

Nie odważył się. Wpatrywał się tępym wzrokiem w koleżankę, jakby usilnie próbował wymyślić dobrą odpowiedź, ale Jaga nie dała mu ani czasu, ani szansy.

– Oby ci dupsko przypalił, palancie! – zawołała z mocą i zabrała się za pakowanie torby w akompaniamencie tłumionych śmiechów Elizy i Marcela. – Mam dość! Spadam do tej pseudohodowli i sprawdzę, czy w pobliżu doszło do zaginięcia.

Wyminęła Morasa, ale niby przypadkiem nadepnęła mu na stopę, nim wyszła, i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

– Auć?! – zawołał za nią i pokręcił głową. – No, to ja, Marcel, Oskar i Eliza...

– A może byśmy Maję wzięli? – zagadnęła lekkim tonem Eliza. Skoro już miała się narażać, to mogła wykorzystać okazję do wprowadzenia w życie planu! – Widziałam ostatnio, co potrafi. Wpłynęłyby nam na smoka, co? – nęciła dalej.

Moras przysiadł na krawędzi swojego stołu i posłał jej nieodgadnione spojrzenie. Niecierpliwie czekała na jego odpowiedź. Zły smok, prawie rycerz i piękna półrusałka... Idealnie romantyczna sceneria!

– Nie, smok wawelski to technicznie smoczyca. Rusałczy urok działa tylko na mężczyzn – wtrącił się Marcel i tym razem to jego miała ochotę udusić. Zaczęła się zastanawiać nad innym powodem, dla którego warto byłoby zabrać Maję, ale wtedy przez drzwi naprzeciwko dumnie wmaszerował Garlicki. Trzymał przed sobą tablicę korkową niczym przedmiot kultu.

– Mam dla panny drobny rekwizyt do wykorzystania przy śledztwie. Będzie mogła sobie panna uporządkować informacje o Panu P.

– Och! Dziękuję!

Pokraśniała. Pomyślano o niej! Teraz naprawdę będzie niczym prawdziwy detektyw.

– Ależ drobiazg, doprawdy. Wiktor, Marcel nie stójcie tak, tylko to powieście.

Polecenie zawisło w powietrzu. Moras ugiął się i ociężałym krokiem podszedł do wampira. Gwałtownym szarpnięciem odebrał od niego tablicę. Dołączył do niego Marcel i wspólnie przyłożyli tablicę do wolnego miejsca na ścianie za biurkiem Elizy. Garlicki założył ręce na piersi i zmarszczył brwi. Ewidentnie nie zamierzał samemu się fatygować – jego rola ograniczyła się do wydawania krótkich komend.

– Za wysoko... I bardziej w prawo. Teraz za nisko. – Przesuwali tablicę po ścianie zgodnie z instrukcjami Garlickiego, ale on wciąż kręcił z dezaprobatą głową. – Czyżbyście to robili specjalnie? Jeszcze odrobinę w lewo. O, tak! Stop! Panno Elizo, czy tak pannie pasuje?

– Może być, dziękuję – odpowiedziała szybko pod wpływem ostrzegawczego spojrzenia Morasa. Wystarczyło. Nie musiał mówić na głos, że jak nie przytaknie, to ma przechłapane.

– Doskonale! Możecie przybijać, panowie.

Marcel przytrzymał tablicę, starając się, by nie zmieniła pozycji, a Moras wyciągnął skądś kilka gwoździków i gołymi rękoma wbił je w ścianę.

– Proszę, Elizaczkę.

– Dzięki!

– Litości! – zawołał nagle Garlicki.

Moras rozłożył szeroko ręce w obronnym geście przed kolejnymi uwagami odnośnie do źle wykonanego zadania, ale wampir nawet nie zwracał na niego uwagi.

– Dlaczego nikt nie poprawił igły? Taki piękny utwór...

Pokręcił z politowaniem głową i podszedł do gramofonu. W biurze znów rozległy się słodkie dźwięki skrzypiec. Eliza, wdzięczna za prezent, nie odważyła

się marudzić nawet w myślach. Co więcej, nuciła pod nosem melodię w trakcie przypinania do tablicy wszystkich zdjęć i urywków, jakie do tej pory zgromadziła na temat Pana P. Poczwała czyjś wzrok na sobie. Odwróciła się i spostrzegła uśmiech samozadowolenia na twarzy Garlickiego. Najwyraźniej w dalszym ciągu liczył, że w końcu wyrobi u swoich kolegów jedyny słuszny gust muzyczny.

Eliza przeszła z mieszkania Kościejowej do Instytutu Absurdu tylko po to, by przenieść się do Krakowa. Przez chwilę wahała się, czy nie pobiec wcześniej do magazynu i nie zabrać ze sobą magicznego aparatu, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Jeszcze by go uszkodziła, a z pewnością ograniczałyby jej swobodę ruchów. Wskoczyła przez wrota naprzeciwko charakterystycznego czerwonoceglastego Barbakanu. Odwróciła się i rozpoznała średniowieczną Bramę Floriańską. Przeszła przez nią i wmieszała się w tłum turystów. Gwarsną ulicę zamknięto dla ruchu kołowego, więc przebywało na niej mnóstwo ludzi. Musiała się przepychać i przeciskać między nimi, ale wypatrując Marcela, mogła przez chwilę nacieszyć się widokami pięknych, zabytkowych kamienic i odsunąć w czasie wyprawę do jaskini smoka. W oddali przed sobą widziała asymetryczne wieże kościoła Mariackiego, a wokół restauracje, kawiarenki i kuszące najróżniejszymi przedmiotami wystawy sklepowe. Z trudem powstrzymywała się przed wstępowaniem do środka. Była w pracy, a nie na wycieczce, jakby to powiedział Feliks. Starła się ignorować dokuczający jej gorąc. Jeśli poranne słońce tak dawało się we znaki, to co dopiero zrobi smok? Myślała, że Moras wyposaży swój zespół w ognioodporne kombinezony i magiczne gaśnice, o ile takie istniały, ale gdy go o to zapytała, zaśmiał się i powiedział, żeby ubrała się normalnie. Może nie brał pod uwagę opcji, że doprowadzą do obudzenia gadziny, więc śmiercionośne płomienie im nie zagrażały? Mimo wszystko wybrała zabudowane adidas za kostkę, długie jeansy i bluzę sportową, żeby mieć jak najbardziej zakrytą skórę. Ulizała włosy i związała wysoko w gładki koczek, aby zminimalizować ryzyko ich podpalenia.

Zatrzymała się gwałtownie, gdy przez chwilę zdawało jej się, że dostrzeże w tłumie sylwetki kolegów z byłej klasy, którzy mogli spędzać tu wakacje. A może umysł płatał jej figle i zwyczajnie ich z kimś pomyliła? Oby! Na wszelki wypadek powinna poprosić Instytut Absurdu o bycie niewidzialną. Tylko tego brakowało, gdyby ktoś ze znajomych zauważył ją w trakcie misji! Nie zaszkodziłoby też przygotować sobie szereg wiarygodnych wymówek... Potrząsnęła głową i ruszyła dalej.

Marcel czekał przy wejściu złożonym z czterech grubych półkolumn, podtrzymujących równie masywny łuk. Na szczycie zamontowano dwa kamienne popiersia. Jedno przedstawiało młodą, znudzoną kobietę, a drugie – naburmuszonego mężczyznę z gęstą brodą. Artysta oddał ich rysy tak, że wyglądali, jak gdyby się na siebie śmiertelnie obrazili. Opuściła głowę i napotkała wzrok młodego inspektora. Gestem dał jej znać, żeby podeszła. Ominęła grupkę turystów podziwiających witrynę jednego ze sklepów i zatrzymała się obok chłopaka. Teraz mogła dostrzec, że bramę za jego plecami zamurowano i otynkowano tak, aby nie wyróżniała się kolorem z elewacji budynku. A już myślała, że przejdą przez nią gdzieś dalej.

– Cześć – przywitał się, taksując ją osobliwym spojrzeniem.

Nawet jeśli zdziwił go jej ubiór, to na szczęście tego nie skomentował. Sam, w szortach i koszulce z logo Avengersów, oczywiście nie wyglądał, jakby miał robić dziś coś niezwykłego. Pewnie znów się wygłupiła, ale tu przecież chodziło o smoka! Jak można podchodzić do tego tak lekko?

– Cześć, a gdzie Moras?

– Na bank się spóźni, jak to on.

Oparli się o kolumny i czekali na kolegę. Eliza obserwowała spacerujących ludzi, ale sama również miała wrażenie, że ktoś się jej przyglądał. Spojrzała do góry. Popiersia nad łukiem miały teraz zupełnie inne wyrazy twarzy. Kobieta przymknęła oczy i zmarszczyła zadarty nos, a mężczyzna wyglądał na zaintrygowanego. Czyżby podobnie jak Malwinka nad portalem Instytutu Absurdu pilnowały wejścia? Ta, na pewno...

– A co w ogóle zamierzamy zrobić z tą smoczycą? – zapytała, ignorując rzeźby.

– Poprosiłem Feliksa o pożyczenie zwoju i zadałem mu pytanie: „Jak uśpić smoka wawelskiego?”.

– O! – wyrwał jej się okrzyk uznania. Nie wpadła na to, by poradzić się wszechwiedzącego zwoju. Dobrze, że Marcel miał głowę na karku. – I co odpisał?

– Jeden wyraz: „Muzyką”.

Wzruszył ramionami, ale na jego twarzy malował się wyraz zawodu.

– Mhm, to bardzo konkretna odpowiedź.

– Taaa... – przytaknął zmieszany, dłubiąc tynk w miejscu, gdzie kolumna łączyła się ze ścianą. – Feliks stwierdził, że zwojowi udzieliła się atmosfera Instytutu i chyba nie zamierza rozwiązywać za nas spraw, jedynie naprowadzać nas na rozwiązanie.

– Cudownie – podsumowała jeszcze bardziej kąśliwie. – Właśnie taki rodzaj pomocy jest najlepszy. – Pokręciła z niedowierzaniem głową i zaśmiała się

nerwowo.

– Spokojnie. Rozmyślałem o tej muzyce i – wyciągnął z plecaka krótką, drewnianą fujarkę – zabrałem ze sobą zaczarowany flet. Ten sam, dzięki któremu szczurołap kontrolował szczury. Jak w tej legendzie, kojarzysz?

Kiwnęła głową, ale nie potrafiła ukryć sceptycyzmu, gdy spoglądała niepewnie na zwyczajny kawałek drewna z nieregularnie wyżłobionymi otworami, który trzymał w ręce. Poza tym, gdzie szczurom do smoka?! Czy to mogło się udać? Zamierzała głośno wyrazić obawy, ale nie dał jej szansy.

– Ale to nie wszystko! – zastrzegł z uśmiechem. – Obawiałem się, że to może być za słaby gadżet, więc kombinowałem dalej i przypominałem sobie opowieść o Orfeuszu. Pamiętasz mit o nim? Miał magiczną lirę, na której zagrał, żeby uspić Cerbera. To ten olbrzymi, trzygłowy pies, strażnik Hadesu.

– I masz tę lirę, tak? – spytała z nieskrywaną nadzieją.

– Prawie. Znajomy antykwariusz magicznych przedmiotów obiecał nam taką załatwić.

– No to już brzmi jak jakiś plan.

Może faktycznie uda się uniknąć starcia ze smokiem? Taka lira to musiała być niezła rzecz! Chciała zapytać, gdzie znajdą wspomnianego antykwariusza, ale zaniemówiła na widok nadchodzącego Morasa. Niczym celebryta z okładek modowych magazynów roztaczał swój urok po całej uliczce. Przy nim ona i Marcel wyglądali jak ubodzy krewni. Mimowolnie poprawiła podwiniętą bluzę i wygładziła włosy. Wilkołak zupełnie nie przejmował się odpowiednim ubiorem na starcie ze smokiem. Jak zwykle założył dopasowaną koszulkę, a bermudy odsłaniały umięśnione, opalone łydki. W bajeranckich okularach przeciwsłonecznych szedł krokiem dostojnym, niczym władca Krakowa. I nie chciał być niewidzialny! Eliza zauważyła, jak kilka dziewczyn ogląda się za nim z zainteresowaniem. Widziała w ich oczach namacalną żądzę... Cholera! Mogła się jednak uprzeć, by wzięli na misję Maję. W takich warunkach to ona nigdy ich nie sparuje.

– A ten to jak się nie wystroi... – prychnął Marcel, ale na tyle głośno, że Eliza go usłyszała.

Wilkołak wyszczerzył ładne, białe zęby w filmowym uśmiechu i pomachał do nich.

– Siema, Młody. Cześć, Elizaczku. Ulala! Nie widziałem cię dotąd w sportowym wydaniu.

– Mhm – mruknęła w odpowiedzi. Co więcej mogłaby dodać? Że też Moras zawsze musiał być taki bezpośredni!

– Sorki za spóźnienie, ale wpadłem na chwilę do Instytutu. Jaga dała nam silny eliksir usypiający, a Pszczółka jakieś sproszkowane ziółka nasenne. Oskar nie

mógł z nami iść. Jakaś pilna sprawa z Hotelem Chafoud. Ale mam od niego mapę pieczar, żebyśmy się nie zgubili, bo o to tam łatwo.

Niesamowite, Moras podszedł poważnie do sprawy! Szkoda, że nie pomyślała i sama nic nie przygotowała. Ale co niby mogła zrobić? Nawet ducha przygody nie zabrała ze sobą... Smok. Naprawdę zamierzała się udać do jaskini smoka. A przecież czytała ostrzegającą broszurę. Marcel i Moras wydawali się tacy spokojni. Na pewno wszystko mieli pod kontrolą? Oby! Chciałaby, żeby dzisiejszy dzień się już skończył, ale jeszcze bardziej wołała zostać tu, pod tą dziwną bramą. Jak brzmiał paradoks oczekiwania na nieuchronną przykrość? Ach! Pragnienie, by jednocześnie miało się za sobą przykre wydarzenie i nie doświadczało go w ogóle. Czekanie w kolejce do dziekanatu nagle wydało jej się dziecięcą igraszką. Trzeba było smoka, by panie z dziekanatu przestały budzić grozę.

– To co, idziemy do tego antykwariatu?

– Nie musimy, jesteśmy na miejscu. – Marcel wskazał zamurowane wejście.

– No tak.

Pacnęła się w czoło. Po takim czasie pracy w Instytucie Absurdu powinna się już tego domyślić.

– Dzień dobry, Apatyno. Cześć, Euforku – powiedział, zwracając się w stronę bramy. – My do pana Arcia.

– Dzień dobry – odpowiedziała smętnym głosem rzeźba kobiety. – Skoro już musisz, to wejdźże. Ale tamtej dwójki nie znam. Potrafią się zachowywać w takim miejscu?

– Przestańże cudować – uciszyło ją popiersie Euforka. – Jesteś niemiła.

Apatyna, nie mając rąk, dmuchnęła na czoło, by poprawić niesforny kosmyk włosów.

– Nie jestem niemiła. Po prostu dbam o nasze...

– Materialistka – przerwał jej, przewracając oczami. – Fajnie, że przyszliście.

– Fajnie – wypluła słowo z odrazą. – Każdego byś tu wpuszczał, nawet największego kocmołucha bez grosza, byle mi na złość zrobić, ciućmoku.

– Dobra, ja tam nie muszę włączyć do środka – wypalił zrezygnowany Moras. – Młody sam to załatwi.

Eliza przestała z zafascynowaniem przysłuchiwać się sprzeczce rzeźb, przypominającej utarczki słowne starego małżeństwa, i zwróciła w stronę Morasa zachmurzoną twarz. Mógł mówić za siebie. Sama miała ogromną ochotę, by zobaczyć niezwykły sklep.

– Widzisz, franco?! Klientów nam odstraszasz. Aż dziw, że jeszcze nie upadliśmy. Zero zmysłu marketingowego. Trzeba iść z duchem czasu...

– Spokojnie. Nie musicie się chamrać – wtrącił się Marcel. – Są ze mną i biorę na siebie odpowiedzialność za ich zachowanie.

Rozłożył ręce w pokojowym geście, a Eliza obejrzała się na ulicę. Ciekawe, czy byli teraz niewidzialni, czy wyglądali jak głąby, rozmawiając z budynkiem? Turyści albo faktycznie ich nie widzieli, albo mieli w nosie, bo bez odrobiny zainteresowania mijali ich trójkę i bramę z ożywionymi popiersiami.

– No dobra. – Apatyna westchnęła przeciągle. – Tylko niech wytrą buty. I nie wolno niczego dotykać bez pozwolenia. I pamiętajcie, żeby...

– Cichożeż bądź! – wrzasnął jej do ucha Euforek, a ona zamrugała gwałtownie. – Śmiało, śmiało. Wchodźcie!

Tynk z zamurowanego przejścia skruszył się i rozpląnął w powietrzu, odsłaniając eleganckie, szklane drzwi. Nad nimi Eliza zauważyła gustowny szyld: „Magiczny Antykwariat Rylskich, od 1813 roku”.

– Ech! Magiczny Kraków. – Marcel mrugnął porozumiewawczo do Elizy i otworzył drzwi, wpuszczając ją do środka.

Uruchomił przy tym mosiężny dzwoneczek, którego delikatny dźwięk rozbrzmiał w pomieszczeniu. Wnętrze antykwariatu nie grzeszyło przestronnością, a w dodatku przeładowano je najróżniejszymi, poustawianymi wszędzie sprzętami. Eliza bała się wręcz oddychać czy gwałtowniej poruszyć, żeby czegoś nie stracić i zepsuć. Z daleka zerkała do wnętrza szklanych gablot pełnych kunsztownej biżuterii. Wysokie do sufitu regały wypełniały fajansowe figurki, grube, stare tomiszczą i dziwaczne, skomplikowane urządzenia, które pykały, stukały lub dzwoniły, ale nie wiedziała, co dokładnie robią i do czego służą. Nic dziwnego, że Apatyna przeprowadzała ostrą selekcję wstępną. Biednej stażystki pewnie nie byłoby stać na zakup czegokolwiek w takim miejscu.

Odwróciła się w stronę gabloty pełnej mieniących się kolorami tęczy kamieni szlachetnych i uderzyła plecami o czyjś tors. Wybąkała pośpieszne przeprosiny i zerknęła za siebie. Zobaczyła zmizerniałego mężczyznę w mocno znoszonym garniturze, za dużym o co najmniej dwa rozmiary. Mimo to założyła, że nieznajomy, choć wyjątkowo wątlej postury, okazałby się równie wysoki jak Moras, gdyby tylko tak bardzo się nie garbił. Jasne oczy jak dwa szklane paciorki przewiercały Elizę na wylot, aż poczuła się nie na miejscu. Chyba wciąż za bardzo wyróżniała się w magicznych miejscach jako zwykły człowiek. Dostrzegła jeszcze, jak ukradkiem wsunął do kieszeni spodni złoty pierścień z rubinem i wyszedł z antykwariatu. Nie uznałaby go za osobę mogącą pozwolić sobie na zakup takiego cacka, ale skoro Apatyna go przepuściła... Eliza przerwała rozmyślenia, gdy z zaplecza wyszedł niski, starszy pan w białym fartuchu roboczym. Zsunął z siwych, ulizanych włosów okrągłe okulary

w złotych oprawkach, usadził je na bulwiastym nosie i uśmiechnął się przymilnie do gości.

– Witam, witam. – Skłonił się kurtuazyjnie. – Aureliusz Ryłski.

– Dzień dobry – odparł Marcel i podszedł do lady. – Przyszedłem po lirę, tak jak się umawialiśmy. Ma ją pan, prawda?

– Och! Tak! Oczywiście, że mam. Ale wy też macie coś ciekawego, prawda? Słyszałem, że udało wam się odzyskać zwój Twardowskiego. – Uśmiechnął się chytrze, a ton jego głosu zdradził, co dokładnie miał na myśli.

Eliza zaobserwowała całkowitą zmianę wyglądu antykwariusza. Zniknął miły dziadek, zastąpił go cwany biznesmen.

– Nie jest na sprzedaż – uciął od razu Marcel.

– Szkoda. Drogo wyjdzie wam kupno liry. Niełatwo było ją zdobyć.

Staruszek odwrócił się do nich plecami, schylił się i wykręcił szyfr na kłódce sejfu. Eliza spodziewała się zobaczyć finezyjnie wykonany instrument ze złota, ale staruszek wyciągnął niepozorną skorupę żółwia z umocowanymi do niej łukowato wygiętymi rogami antylopy połączonymi ze sobą poprzeczką, do której przymocowano kilka lśniących strun. Przeciągnął po nich palcem i we wnętrzu rozległ się przyjemny dźwięk. Moras stojący za plecami Elizy drgnął, a ona zmieniła zdanie. Również była pod wrażeniem liry Orfeusza.

– Niewiarygodne, ile ze mnie zdarł! I to tylko za samo wypożyczenie! – marudził Marcel, trzymając opiekuńczo w ramionach plecak, do którego schował lirę.

– Trzeba się było lepiej targować.

Moras zamknął za nimi drzwi. Nieruchome popiersia Apatyny i Euforka wpatrywały się pustym wzrokiem w ludzi spacerujących po Floriańskiej.

– To mogłeś mu pomóc. – Eliza poczuła się w obowiązku bronić kolegę.

– A co, to moje fundusze? – Wiktor wyszczerzył się, a Marcel prychnął dosadnie i założył plecak na ramiona. Nie odezwali się więcej.

– To gdzie teraz? Na Wawel? – zagadnęła ich po chwili.

– Na Wawel. Pójdziemy Drogą Królewską na zamek. Właśnie tą trasą wkraczali monarchowie na koronac...

– Dobra, dobra. Już. Nie popisuj się, Młody.

Marcel stłumił syknięcie, gdy Moras klepnął go niby przyjaźnie w bark. Podniósł rękę z zamiarem roztarcia ramienia, ale opuścił ją, gdy zorientował się, że przykuł uwagę Elizy. Posłał jej zmieszany uśmiech i udał, że uderzenie w ogóle go nie zabolowało.

– Uhm, tędy. – Wskazał na rynek w oddali.

I właśnie dlatego coraz bardziej kochała swoją pracę! Jednego dnia siedziała nad kolejnymi raportami dla inspektorów, ale drugiego spacerowała krakowskimi uliczkami, podziwiała wysokie wieże kościoła Mariackiego i słynne Sukiennice. Gdyby tylko nie ten smok... Potrząsnęła głową. Niepotrzebnie martwiła się na zapas. Miała przed sobą dwójkę doświadczonych pracowników Instytutu Absurdu, prawda? Odwróciła się w stronę Marcela, który chyba nie mógł się powstrzymać i wyskoczył z kolejnymi ciekawostkami na temat Krakowa, a potem wskazał, w której mniej więcej części miasta mieszka. Moras wzdychał i wywracał oczami.

– Idę sobie kupić obwarzanka, Elizaczku. Też chcesz?

Zwiął, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Najwyraźniej miał już dość gadaniny Marcela. No tak, niełatwo przychodziło mu dzielenie się byciem w centrum uwagi. Obserwowała, jak podchodzi do wózka z obwarzankami. Zatrzymał się w wyszukanej pozie eksponującej atrakcyjną sylwetkę i za chwilę został zaczepiony przez grupkę ładnych, rozchichotanych dziewczyn.

– Świetnie, jeszcze selfie sobie robią. Co za... – Zmęła w ustach przekleństwo.

Marcel usłyszał to, zatrzymał się i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Chyba nie jesteś zazdrosna o Morasa?

– Co? Nie, po prostu zachowuje się jak palant.

– A, nic nowego. – Pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech. – Niech ma swoje pięć minut. Tak jak rycerz, co przed wyruszeniem w bój szukał damy serca.

Ale już mu znalazła odpowiednią damę! Skrzywiła się i powiedziała:

– Przecież nie będzie się bił ze smokiem. Ma go przekonać do dalszej drzemki.

– No jak się nie uda uspić pokojowo, to trzeba będzie go znokautować... Żartowałem! – dodał szybko na widok zdumionej miny Elizy.

Uradowany i nieznośnie pewny siebie Moras wrócił do nich, opychając się pieczywem. Skręcili w Grodzką, a tuż obok przejechała biała dorożka zaprzęzona w parę karych koni. Jak w bajce! Eliza chłonęła piękne widoki urokliwej ulicy. Jak cudownie...

– Paczcie państwo! Wreszcie się ta do roboty wzięli.

Ciarki przebiegły Elizie wzdłuż kręgosłupa. Ten głos! Piskliwy, roszczeniowy, nie do pomylenia z innym. Zerknęła za siebie i zderzyła się z chmurnym obliczem wiedzmy Smysławy. Dobry humor przepadł momentalnie.

– Dzień dobry – przywitali się zgodnie, ale niezbyt radośnie.

– No, no, no. – Wiedźma machnęła na odczepnego ręką. – W końcu zem siem doczekała. Instytut już dawno powinien się zająć sprawo. – Zmarszczyła brwi i przyjrzała się uważnie najmłodszemu pracownikowi, jak gdyby dopiero teraz ich

zauważyła. – Ale! Ale! Drogi Wikusiu, po coś ty te beztalencia ze sobą zabrał? Tylko się bedo pod nogami plątać.

Eliza zatrzęsała się z oburzenia, ale odruchowo odskoczyła do tyłu, gdy wiedźma sięgnęła do torby. Na szczęście wyciągnęła z niej tylko zwyczajną portmonetkę, choć wymięty, pokryty rdzawymi plamami materiał sugerował, że staruszka nie obchodziła się łagodnie z przedmiotem. A czy dla kogokolwiek była miła? Setki złośliwych myśli przebiegały Elizie przez głowę. A żeby jej tak gołąb narobił na głowę! A żeby się zakrztusiła czerstwym preclem! A żeby spadła z miotły! Zachowała je jednak dla siebie, podczas gdy Marcel nie powstrzymał się od komentarza.

– Co za raszpla – burknął ledwie słyszalnie.

– Mają okazję, to się uczą od najlepszych – zwrócił się do wiedźmy Moras i posłał jej szelmowski uśmiech. – Spokojnie, pani Smysławo, nad wszystkim panuję.

– Niech ci będzie, Wikusiu. Ty wiesz najlepiej. Nie zatrzymuje ciem dłużej. Ja tu jeszcze zakupy muszem zrobić.

Pomachała mu w taki sposób, żeby pozostała dwójka pracowników Instytutu Absurdu nie miała najmniejszych wątpliwości, że została zignorowana, i przyjazny gest nie był w żadnym wypadku przeznaczony dla nich. Eliza powiodła wzrokiem za kwiecistą chustą zawiązaną na głowie wiedźmy, aż zniknęła w szarym tłumie. Odetchnęła z ulgą. Po takim spotkaniu smoczyca chyba nie będzie gorsza? Stojący przy niej Marcel otrząpał się i przyśpieszył wymarsz, ale Moras wołał się ociągać. Eliza postanowiła wlec się razem z nim.

– Wikusiu? – Zerknęła na niego psotnie. – To już chyba wolę być beztalenciem.

– Daj spokój, Elizaczku. Nie słuchaj tego babska. Dobrze poradziłaś sobie w Białymstoku – pochwalił szczerze. – A wiesz, że wilkołaki z północnego wschodu każdej pełni spotykają się w Puszczy Białowieskiej?

– Och!

Jak to dobrze, że szkółkę Leszego zwiedzili za dnia! Zadrzała na myśl o przerażającej Biedzie. Zgraja wilkołaków na dokładkę byłaby już przesadą.

– A tak właściwie... Jak to jest być wilkołakiem, dobrze? – zagadnęła po chwili.

– Zarabicie, tylko kleszcze wkurzają. Potrafią wybrać naprawdę ciekawe miejsca, żeby się wbić.

Znacząco poruszył brwiami, a Eliza nie powstrzymała się i zachichotała. Uspokoila oddech, starając się nie myśleć, jakie dokładnie części ciała miał na myśli, aby głupio się nie zarumienić.

– Dobra. Kleszczy nie lubisz. A jak jest z innymi... No, że nie ze zwykłymi ludźmi? Bo z wampirami to już wiem, że wilkołakom tak średnio po drodze. A więdźmy?

Przystanął i założył ręce za głowę. Zmarszczone czoło zdradzało, że głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Hmm... Głównie spoko, nawet się lubimy z więdźmami. Nie patrz na mnie i Jagę, bo my to zupełnie co innego. No i Smysławcy nikt nie lubi, ale to już wiesz dlaczego.

– Aha, a rusałki?

– A rusałek to nie cierpię, bo to są straszne... Kokoty – wypalił bez ogródek.

Przecucie Elizy zasygnalizowało, że chciał użyć dużo gorszego określenia. Na chwilę zaniemówiła załamana. Czyżby się pomyliła w ocenie? Niemożliwe...

– No coś ty! Przecież Maja nie jest żadną kokotą.

– Całe szczęście! Nie jest w pełni rusałką. Gdyby objawił się u niej stuprocentowy rusałczyzm, to matka by ją zostawiła przy sobie, a nie oddała ojcu.

– Och! To na takiej zasadzie działa... Biedna Maja – dodała, dziękując w myślach za swoją nadopiekuńczą mamę.

Moras pokiwał ze smutkiem głową, a w Elizie odżyła nadzieja. Ha! Czyli jednak przejmował się Mają. Nie myliła się! Trzeba tylko skłonić go do działania...

Nie dopytywała już o bycie wilkołakiem i w ciszy, przerywanej jedynie sporadycznie anegdotkami Marcela, dotarli pod Wzgórze Wawelskie. Przeszli wzdłuż murów obronnych wprost do Smoczej Jamy. Eliza tęsknym wzrokiem objęła Zamek Królewski. Zamiast zwiedzać perłę architektury, zgodziła się udać w odwiedziny do niebezpiecznego, legendarnego gada. Czyste szaleństwo! Moras zamaszystym ruchem zdjął okulary i zaczął je o kołnierzyk koszulki. Rozluźnił mięśnie karku, ramion, a potem wyłamał palce tak, że wydały charakterystyczne, niezbyt przyjemne trzaski. Marcel przewrócił wymownie oczami i został za to popchnięty przez starszego kolegę do zakratowanego wejścia.

– Elizaczku, chodź.

– Przecież to wyjście. Powinniśmy wejść przez...

– Spokojnie, nikt już nas nie widzi. – Moras uciszył ją machnięciem ręki i rzeczywiście, grupki turystów w ogóle nie reagowały na ich zachowanie. – Idziemy na skróty.

Zawahała się, obserwując, jak plecy inspektorów znikają w jamie. Obróciła się za siebie i dokładnie w tym momencie rzeźba z brązu, przedstawiająca wyobrazenie smoka, zionęła ogniem. Tak, to musiała być zapowiedź czegoś

niefajnego. Wzięła głęboki oddech, po czym weszła do środka i od razu przystanęła za plecami inspektorów. Wpatrywali się w jedną ze ścian jaskini, mocno wyżłobioną przez ściekającą wodę, i czekali, aż zwiedzający opuszczą pieczarę. Nim pojawiła się kolejna grupka turystów, Moras wyciągnął z kieszeni mapę od Oskara. Przejechał palcem po rysunku i odnalazł na skale niewielki otwór. Dał znać Marcelowi, który ściągnął z szyi łańcuszek. Końcówka cudoklucza dopasowała swój kształt do dziurki i Marcel przekręcił go w zamku. Fragment ściany zdrzął i odsunął się, odsłaniając ukryte przejście. Otoczyły ich kłęby ciepłego, drażniącego nos dymu, które się z niego ulotniły. Moras ruszył do przodu i zniknął przysłonięty warstwami oparów. Eliza zrobiła krok do przodu, ale zaraz się cofnęła. Okropny odór! Zakaszła i schowała twarz w rękaw bluzy.

– Eliza, dawaj – pośpieszył Marcel.

Wskoczyli do tajemnej pieczary, a Moras zasunął za nimi głaz. Zapanowała całkowita ciemność. Sekretna trasa, w przeciwieństwie do części dla zwiedzających, nie miała zamontowanego oświetlenia. Eliza usłyszała, jak Marcel rozpina plecak. Wręczył każdemu po latarce i po chwili trzy snopy światła nieco rozjaśniły pieczarę. Całe szczęście, że o wszystkim pamiętał!

– Prawdopodobnie jesteśmy pierwszymi śmiałkami, którzy odważyli się tu zajrzeć od setek lat – poinformował.

– Super – odparli równocześnie Moras (entuzjastycznie) i Eliza (ponuro).

Mroczne tunele, przechodzące przez kolejne komory, obfitowały w dziwnie uformowane wypusty i zagłębienia skalne. Dziewczyna ciągle musiała uważać, by nie oberwać w głowę czy ramię albo nie wpaść w jakąś szczelinę. W ciemnościach słabe światło laterek rzucało na ściany przerażające cienie, które jeszcze bardziej działały na wyobraźnię. Ze stropu kapła im na głowę zimna woda, tworząca na dnie jaskini liczne kałuże, w które stażystka próbowała nie wdepnąć. Panowała wszechogarniająca cisza, nie licząc rytmicznego odgłosu spadających kropeł i chrzęszczenia butów na podłożu. Echo stąpień odbijało się od ścian. Starła się stawiać jak najcichsze kroki, ale inspektorzy zupełnie nie zwracali sobie czymś podobnym głowy. Była pewna, że jeśli smoczyca wciąż spała, to zaraz sami ją obudzą.

Eliza pomyślała, że jaskinie to koszmar, a te skrywające smoka wylądowały na szczycie jej osobistej listy miejsc, których należało unikać. Pozwoliła kolegom iść z przodu, a sama najchętniej dyskretnie by związała. Niestety słusznie się obawiała, że teraz nie trafiłaby do wyjścia. Trasa wytyczona na mapie Oskara była niczym labirynt, chociaż podejrzewała, że smoczyce daliby radę znaleźć bez niej – wystarczyło podążać za rosnącym stężeniem dymu. W jednym miejscu nagromadziło się go tyle, że stażystkę zapiekły oczy i rozkaszała się.

Plusem był przyjemny chłód panujący w plątaninie korytarzy, chociaż stanowił dość marne pocieszenie w obliczu perspektywy usmażenia przez smoka. Eliza cieszyła się, że jednak włożyła bluzę. Marcel co chwilę wzdrygał się i pocierał ramiona, jakby dostał gęziej skórki, tylko gorącemu Morasowi nie przeszkadzało zimno – albo dobrze udawał. Podczas przeprawy przez korytarze przypomniał sobie o swojej roli mentora i nadrabiał zaległości. Wykładał informacje o smokach, a Marcel nie powstrzymywał się przed poprawianiem go, co wyraźnie irytowało specjalistę od Kłopotliwych Kreatur.

– Ta smoczyca to prawdziwa bestia. Ma jakieś dwadzieścia metrów – przekazał Elizie z zachwytem.

– Niewiele ponad dziewiętnaście – uściślił Marcel.

Moras przemilczał wtręt wszechwiedzącego kolegi i kontynuował:

– Mówi się, że jadała dziennie równowartość swojej wagi.

– Połowę równowartości – poprawił go kolejny raz chłopak. – Te opisy i legendy są przesadzone.

– Zapadła w coś w stylu snu zimowego i może tak spać tysiące lat. Lepiej, żeby się nie obudziła w najbliższym czasie.

– Ale prędzej czy później chyba będzie musiała się obudzić. Choćby po to, żeby coś zjeść – zauważyła Eliza.

– No, a naszym zadaniem jest, żeby to było później niż prędzej, Elizaczk. Przyszłe pokolenia będą się martwić, co z nią zrobić, jak już się na dobre rozkręci.

Cóż za krótkowzroczne podejście! Zamierzała na głos zwrócić uwagę, jak nieodpowiedzialnie podchodzili do sprawy, ale Moras nie dał jej dojść do słowa i podjął na nowo przyśpieszony kurs smokoznawstwa.

– Bliżej pieczary nie odzywamy się bez powodu. Smoki rozumieją naszą mowę, ale są zbyt dumne, by się z nami komunikować. – Podzielił się kolejnymi informacjami profesorskim tonem, który zupełnie do niego nie pasował. – Wiesz, jakiego słowa nie powinno się wypowiadać przy smoku?

– Dracarys?

– Bardzo zabawne, Elizaczk, ale nie. Prawidłowa odpowiedź to...

– Złoto. – Marcel wszedł Morasowi w słowo, za co został zgromiony wzrokiem. – Przepraszam, już nie będę przerywać.

– Tak, złoto... – Wiktor urwał, jakby zgubił wątek, ale po chwili dodał: – Smoczyca mogłaby się za bardzo zainteresować albo wkurzyć, bo pomyśli, że chcemy je zabrać. W miarę możliwości staramy się nie dotykać ani nawet nie patrzeć na jej skarby.

– Skarby?! Zgromadziła sobie skarby?

Z wrażenia omal nie wypuściła latarki. Jaskinia pełna kosztowności! W końcu wyprawa zaczęła jej się podobać!

– Jak to smok. – Moras wzruszył ramionami. – Tylko pamiętaj, niczego nie tykamy. A już na pewno niczego nie zabieramy ze sobą.

Spojrzał na nią z tak poważną miną, że w mig pojęła jego nastawienie. Nie żartował.

– Tak jest, panie inspektorze – powiedziała, siląc się na lekki ton.

Mogła się tego spodziewać! Miała ryzykować życie, by uśpić smoka i nie dostać w nagrodę choćby jednej złotej monety złupionej przez tego potwora. Typowe.

– No, to rozumiem! Jesteśmy prawie na miejscu.

Zadrżała na te słowa. Prędzej czy później musieli dotrzeć do smoka, ale jak można było się na coś takiego przygotować? Mogłaby w nieskończoność błąkać się korytarzami, a i tak nigdy nie znaleźć w sobie odwagi do stawienia czoła zadaniu, jednocześnie pragnąc, by mieć je jak najszybciej za sobą. Taaak, paradoks oczekiwania na nieuchronną przykrość...

– Ja jestem królem spod góry! – zawołał upiornie Marcel, szturchając Elizę w bok, chcąc zapewne dodać jej otuchy.

– Chyba królową – sprostowała, ale podjęła grę: – Ja jestem ogień, ja jestem... śmierć!

Moras tylko uśmiechnął się pod nosem i dał im znać, by weszli do środka. Eliza przystanęła przy wylocie z pieczary. Snop światła od razu natrafił na cel misji. Nie, nie da rady. Nie zrobi kolejnego kroku.

Smoczyca spała zwinięta w kłębek niczym pies rozmiarów budynku jednorodzinnego. Ledwie mieściła się pod wysokim stropem. Jej cielsko pokrywały lśniące na ciemnozielono łuski i przylegała do niego para złożonych skrzydeł przypominających te u nietoperzy. Jeszcze na dobre się nie obudziła, ale co jakiś czas z jej nozdrzy wylatywała smużka dymu. Kilka razy zachrapała potężnie, a warkot wstrząsnął całą pieczarą.

Nagromadzone przez smoczycę bogactwo mieniło się w świetle latarek. Eliza pochłaniała wzrokiem widok rozsypujących się stosów złotych monet, kosztownej biżuterii i klejnotów koronnych – ogromnych szafirów, rubinów, szmaragdów i diamentów. Odważyła się przekroczyć wejście do pieczary, ale wciąż pozostawała we względnie bezpiecznej odległości, schowana za plecami inspektorów.

Moras zerknął na mapę Oskara, a następnie poświecił latarką po ścianach groty.

– O, jest! Magiczna pochodnia!

Wyciągnął zapalniczkę i podpalił głównię, a kolejne, zamocowane co kilka metrów, zapaliły się samoczynnie i rozświetliły jaskinię ciepłym blaskiem. Jedna ze ścian wyglądała na dawny, olbrzymi otwór, zasypyany przez różnego rozmiaru fragmenty skał zazębiających się ze sobą. A więc to takim cudem Dratewka zmieścił smoczycę do jamy niewiele większej od niej! A co, jeśli się obudzi? Miałyby na tyle siły, by utorować sobie wyjście na zewnątrz i spopielić cały Kraków?

Marcel bezszelestnie zdjął plecak i wyciągnął z niego flet. Podkradł się bliżej smoczycy i zagrał prostą melodię. Nie podziałało, a ciało bestii poruszało się we śnie coraz wyraźniej. Przepłoszył za to małą, białą myszkę, która zamiast posłuchać zaczarowanego fletu, uciekła w stronę wyjścia z jaskini.

– Co za badziew! – Moras parsknął śmiechem. – Dawaj lepiej tę lirę!

Eliza chciała go upomnieć, żeby zachowywał się ciszej, ale głos zamarł jej w gardle. W tym czasie Marcel znów sięgnął do plecaka. Chwycił lirę i szarpnął za struny. Nigdy nie słyszała wspanialszej muzyki. Aureliusz Rylski twierdził, że instrument został zaczarowany i grający na niej nie musiał w ogóle ćwiczyć albo być uzdolnionym muzycznie, by brzmieć jak wirtuoz. Orfeusz okazał się oszustem.

– Kurczę! Nie działa. Smok wygląda na bardziej rozbudzonego – zauważyła ze zgrozą, gdy ogon smoczycy poruszył się gwałtownie. – Co jest?!

Odkoczyła na bok, gdy stojący przed nią Moras nagle zwałił się tuż pod jej nogami.

– Oj!

Usłyszała speszony głos Marcela. Odwróciła się w jego stronę.

– Oj?! Marcel, co się dzieje? Dlaczego Moras zasnął, a smok nie?

Zaniepokoiła ją nietęga mina kolegi. Przez moment pomyślała, że chyba zamierzał ze złości rozwalić lirę, ale powstrzymał się, kurczowo zaciskając palce na rogach instrumentu.

– Widocznie lira działa tylko na psowatych. Nie pomyślałem o tym – dodał zawstydzony.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem, kilka razy bez słowa otwierając i zamykając usta, nim zdołała wykrzyknąć:

– Chyba sobie żartujesz!

Zasłoniła dłońmi usta i posłała złęcznione spojrzenie w stronę smoczycy. Uff! Wciąż spała. Eliza odetchnęła głęboko. Wplotła palce we włosy i szarpnęła. Nie, jej akurat to się nie śniło.

Przykucnęła przy śpiącym inspektorze. Chwyciła go za umięśnione ramiona i potrząsała nim energicznie. Na nic, nie zdołała go obudzić. Co gorsza, wciąż śpiąc, zagarnął ją do siebie i przytulił. Poczowała bijące od niego ciepło, a przez

mocny uścisk coraz trudniej przychodziło jej oddychanie. Marcel z trudem odciągnął jego rękę i pomógł Elizie się uwolnić. Niczym niewzruszony Moras przewrócił się na wznak, by po chwili zacząć donośnie chrapać.

– Ile to będzie działać? – spytała, rozglądając się panicznie po pieczarze. Naiwnie liczyła, że wypatrzy cokolwiek, co mogłoby im pomóc, ale nic się nie nadawało. Przecież nie podpali Morasa magiczną pochodnią!

– Nie wiem, ale na bank za długo. Patrz!

Smoczyca leniwie otworzyła ogromne, żółte ślepia o wąskich, pionowych źrenicach. Jej wzrok momentalnie oprzytomniał, gdy spostrzegła intruzów. Eliza zastygła w bezruchu pod wpływem pełnego nienawiści spojrzenia. Gadzina prychnęła i z jej nozdrzy buchnęły kłęby ciemnego, gryzącego dymu. Zamierzała ich spalić żywcem, nie było co do tego wątpliwości. Eliza zacisnęła powieki, a gdy nic się nie wydarzyło, rozchyliła je ponownie. Mieli ogromne szczęście, że smoczyca okazała się zbyt rozespana, by efektywnie zareagować. Zawarczała na nich i ryknęła, ale z jej paszczy wydobyło się tylko kilka słabych płomieni, które zgasły, zanim do nich doleciały. Kilka razy odkaszlnęła, co brzmiało, jakby się wręcz dławiła. Przynajmniej na razie nie była w stanie porządnie ziać ogniem! Eliza odzyskała na tyle zimnej krwi, by podjąć jakiegokolwiek działanie. Razem z Marcelem złapali nadal śpiącego Morasa za nogi i z trudem przeciągnęli go po podłożu. Niechcący zahaczyli o większy stos usypanych skarbów i szkatułka z biżuterią oraz kilka złotych pucharzków spadły śpiącemu na głowę. Eliza modliła się, by nie nabiły mu guza. Miłość własna Morasa mogłaby im tego nie darować.

Skryli się za występem skalnym i oparli nieprzytomnego inspektora o ścianę. Obok niego Marcel złożył swój plecak, do którego schował bezużyteczną lirę Orfeusza. Dochodziły do nich gniewne pomruki smoczycy, która zapewne zdenerwowana niedyspozycją postanowiła wykorzystać inną broń ze swojego repertuaru. Wymachiwała na boki ogonem pokrytym gęsto kolcami długości ludzkiej ręki. Rozsierdzone, ale nadal otumanione snem zwierzę miało jednak problem z celowaniem. Jej ofiarą kilkakrotnie padły stosy zgromadzonych skarbów. Burząc je, wywoływała deszcz złotych monet, na który Eliza starała się nie zwracać uwagi. Trafiając w ściany, kruszyła fragmenty skał. Sufit jaskini drżał przy każdym uderzeniu, osypując im na głowy pył. Ogromny rozmiar bestii przewrotnie okazał się korzystny dla pracowników Instytutu Absurdu. W ciasnej jaskini, wśród zalegającego wokół niej bogactwa, gadzina miała małe pole manewru.

– Trzeba czegoś spróbować, bo za chwilę wszystko rozwali i będzie nie do zatrzymania – zauważył niewesoło Marcel.

Pochylił się nad Morasem i przeszukał jego kieszenie. Wyciągnął z nich granatowy eliksir Jagi i woreczek z mieszanką sproszkowanych roślin nasennych od Mai. Przez chwilę przyglądał się obu znaleziskom i w końcu podał Elizie butelkę.

– Ty pierwsza.

– Oczywiście. – Wzniosła wymownie oczy do sufitu.

Wychyliła się zza skały na tyle, by ocenić sytuację. Smoczyca stała odwrócona tyłem. Dziewczyna widziała jej masywny grzbiet, który istota z trudem unosiła na zastałych nogach. Złożone skrzydła zahaczały o sklepienie, a kolczasty ogon szorował podłoże. Eliza obserwowała jego ruch. Nadzieje się jak szaszłyk albo da radę, nie ma innej opcji! Zacisnęła zęby, a jeszcze mocniej palce na butelce. Odliczyła w myślach do trzech. Podniosła się niczym sprinter gotowy do startu i podbiegła bliżej, uważając, by nie potknąć się o porozrzucane skarby smoczy. Zatrzymała się i myślami wróciła do Jagi i tego, jak użyła eliksiru na olbrzymie Janusza. Też tak potrafiła! Zamachnęła energicznie ręką, wycelowała i puściła butelkę. Szkło rozprysło się na twardym pancerzu zwierza.

Puff!

Eliksir wybuchł. Gęste, granatowe opary zebrały się wokół smoczy, a ta zakołysała się sennie i przewróciła z hukiem na ziemię.

Marcel wybiegł z kryjówki. Wyprzedził Elizę i zatrzymał się tuż przed śpiącą bestią. Sięgnął do woreczka i sypnął garść ziół wprost w jej nozdrza. Zaciągnęła się i kichnęła przez sen, wytwarzając tym wokół siebie deszcz iskier. Jedna z nich spadła inspektorowi na ubranie.

– No, chyba się udało – powiedział z nieukrywaną dumą, przyklepując spodnie w miejscu, na które spadł płomyk. – Daliśmy radę bez Morasa, więc tym razem nie przypisze sobie wszystkich zasług.

Urwał, gdy za jego plecami rozległo się donośne warczenie.

Chwycił Elizę za rękę i odciągnął na bezpieczną odległość. W ostatniej chwili umknęli przed strumieniem słabych płomieni, które zdołały jednak osmalić podłoże w miejscu, gdzie przed chwilą stali. Znów schowali się przy śpiącym jak małe dziecko Morasie. Eliza potrząsnęła nim kolejny raz, ale nie zdołała go obudzić. Stłumiła chęć krzyku, gdy dobiegł ją ryk smoka.

– Niedobrze. Próbuje się odwrócić tak, by móc sięgnąć paszczą do naszej kryjówki – poinformował dziwnie zamyślony Marcel.

– To co, robimy odwrót? – zagadnęła go. – Jakoś zaciągniemy Morasa do portalu, nie? Sprowadzimy posiłki. Sami nie damy rady.

– Musimy dać radę, nie mamy wyjścia. Zanim byśmy wrócili, to smok zdążyłby się wydostać. A wtedy nic go już nie powstrzyma.

– No to co proponujesz?

– Musimy przeszukać jaskinię – westchnął ciężko. – Dratewka na pewno zostawił gdzieś tu zapiski o tym, jak uśpił smoka.

Eliza zamrugwała. Czyżby się przesłyszała? Istniały zapiski z rozwiązaniem problemu?!

– Dlaczego nikt wcześniej o tym nie pomyślał i nie poszukał ich, kiedy smok wciąż spał? – zapytała nieco napastliwie, nie potrafiąc ukryć irytacji w głosie.

– Mówisz, jakbyś nie mieszkała w tym kraju. Tutaj zawsze robi się wszystko na ostatnią chwilę, jak już się zaczyna walić – wyjaśnił cierpliwie.

– Myślałam, że absurdalność Instytutu powinna skutkować tym, że w tej pracy będzie na odwrót i wszystko się wcześniej planuje z głową – burczała pod nosem, ale Marcel już jej nie słuchał.

Znalazł szczelinę w skalnym występie, za którym się skryli. Eliza dołączyła do kolegi i spojrzała przez nią. Mogła ogarnąć spojrzeniem całą pieczarę. No, mogłaby, gdyby sporej jej części nie zajmowała rozwścieczona smoczyca. Marcel bez słów wskazał Elizie miejsce na ścianie tuż za bestią. Znieruchomiała, a zimny pot wystąpił jej na czoło. W słabo oświetlonej jamie nie widziała wrytego podpisu zbyt wyraźnie i początkowo pomyślała, że to znów Pan P. zostawił swój znak. Przetarła oczy i wyteżyła wzrok. Wyżłobione litery ułożyły się w napis: „Dratewka”.

– Myślę, że tam mogą być instrukcje od Dratewki – szepnął jej na ucho Marcel. – Trzeba ominąć smoka i zakraść się w tamto miejsce.

– Och, świetnie! Jak?

– Odwróć uwagę smoczycy, a ty szybko przemkniesz pod jej brzuchem i zobaczysz, co tam zostawił Dratewka.

Nie była pewna, czy bardziej ma ochotę się roześmiać, czy jednak upomnieć Marcela za brak powagi w takiej chwili. Śmiech i słowa utknęły jej w gardle, gdy przyjrzała się uważnie twarzy inspektora i temu, jak marszczy brwi w wyrazie pełnego skupienia. On wcale nie żartował...

– No chyba zwariowałeś!

– Wolisz się zamienić rolami? – Posłał jej wymowne spojrzenie.

– Nie.

– No właśnie.

Uśmiechnął się pokrzepiająco, ale to wcale nie pocieszyło Elizy. Z powątpiewaniem obserwowała, jak sięgał po porzucony hełm i napierśnik jakiegoś przedwiecznego śmiałka. Sądząc po osmaleniach i śladach pazurów, raczej nie zostawił ekwipunku, by móc szybciej uciec. Znalezione fragmenty zbroi okazały się za duże na takiego chuderlaka jak Marcel. Wyglądał komicznie, ale w obecnej sytuacji Eliza nie odważyła się na uszczypliwość. Sama również

złapała podobne nakrycie głowy. Opadło jej na oczy, więc musiała przytrzymać je ręką.

Marcel dał jej znać i pobiegł w stronę smoczyca, wymachując nadpaloną tarczą. Eliza jęknęła w duchu. Chyba musi porozmawiać z dyrektorem o jakiejś podwyżce albo dodatku za szkodliwe warunki pracy... Parsknęła z irytacją. O czym ona w ogóle rozmyślała? Oczyszczyła umysł z niepotrzebnych myśli i wmawiając sobie, że pomysł Marcela wypali, wystartowała. Skupiła się tylko na tym, by jak najszybciej dobiec we wskazane miejsce. Po drodze unikała wszelkiego złota. Nie chciała dodatkowo prowokować i tak już wkurzonej smoczyca. Starła się je omijać, nawet nie patrzeć na złoto. Miała ułatwione zadanie, bo odnosiła wrażenie, że pod wpływem ogromnej adrenaliny nie widzi niczego poza swoim celem, a dochodzące do niej dziwne dźwięki są przytłumione. Założyła, że to pewnie Marcel hałasował, by zająć czymś smoczyce... I chyba działało.

Przystanęła w ostatnim momencie, gdy najeżony kolcami ogon świsnął jej tuż przed nosem. Ominęła masywne łapy zakończone potwornie długimi i ostrymi pazurami, by wbiec pod brzuch gadziny. Gdy znalazła się w najbezpieczniejszym miejscu w jaskini – o ile smoczyca nie postanowiłaby się nagle położyć – mogła chwilę odetchnąć. Mieniące się odcieniami głębokiej zieleni łuski, pokrywające szczelnie każdy centymetr ciała legendarnej istoty, z bliska wyglądały znacznie piękniej. Ogromne, pękate brzuszysko! Eliza wpatrywała się w nie z mieszaniną strachu i fascynacji. Mogli ją pęknąć tysiąc lat temu, to teraz nie byłoby problemu... Ach te zagrożone gatunki! Pokręciła z politowaniem głową.

Smoczyca przekręciła się w drugą stronę, więc Eliza wykorzystała okazję, by wyjść spod brzucha i znaleźć się poza zasięgiem jej paszczy. Niemal przykleiła się do skały i na oślep macała ścianę pieczary w poszukiwaniu wrytego napisu. Zakłęta odruchowo, gdy tuż pod żłobieniami natrafiła na pustą przestrzeń. Stała na palcach i we wnęce dostrzegła zwinięty rulon papieru opatrzony pieczęcią lakową z wybitą liczbą sto trzydzieści siedem. Wyglądał na starszy i bardziej zniszczony niż zwój Twardowskiego. Czyżby faktycznie zawierał instrukcję, jak pokonać smoka wawelskiego?

Gad znów zaryczał wściekle, więc przyspieszyła. Złapała za zwój i schowała go pod bluzę. Oceniała sytuację. Marcel w dalszym ciągu zajmował smoczyce, zwinnie umykał na zmianę raz przed jej ogonem, raz przed strumieniem płomieni.

– Pośpiesz się! – zawołał rozpaczliwie.

Zacisnęła dłonie i wystartowała do biegu pod cielskiem bestii. Musiała skorygować tor, gdy smok zmienił zdanie i obrócił się ponownie. Umknęła przed

potężną łapą, a gad stracił równowagę i zaplątał się we własny ogon. Zdyszana wpadła na Marcela.

– Znalazłaś?

–T-tak. – Wciąż zdyszana oddała mu zwój.

Delikatnie rozwinął pergamin. Zamiast cennych wskazówek zobaczył ogromny, wypalony otwór, przez który widać było zszokowaną twarz Elizy.

– Cholera! – zaklął i odrzucił zwój na bok.

Eliza pobladła. Niepotrzebnie się narażała.

– I co teraz? – spytała bezgłośnie, poruszając samymi wargami.

Pod maską udawanego opanowania dostrzegła rosnący niepokój Marcela. Gdy to sobie uświadomiła, zdenerwowanie udzieliło się także jej. Sprawa wymknęła się spod kontroli.

– Musimy... – Podrapał się po karku. – Musimy teraz... Uważaj!

Odkoczyli na bok przed nadlatującym ogonem. Smoczyca, mając do wyboru dwa cele, odwróciła paszczę w stronę dziewczyny, zawarczała i wzięła głęboki wdech. Ciepłe, piekące w oczy powietrze zafalowało wokół Elizy. Osłupiała. To się nie działo naprawdę! Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Zacisnęła mocno oczy. To koniec, zaraz zostanie skwarką.

– ZŁOTO!

Krzyk Marcela zagrzmiął jej w uszach i w tym samym momencie czyjeś silne ramiona pociągnęły ją na ziemię. Hełm spadł jej z głowy i z łomotem poturlał się po dnie pieczary. Zobaczyła nad sobą Morasa. Osłonił ją własnym ciałem! Nad nimi buchały jęzory ognia. Gdy przygasły, inspektor podniósł Elizę i wycofał się z nią do tunelu.

– Dobrze, że ta gnida taka nierozgarnięta. Dawno ogniem nie ziała, to słabe te płomienie. – Moras zaśmiał się dziko.

– Co?! To są słabe płomienie? – Eliza przytrzymała się ściany.

– No raczej. Prawdziwy, potężny płomień już dawno by nas spalił na popiół...

– Marcel! Co z nim?! – przerwała mu, przypominając sobie o koledze.

Wpadli do jaskini, by zobaczyć, jak Marcel dynda w powietrzu, złapany w stalowe szpony. Smoczyca bacznie mu się przyglądała. Czyżby oceniała go pod kątem przydatności do spożycia? Moras zaklął i wyciągnął z kieszeni ogromny, pięknie połyskujący w świetle pochodni brylant.

– Takie świedidło na czarną godzinę – wyjaśnił Elizie i rzucił klejnot pod nogi bestii niczym patyk psu.

Smoczyca natychmiast puściła swoją zdobycz – Marcel stęknął, lądując na tyłku – i dała susa w stronę błyskotki.

– Diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny, co nie? – Moras uśmiechnął się zawadiacko.

– Rzuciłeś jej taki ogromny diament?! – Rozwarła szeroko usta. – Instytut Absurdu może sobie pozwolić na takie wydatki?

– Coś ty! To kawałek ładnie wypolerowanego szkła. Ups...

Za późno zorientował się, co właściwie powiedział na głos. Smoczyca usłyszała go i zmiażdżyła fałszywy klejnot w szponach. Uchylili się przed rozpryskującymi się we wszystkie strony odłamkami.

Eliza skuliła się i zasłoniła ramionami twarz.

– Już po nas!

Wilkołak nie tracił głowy. Złapał za miecz leżący przy nadpalonym szkielecie dawnego rycerza i stanął prosto, gotów do szarży na smoka.

– Auć! – syknął i puścił broń, jakby się poparzył. – Srebro – warknął z irytacją. – Nic dziwnego, że gościa spaliło. Co to za badziewny miecz!

Rzucił się na smoka z gołymi rękoma. Uchylił się przed kolejnym strumieniem ognia i złapał ogon bestii ostrożnie, by nie nadziać się na kolce. Eliza przygryzała wargę, obserwując coraz mocniej napinające się mięśnie kolegi. Nie da rady! Chyba przecenił swoje możliwości... Jednak smoczyca nie była w stanie wyszarpać ogona. Niewiarygodne! Moras naprawdę walczył jak równy z równym! Szkoda, że Maja tego nie widziała! Pełna podziwu Eliza obserwowała, jak inspektor powoli zdobywał przewagę. Udało mu się sprawić, że smoczyca zrobiła krok do tyłu, niefortunnie poślizgnęła się na stosie monet i przewróciła. Przez chwilę wyglądała na oszołomioną, ale zaraz się otrzepała i niezgrabnie próbowała podnieść.

– Szlag! Użyliście już tych specyfików dziewczyn? – Moras jedną ręką przeszukiwał kieszenie, korzystając z chwili słabości gadziny.

– Tak, ale nie podziałało. – Marcel ocknął się i podbiegł, umykając przed ogonem wkurzonej smoczy. – Zwój powiedział, że mamy uspić ją muzyką, ale nie mam pomysłu, o co mogłoby chodzić.

– Powinniśmy zabrać ją do biura, żeby posłuchała sobie... – urwała Eliza.

To przecież oczywiste! Mogli upiec dwie pieczenie na jednym, smoczym ogniu! Odsunęła się na bok. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie wrota Instytutu Absurdu. Otworzyła powieki, gdy padło na nią fioletowe światło.

– Elizaczku, chyb... Argh! – ryknął Moras, gdy smoczyca z całych sił szarpnęła ogonem, ale jej nie puścił. – Chyba nie stchórzyłaś, co?

– Nie, mam pomysł. Odwracajcie jej uwagę. Ja zaraz wracam.

Wbiegła do środka. Naparła na wahadłowe drzwi oddzielające hol od klatki schodowej i pędem pobiegła na górę, przeskakując po kilka stopni na raz. Po drodze minęła na korytarzu Feliksa niosącego pokaźną wieżę z książek. Omal go nie wywróciła. Łapiąc spadające woluminy, krzyczał coś do niej, ale nie zatrzymała się ani nawet go nie słuchała, nie miała na to czasu. W biurze

siedziała tylko Jaga, główkująca nad stertą papierów. Eliza upewniła się, że Garlicki wyszedł. Może to i lepiej. Najwyżej później mu powie, że sprawa była pilna i nie mogła czekać na jego zgodę.

– Elizka! – Wiedźma podniosła głowę i uśmiechnęła się na widok stażystki.

– Gdzie pan Aleks?

– Zrobiło się jakieś zamieszanie w Hotelu Chafoud i pojechał to wyjaśnić z Oskarem. Jeszcze nie wrócił.

– Świetnie, muszę wziąć gramofon, bo tego gada nie da się inaczej uspić – wyjaśniła nieco pokrętnie. – A Marcel mówi, że trzeba zrobić to muzyką.

– Rany! – Inspektorka otaksowała ją z góry na dół. – Wreszcie zaczynasz wyglądać jak my!

Eliza popatrzyła na swoje osmalone ubrania i brudne ręce. Ech! Nie chciała sobie wyobrazić, jak musiała wyglądać jej twarz.

– Dzięki? – odparła, nie do końca pewna, czy cieszy się z komplementu. – To co, mogę go wziąć?

Jaga wykrzywiła usta. Zerknęła co chwilę to na urządzenie, to na przybierającą słodką minę Elizę.

– No dobra. Bierz go – zgodziła się niechętnie. – Ale na własną odpowiedzialność. Jakby co, to Aleks ciebie zeżre, nie mnie.

– Jasne.

Eliza podeszła do biurka Garlickiego. Z bliska lśniło, jakby wampir nic innego nie robił, tylko czyścił i polerował blat. Nawet zakurzony gramofon z jeszcze bardziej zakurzonego magazynu chłopaków odzyskał dawny blask. Delikatnie odsunęła na bok igłę, zdjęła winyl ze zbiorem najsmutniejszych utworów muzyki poważnej i schowała do leżącej obok koperty. Zmarszczyła czoło, przyglądając się ponurej grafice na okładce płyty. Czy wampiry mogły chorować na depresję? A może Garlicki nieszczęśliwie się zakochał... Pasowałoby to do jego hrabiego wizerunku. Jak skończy z Mają i Morasem, to pomyśli, jak pomóc i jemu. Zamknęła skrzynkę z gramofonem. Zerknęła na kolekcję płyt i złapała się pod boki. Co tu wybrać? Wyciągała kolejno koperty, ale żadna nie wydawała się właściwa, a potrzebowała odpowiedniej melodii do swojego planu. Już się poddawała, ale wtedy natrafiła na płytę nagrałą jakby specjalnie na jej potrzeby. Upewniła się, że nie znalazło się na niej nic z repertuaru Chopina czy Wieniawskiego. Tych nie odważyłaby się zabrać Garlickiemu. Złapała urządzenie i zbiegła z nim do wyjścia.

Wróciła do smoczej jamy. Inspektorzy wciąż żywi i wciąż niestrudzeni unikali przypalenia, a na ścianach grotty przybyło sporo czarnych plam. Smoczyca nie próżnowała. Zamachnęła się kolejny raz. Marcel uciekł spod jej ogona i wytrzeszczył oczy na widok Elizy, ale potem uśmiech zrozumienia zagościł na

jego twarzy. Stażystka delikatnie postawiła na ziemi urządzenie, włożyła płytę i poprawiła igłę. Po pieczarze rozniosła się słodka, delikatna melodia.

Smoczyca znieruchomiała. Przekrzywiła głowę, jakby chciała się lepiej przysłuchać dźwiękom znanym prawdopodobnie każdemu dziecku. Wykrzywiła paszczę na kształt głupkowatego uśmiechu. Zwinęła się w kłębek, przykrywając tułów skrzydłami i ogonem.

– Chyba się udało. Zasnęła – potwierdził po chwili Marcel, który odważył się do niej podejść. – Kołysanka Brahmsa? Cwane!

– Na wszelki wypadek będziemy musieli zostawić jej ten pieprzony gramofon i ogarnąć zasilanie – dodał Moras.

– Wielka szkoda, co? – Eliza wyszczerzyła się od ucha do ucha i mrugnęła do niego łobuzersko.

– Kawał cholery z ciebie, wiesz? – Moras zagwizdał z podziwem i popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. Czyżby zapunktowała u niego? – No! Pozostała mi tylko jedna rzecz do zrobienia. – Klasnął i potarł dłonie.

Przecisnął się obok słodko śpiącej smoczy i podszedł do ściany znajdującej się za nią. Podniósł z ziemi nieco pordzewiały sztylet. Eliza obserwowała go z rosnącym niedowierzaniem. Przecież smoki były pod ochroną, tak? Chyba nie zamierzał... Moras przycisnął sztylet do ściany i mocnymi pociągnięciami wyłobił swój podpis obok tego należącego do Dratewki. Marcel popatrzyła na Elizę skonsternowany. Odwzajemniła spojrzenie, pozwalając sobie na kwaśny uśmiech. Chyba pomyśleli o tym samym. Oni również uczestniczyli w misji, ale nie mieliby tyle siły, co wilkołak, by wydrapać swoje autografy, a on najwidoczniej nie zamierzał tego zrobić za nich. Za kolejne tysiąc lat to Dratewka i Moras będą tymi, którzy pokonali smoka.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Marcel przewrócił teatralnie oczami tak, że tylko Eliza to widziała, i poszedł po swój plecak.

– Dobra, spadamy stąd. – Bezcelnie zadowolony z siebie Moras zdmuchnął najbliższą pochodnię, a kolejne poszły jej śladem i same wygasły.

W ciemności błysnęło fioletowe światło w kształcie wrót Instytutu Absurdu. W środku Eliza wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. Chyba wyczerpała już możliwość najgorszych misji – wcześniej stawiała czoło olbrzymowi, a teraz miała za sobą starcie ze smokiem. Na żadną gorszą misję już jej nie zabiorą, prawda? Chociaż nie powinna tak łatwo tego zakładać, Maja mówiła, że Instytut Absurdu jeszcze nie raz ją zaskoczy.

– Lubię, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem. – Moras mrugnął do nich, a potem objął, przyciągnął do siebie i mocno wyściskał.

Eliza z trudem łapała oddech.

– Faktycznie, wszystko poszło zgodnie z planem – odparł ironicznie Marcel.

– Smok śpi? Śpi. Zgodnie z planem.

– Och! Zapomniałam! – ocknęła się Eliza i zwróciła do Marcela: – Nie podziękowałam ci za ratunek. Ta zagrywka ze złotem... – umilkła i popatrzyła na niego błyszczącymi oczami. – To było naprawdę odważne.

Marcel podrapał się za uchem i mruknął cicho pod nosem, że każdy by tak postąpił i nie zrobił nic wielkiego.

– Ekhm! – odkaszlnął sugestywnie Moras. Przez chwilę spoglądał wyczekująco na Elizę, ale gdy ta nie załapała, o co mu chodziło, prychnął donośnie.

– No przecież ja też wam ocaliłem tyłki.

– Och! Tak! Tobie również jestem wdzięczna – uśmiechnęła się przymilnie. – Za to, że mnie zabrałeś i naraziłeś w pierwszej kolejności!

Oparł dłonie na biodrach i zagwizdał.

– Proszę, proszę, Elizaczek nam się wyrabia. – Przybił jej piątkę na tyle mocno, że musiała rozetrzeć dłoń. – A taka zahukana przyszła pierwszego dnia. Dziewczyno, właśnie miałaś okazję zobaczyć najprawdziwszego smoka sawelskiego! Ekstra, nie?

Niepoważna ekscytacja Morasa sprawiła, że roześmiała się szczerze. Miała rację. Mimo pewnej dozy niebezpieczeństwa praca w Instytucie Absurdu dostarczała jej niesamowitych przeżyć.

– No ekstra! – przyznała.

– A to nowość – podsumował rozbawiony Marcel. – Ale nie chciałyś takiego smoka na zwierzątko, prawda?

– Nie. – Pokazała mu język. – Wolałabym pegaza. A właśnie! Gdzie trafiły te pegazy z pseudohodowli? – zwróciła się do Morasa.

– Do Fundacji Falimira Felczera. Leczą tam magiczne zwierzęta i wypuszczają potem na wolność.

– A gdzie byś ty go trzymała? – zastanawiał się na głos Marcel.

– W mieszkaniu – odpowiedziała pewnie, przywołując w myślach lokum Kościejowej. – Już jest tam taki bałagan, że nie zrobiłoby to większej różnicy.

Minęli sekretariat, ale czujna pani Lusja wybiegła za nimi, machając wymownie listą obecności. Eliza obserwowała, jak zgrabnie się porusza, chociaż miała na nogach szpilki o nierealnie wysokich obcasach. Musiała przyznać przed sobą z żalem, że nawet w adidasach nie mogłaby dorównać gracją sekretarce.

– Nie tak szybko, dziubaski! – zawołała do nich, poprawiając długi sznury pereł, które poplątały jej się w trakcie truchtu.

Gestem zaprosiła ich do swojego królestwa. Położyła listę na stoliku i podała Elizie różowy długopis. Dziewczyna złożyła podpis, a kątem oka obserwowała, jak sekretarka wraca do przygotowywania poczty. Miała już rozłożoną deskę do

prasowania, a nastawione żelazko buchało parą, co przyprawiło Elizę o smocze skojarzenia.

– Jak wam poszło, słoneczka? – zapytała pani Lusia podczas rozkładania kolejnej zgniecionej kulki, która za nic w świecie nie przypominała żurawia origami.

Marcel otworzył usta, gotów zdać sprawozdanie z przebiegu misji, ale Moras przepchnął go na bok. Podszedł do pulpitu. Oparł się o blat i pochylił z szelmowskim uśmiechem w stronę pani Lusi.

– Szkarada śpi jak małe dzidzi. A tu mam jej podobiznę. – Wyciągnął z kieszeni małą figurkę smoka wawelskiego i podał sekretarce. – Ustawię sobie na stole.

– Cudownie, słodziaczku! – zaszczębiotała, obracając w palcach bibelot. – Wspaniała pamiątka.

– Pff! Też mi coś! – Marcel dopchał się do pulpitu. – Kiedy zdążyłeś to kupić?

Sięgnął po smoka, ale musnął palcami powietrze. Moras uprzedził go, a będąc od niego sporo niższym, Marcel musiałby podskoczyć, by teraz wyrwać mu figurkę z rąk.

– Trzeba było powiedzieć, że zbierasz fajansiki, to bym ci przyniósł więcej takiego badziewia...

– No już, już. Uspokój się, fajansiku. – Moras protekcyjnie poczochnął włosy kolegi.

Marcel cofnął się i przypadkiem trącił nogą jeden z worków. Dziesiątki listów wysypały się na podłogę. Jeden z nich przykuł uwagę Elizy. I to nie tylko wściekle różowym kolorem – w przeciwieństwie do większości pomiętych pism został precyzyjnie złożony na kształt żurawia. Schyliła się po niego i przyjrzała bliżej.

– O, ktoś się w końcu postarał! – Pokazała żurawia pani Lusi.

Sekretarka wykrzywiła usta i zacmokała, ale zaraz jej zdziwienie zostało zastąpione przez zrozumienie.

– Mhm, to tylko jakaś reklama perfum. Nie wiem, po co nam to wysłali – mruknęła, zgmiotła ulotkę i wyrzuciła do kosza.

Nic nowego. Marketing dbał o estetykę, ale petenci potrafili wysłać list z prośbą o załatwienie sprawy na byle wymiętym skrawku papieru. Eliza widziała już pisma na nierówno wyrwanych kartkach z zeszytu, szarym papierze, pomiętej stronie z gazety...

– No, a wy lećcie już. – Pani Lusia machnęła ręką w stronę drzwi, a złote bransoletki zdobiące nadgarstki zabrzęczały. – Pewnie wszyscy chcą usłyszeć o waszym sukcesie.

Natychmiast po wejściu do biura Eliza sprawdziła, czy wrócił Garlicki. Syknęła, gdy dostrzegła go przy swoim biurku. Wychyliła się mocniej zza drzwi. Twarz miał dosyć pogodną i ogólnie wydawał się mieć całkiem dobry nastrój. Odprężyła się. Może wybaczy jej zwinięcie gramofonu?

Moras przemaszerował ostentacyjnie do swojego stanowiska, wymachując na boki miniaturowym smokiem. Postawił go na biurku. Mała figurka nie zrobiła większego wrażenia, bo zniknęła w tonach pism.

– Proszę, proszę. Komuś się jednak udało – powiedziała zaczepnie Jaga znad stosu papierów, nieco już mniejszego, bo spory stos ułożyła obok maszyny do pisania Elizy.

Stażystka nawet się nie przejęła nadmiarem pracy. Po ekscytującej misji dobrze będzie zająć się czymś spokojniejszym.

– A i owszem! – Moras oparł się o stół i zaczął streszczać inspektorom przebieg akcji.

Wyczulony na jego zdolność koloryzowania Marcel wtrącał się i poprawiał go co chwilę. Gdy doszli do fragmentu z gramofonem, Elizka zerknęła dyskretnie na Garlickiego, ale nie potrafiła wywnioskować z jego miny, czy i jak bardzo się zdenerwował. Żałowała tylko, że Maję ominęła opowieść o tym, jak Moras popisał się odwagą i omal nie zginął, ratując młodszych kolegów.

– Moje gratulacje. – Garlicki uśmiechnął się szeroko, a dwa nieco wyrośnięte kły załśniły. – Mam tylko jedno pytanie. Czy natknęliście się może na jakikolwiek ślad Pana P.?

Trójka bohaterów zgodnie zaprzeczyła, a wampir pokiwał głową w zamyśleniu, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał. Dał znać Jadze, by zabrała głos.

– W Zielonej Górze zniknęła osoba – zaczęła poważnym tonem – ale to był ostatni przypadek. Od tego czasu przestały pojawiać się nowe zniknięcia, jakby Pan P. zapadł się pod ziemię.

– Może to cisza przed burzą? – zasugerowała Eliza.

Garlicki zachmurzył się i przysiadł na biurku w nonszalanckiej pozie. Mimo malującego się smutku na twarzy wciąż wyglądał urzekająco.

– Owszem, może tak być, panno Elizo. – Palcami opartymi na blacie wystukiwał nerwowy rytm. – Chce z nas zrobić głupców...

– Albo mu się znudziło. Nieważne. Co tam jakiś Pan P., tu macie prawdziwego pana! – przerwał mu Moras. Proszę, proszę! Jak szybko przeszła mu złość na tajemniczego złoczyńcę. – Gdyby nie ja, mielibyśmy teraz wściekłą jak wiedźma z okresem smoczycę na głowie.

– Ej! Uważaj sobie!

Moras zignorował oburzenie Jagi. Wymachiwał pięściami niczym rasowy bokser przed walką.

– Szkoda, że nie widzieliście, jak się z nią siłowałem.

– Połowę czasu byłeś nieprzytomny.

Brutalna uwaga Marcela wywołała grymas niezadowolenia na twarzy inspektora Kłopotliwych Kreatur. Założył na piersi ręce i pochylił się nad chłopakiem. Eliza z rozbawieniem stwierdziła, że Marcel jakby nieco się skurczył, ale nie odwrócił wzroku. Szkoda, że nieważne jakich argumentów by nie użył, nie miał szans w potyczce z nakręconym wilkołakiem.

– Tak, a kto mnie uspił? Może zrobiłeś to specjalnie, żeby nałapać punktów i zaimponować Elizaczkowi?

– Co?! – Marcel wypuścił ze świstem powietrze. – Nie wiedziałem, że lira tak zadziała.

– Jasne, Pan-Wszystko-Wiem czegoś nie wiedział! Specjalnie mnie uspiłeś, żeby pozbyć się konkurencji i samemu zostać smokobójcą! – Wymierzył oskarżycielsko palec.

– Wystarczy tego – oznajmił Garlicki bez podnoszenia głosu. – Zdaje się, że zapominają panowie o roli naszej wspaniałej panny Elizy, która poświęciła mój gramofon dla ratowania sprawy. Że nie wspomnę o moim wkładzie. Współczesny łomot, zwany muzyką, nie uspiłby smoczyca. Nie to, co kojące zmysły melodie.

Eliza przyglądała mu się niepewnie. Lekki uśmiech błąkał się na jego ustach. Jest z niej zadowolony czy raczej zły za zabranie urządzenia? Nie potrafiła stwierdzić.

– Następny się znalazł! Gramofon był wspólny i dla dobra wspólnego posłużył – wycedził zbulwersowany Marcel.

– Czyżbym powiedział coś zgoła innego? – Garlicki uśmiechnął się z wyższością, jak gdyby tylko czekał, czy Marcel odważy się znów zakwestionować jego słowa.

Marcel na przemian spoglądał to na niego, to na Morasa. Znaleźć się między wampirem a wilkołakiem? To dopiero dylemat. Zrezygnowany spuścił nos na kwintę.

– Przynajmniej będziemy mieć z głowy wiedźmę Smysławę – powiedziała wesoło Eliza, żeby załagodzić nieco napiętą sytuację.

Inspektorzy najpierw nie odpowiedzieli, tylko posłali jej tak sceptyczne spojrzenia, że znów poczuła się jak pierwszego dnia w Instytucie Absurdu. Elizaczek, naiwna dziewczynka... Potem jak na zawołanie wybuchnęli gromkim śmiechem. Eliza zsunęła się na krześle i schowała za maszyną do pisania, czując, jak palą ją czubki uszu. No nie! Nie będą urządzić z niej podśmiejek!

– Uhm... Idę zrobić herbatę – mruknęła, porwała czajnik bezprzewodowy z wciśniętego w kąt za szafą stolika i wypadła z biura.

Już docierała do drzwi pomieszczenia socjalnego, gdy niepokojący odgłos skrobania zatrzymał ją w pół kroku. Rozejrzała się po korytarzu. Nie dostrzegła niczego podejrzanego.

– Instytucie?

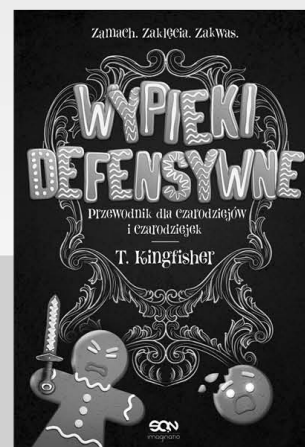
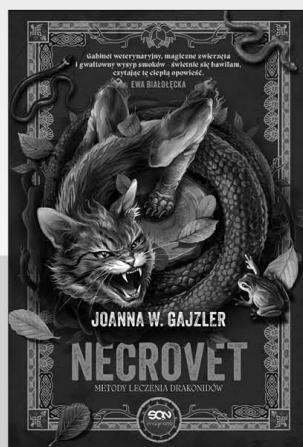
Chrobot wzmógł się. Cokolwiek powodowało odgłosy, musiało się znajdować tuż przy niej. W słabo oświetlonym korytarzu nie potrafiła tego wypatrzyć. Zadrzała, gdy przyszło jej do głowy, że może smoczyca jednak się obudziła i teraz próbowała dostać się do budynku. Ścisnęła mocniej czajnik. Nonsens! Dźwięki sugerowały raczej coś drobnego. Może Instytut Absurdu poruszał klepkami w parkiecie albo obrazami wiszącymi na ścianie? Jeszcze raz obróciła się dokoła. Nadstawiła ucha, ale skrobanie cichło. Jego źródło oddalało się od niej. Ruszyła za nim na klatkę schodową. Schodziła, przystając co któryś stopień, i nasłuchiwała, czy dźwięki się powtarzają. Podążała ich tropem dwa piętra w dół, dalej korytarzem obok sekretariatu pani Lusi, aż całkiem ucichły przed drzwiami archiwum. Westchnęła. No tak...

– Jutro, dobrze? – Przesuwała spojrzeniem po ścianach, ale budynek nie zareagował. – Dziś dałbyś mi spokój, Instytucie. Jestem już zmęczona, ale jutro pójde do archiwum i nie wyjdę stamtąd, dopóki nie znajdę niczego na temat Pana P. Obiecuję!

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl